



Moja Magiczna Praga

Trzy kobiety.

Trzy historie miłosne.

Jedno miasto, gdzie spełniają się marzenia.

Isabelle Broom

Autorka bestsellerów

Moje Greckie Lato i Moja Hiszpańska Przygoda


AMBER

Isabelle
Broom

Moja
Magiczna
Praga

Przekład
Barbara Kwiatkowska



Korekta

Renata Kuk

Agnieszka Pyśk

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce

© kaprik/Shutterstock

© Leonid Ikan/Shutterstock

Tytuł oryginału

A Year and a Day

Copyright © 2016 by Isabelle Broom

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6559-9

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Dla Sadie

Śnieg zaczął padać, gdy zrobiło się ciemno, a wraz z nim zapadła cisza. Ta magiczna, niemal eteryczna cisza, która chyba zawsze towarzyszy delikatnie proszącym płatkom, jakby wszyscy mieszkańcy świata zatrzymali się, żeby podziwiać ich piękno.

Jednej osoby śnieg jednak nie poruszył, nawet na niego nie patrzyła. Stała przy murku na brzegu mostu, z wilgotnym brukiem pod podeszwami butów i oddechem zamarzającym w ostrym, nieruchomym powietrzu i czuła, że przyciąga ją ciemna masa wody w dole.

Jakby to było do niej skoczyć? – zastanawiała się. Czy rzeka przebiję ją swoimi lodowatymi palcami, czy ona będzie kaszleć i pluć, i wymachiwać rękami nad głową; czy może nie poczuje nic prócz ulgi? Ta druga wizja była rozkosznie kusząca. Ostatnie dni ją wyczerpały, była zmęczona. Zmęczona zamieszaniem, zmęczona niepewnością i zmęczona bólem.

Usłyszała, że zegar zaczyna bić i zamknęła oczy, a pojedyncze uderzenia wprawiały w drganie jej wnętrzości z niezamierzoną nieodwołalnością: odliczanie do beznadziei, symfonia rozpacz. Śnieg padał teraz mocniej i nie widziała nic przez łzy.

Wystarczy podnieść nogę, przesunąć ją poza krawędź, ostatni wdech i jeden skok. W minutę może być po wszystkim.

Wysoko ponad mostem, ponad napęczniałymi od śniegu chmurami, na niebie wygodnie i dumnie rozsiadł się księżyc. Z góry świat wydawał się zaledwie kolorowym punkcikiem w oceanie czerni, jasnym kamykiem życia i miłości, i smutku, i radości. Na moście blask księżycy był wszędzie, oświetlał pomniki i sprawiał, że plamy rozmazanego złotego blasku lśniły w ciemności na niebiesko. Śnieg padał dalej.

Zegar uderzył ostatni raz, a z nim przyszła świadomość. Wzięła głęboki oddech i oparła dłonie na kamiennym murze, żeby przytrzymać się przy wspinaniu. Ale kiedy jej stopa oderwała się od ziemi, usłyszała krzyk.

To był on. Przyszedł.

Megan zwinęła dzinsy w kulkę i cisnęła nimi przez pokój, najmocniej jak mogła. Uderzyły o ścianę z rozczarowującym głuchym plaśnięciem i zsunęły się bezwładnie na podłogę, lądując na trzech koszulach i pięciu parach majtek, które odrzuciła już wcześniej.

W pakowaniu była zawsze dobra i się tym szczyciła. Starannie zwinięte ubrania, skarpetki wsunięte do butów, przybory toaletowe przelane do miniaturowych buteleczek i rozsądna ilość wolnego miejsca na zakupy zrobione w czasie wyjazdu.

Tym razem jednak cholernie się męczyła.

Co zabrać na wyjazd z przyjacielem, który jest mężczyzną, ale nie tym najważniejszym? Mężczyzną, który pocałował cię po pijaku wieki temu, ale z którym nie chcesz się więcej całować. Mężczyzną, który zaprosił cię na wypad do Pragi na zupełnie platonicznych zasadach, ale który z całą pewnością jest wolny. Mężczyzną, z którym przyjdzie ci spędzić sam na sam sporo czasu w ciągu pięciu najbliższych dni. Mężczyzną, z którym będziesz musiała nawet dzielić łóżko.

To było trochę dziwne.

Megan nie chciała słuchać, kiedy przyjaciele mówili jej, że to wszystko skończy się płaczem. Cholera, nawet matka ją ostrzegała.

– Nie chcę, żeby biedak cierpiał – powiedziała. Jak to mama.

Zbyła ich, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Ollie wiedział, że głupi pocałunek był jednorazowym wyskokiem i że są po prostu przyjaciółmi.

Mimo wszystko, dziwnie.

Powinna zapakować czarną suknię z głębokim dekoltem? Wyglądała w niej ładnie i lubiła ją nosić, ale czy Ollie nie pomyśli, że to znak, że chce, żeby zwrócił na nią uwagę? Nie zachęci go mimowolnie? A co z piżamą? Jeżeli zabierze nową satynową obszytą koronką, on może to wziąć za zielone światło i będzie myślał, że ma ochotę na przyjacielskie mizianki pod kołdrą. Jediną alternatywą był paskudny komplet składający się z koszulki z krótkimi rękawami i spodenek, którygnił w szafie od studiów. Nie chciała, żeby Ollie pomyślał, że jest niechlujna. Miała problem.

Koszulki na ramiączkach, które kiedyś były takie zwyczajne, teraz zionęły podtekstem, dzinsy, które leżały jej dobrze na pupie, nagle stały się wyzywające, a w kwestii wyboru bielizny... nie miała nawet pojęcia, od czego zacząć z tą stertą prowokujących, czerwonych płacht na rozjuszonym byka. Nie miała wyjścia, będzie musiała pójść do najnudniejszego sklepu z ciuchami w Londynie i kupić przykładną garderobę składającą się z najskromniejszych i najmniej sugestywnych ubrań, jakie mają. Super.

Telefon zabrzączał jej w kieszeni. Wiadomość od Ollego.

„Mam nadzieję, że jesteś spakowana. Cieszę się na jutro”.

„Piwo na lotnisku o 6 rano, zgoda? Stawiasz. :-*”

O, Boże, dodał buziaka. Już się zaczęło.

Żuła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią, aż w końcu zdecydowała się

na:

„Spakowana od paru godzin, głupku. A stawiasz Ty”.

Żadnego buziaczka, o nie.

Westchnęła i porzuciła beznadziejne zadanie, jakim było pakowanie i wzięła aparat. Natychmiast zrobiła się spokojniejsza. Uwielbiała czuć jego ciężar w dłoniach, fakturę obudowy we wprawnych palcach, delikatne kliknięcie, kiedy ustawiała obiektyw w odpowiedniej pozycji i przypływ rozkoszy, kiedy w końcu naciskała wyzwalacz i utrwaliała obraz. Uchwycona chwila, wspomnienie zachowane na zawsze, obraz świata, jakim go widziała. Nic nie uszczęśliwiało Megan bardziej niż robienie zdjęć i wiedziała, że fotografia zawsze będzie jej największą miłością. Żaden mężczyzna ani przyjaciele, ani nawet – jej mózg zawahał się na chwilę – rodzina nie mogła z nią konkurować. Ten aparat stanowił taką samą część Megan jak jej kończyny, skóra, włosy i dusza i wystarczyło, że go trzymała, stojąc wśród stosu rozrzuconych ubrań, żeby poczuła się lepiej.

Kiedy Ollie oznajmił, że w następnym semestrze będzie uczył swoją klasę ośmiolatków o Pradze, zaproponował Megan, żeby wybrała się z nim na wycieczkę szkoleniową w czasie tygodniowej przerwy na doksztalcanie dla nauczycieli. Jako jego nieoficjalna fotografka przeprowadziła dokładne rozpoznanie przed podjęciem decyzji i miasto wydało jej się zjawiskowe. Te wszystkie brukowane uliczki, pomniki, nie wspominając o pięknej Wełtawie przepływającej przez sam środek miasta. Praga była też pełna perełek architektonicznych, nawet sprzed trzynastego wieku i Megan czuła na rękach gęsią skórę z przejęcia za każdym razem, gdy o tym myślała.

Była pewna, że wyjazd ją zainspiruje i w końcu zacisnęła zęby, zebrała się w sobie i zarezerwowała miejsce na majowej wystawie przy South Bank tu, w Londynie. Miał to być jej pierwszy duży wernisaż w stolicy i, ponieważ do Bożego Narodzenia było tylko kilka tygodni, nieźle sobie radziła, zostawiając zapas czasu – ale tak lubiła pracować. Ustalanie terminów, tworzenie list, mobilizowanie się, żeby się zebrać i wyjść, zagospodarować jakoś dzień, osiągnąć coś, cokolwiek – to była cała Megan.

Jej telefon znowu zabrzączał.

„Właśnie pomyślałem – może pojedziemy na lotnisko razem? Taksówka ode mnie? :-*”

Odłożyła aparat i jęknęła. Mogła winić tylko siebie za to, że zgodziła się na lot o tak niehumanitarnej porze, ale nie chciała dodatkowo pozbawiać się snu, żeby o

piątej rano maszerować do Ollego. I znów dodał buziaka.

„Przyjdź do mnie, będzie prościej”.

Wcisnęła „wyślij” i czekała, patrząc, jak przychodzi potwierdzenie doręczenia wiadomości. Jak przypuszczała, na odpowiedź Ollego nie musiała długo czekać.

„OK, Szefowa. :-* :-*”

Dwa buziaki?

Przez resztę popołudnia się ociągała. Stwierdziła kategorycznie, że kupowanie nudnych ciuchów, których nigdy więcej nie założy, jest skończonym absurdem, spakowała się, potem przepakowała walizkę, a później przez całe dwadzieścia minut rozważała, czy zwracać sobie głowę goleniem nóg. Kiedy była już umyta, wymuskana, spakowana i usiadła przed telewizorem z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, dochodziła dziesiąta. Skoro Ollie miał się zjawić o piątej rano, powinna niedługo spróbować się przespać, choć zostało pół butelki czerwonego wina. Nie ma sensu zostawiać resztek, skoro wyjeżdża na pięć dni – czyste marnotrawstwo.

Na dźwięk dzwonka mało nie wylała tego, co miała w kieliszku.

– Jasna dupa – wymruczała, wzięła kij bejsbolowy, który trzymała przy szczytce schodów i owinęła się mocniej luźnym swetrem. Mieszkała w północnym Londynie od ponad dziesięciu lat i jeszcze nigdy jej nie okradli, nie napadli ani się nie włamali, ale dziewczyna, która mieszka sama, powinna dmuchać na zimne.

– Kto tam? – krzyknęła zza drzwi.

Usłyszała cichy chichot, a później znajomy głos Ollego:

– Mężczyzna z twoich najdzikszych marzeń.

Opuściła kij, uchyliła lekko drzwi i spojrzała gniewnie przez szparę na swojego przyjaciela w okularach.

– Jesteś trochę za wcześnie, nie uważasz?

– W sensie? – Ollie był na tyle przyzwoity, że przez chwilę miał zdezorientowaną minę, a Megan zauważyła, że przy nogach ma walizkę.

– Myślałam, że przyjdiesz rano.

– I że będę się tu człapał z Putney o piątej rano? Chyba mnie o to nie podejrzewałaś? Myślałem, że chciałaś, żebym u ciebie przenocował.

Nie wyglądał, jakby kłamał, i Megan otworzyła drzwi trochę szerzej.

– Będziesz musiał spać na kanapie – powiedziała, starając się nie przejmować tym, że ma na sobie puchate kapcie psy i zero makijażu.

Ollie przeciągnął walizkę przez próg, a Megan przepuściła go przodem po schodach. Powiedziała, że chce dokładnie zamknąć drzwi, ale tak naprawdę nie chciała, żeby po drodze na górę gapił się na jej tyłek. Przyłapała go na tym kiedyś, kiedy, na swoje nieszczęście, założyła bardzo obcisłe dżinsy, ale nie miała pojęcia, co go tak zauroczyło. Jeżeli miałyby wybrać jedno słowo, żeby opisać swój tyłek,

byłoby nim: gigantyczny.

– Nalej sobie wina – powiedziała, gdy znaleźli się na górze, już żałując kolejnego kieliszka, który miała zamiar wypić. Ale przecież, przypomniała sobie, przez kilka najbliższych dni mogą pić, ile tylko chcą. – Praga słynie ze swoich piwiarni.

Jakby czytając jej w myślach, Ollie wzniosł „pierwszy z wielu” toastów, stukając się z nią kieliszkiem, a ona po raz pierwszy pozwoliła sobie uśmiechnąć się do przyjaciela. W Olliem podobało jej się wiele: był wysoki, miał gęste kasztanowe włosy i pamiętał, żeby je myć, miał dobrą pracę, która dostarczała codziennie wielu zabawnych anegdot, dzwonił regularnie do rodziców, nie z musu, był zabawny i był jednym z najlepszych, najbardziej lojalnych przyjaciół, jakich miała.

– Myślisz, że będzie dziwnie?

Nie zamierzała tego mówić, ale cieszyła się, że to zrobiła, gdy Ollie uśmiechnął się do niej i położył dłoń na jej ramieniu, żeby ją uspokoić.

– Nieee. – Wzruszył ramionami. – Będzie fajnie.

Zdjął już wcześniej okulary, bo mu zaparowały, jak zawsze w jej tropikalnym salonie. Grzejnik zepsuł się lata temu i ciągle był do końca rozkręcony, ale Megan, w odróżnieniu od wszystkich biedaków, którzy odważyli się wejść do jej jaskini, zdążyła się do tego przyzwyczaić.

Oczy Ollego są chyba jego największym atutem, stwierdziła. Miały jasnoorzechowy kolor, podkreślony przez piegi. Ona, dla odmiany, miała małe oczy w kolorze raczej nieinspirującej, chodnikowej szarości.

Cisza, która z niewiadomego powodu stawała się coraz głośniejsza, zrobiła się niezręczna i Megan wypełniła ją, opowiadając mu o swoich planach związanych z nową wystawą. Nie wybrała jeszcze tematu, powiedziała, ale miała nadzieję, że w Pradze znajdzie natchnienie, jakiego potrzebuje. Ale nie wyjaśniła mu, dlaczego właściwie ta wystawa tyle dla niej znaczy. To mogło poczekać na inny dzień.

– Brzmi wspaniale – powiedział Ollie, dopijając wino i rozlewając do kieliszków niewielką ilość, która została. Zawsze ją wspierał w pracy, między innymi dlatego tak lubiła jego towarzystwo. – Ale zrobimy coś wyjątkowego z okazji moich urodzin, co? – Ollie spojrzał na nią pytająco.

– Hm...

– Miesiąc temu skończyłem trzydzieści pięć lat, a na razie nie dostałem od ciebie nawet kartki. Trzydzieści pięć lat to ważny etap. Dlatego nalegam, żebyś zaprosiła mnie na kolację do najbardziej eleganckiej restauracji z gulaszem w całej Pradze.

– Idiota – powiedziała, zastanawiając się w duchu, czy zdąży ukradkiem zajrzeć do Internetu, wyszukać restaurację w Pradze i zarezerwować dla nich stół

przed wylotem. Przypuszczała, że pewnie nie.

– Tylko się z tobą drocę. – Trącił jej nogę stopą, a ona zauważyła jego jaskraworóżowe skarpetki. – A może w zamian jeszcze jedno całowanko?

Nie mogła się powstrzymać, skrzywiła się.

– Ollie... – zaczęła, ale on uniósł dłoń.

– Wiem, wiem, jesteśmy przyjaciółmi i nie będzie żadnych takich. Zapewniam cię, że tylko żartowałem, Meg.

Zmrużyła oczy, patrząc na jego rozbawioną minę.

– Tak łatwo cię zrobić – powiedział Ollie, wsuwając okulary na nos.

Megan nagle dopadło wspomnienie tego pierwszego razu, gdy siedzieli obok siebie na jej kanapie, kiedy znali się dopiero kilka godzin. Wtedy też szumiało jej w głowie od wina, ale konsekwencje były zupełnie inne.

– Gorąco tu czy mi się zdaje? – mruknęła, unosząc wzrok na Ollego, który patrzył na nią z rozbawieniem.

– Zrobiłaś się zupełnie różowa na twarzy, młoda damo – powiedział, odbierając jej kieliszek i sam wypił zawartość. – Dalej, pora spać. Jutro czeka nas bardzo długi dzień.

Zmusiła się, żeby podejść do szafy i wyciągnąć zapasową pościel, którą rzuciła na sofę obok niego i poczekała na zewnątrz na korytarzu, aż usłyszała, że zaczyna się rozbierać.

Ten wyjazd z całą pewnością będzie dziwny, uświadomiła sobie. Ale Megan Spencer najbardziej kochała wyzwania.

Przez długą chwilę po tym, jak córka się rozłączyła, Hope po prostu siedziała i gapiła się przed siebie. Przypuszczała, że powinna się cieszyć, że Annette nie rzuciła słuchawką, ale tego raczej nie da się już zrobić, prawda? Teraz wszyscy mają komórki. O wiele mniej dramatycznie jest uderzyć palcem w wyświetlacz niż rzucić plastikiem o plastik i usłyszeć satysfakcjonujący sygnał rozwścieczonej ciszy, ale skutek był ten sam: czuła się, jakby serce łamało jej się na kawałki.

Na stole przed nią stała salaterka z owocami i wzięła jedną mandarynkę. Była z tych, co się łatwo obierają, które można kupić w każdym markecie w okresie przedświątecznym, ale ta swoje najlepsze chwile zdecydowanie miała już za sobą. Skórka zaczęła twardnieć, a kiedy Hope ją ścisnęła, poczuła, jak przejrzały owoc zamienia się w środku w nieprzyjemną papkę.

Tak jak ja, pomyślała – z zewnątrz twarda, a w środku papka. Ale Annette się z tym nie zgadzała – tyle powiedziała przez telefon parę minut temu, oskarżając matkę, że nie ma serca, że jest egoistką i że zniszczyła jej życie.

Hope wstała gwałtownie, zaniósła mandarynkę do kuchni i wyrzuciła ją do kosza. Wyciągnęła rękę w wąskiej przestrzeni, włączyła czajnik i przygotowała kubek na herbatę, raczej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej ochoty, żeby się napić.

W tym mieszkaniu cały czas czuła się trochę jak część zamienna. W domu – to znaczy w drugim mieszkaniu – zawsze miała zajęcie. Trzeba było pościelić łóżka, ugotować kolację, zrobić pranie. A tu? Byli tylko we dwoje, na tak małej przestrzeni.

Sama to wybrałaś, przypomniawszy sobie, przyciskając szaszetkę herbaty do ścianki kubka. Nie mogłaś tak dalek żyć.

Podeszła z herbatą do okna i spojrzała na ulicę w dole. Kobieta, mniej więcej w jej wieku, właśnie zaparkowała przed pocztą i teraz próbowała utrzymać duży stos paczek owiniętych w brązowy papier. Hope zwróciła uwagę na jej starannie ułożone loki i elegancki płaszcz, zapięty pod szyję w przenikliwym grudniowym wietrze.

Zastanawiała się, czy ta kobieta wystroiła się tylko dla tej jednej sprawy, jak zrobiłaby Hope. Od jakiegoś czasu wkładała całą swoją energię w to, żeby wyglądać jak najlepiej tylko przez dwie godziny w tygodniu, później przez cztery, potem przez sześć. Teraz wstawiała wcześniej każdego ranka, żeby wyszczotkować włosy i nałożyć makijaż. Dziś była ubrana w piękną zieloną sukienkę z głębokim dekoltem – taką, którą kiedyś trzymałaby na szczególną okazję, ale teraz czuła, że może ją nosić, kiedy tylko chce.

Właściwie mogłaby dzisiaj wyjść, pójść do centrum Arndale i kupić parę rzeczy na święta, może zrobić sobie paznokcie i napić się grzanego wina na

jarmarku. Byłoby o wiele weselej z przyjaciółką, ale nie wiedziała, czy któraś w ogóle chce, żeby się z nią kontaktowała. To było takie dziwne, takie sytuacje, i Hope właściwie nie mogła mieć do nich pretensji, ale skrzywiła się w duchu z powodu okropnego poczucia samotności, które ją ogarnęło.

Herbata wystygła, więc wylała ją do zlewu i umyła kubek, wytarła go i odstawiła do szafki. Zegar nad ociekaczem wskazywał punkt jedenastą i Hope usłyszała, jak drzwi na dole otwierają się i zamykają, a później rozlega się odgłos kroków na schodach.

Cały czas przyprawiał ją o motyle w żołądku.

– Cześć, piękna.

Charlie przeszedł przez salon i wziął Hope w ramiona, pocałował ją w czubek nosa i spojrzał jej w oczy.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedział, nie odrywając wzroku od jej oczu.

Hope poczuła cudowne ciepło, które stało się dla niej jak uzależniający płyn, jakby opuszki palców Charliego były jak odkręcone krany, z których do każdej cząstki jej ciała sączyła się czułość, napełniając ją miłością.

Kiedy brał ją w ten sposób w ramiona, cały ból i skołowanie, które ją nękały, w cudowny sposób znikwały – nic dziwnego, że nigdy nie miała go dość.

– No, jestem. – Uśmiechnęła się do niego.

Charlie znów ją pocałował, tym razem w usta. Na głowie miał jaskrawoczerwoną wełnianą czapkę, która gryzła się z różem na jego policzkach.

Hope spuściła głowę i położyła ją nieśmiało na jego piersi. To było niedorzeczne, naprawdę; kobieta w jej wieku w roli rumieniającej się nastolatki.

Patrzył na nią teraz, jak patrzyłby nastolatek, który właśnie dostał roczną prenumeratę „Playboya” i bilet na cały sezon meczy Manchester United. Wystarczyło, że spojrzał na nią w ten sposób i od razu czuła się lepiej. Skoro mówił, że wszystko będzie dobrze, wierzyła mu. Zawsze tak między nimi było, od pierwszego dnia, kiedy się poznali. Miała wrażenie, że Charlie jest jak otwarte okno w dusznym pokoju – wcześniej się topiła, a teraz swobodnie płynęła.

– Myślałam, że masz lekcje przez cały dzień? – zagadnęła go, poprawiając przód sukienki, który zaplątał się w guzikach jego kurtki. Charlie był instruktorem nauki jazdy i cieszył się ogromnym wzięciem.

– Pan Ahmed odwołał lekcję w ostatniej chwili, ale i tak chciałem wpaść do domu – odparł. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Skrzywiła się.

– Nie bądź taka. – Poszedł za nią do kuchni, w której znów włączyła czajnik.

– Nie uczciliśmy twoich urodzin jak należy, więc pomyślałem, że zrobię nam przyjemność.

Hope przypomniała sobie swoje urodziny, które obchodziła dwa miesiące

temu, kiedy mieszkała jeszcze w innym domu. Potworna, sztuczna kolacja prawie w milczeniu, bez cienia radości. Nawet tort wyglądał, jakby źle się tam czuł.

– O jakiej przyjemności mówisz? – spytała.

– Poczekaj tu!

Mieszkanie było tak małe, że Charliemu wystarczyło kilka sekund, żeby przebiec do sypialni i wrócić z kopertą w ręce, a czapkę, której jeszcze nie zdjął, miał mocno przekrzywioną.

– Otwórz.

Hope odłożyła łyżeczkę, którą wsypywała Charliemu cukier do kawy – trzy łyżeczki na kubek, nie do wiary, że miał jeszcze własne zęby – i nieśmiało wsunęła palec pod skrzydełko. W środku znajdowały się dwie złożone kartki, jedna ze szczegółami lotu, a druga z rezerwacją hotelu.

– Praga? – westchnęła, spoglądając to na kartkę w dłoniach, to na niego.

– Proszę, powiedz, że nigdy nie byłaś? – powiedział, składając dłonie jak do modlitwy.

Pokręciła głową. Poza Wielką Brytanią była tylko na Majorce. Jeździli tam co roku – do tej samej miejscowości, do tego samego hotelu, z tym samym niesmacznym wyżywieniem.

– Ja byłem kilka lat temu na wieczorze kawalerskim syna Alana – powiedział. – Oczywiście przez większość czasu piliśmy, ale miasto wydało mi się cudowne. Zawsze chciałem tam wrócić i zwiedzić je z kimś wyjątkowym.

– Jesteś taki słodki. – Hope się uśmiechnęła. Była zaskoczona.

Charlie zrobił krok do przodu i chwycił ją za ręce, a kartka zaszeleściła lekko pod jego palcami.

– Wiem, że te ostatnie tygodnie były dla ciebie ciężkie. – Pokręcił głową, gdy chciała zaprotestować. – To nic złego, że jest się smutnym. Rozumiem, że to wszystko było wielką rewolucją. I ta sytuacja z Annette... – Zamilkł, bo na dźwięk jej imienia Hope posmutniała. – Pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jak się wyrwiesz z Manchesteru na kilka dni. Obojgu nam dobrze zrobi.

Kiwnęła głową w milczeniu, bo nie była w stanie wyrazić uczuć, które ją zalały.

– To takie cudowne – wydusiła w końcu, pozwalając, żeby przytulił ją do piersi. – Dziękuję.

Charlie wyciągnął rękę ponad jej ramieniem, wziął kawę i wypił łyk, uśmiechając się do niej znad brzegu kubka.

– Uwielbiam widzieć, jak się uśmiechasz – powiedział. – Takie mam teraz zadanie sprawiać, żebyś się tak uśmiechała, każdego dnia.

Przez tyle lat Hope miała wrażenie, że prawie się nie uśmiechała. Wszystkie jej uśmiechy były zarezerwowane na te chwile, kiedy Annette wracała ze szkoły, a później z pracy. Przyjaciele zachęcali ją, żeby się wysiliła, żeby podchodziła do

życia pozytywnie i zaczynała każdy dzień na nowo i zapominała o smutkach, z którymi zasypiała poprzedniego wieczoru. Starła się być szczęśliwa – stawiała przed maleńkim lustrem w łazience i uśmiechała się, aż czuła ból w szczęce – ale to nic nie dawało. W końcu łatwiej jej było po prostu pogodzić się z rzeczywistością. Udawanie było wyczerpujące i Hope czuła, że nie ma siły na grę pozorów. Pogodziła się z tym, że szczęście jest czymś, czego już nigdy więcej nie zazna. Aż nagle poznała Charliego.

– Jestem szczęśliwa – odpowiedziała, zdobywając się na nutę ciepła w głosie.

Uśmiechnęli się do siebie, Charlie przełknął reszkę kawy i sięgnął po klucze.

– Jakie masz plany na resztę dnia? – spytał, zakładając kurtkę.

Hope powiedziała mu o zakupach, paznokciach i winie, a on uniósł kciuki.

– Kup sobie coś ładnego na wyjazd – powiedział. – Coś ciepłego, podobno strasznie tam zimno.

Hope poczekała, aż Charlie wyjdzie, a potem znów spojrzała na ekscytujące kartki na kuchennym blacie. Praga: miejsce, o którym nigdy wcześniej nawet nie myślała, a teraz, nagle miała je poznać z mężczyzną, którego kochała i który kochał ją.

Cześć, tu Robin, albo nie mogę teraz odebrać, albo zobaczyłem twój numer i pomyślałem, że dzwonisz w sprawie ubezpieczenia kredytu. Jeżeli to drugie, to radzę ci się oswoić z tą wiadomością, bo to jedyny kontakt, jaki będziesz ze mną mieć!

Sophie się rozłączyła i uśmiechnęła, uszy zrobiły jej się ciepłe od głosu narzeczonego w nagranej wiadomości. Cały Robin, jak zawsze żartowniś. Poczowała wielką eksplozję miłości w piersi, a w jej wnętrzu rozkosznie rozlała się czułość. Nawet po dziesięciu latach na myśl o nim ogarniała ją ekscytacja.

To bez sensu, powinna się pakować. Pociąg do Londynu odjeżdża za parę godzin, a ona nawet nie zaczęła. Jutro o tej porze będzie w Pradze. Na myśl o tym bez przerwy się uśmiechała. To było jej miejsce, jej i Robina – miejsce, w którym wszystko się zaczęło i miejsce, do którego zawsze wracali. Teraz był najlepszy moment na wyjazd, w ciągu tych kilku tygodni przed Bożym Narodzeniem, kiedy miasto dzięki śniegowi przeistaczało się w bajkowy krajobraz – kopuły dachów oprószone bielą, lśniący bruk i chrzęszczący szron. Czas, kiedy można przemykać od jednej ciepłej tawerny do drugiej, ogrzewać się gorącym miodem pitnym i pochłaniać gulasz z knedlami, talerz za talerzem. Tego właśnie potrzebowali i Sophie nie mogła się doczekać, żeby tam wrócić.

Sięgnęła do szafy, żeby wyjąć ulubioną sukienkę i dostrzegła swój stary, zniszczony plecak wciśnięty głęboko. Rozleciał się kilka dobrych lat temu – i nic dziwnego, biorąc pod uwagę liczbę kilometrów, jaką przebył – ale Sophie nigdy nie była w stanie zdobyć się na to, żeby go wyrzucić. Przód był ozdobiony małymi flagami z materiału z krajów, które odwiedzili, wszystkie naszyte własnoręcznie przez Sophie w czasie długich podróży autobusem albo pociągiem pomiędzy jednym a drugim miejscem. Były Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, Rosja, Chile, Australia, Kanada, Bali, Tajlandia i wiele innych, i ze wszystkimi wiązały się cudowne wspomnienia. Spędzili z Robinem trzy lata, objeżdżając świat dookoła, robiąc, co musieli, żeby mieć na jedzenie i żeby ich było stać na dach nad głową. Zdarzały się noce, że nie mieli nic, ale te czasem okazywały się najlepsze, bo w nieunikniony sposób prowadziły do nowej przygody.

Kiedyś musieli spędzić trzy noce, śpiąc na dachu miłego nieznajomego w Maroku, żeby o piątej rano dowiedzieć się, że to pora deszczowa. Innym razem rozbili pożyczony namiot na czymś, co uznali za kawał wyschniętego nieużytku na greckiej wyspie Kos, żeby w środku nocy przepędził ich rozjuszony hodowca oliwek, wymachując widłami. Tak, z całą pewnością przeżyli z Robinem kilka lat pełnych przygód.

Praga mogła się poszczycić tym, że stała się jedynym miejscem, do którego

niezawodnie co roku wracali, nawet długo po tym, jak odwiesili swoje znoszone plecaki i osiedli w Devon. Rodzina Robina mieszkała w Kornwalii, ale po paru miesiącach jeżdżenia przez wybrzeże, żeby się zobaczyć, Robin podjął odważną decyzję i wprowadził się do Sophie na obszerną farmę jej rodziców krótko po tym, jak dostał wymarzoną pracę instruktora w miejscowej szkole surfingowej. Sophie wiedziała, że to trochę żałosne mieszkać ciągle z mamą i tatą, mając dwadzieścia osiem lat, ale dom był tak wielki, że nigdy nie wydawał się przepelniony. Gdy mieli z Robinem ochotę na wieczór tylko we dwoje, po prostu zostawali w swoim skrzydle. A poza tym jej rodzice kochali Robina jak zięcia od chwili, gdy go poznali, więc nikt nie miał wrażenia, że ktoś mu nadeptuje na odcisk.

Sophie powoli przesunęła zamek po krawędzi walizki, słuchając z zadowoleniem, jak metal się dokładnie schodzi. Ten wyjątkowy odgłos zapinanego suwaka zawsze zapowiadał podróż, która oznaczała przygodę, co dla Sophie znaczyło również szczęście. Podróżowała strasznie dużo, ale nigdy nie miała dość tego doświadczenia. Uwielbiała w nim wszystko, nawet potworne kolejki na lotniskach i czekanie na odbiór bagażu.

Musi być strasznie podróżować służbowo, pomyślała. Znudzić się tym procesem, a może nawet mieć go dość. Wsiadać do samolotu i nie czuć tego mrowienia podniecenia w opuszkach palców, kiedy zapina się pas w samolocie. Stać w tak niesamowitym mieście jak Nowy Jork, Szanghaj czy Moskwa i myśleć tylko o spotkaniu, na które trzeba pójść w celach sprzedażowych, które trzeba osiągnąć. Deprymujące.

Nie, praca w sklepie na farmie u rodziców może i nie jest najbardziej atrakcyjną pracą, ale przynajmniej nadal mogła czekać w blokach startowych przygody, gotowa ruszyć w każdej chwili.

Robin był specjalistą od spania w samolocie, a zdolność tę wykształcił w ciągu wielu lat spędzonych w drodze. W czasie tych pierwszych cudownych miesięcy, gdy się poznali i zaczęli razem podróżować, Sophie polubiła przyglądanie mu się, gdy śpi. Uwielbiała, jak jego pełne wargi opadają z jednej strony twarzy i jak jego długie jasne rzęsy niemal dotykają kości policzkowych. Czasami lekko się krzywił, lekko sapnął, a ona wpatrywała się w niego z zachwytem, zastanawiając się, co mu się śni i czy w tym śnie pojawia się ona. Chciała znać każdą jego myśl nie tylko na jawie, ale także te ze snów. Nie była zaborcza ani nie miała obsesji, po prostu kochała go tak bardzo, że jego świadoma wersja nie była w stanie zaspokoić jej apetytu – nigdy nie przestała pragnąć go więcej i to się nie zmieniło.

Sophie wzięła telefon i otworzyła aplikację pogodową. Tak jak liczyła, w Pradze w najbliższym tygodniu miało być dość zimno i prognozowano opady śniegu za kilka dni. Dość frustrujące było to, że Robin nie może pojechać z nią, ale miał do niej dołączyć za kilka dni, a wtedy z pompą będą świętować rocznicę.

Już właściwie powinna wychodzić na dworzec. Przejrzała się w lustrze, idąc po płaszcz. Włosy miała tak krótkie, że z daleka wyglądała jak chłopak – jak młody książe Harry, zdaniem jej mamy. Przy tej najeżonej rudej fryzurze jej niewiarygodnie wielkie i szeroko rozstawione oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle. Tę cechę Robin lubił w niej najbardziej i z rozkoszą jej powtarzał, że jest bardzo podobna do owada. Wymyślił przezwisko „Pchła” kilka dni po tym, jak się poznali i od tamtej pory irytująco się go trzymał. Tak naprawdę jej to nie przeszkadzało, ale czekała, aż znów będzie mogła zasłonić oczy grzywką. Wtedy ścięcie włosów wydawało jej się świetnym pomysłem.

Krzywiąc się lekko i odwracając od lustra, wyciągnęła rękę i chwyciła sflaczałą czapkę z pomponem, którą zrobiła na drutach dla Robina wiele lat temu i naciągnęła ją na krótkie włosy z tyłu i z boków. Była tak wielka na jej małej głowie, że przypominała bardziej osłonę na czajnik niż zimową część garderoby, ale Sophie wcale się tym nie przejmowała. Przecież to ona jedzie dziś do zimnego kraju, więc czapka jest potrzebna bardziej jej niż Robinowi. I tak nie miałby nic przeciwko temu – zawsze powtarzał, że to, co jego, jest także jej.

Podróż do Londynu przebiegła bezproblemowo, i choć dziwnie się czuła bez narzeczonego u boku po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, czuła dumę, że udało jej się jechać metrem i nie stracić nerwów. Nie chodziło o to, że system metra jest skomplikowany – właściwie jest wręcz odwrotnie – raczej o to, że ludzie ją tręcili, jakby to miejsce należało do nich. Londyn zawsze budził w niej odrazę – na miasta szkoda jej było czasu i cieszyła się, że Robin uważa tak samo. Podobnie jak ona uwielbiał świeże powietrze i, ponieważ był surferem – morze. Odbierając Robinowi ocean, pozbawiłoby się go sensu życia. No, ocean i Sophie, oczywiście.

Kiedy dotarła do taniego hotelu przy lotnisku Heathrow i siedziała na wąskim twardym łóżku, patrząc na skropiony światłem horyzont, zadzwoniła do Robina i znów się roześmiała, słysząc wiadomość głosową.

Lot miała z samego rana, ale tego wieczoru sen był nieuchwytnym małym diabłem. Kiedy leżała w zniszczonej praniem pościeli, z cienką poduszką szeleszczącą niewygodnie pod głową, pozwoliła popłynąć myślom – jak zawsze ostatnio, gdy nie mogła zasnąć – do ślubu.

Będą mieli wesele na farmie, tego była pewna. Bez sensu płacić horrendalną sumę za wynajęcie sali, skoro mają tyle miejsca za darmo. Tata skrzyknie swoją ekipę od gry w rzutki z pubu, żeby pomogli postawić namiot, a ona z mamą poproszą o pomoc przyjaciół i rodzinę, żeby ozdobili wnętrze lampionami, kwiatami i girlandami. Mogą porozwieszać też zdjęcia jej i Robina, a ludzie wpiszą się do księgi gości. Będzie uroczo, ładnie i serdecznie.

Wieczorem zapalą świece dookoła parkietu do tańca i zatańczą z Robinem pierwszego walca jako mąż i żona. Ludzie będą płakać, a tata będzie pękał z dumy. Potem mama zatańczy z tatą Robina, wszyscy będą żartować i się śmiać, aż słońce

wzejdzie nad wzgórzami w oddali.

W którejś chwili wymkną się z Robinem na plażę, on ją podniesie w sukni i będzie z nią wirował, całował ją bez przerwy i zwracał się do niej nowym nazwiskiem: pani Palmer. Później usiądą na mokrym piasku, nie przejmując się suknią ani garniturem i patykiem wypiszą swoje imiona. Sophie dorysuje serca, a Robin będzie żartował, że jest niepoprawną romantyczką, a potem znów się będą całować, bez przerwy, aż braknie im tchu z miłości.

Kiedy w końcu zapadła w sen, z uśmiechem zadowolenia na wargach, jej komórka zaświeciła się na szafce przy łóżku. Na wyświetlaczu pojawiła się twarz okolona blond włosami, a aparat delikatnie wibrował na blacie, ale ona nie drgnęła, pogrążona we śnie o przyszłości. W końcu gdy zaczęło padać i krople dudniły w szybę, światło telefonu zgasło.

No, łóżko jest duże.

Megan spojrzała na Ollego z ukosa.

– Sherlock Holmes przy tobie to amator – zażartowała.

Ale miał rację, łóżko było bardzo duże. Mało tego, miało baldachim z ekstrawaganckimi zasłonami w czerwono-złote pasy i narzutę do kompletu – słowo „luksusowy” nie opisywało go nawet w części. Megan zaklęła na siebie, że pozwoliła Ollemu wybrać hotel i za to, że nie sprawdziła, co to za miejsce, kiedy przesłał jej link. Spali razem u niej na sofie i na różnych imprezach w ciągu sześciu miesięcy, odkąd go poznała, ale dzielenie łóżka w hotelowym pokoju było czymś zupełnie innym. W jakimś sensie o wiele bardziej intymnym.

Na końcu łóżka, dokładnie przed skrępowanymi Megan i Olliem stojącymi obok siebie, stała ławka obita kremowozłotą satyną. Pasowała do dwóch krzeseł wsuniętych pod mały drewniany stolik w rogu przy okrągłym oknie, ozdobionym czerwono-złotymi zasłonami. Znajdowali się na najwyższym piętrze hotelu i sufit wznosił się wysoko nad nimi do podstrzesza starego budynku, odsłaniającego belki krzyżujące się przy pomalowanych na biało ścianach. To było niesamowite, choć nieco dziwaczne, i Megan poczuła, że palce ją świerzbią, żeby wziąć aparat.

Ollie odważył się zajrzeć do łazienki, a ona usłyszała, jak parska śmiechem.

– Jest wanna dla dwojga! – krzyknął. – I złote kurki.

Megan przewróciła oczami. Przynajmniej dostrzegął zabawne strony tej sytuacji. Podróż na lotnisko wczesnym rankiem przebiegła bez problemów, jedyna dziwna sytuacja zdarzyła się, zanim wyszli z mieszkania, kiedy wpadła na niego na korytarzu, gdy był w samych bokserkach, a na twarzy miał zaspany uśmiech. Nie wyglądał na skrępowanego tym, że jest prawie nagi, ale sam jego widok kazał Megan ukryć się z powrotem w sypialni jak wystraszonej stonodze.

Kiedy już przeszli przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku, Ollie uparł się, żeby wypili po piwie na śniadanie. Najwyraźniej to, że jest siódma rano, wcale mu nie przeszkadzało – oficjalnie przestawili się na „czas wakacyjny”, jak jej powiedział, a to oznaczało, że tradycyjne zasady nie obowiązują.

– Oj, Spencer! – warknął, odciągając jej uwagę od zalaminowanego menu, które studiowała. Wyjął z torby talię kart i zaczął je tasować na stole. – Do odlotu mamy jeszcze z godzinę, do tego czasu chcę cię ograć w remika co najmniej dwanaście razy.

I zrobił to. Ollie był dobry w karty, jak w większości rzeczy, zwłaszcza w rozładowywaniu niezręcznej atmosfery, która stanęła dęba jak oporny koń, gdy tylko znaleźli się przed tym niedorzecznym łóżkiem. Teraz zadowolony przygotowywał sobie kąpiel, krzycząc do niej, żeby przejrzała zawartość minibaru.

To tylko łożko, powiedziała sobie ostro, wyciągając miniaturową butelkę wódki i rozlewając ją do dwóch plastikowych kubków. To zupełnie tak samo, jak byś tu była z przyjaciółką, dodała z przekonaniem, dolewając soku pomarańczowego.

Ollie podszedł do drzwi łazienki po drinka, znów w samych bokserkach, i uśmiechnął się do niej promiennie.

– Zejdę do baru – pisnęła, wypijając wódkę z sokiem pomarańczowym jednym haustem i przeszła przez pokój po torebkę.

Ollie parsknął śmiechem.

– Zaraz do ciebie zejdę, nigdy nie mogę się oprzeć kąpieli w hotelu. Schodzę za chwilę i pójdziemy zwiedzać, co?

– Dobra!

Zatrzasnęła za sobą drzwi i stała oparta o nie przez kilka sekund. To będzie jeszcze dziwniejsze, niż się obawiała. Co Ollie sobie wyobraża, paradując tak w samych gaciach? Ona nie jest jednym z jego kumpli, na miłość boską!

Dopiero gdy winda zjeżdżała na dół, Megan uświadomiła sobie z głośnym jękiem, że aparat zostawiła w pokoju. Nie mogła po niego wrócić, bo jej potencjalnie nagi w tej chwili przyjaciel paraduje po pokoju jak podchmielony paw. Planowała po cichu wymknąć się i rozejrzeć po najbliższej okolicy, kiedy on będzie w wannie, ale nie miało to sensu, skoro nie mogła robić zdjęć. Fragmenty Pragi, które zobaczyła, gdy jechali taksówką z lotniska, podsyciły jej apetyt do poziomu niemal nie do zniesienia. Lepiej, żeby Ollie się pospieszył z kąpielą.

Weszła do hotelowego baru kilka minut później i od razu zauważyła parę tulącą się do siebie przy stoliku w rogu.

No, im naprawdę przydałby się pokój.

Zamówiła sobie kawę – zdecydowanie bardzo potrzebną po porannym piwie i wódcę, którą właśnie wypila – skierowała się do przeciwległego kąta sali i wybrała miejsce przy oknie. Wystrój baru nie był tak pompatyczny jak pokoju na górze, ale i tak pełno było dodatków z lśniącego złota, olbrzymi żyrandol i mnóstwo poduch, każda ze złotym frędzlem przymocowanym do zamka. Brzęk w kieszeni powiadomił ją o dostępie do bezpłatnego wifi, ale nie miała zamiaru marnować czasu na Internet – zwłaszcza kiedy miała taki widok za oknem.

Hotelowy dziedziniec za oknem pokryty był grubą warstwą szronu, ale to tylko sprawiało, że wydawał się jeszcze bardziej magiczny. Ziemia lśniła jak oprószona brokatem i Megan była w stanie dojrzeć równe klomby więdnących zimowych kwiatów wzdłuż ścieżek. Wszystko było wybrukowane czerwonym i szarym kamieniem, a na środku ogrodu stylowa fontanna wypluwała wątłe strumienie wody.

Gdyby miała aparat, udałoby jej się uchwycić delikatne światło słoneczne sączące się pomiędzy okolicznych drzew, to, jak woda ciekąca z fontanny

wytoczyła poszarpaną ścieżkę przez szron i hipnotyzujący blask słynnych czerwonych praskich dachów wyglądających zza muru z ulicy. Już było tak pięknie, a nie wyszli jeszcze z hotelu.

– Przepraszam, jest pani sama?

Megan gwałtownie podniosła głowę i zobaczyła stojącą przed nią kobietę z drugiego stolika. Jej szminka była lekko rozmazana w miejscu, gdzie całowała swojego łysego towarzysza, ale oczy lśniły dobrocią.

– Nie. Ja, eee... – Megan zawahała się na sekundę, nagle niepewna, jak właściwie opisać Ollego. – Jestem z przyjacielem. Kąpie się, dziwak.

Kobieta zachichotała.

– Charlie to mój chłopak, poszedł wziąć prysznic. Faceci. Chcę wyjść i się rozejrzeć, a pani?

– Tak! O mój Boże, jak najbardziej. Widziała pani ten widok? Niesamowity!

– Megan przesunęła krzesło, żeby kobieta mogła się wsunąć i stanąć obok niej. Dopiero po minucie odezwała się znowu:

– Zupełnie jak baśniowa jaskinia – powiedziała starsza kobieta, a jej ciepły oddech pozostawił wilgotne kółka na zimnej szybie.

Z bliska była dość elegancka, zauważyła Megan, przyglądając się starannie ułożonym popielatym blond lokom, czarnej sukience, w której doskonale wyglądała, i idealnym paznokciom. Domyślała się, że jest pewnie mniej więcej w wieku jej mamy, ale z daleka wyglądała o wiele młodziej. Zdradzały ją jedynie drobne zmarszczki wokół oczu i warg, które starała się ukryć za pomocą podkładu.

– Była już pani w Pradze? – spytała kobieta, odwracając się do Megan.

– Nie. – Megan kiwnęła, żeby usiadła. – Mój przyjaciel jest nauczycielem i w przyszłym roku będzie realizował z uczniami projekt związany z Pragą, więc chciał ją zobaczyć. Zabrałam się z nim, żeby robić zdjęcia. A pani?

– Nie byłam tu nigdy i to nie mój wybór. Charlie zorganizował wszystko jako niespodziankę. Znalazł dobrą ofertę w Internecie, ale nawet nie będę pani mówić, o której musieliśmy wyjechać rano z Manchesteru.

– To są właśnie faceci – powiedziała Megan. – Świetni w romantycznych gestach, ale już nie tak bardzo w kwestii ważnych szczegółów. Od dawna ze sobą jesteście?

Było to dość niewinne pytanie, ale kobieta przez chwilę wydawała się spięta, zanim odpowiedziała.

– Niedługo. – Spojrzała na Megan z ukosa. – Chyba jesteśmy na etapie miodowego miesiąca.

– Zauważyłam! – odpowiedziała Megan z uśmiechem. – Widziałam was tam w kącie.

– O Boże! – Kobieta się zarumieniła, ale też się śmiała. – Jestem Hope – dodała, wyciągając do Megan dłoń z idealnym manikiurem.

– Megan.

Rozmawiały chwilę o hotelu – Hope też uznała umeblowanie swojego pokoju za zabawnie pompatyczne – i o fotografowaniu Megan. Hope wyznała, że chwilowo jest bez pracy, ale że po powrocie do Manchesteru chce znaleźć coś na część etatu.

– Strasznie mi się nudzi chodzenie w kółko po mieszkaniu Charliego – wyjaśniła. Megan zastanawiała się, dlaczego z nim mieszka, skoro są ze sobą krótko, ale miała dość rozsądku, żeby nie pytać. Ollie zupełnie się nie spieszył i kiedy zastanawiała się, czy powinna wejść na górę i sprawdzić, czy się nie utopił, Hope zaproponowała kolejnego drinka.

– Możemy, jesteśmy na wakacjach – zapewniła, wracając z baru, a Megan kiwnęła głową. Nie należała do ludzi, którzy zaprzyjaźniają się z zupełnie obcymi w hotelowym barze, ale Hope miała w sobie coś nieodparcie zabawnego, zabawnego a jednak matczynego. Biło od niej prawdziwe ciepło, które przypominało Megan jej mamę – w o wiele bardziej eleganckiej wersji. Matka Megan była typową artystką – używała pędzla, żeby spiąć strzechę sztywnych włosów w kok i na ogół ubierała się jak wiktoriańska sierota – ale miała też w sobie tę nieokreśloną bliżej matczyność. Powinna bardziej dbać o to, żeby odwiedzać mamę, i tatę też, pomyślała. Są naprawdę całkiem fajni, chociaż cały czas próbują ją namówić, żeby wyszła za Ollego.

– Jest dla ciebie idealny. Taki miły chłopak, i taki wysoki – powiedziała mama, w desperacji wkładając we włosy dłoń, która szybko w nich utknęła. – Nie chcesz skończyć z gderliwym hobbitem jak ja.

– Słyszałem – wtrącił tata, zerkając znad niedzielnej gazety z grymasem na twarzy. Ale nie mógł się z tym kłócić, bo miał tylko metr sześćdziesiąt pięć w skarpetkach. Megan, która odziedziczyła zarówno jego wzrost, jak i zdolność do grymasów jak zawodowiec, pokazała tacie uniesione kciuki, gdy tylko mama się odwróciła do swojego najnowszego nabazgranego pejzażu.

Hope opowiadała teraz o swojej córce. Chyba dopiero co wyprowadziła się z domu i zamieszkała z chłopakiem – a miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Megan nigdy nie mieszkała z chłopakiem, ani nie miała takich planów w najbliższym czasie, ku rozpaczy jej przyjaciół i rodziny. Miała dopiero trzydzieści lat, a na to wszystko jeszcze dużo czasu.

Ciągle gawędziły, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła dziewczyna. Megan i Hope podniosły wzrok, spodziewając się widoku swoich towarzyszy, i obie obserwowały, jak drobna postać idzie w milczeniu do baru i zamawia herbatę. Barman był bardzo przyjacielski, zaczął z nią rozmawiać, zadawał zwykłe pytania – na jak długo przyjechała i czy już była w Pradze. Megan wytrzymała słuch, żeby usłyszeć odpowiedzi, ale głos dziewczyny był najwyraźniej tak wąty jak ona sama, bo właściwie nie słyszała ani słowa.

Kiedy dziewczyna dostała herbatę, uśmiechnęła się przelotnie do Hope i Megan, a potem usiadła przy jednym z wolnych stolików i wyjęła telefon.

– Powinnyśmy ją do nas zaprosić? Jak myślisz? – odezwała się Hope. Drugi kieliszek wina dodał jej rumieńców i atrakcyjnego blasku.

– Nie jestem pewna – wymruczała Megan. – Wygląda, jakby czekała na telefon.

Rzeczywiście tak było – dziewczyna położyła komórkę na stole i wpatrywała się w nią ze skupieniem.

– Odważna fryzura – powiedziała szeptem Hope. – Tyle dziewczyn nosi teraz krótkie włosy. Ja miałam do samego pasa, jak byłam w jej wieku.

– Ma bardzo krótkie – odpowiedziała szeptem Megan, z lekkim poczuciem winy, że plotkuje. – Ja nie mogłabym mieć aż takich krótkich, ale ona jest tak ładna, że jej to niczego nie ujmuje.

Kiedy obserwowały, jak dziewczyna wpatruje się w telefon, komórka Megan zabrzęczała na stole, sygnalizując wiadomość. Od Ollego:

„Chciałem ci znieść aparat, ale ma milion części. Wejdź mi pomóc! :-*”

Parsknęła śmiechem.

– Muszę iść – powiedziała Hope, dopijając resztę drinka i podnosząc torbę.

Pognała na czwarte piętro, przeskakując po dwa obite ekstrawagancką wykładziną stopnie naraz, ciesząc się wrażeniem ekscytacji, która bulgotała w dole jej brzucha jak zupa na palniku. Dziwnie, nie dziwnie – była w jednym z najpiękniejszych miast świata z aparatem i z człowiekiem, którego lubiła najbardziej. Czasami życie jest całkiem fajne.

Sophie stuknęła palcem w telefon i wsunęła go do kieszeni płaszcza. Szron na bruku chrząścił jej pod butami, ale to nie wystarczyło, żeby odwrócić uwagę od łez, które groziły, że za chwilę popłyną. Przystanąła, wzięła głęboki oddech i ruszyła dalej ze spuszczonego wzrokiem.

To nie wina Robina, że nie może tu być. Wiedziała o tym. Ale ta świadomość wcale jej nie pocieszała. Myślała, że sobie poradzi, będąc tu bez niego. Myślała, że zna to miejsce na tyle dobrze, że budynki dookoła, takie znajome i wspiane, z różnokolorowymi fasadami zerkającymi na nią z góry jak gromada serdecznych ciotek, przyniosą jej pociechę.

To tylko kilka dni, powiedziała sobie. Przyjedzie, zanim się obejrzy.

Spojrzała w górę i dostrzegła ciężkie chmury zbierające się na wschodzie i zacisnęła kciuki, modląc się w duchu o śnieg. Praga była piękna o każdej porze roku – to wiedziała, bo odwiedzili ją z Robinem w każdym sezonie – ale nic nie dodawało miastu większej magii niż gruba warstwa białego puchu. Sam śnieg jest dość magiczny, jak się nad tym zastanowić, każdy płatek jest wyjątkowy i misterny. Jeżeli istnieją aniołowie, to Sophie lubiła sobie wyobrazać, że to oni siadają razem w niebie i tworzą te piękne zamrożone cuda, żeby obsypać nimi ziemię. Gdy była mała, próbowała złapać płatki na wyciągniętą dłoń i zapamiętać wzór, zanim się roztopią.

Ciepłą bańkę wspomnień Sophie nagle przebił pisk wesołego śmiechu. Przyglądając się tłumowi zmierzającemu na doroczny jarmark bożonarodzeniowy, dostrzegła kobietę, która rano była w hotelowym barze, tę, która uśmiechała się do niej tak serdecznie. Była z wysokim mężczyzną w czerwonej wełnianej czapce i śmiała się z czegoś, co szeptał jej do ucha. Jak wielu innych, pewnie zwabił ich hipnotyzujący zapach cynamonu, brandy i owoców dolatujący z prowizorycznego baru, a z kubków z grzaniem winem w ich schowanych w rękawiczkach dłoniach w mroźnym powietrzu unosiły się chmurki pary.

Przez chwilę zastanawiała się, czy do nich podejść. Wyglądali na tak uroczo szczęśliwych, że nie mogła się oprzeć, tak pragnęła odrobiny tego samego. Jednak kiedy zrobiła niepewny krok w ich stronę, mężczyzna się pochylił i pocałował kobietę w same usta i Sophie poczuła, że przeszkadza im samą swoją obecnością i się odsunęła.

Pora obiadowa już minęła, ale ona nie czuła się głodna. Nie były w stanie jej skusić nawet stragany z olbrzymimi naczyniami ze skwierczącymi ziemniakami, kapustą kiszoną, serem i pieczoną wieprzowiną ani wielkie klobasy. Jednym z jej ulubionych zdjęć Robina było to, na którym trzyma przy ustach ten olbrzymi przysmak, z dwoma końcami podwiniętymi do góry jak wielki, mięsny uśmiech, a

krople ostrego sosu kapią mu na szalik. Czasami był takim głupkiem, ale był jej głupkiem.

Skądś słyhać było muzykę i Sophie zatrzymała się na kilka sekund, próbując zlokalizować źródło. Praga zawsze była pełna muzyki, dobiegającej z któregoś z wielu barów albo w wykonaniu miejscowej kapeli ustawionej na bruku, z czapką rzuconą na ziemi, żeby zachęcić hojnych przechodniów do rzucenia datku. Zastanawiała się, czy ci muzycy wiedzą, jak wpisani są w piękno tego miasta i jak przez to, że pojawiają się codziennie i odmieniają jeden mały zakątek Pragi, zapisują się w pamięci wielu osób.

Otulona ciepłym uściskiem otoczenia, bez wcześniejszej melancholii, skierowała się do miejsca swojego przeznaczenia z nową energią. Wiedziała, że Praga jej nie zawiedzie. Była głupia, że w ogóle pozwoliła ciemnym cieniem wątpliwości pochylić okropne zgarbione ramiona nad swoim umysłem. Wszystko będzie świetnie, czuła to – i była tu znowu, w tym samym miejscu, w którym z Robinem spojrzeli na siebie po raz pierwszy: na moście Karola. Wtedy sypał śnieg i Sophie stała plecami do pielgrzymki pieszych, patrzyła na Wełtawę w kierunku Małej Strany, południowo-wschodniej części miasta. Powierzchnia wody miała kolor granitu, a światła na brzegu w dali były mgliste wśród padających płatków śniegu. Sophie była oczarowana i dopiero po kilku dobrych minutach zorientowała się, że ktoś stanął obok niej.

– Uwielbiam patrzeć na śnieg, a ty?

Odwróciła się do pary niebieskich oczu, nieco dużego nosa zaczerwienionego od zimna, szerokich uśmiechniętych warg i rozwichrzonych blond włosów wystających spod czapki, które okalały twarz.

– A kto nie lubi? – odpowiedziała, uświadamiając sobie, że uśmiech chłopaka jest wyjątkowo zaraźliwy.

– Moi rodzice go nienawidzą – powiedział, patrząc na wodę. – Mama przeprowadziłaby się do Australii, gdyby mogła, jest całkowicie uzależniona od słońca.

Był Anglikiem, to nie ulegało wątpliwości i Sophie poczuła, że coś zaczyna trzepotać jej głęboko w piersiach. Podobał jej się ten chłopak.

– Australia też jest na mojej liście – powiedziała, ośmielając się spojrzeć na niego ponownie. – Najpierw zaliczam Europę, a potem, mam nadzieję, resztę świata.

– Moja bratnia dusza. – Uśmiechnął się promiennie, a jej wnętrzości podskoczyły jak karuzela.

– Ty też podróżujesz? – spytała odważnie i zrobiła się jaskrawoczerwona, kiedy spojrział na nią i kiwnął głową.

– Tak. Sam. A ty?

Czy naprawdę powinna mówić mężczyźnie, którego dopiero co poznała, że

podróżuje sama?

– Też.

Zapadła krótka cisza, kiedy oboje przypatrywali się sobie, a każde z nich zastanawiało się, czy to, co czują, jest prawdziwe. Robin później powiedział jej, że wiedział już wtedy, w tej samej chwili, że będzie przy nim do końca życia. Nie potrafił wytłumaczyć, skąd wiedział – po prostu wiedział. Sophie, natomiast, po prostu myślała, że chce pocałować tego chłopaka, najbardziej ze wszystkiego, czego w życiu pragnęła. Czy to jedno i to samo, nie wiedziała, ale od pierwszej chwili było wiadomo, że jest między nimi chemia. Było to tak jasne jak postacie na moście Karola na tle białego nieba, i oboje o tym wiedzieli.

– Jestem Robin – powiedział później, podając jej rękę w rękawiczce w paski pasującej do czapki.

– Sophie. – Chwyła ją, ścisnęła i poczuła ciepło jego skóry przez warstwy wełny.

Stali tak w śniegu i gawędzili, jak się Sophie wydawało, całą wieczność, o tym, gdzie już byli i dokąd się wybierają. Była zachwycona, gdy się dowiedziała, że jego zaplanowana trasa po Europie jest prawie identyczna z jej, i tym, że przyciągały ich te same miasta po drodze.

– Chcę zobaczyć Wenecję, ale Florencja mnie tak bardzo nie ciągnie – powiedział. – Wolę bardziej magiczne miejsca i moim zdaniem takich w Wenecji jest pod dostatkiem.

Miał rację, oczywiście, o czym oboje mieli się przekonać kilka tygodni później.

– Chyba każde miasto ma swoje magiczne zakątki – powiedziała. – Tylko trzeba chcieć ich poszukać.

– Pewnie masz rację. – Wzruszył ramionami, nie odrywając od niej wzroku. – Dobrze, że trafiłem na ciebie na początku mojej podróży. Teraz możesz mnie oświecać na każdym kroku.

Był impertynencki, bezczelny i zarozumiały, i wiedział o tym, ale Sophie czuła, że pęcznieje ze szczęścia i podniecenia. Ten chłopak naprawdę chciał z nią spędzać czas, a do niej dotarło, że nie ma go dość. Już żałowała, że nie może jakoś cofnąć czasu i że nie poznała go kilka lat wcześniej. Znali się od pół godziny, ale ona miała wrażenie, że została okradziona z wcześniejszego czasu, który mogli spędzić razem. Gdyby w tej chwili mogła wcisnąć guzik, który cofnąłby ich razem do dzieciństwa, zrobiłaby to bez wahania. Wiedziała też doskonale, że te myśli są zupełnie niedorzeczne, ale była oszołomiona jego obietnicą. Ich razem.

– Pójdziemy się czegoś napić? – spytał w końcu.

Na moście zrobiło się prawie pusto, bo śnieg nie przestawał padać i teraz ledwie było widać rzekę w dole, nie mówiąc o otaczającym krajobrazie.

Sophie się roześmiała, kiedy sobie uświadomiła, jak muszą wyglądać, stojąc

tak na moście, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie, ze śniegiem piętrzącym się na czubkach czapek i na ramionach. Od dobrych dwudziestu minut nie czuła żadnego z palców u rąk ani u nóg, ale nigdy w życiu nie czuła się tak pobudzona, tak świadoma swojego ciała i własnych ruchów. Miała wrażenie, że Robin przełączył w niej jakiś przycisk, który nigdy wcześniej nie był wciśnięty, i teraz ożyła, naprawdę ożyła, po raz pierwszy.

Powoli człapali po śniegu, świadomi, że śliski, niepewny grunt przy każdym kroku może okazać się zdradziecki, a Robin powiedział jej o swojej miłości do surfingu.

– Powinam była się domyślić, że jesteś surferem, po twoich włosach – powiedziała, kiedy dotarli do przytulnego irlandzkiego pubu i Robin zdjął przemoczoną od śniegu czapkę.

– W takim razie ty jesteś skrzatem, zgadza się? – zażartował. – Małym i rudym!

– Ej! – Wymierzyła żartobliwie cios w jego stronę. Miała tyle szczęścia, że chodziła do szkoły, w której rude włosy nie oznaczały automatycznie niekończącego się dokuczania od piątego do piętnastego roku życia, ale mimo wszystko lekko wstydziła się swoich ognistych włosów. Nie można było się ukryć, będąc rudzielcem, nie dało się zniknąć w tłumie, co bez trudu mogły zrobić brunetki i Sophie z niechęcią przywykła do tego, że ludzie wszędzie na nią patrzą.

– Wolę być małym wesołym irlandzkim skrzatem niż kimś, kto mógł być w obsadzie *Zatoki serc* w dziewięćdziesiątym drugim roku.

Roześmiał się i był to cudowny śmiech prosto z serca.

– Punkt dla ciebie, mała miss Sophie. – Trącił ją lekko ręką. – Dam ci wygrać tę rundę, ale uprzedzam, że na następną będę przygotowany. Będę teraz wymyślał mnóstwo błyskotliwych ripost i trzymał je w mózgu na wszelki wypadek.

– Połamania! – rzuciła buńczucznie, spoglądając na niego z rozbawieniem.

Zjawiły się ich kufle z piwem, z czapą piany wielkości małego państwa, i stuknęli się nimi na cześć tego, że się poznali.

– Czuję się, jakbym znał cię od lat – powiedział jej Robin godzinę później. Siedzieli obok siebie w barze, a jego udo przylegało ciepło do jej uda. – To brzmi nedorzecznie, co? No tak. Ale nie jestem jakimś szurniętym dręczycielem, przyrzekam.

– Oj, zamknij się. – Zachichotała. – Wcale nie gadasz bzdur. Prawdę mówiąc, właśnie pomyślałam to samo. Czy przez to jestem jakąś walniętą wariatką?

– Tak – zażartował, odsuwając się, żeby uchylić się przed ciosem.

Sophie spojrzała na niego z udawaną złością i chwyciła swoje piwo. To było jej trzecie i z każdym łykiem stawała się coraz odważniejsza. Chciała tylko

przesunąć się ze swojego stołka jemu na kolana, objąć go nogami w pasie i kazać mu, żeby natychmiast ją pocałował. Ale, oczywiście, nie zrobiła tego.

Czytała kiedyś w książce, że ktoś kogoś rozbierał wzrokiem, ale sama nigdy tego nie doświadczyła. Robin patrzył na nią z pragnieniem niemal pierwotnym, ale nie czuła się onieśmielona, a zadowolona, jakby ta właśnie chwila była głównym powodem jej narodzin. Próbowwała to później opisać, po paru miesiącach, kiedy leżeli ze splecionymi mokrymi nogami na pojedynczym materacu na górze piętrowego łóżka w hostelu w Atenach. Słuchał uważnie i kiwał głową, wiedział, że rozumie, co ma na myśli: zawsze czuł się przy niej dobrze. Czuł się jak w domu.

Robin był dżentelmenem tego pierwszego wieczoru i odprowadził ją do hostelu, zanim wrócił do swojego. Sophie nie mogła się powstrzymać, chwyciła go za rękę, kiedy się odwracał, nagle wystraszona myślą, że nigdy więcej go nie zobaczy. Bała się, że się obudzi i zorientuje, że tylko jej się przyśnił.

Robin spojrzął na swoją dłoń ściśniętą w jej dłoniach i się uśmiechnął. Śnieg w końcu przestał padać, ale w powietrzu wokół nich zawisł mroźny bezruch, który w zwykłych okolicznościach przyprawiłby ich o drżenie od stóp do głów. Sophie zorientowała się, że drży, ale nie miało to nic wspólnego z temperaturą.

– Zjedz ze mną jutro śniadanie – powiedział w końcu, unosząc jej dłoń do swoich warg, powoli zsuwając palcami jej rękawiczkę.

– Jasne – wymruczała, przyglądając się odsłaniającej się nagiej skórze i czuła, że oczy robią jej się coraz większe, a nogi drżą, kiedy uniósł końce jej palców do swoich ust. Przez sekundę chuchał na nie, żeby je ogrzać, żeby czuła każde najmniejsze doznanie, a potem, tak lekko, że później zastanawiała się, czy w ogóle to zrobił, pocałował je.

– Znam miejsce, w którym podają niezmierną szarlotkę – powiedział, opuszczając jej bezwładną dłoń i cofnął się o krok. – Spotkamy się tam o dziewiątej?

– Będę – wydusiła, obserwując, jak uśmiecha się do niej ostatni raz i odwraca, żeby odejść. To była ostatnia noc, którą spędzili osobno. Sophie spojrzała w dół i zorientowała się, że jej palce ściskają krawędź mostu, a paznokcie są białe na zimnym kamieniu. Wracali tam od tamtej pory tyle razy, ona i Robin. Za pierwszym on nawet uklęknął i pocałował ziemię, dziękując jej, że jest miejscem, gdzie ją znalazł, w którym się poznali. Sophie przypominała to sobie teraz i się roześmiała. Potrafił być czasem taki przebojowy, ale jego energia była jedną z wielu rzeczy, które tak bardzo w nim kochała.

Zegary w mieście kolejno wybijały godzinę, ale po raz pierwszy ich dźwięk nie był dla niej kojący. Pokręciła głową, starając się wrócić do rzeczywistości, a jej wzrok powędrował w górę, w stronę pełnego zabudowań horyzontu i Zamku na Hradczanach. Zawsze mogła liczyć na to, że tutejsza architektura robi na niej wrażenie. Postanowiła kupić sobie grzane wino i przejść się uliczkami Małej

Strany.

Zadowolona ze swojego planu i podniesiona na duchu tyłoma miłymi wspomnieniami, ruszyła wybrukowanym mostem i zniknęła w tłumie.

To największa kielbasa, jaką widziałam!

– Ekstra. Naprawdę wiesz, jak speszyć faceta.

Hope się roześmiała i szturchnęła Charliego w zebra. Miała nadzieję, że mężczyzna sprzedający kielbasy nie mówi po angielsku, ale zauważyła błysk w jego oku i obawiała się, że, niestety, jest inaczej.

– Wiesz, że nie chodziło mi... o to – zbeształa go, uśmiechając się promiennie, kiedy objął ją w pasie. Od przyjazdu właściwie jej nie puszczał i musiała użyć całych swoich sił, żeby go namówić, żeby wyszli z hotelowego pokoju.

– Może zostalibyśmy tu przez cały dzień? – zaproponował, siadając na łóżku w samym ręczniku i kiwając palcem, żeby do niego podeszła. Hope cały czas była pod wrażeniem jego energii – miał czterdzieści osiem lat, a ona pięćdziesiąt, nie ma co ukrywać – ale była też mile zaskoczona tym, że jej własny apetyt seksualny obudził się na nowo. Myślała, że te czasy ma dawno za sobą, ale się myliła.

– Moglibyśmy – powiedziała, opierając się pokusie, żeby wtulić się w jego objęcia. – Ale jesteśmy w pięknym mieście, skarbie. I bardzo chcę zobaczyć jarmark bożonarodzeniowy. Megan, ta dziewczyna, którą poznałam na dole, powiedziała mi, że jest znany na całym świecie.

– No, skoro to słynny jarmark... – Uśmiechnął się i wstał. Hope patrzyła z czułością, jak idzie do łazienki i zamyka drzwi.

Wypad do Pragi był tak niespodziewany, że Hope nie zdążyła o niej poczytać, ale przeglądając przewodnik, który kupiła na lotnisku, znalazła położenie ich hotelu na rozkładanej mapie w środku i wiedziała, że od słynnego Rynku dzieli ich zaledwie parę ulic.

– Na placu jest zegar z tysiąc czterysta dziesiątego roku – powiedziała Charliemu, kiedy zatrzymali się w hotelowym wejściu, żeby mógł pozapinać kurtkę. – Czyli ma mniej więcej tyle lat, co ja.

– Nie bądź głupia. – Pochylił się i pocałował ją czule. – Jesteś w kwiecie wieku, tak jak ja.

Pozwoliła mu wziąć się za rękę i ruszyli oblodzonym chodnikiem, a Hope patrzyła w górę na budynki dookoła. Musiała się powstrzymać, żeby nie iść z otwartą z zachwyty buzią. Z przewodnika wiedziała, że architektura Pragi obejmuje tysiąc lat i znajdują się tu zabytki każdej epoki, od gotyku, poprzez renesans i barok po secesję. Historia emanowała z każdego zakątka i Hope od razu zauroczyły wysokie, dumne domy z zaokrąglonymi, zdobionymi balkonami. W powietrzu unosiła się muzyka, nie do rozpoznania, ale wyraźna i Hope wyteżyła słuch, żeby wychwycić pojedyncze nuty.

Kiedy skręcili i weszli na Rynek, otoczyła ich feeria barw, nie tylko kolorowego jarmarku bożonarodzeniowego ciągnącego się przez środek, ale budynków w tle – kremowych, czerwonych, różowych i niebieskich. Warstwa śniegu nie była jeszcze na tyle gruba, żeby zasłonić żywe, ciemnopomarańczowe dachy i Hope czuła, jak jej oczy otwierają się szeroko, kiedy obracała się, żeby wszystkiemu się przyjrzeć.

– Oj, Charlie – wymruczała, opierając się o niego. – Tu jest tak pięknie.

– Prawda? – Był wyraźnie dumny. – A to dopiero początek, jest o wiele więcej do zobaczenia. Naprawdę ci się podoba?

Słysząc było niemal, jak był zdenerwowany i Hope objęła go w pasie, zanim odpowiedziała.

– Strasznie.

– To dobrze – powiedział, poprawiając wełnianą czapkę. – Nie wiem jak ty, ale ja czuję grzane wino. Napijesz się?

Kiwnęła głową.

– Poproszę.

Ale kiedy weszli na jarmark, Hope poczuła, że jej euforia zaczyna słabnąć. Annette byłaby tu w siódmym niebie i nagle poczuła się winna, że ogląda to wszystko bez córki. Wcześniej robiły wszystko razem: zakupy, wypadki na wyścigi, dziewczynskie wieczorne wyjścia. Ale teraz Annette nie mogła na nią patrzeć.

Przystanęli przy straganie z bożonarodzeniowymi dekoracjami i Hope wybrała anioła. Był wyrzeźbiony z drewna i ubrany w piękną biało-złotą tunikę, ze starannie wymalowanym uśmiechem. Wzięła jeszcze jednego, przysunęła je do siebie i zobaczyła, że twarze mają inne, każdy anioł jest wyjątkowy i nagle zachciało jej się płakać.

– Wszystko w porządku? – spytał zatroskany Charlie. Spoglądał to na jej twarz, to na ozdoby w dłoniach. – Możemy je kupić jeśli chcesz.

– Nie o to chodzi. – Odłożyła je. – Myślałam tylko, jak bardzo by się tu podobało Annette... – zawiesiła głos.

Oczywiście, że wiedział – ale co mógł na to poradzić?

– Nie chcę, żebyś pomyślał, że jestem niewdzięczna – odezwała się szybko. – To takie matczyne zboczenie. Jestem głupia.

– Nie jesteś głupia. – Objął ją. – Może pójdziemy po wino, napijemy się, a potem, jak poczujesz się lepiej, wrócimy i kupimy takiego anioła dla Annette? Może jej się spodoba?

Hope pomyślała w duchu, że ręcznie robione anioły są o wiele za piękne, żeby ryzykować, że Annette ciśnie nim o najbliższą ścianę, ale mimo wszystko kiwnęła głową. Charlie robił, co mógł, żeby ją uszczęśliwić, więc powinna spróbować się rozchmurzyć.

Przeszli przez jarmark, znaleźli stragan z wielkimi kielbasami i z chrzestem

pod stopami minęli drewniane budki sprzedające rozmaite błyskotki i smakołyki. Hope złapała się na tym, że jej wzrok ciągle wędrował do olbrzymiej choinki na środku placu. Była przystrojona w białe i niebieskie światełka, a jej gałęzie uginały się pod ciężarem szklanych bombek.

– Będziemy musieli wrócić tu po zmroku – powiedziała Charliemu, gdy szli w stronę zapachu grzanego wina. – Na pewno jest tu cudownie ze wszystkimi tymi lampkami.

– Dla ciebie wszystko – powiedział, chwycił ją za rękę i okręcił w niezdarnym piruecie.

– Uspokój się! – sapnęła, ledwie omijając grupę japońskich turystów.

– Zatańczmy! – zaproponował i wyciągnął rękę.

Założyła sobie ręce na piersiach.

Energia i poczucie humoru Charliego były dwiema rzeczami, które kochała w nim najbardziej. To właśnie jego wigor tak różnił go od Dave'a. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widziała byłego męża, jak tańczy, z wyjątkiem ich wesela, a wtedy tańczył, bo musiał. Kiedyś uwielbiała tę jego dorosłość, to, że woli się z nią położyć na kanapie, zamiast iść do kumpli do pubu, ale z czasem zaczęło ją to frustrować. Kiedy Annette skończyła osiemnaście lat i stała się pod pewnymi względami niezależna, Hope chciała zacząć więcej wychodzić, odwiedzać przyjaciół albo zapraszać ich na kolacje, ale Dave nie miał na to ochoty.

Dotarła do kiosku z grzanym winem pierwsza i zamówiła dwa kubki, uśmiechając się do rumianego mężczyzny po drugiej stronie lady i wręczając mu czeskie korony. Wszyscy dookoła byli tacy przyjaźni, chętni do działania, jakby nic nie stanowiło dla nich problemu. Dzięki temu to miejsce tak się wyróżniało.

– Wszystko w porządku?

Charlie do niej dołączył z troską na kochanej twarzy. Czowała się teraz strasznie, że nie chciała z nim zatańczyć.

– Obiecuję, że zatańczę z tobą później – powiedziała.

Wypił duży łyk wina i się uśmiechnął.

Hope uświadomiła sobie w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy, że była uśpiona, dopóki nie poznała Charliego. Nie dosłownie, oczywiście – to byłby absurd, biorąc pod uwagę, że dawał jej wtedy lekcje nauki jazdy – ale pod każdym innym względem. Nie czuła pożądania, doświadczała niewiele radości i cały zapal dawno z niej wyparował. Przez lata walczyła, aby odnaleźć odpowiedni krzemień, który na nowo wznieci iskrę w jej małżeństwie, aż w końcu zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek była w nim iskra. Była rutyna, przyzwyczajenie i wzajemna wygoda. Miała wrażenie, że Dave'owi wystarcza świadomość, że ona jest. Czasami w nocy nawet chciał jej dotknąć, wciskając się wiecznie rosnącym brzuchem w jej plecy, kiedy obejmował ją w talii. Strasznie było być tamtą kobietą. Kobieta, którą własny mąż miał ochotę dotykać, tylko gdy był nieświadomy. Nie

wiedziała, kogo bardziej winić, wiedziała tylko, że nie ma odwrotu.

Kiedy wszystko się rozpadło i była zmuszona powiedzieć Dave'owi, że odchodzi, nie wyglądał nawet na bardzo zaskoczonego. Może mu ulżyło, że zniknie mu z oczu? Nie dowie się, bo nie chciał o tym rozmawiać. Zawsze był skryty, zamknięty dla świata jak małż przyklejony mocno do skały, i widocznie żaden krzyk ani wrzask nie był w stanie go oderwać. To o Annette się teraz martwiła, nie o Dave'a.

Charlie czytał przewodnik, kiedy samolot wystartował, a teraz wyciągał głowę ponad jej głowę, usiłując coś zlokalizować.

– Czego szukasz? – spytała głosem chrapliwym od wszystkich tłumionych emocji.

– Tego zegara, o którym wspomniałaś. – Mrużył oczy, patrząc w dal. – Podobno najlepiej patrzeć na niego o pełnej godzinie, to właściwie już. Można panią prosić?

– Tak! – wykrzyknęła z o wiele większym entuzjazmem, niż było to konieczne. Wszystko, byle przestać myśleć o nieudanym małżeństwie.

Wrzuciła pusty kubek do stojącego w pobliżu kosza i chwyciła Charliego za rękę.

– Chodź, ty cudowny facecie, zatańczmy tam.

Jakieś gigantyczne dzieciaki gramolą się po ścianie tamtej wieży.

– Co takiego? – Ollie spojrzął przez wizjer aparatu Megan i się roześmiał. – Faktycznie. Dziwne.

Znajdowali się na samym szczycie ratuszowej wieży, stojącej w rogu placu. Megan dotarła na górę pierwsza, bo nie chciała wchodzić po stromych schodach z Olliem, który teraz stał obok niej spocony i zdyszany. Ona, rozsądna, i jeżeli ma być szczerą, trochę leniwa, z przekonaniem wjechała na górę windą.

Dziwna budowla, na którą patrzyli, przypominała z daleka wyrzutnię rakiet. Trzy okrągłe wieże wzbijały się w górę, podkreślone nie tylko dość groźnie wyglądającymi czołgającymi się dziećmi, ale też piętrami jak kapsuły. Była bardzo futurystyczna w stylu i wyglądała dość przypadkowo na tle wiekowych kościołów i klasztorów wyrastających na horyzoncie.

– To wieża telewizyjna – powiedziała Megan, pozwalając swojemu cennemu aparatowi zawisnąć na pasku na jej piersiach, gdy kartkowała przewodnik.

– A skąd te dzieci? – spytał Ollie.

– Za nie należy podziękować Dawidowi Černý’emu – powiedziała. – To dość znany czeski rzeźbiarz. Przypominam go sobie teraz z czasów, kiedy studiowałam podstawy sztuki. Piszą tu, że zainstalowano je czasowo w dwutysięcznym roku, a rok później zainstalowano ponownie na prośbę mieszkańców.

– Musimy tam iść! – Ollie był cały przejęty. – Chcę zobaczyć to dziecko, i te dzieci, z bliska.

– Mogłabym zrobić kilka świetnych zdjęć – zgodziła się Megan, ale nie była aż tak podekscytowana. O wieży właściwie nie myślała pod kątem nadchodzącej wystawy. W pracach Megan chodziło o znalezienie więzi pomiędzy obrazem a emocją, a w zimnych, prostych liniach wieży nie było nic, co by ją pociągało. Jednak zdążyła już zrobić co najmniej sto zdjęć tylko po drodze z hotelu na plac. Bezgranicznie ujęła ją feeria barw na jarmarku bożonarodzeniowym, a Ollie tak się nudził, czekając, aż skończy fotografować baśniowe lampki na tle szarego popołudniowego nieba, że zjadł w tym czasie dwie olbrzymie kielbasy.

– Nie powinienem był jeść drugiej – powiedział ze zboląłą miną. – Taka ilość jedzenia i wejście tu pędem nie było moim najlepszym pomysłem.

– Mówiłam, żebyś wjechał windą – powiedziała, dźgając go żartobliwie w pełny brzuch.

– Ostrożnie, kobieto!

Wykrzywiła się do niego.

– Dokąd teraz?

– Hm... – Wskazał południe. – Tam jest plac Wacława i Muzeum Narodowe, możemy też pójść na most Karola... – Machnął ręką na zachód. – I zwiedzić Zamek i parki?

Megan poruszyła zmarzniętymi palcami w butach i spojrzała w dół. Czerwone dachy jarmarku bożonarodzeniowego rozciągały się pod nimi jak rozżarzone węgle i ciepło, które od nich emanowało, zbyt trudno było się oprzeć.

– Albo możemy się napić grzanego wina i po prostu poszwendać? – zaproponowała. Zawsze się przekonywała, że miejsce poznaje się najlepiej, po prostu spacerując – i że jego prawdziwe oblicze odkrywa się, zapuszczając się w uliczki, w które nikt inny nie zagląda. Była oczarowana zabytkowym centrum Pragi, ale chciała też zobaczyć mniej znaną stronę miasta, dzielnice, które mieszkańcy zachowują dla siebie.

– Jak chcesz. – Ollie uśmiechnął się do niej z góry. – Ty tu rządzisz.

Cieszyła się, że się zgadzają.

Na dole, na ulicy, z ciepłym i rozkosznie przyprawionym winem w dłoniach, szli powoli wzdłuż jarmarku, przystając co chwilę, żeby przyjrzeć się bliżej jednemu z wielu straganów. Megan zatrzymała Ollego przy kramie z bibelotami ozdobionymi motywem zegara astronomicznego. Czytała o nim w czasie lotu i nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć.

– Przypomnij mi, jak to będzie wyglądać – poprosił Ollie dziesięć minut później. Stali znów przed ratuszem, wieża wzbijała się wysoko w powietrze, a z każdej strony otaczał ich zwarty tłum turystów. Zegar astronomiczny znajdował się dokładnie nad nimi, a jego złote, błękitne i jaskrawopomarańczowe barwy lśniły w mroku.

– Tuż przed pełną godziną mały szkielet tam na górze... – Wskazała prawą stronę głównej tarczy zegara. – Pociąga za sznur i obraca klepsydrę. A potem tam, w górze... – Znów wskazała wąskie drzwi nad zegarem. – Jedenastu apostołów i święty Paweł wychodzą z małą procesją.

Ollie spojrzał w górę, mrużąc oczy.

– Potem pieje kogut, a później zegar wybija godzinę – dodała, zaglądając do książki, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiała.

– A ten drugi zegar, pod spodem? – spytał Ollie.

– Ten pokazuje ruch słońca przez znaki zodiaku – powiedziała, wyciągając aparat z torby i kierując go w górę. Tarcza niższego zegara była w przeważającej części złota, z dwoma okrągłymi pierścieniami dwunastu obrazów, ułożonymi od zewnątrz do środka. Każdy namalowany był w okrągłej ramie – zewnętrzne obrazy przedstawiały miesiące roku, a wewnętrzne – znaki zodiaku.

– Jest twój znak – powiedziała, pokazując Ollemu zdjęcie, które właśnie zrobiła, złotego symbolu w kształcie litery M z małym ogonkiem.

– Nie wygląda mi to na skorpiona – powiedział.

Megan znów wsadziła nos w książkę.

– Ta druga figura na górze, obok Śmierci, to Turek, symbol pożądania – powiedziała, rumieniąc się, kiedy uświadomiła sobie, co mówi.

– Podoba mi się – powiedział Ollie. A jakże.

– A te dwie, po drugiej stronie – ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi. – To Próżność i Łakomstwo.

– Doskonale rozumiem łakomstwo po tych dwóch kielbasach – wytrącił. Megan starała się nie roześmiać.

– Głupek z ciebie. – Uśmiechnęła się.

– Zgadza się. Łakomy – zażartował Ollie, uśmiechając się do niej z góry i trącił ją lekko. Nie przywykła do tego, że tak często jej dotyka. Zwykle znajdowali się po przeciwnej stronie stolika w pubie albo na dwóch końcach sofy, ale tu, w Pradze, byli ciągle obok siebie.

– Bądź teraz cicho, proszę – powiedziała, bodąc go lekko głową w ramię. – Zegar zaraz zacznie bić.

Na placu zapadła cisza, kiedy Śmierć ożyła i odwróciła swoją klepsydrę. Później rozległo się lekkie skrzypnięcie i pojawili się apostołowie, a ich zarośnięte małe twarze po kolei wskakiwały w obiektyw Megan. Była zaskoczona tym, że tak się od siebie różnią i tym, ile wysiłku należało włożyć, żeby je stworzyć, a potem zachować w nienagannym stanie. W ogóle zwróciła uwagę na to, jak czyste i zadbane jest miasto. Mieszkańcy Londynu mogliby się uczyć od prażan.

Zegar wybijał teraz godziny, a ona słyszała rozkoszne klikanie aparatów fotograficznych wokół niej. Paru idiotów włączyło nawet lampy błyskowe. Było jeszcze dostatecznie dużo naturalnego światła, poza tym złoto zegara było tak intensywne, że niemal świecił. Gdyby tylko ludzie wysilili się na coś więcej niż wybór trybu auto i wciśnięcie przycisku. Tracili tyle piękna, które bez trudu można było uchwycić za pomocą zaledwie kilku ustawień. Ollie, który zajęty był robieniem zdjęć swoim telefonem – cholernym telefonem! – obok niej, z całą pewnością nie udzielał jej wielkiego wsparcia.

– Cieszę się, że to zobaczyliśmy – powiedział, kiedy zegar przestał bić. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Muszę pamiętać, żeby opowiedzieć o tym dzieciakom, może zrealizuję przy okazji zajęcia o znakach zodiaku.

Mówił bardziej do siebie niż do Megan, ale kiwnęła głową zachęcająco. Żałowała, że sama nie miała w podstawówce nauczyciela takiego jak Ollie. Jej wychowawczyni, pani Benstead, była tak stara, że zdarzało jej się zasypiać przy biurku około jedenastej i budziła się dopiero przy dźwięku dzwonka o wpół do trzeciej. Megan szła do liceum z paskudnym charakterem pisma i zupełnym brakiem szacunku dla ludzi przy władzy. Szczerze mówiąc, nadal walczyła z tego rodzaju ludźmi. Nie znosiła, kiedy ktoś mówił jej, co ma robić, nawet jej szefowa w galerii, skądinąd całkiem miła. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu doszło do

spięcia, kiedy Sally, właścicielka, poprosiła Megan, żeby wyniosła narecze podartych papierów pakunkowych do kosza na śmieci, a zaabsorbowana Megan, która wieszła właśnie akwarele jednego z ich najlepszych artystów, bez zastanowienia warknęła do niej, żeby zrobiła to sama. Po filiżance herbaty i ostrej rozmowie Megan nie przestawała przeproszać Sally.

– Rozchmurz się, mała. – Ollie wyrwał ją z ciągu nieprzyjemnych myśli. – Pójdziemy na piwo?

Megan pomyślała o moście Karola z jego armią pomników, o obiecującym Zamku na Hradczanach i wszystkich wąskich, brukowanych uliczkach po drodze, które czekają, aby je odkryć. Ale mieli jeszcze cztery dni, nie licząc tego. Miasto może poczekać. Poza tym nie czuła już palców.

– Znudziło mi się rządzenie – powiedziała, wkładając dłonie do kieszeni. – Prowadź.

Sophie wbiła łyżeczkę w róg jabłecznika i upajała się odgłosem chrupnięcia lekkiego, kruchego ciasta, które poddawało się pod nierdzewną stalą.

Po spacerze przez Małą Stranę w górę do bram zamku usiadła na niskim kamiennym murku i obserwowała strumień przechodzących turystów, aż nie czuła już rąk ani nóg. Na straganie niedaleko sprzedawano rozkładane mapy i gorące napoje, a sprzedawca nie przestawał się do niej uśmiechać spod grubej wełnianej czapki. Miał miłe niebieskie oczy i gęstą białą brodę, a jego skóra wyglądała, jakby z wiekiem straciła blask. Ludzie w Pradze nie byli skorzy do rozmowy, ale zawsze się uśmiechali. W ciągu dziesięciu lat ani razu nie doświadczyła przejawu chamstwa – to między innymi dlatego tak bardzo kochali z Robinem to miasto.

Z zamku po niedługim spacerze dotarła do Café Cukr, tego samego miejsca, do którego Robin przyprowadził ją na tamto pierwsze magiczne śniadanie wiele lat temu, i była zachwycona tym, że zupełnie się nie zmieniło.

Wystrój był prosty, ale przyjemny, z mnóstwem ciemnego drewna, przytulnych zakątków i wielkim malowidłem zadowolonych gości na suficie. Każdy stolik przykryty był gładkim żółtym obrusem, a na środku stał tradycyjny praski przysmak – wielkie miękkie precle, wiszące na specjalnych drewnianych stojakach. Sophie nie była ich wielbicielką, ale Robin je uwielbiał. Kiedy byli tu ostatnim razem, odłamywał kawałki i moczył je w piwie. Uśmiechnęła się czule na to wspomnienie.

Zjadła prawie całą szarlotkę, błędząc myślami, aż na talerzu została jej tylko kałuża pieczonych jabłek i smuga bitej śmietany. W żadnym innym miejscu na świecie z tych, w których była, szarlotka nie była tak pyszna jak tu, a jej smak zawsze przenosił ją w myślach do tamtego śniadania; do dnia, kiedy jej uczucia zgrały się z uczuciami Robina i dotarło do niej, że poznała miłość swojego życia.

– Jak znalazłeś to miejsce? – spytała, popijając kawę i zerkając na niego znad brzegu kubka. Miał na sobie granatową bluzę z kapturem, która sprawiała, że oczy mu lśniły, a sięgające do brody blond włosy oklapły pod czapką.

Café Cukr znajdowała się w połowie wąskiej brukowanej uliczki w głębi Małej Strany i z zewnątrz wydawało się, że to zwykle niewyróżniające się drewniane drzwi. Kiedy je otworzył, zobaczyła schody prowadzące prosto w dół i powitał ich unoszący się w górę zapach duszonej wołowiny, szarlotki i kawy, była pod ogromnym wrażeniem.

– A, wiesz, natknąłem się przypadkiem.

Robin umiał patrzeć na nią szelmowsko, a jednocześnie wnikliwie.

– Na pewno przyprowadzasz tu wszystkie nieznanome dziewczyny poznane na zaśnieżonym moście – zażartowała.

– Hm. – Uśmiechnął się do niej promiennie i odgryzł duży kawałek precla. – Jesteś dość osobliwa, przyznaję.

– Ej!

– Nie miałem na myśli nic złego, chodziło mi tylko o to, że dziewczyna, która decyduje się spędzić swój wolny czas ze mną, musi być osobliwa. W sensie, że mogłabyś wybierać między chłopakami z całej Pragi, a siedzisz tu ze mną.

Wybrałabym cię zawsze, wśród wszystkich ludzi na całym świecie, nie tylko z Pragi, pomyślała, ale trzymała język za zębami.

– Chciałbym wiedzieć, o czym myślisz – powiedział, wyciągając rękę, jakby chciał ją pogłaskać po policzku, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Sophie nie mogła przestać myśleć o tym, jak zeszłego wieczoru pocałował ją w czubki palców. Chciała, żeby zrobił to znowu, ale żeby tym razem nie poprzestał na dłoniach.

– Myślę o tym, że to najlepsze śniadanie, jakie w życiu jadłam – powiedziała, nabierając trochę śmietany i podając mu łyżeczkę.

– Mm. – Uśmiechnął się promiennie, celowo pozwalając dużej plamie kapnąć na brodę. – Co? – spytał, gdy parsknęła śmiechem. – Mam coś na twarzy?

Oblizął językiem wargi, specjalnie omijając plamę śmietany i spojrzał na nią z udawaną paniką.

– Pomóż mi! – powiedział błagalnie. – Uratuj mnie od tej śmietany!

Zanim zdążyła pomyśleć, co robi i jak on zareaguje, pochyliła się nad stołem i zaczęła go całować w usta, zlizując przy tym śmietanę.

Oszołomiony w pierwszej chwili Robin zaraz poszedł w jej ślady i niezdarnie położył dłonie na jej plecach. Dopiero kiedy siedzący obok gość zakaszłał głośno i zaczął wymownie szurać krzesłem po drewnianej podłodze, przzerwali, żeby nabrać powietrza i usiedli z powrotem na krzesłach, wpatrując się w siebie z zachwytem nad resztkami śniadania.

Robin otrząsnął się pierwszy.

– Nie ma jej już? Śmietany?

A potem parsknęli śmiechem i było idealnie. Pod wpływem wspomnienia Sophie wyjęła telefon i pstryknęła zdjęcie pustego talerza, starając się uchwycić wiszące w tle precle. Miała nadzieję, że Robin nie będzie jej miał za złe, że przyszła w to miejsce bez niego. Czasami bywał impulsywny, zawsze kierował się sercem, nie rozumem, ale Sophie mogła policzyć ich kłótnie na palcach jednej ręki. Kiedy tak rozmyślała, rozpostarł się nad nią cień mrocznego wspomnienia i pokręciła głową, żeby odpędzić myśl, zanim zdąży się zakorzenić.

Z tej ciepłej kawiarni na dole trudno było stwierdzić, jak ciemno zrobiło się na dworze. Wiedziała, że o tej porze roku słońce zaczyna zachodzić już około czwartej, ale nie bała się wracać do hotelu. Zawsze mówiła rodzinie i przyjacielom, że Praga jest miastem, w którym właściwie nie można się zgubić. Było tyle

punktów orientacyjnych i wszędzie można było dojść pieszo – nawet dalsze dzielnice dzielił od centrum czterdziestominutowy spacer. Właściwie nie było zakątka, którego z Robinem nie zwiedziliby w Pradze i dzięki temu odkryli prawdziwe perełki: pełne życia ogródki piwne ukryte w odległych parkach, drink bary w piwnicach na odległych ulicach, restauracje, w których można było zjeść trzydaniowy obiad za mniej niż dziesięć funtów za osobę – włącznie z dużą ilością piwa do popicia.

Sophie była zachwycona tym, że mają z Robinem własną wersję Pragi, taką, której większość ludzi nigdy nie pozna. Dzięki temu to miejsce było dla nich tym bardziej wyjątkowe.

– Coś jeszcze dla pani?

Przy stole zjawiała się kelnerka, żeby zabrać jej talerz i Sophie spojrzała na nią w górę z uśmiechem.

– Nie, dziękuję, *dekuji*.

Powinna nauczyć się więcej czeskiego, pomyślała. Niewiele brakowało, żeby kupiła Robinowi na urodziny internetowy kurs językowy, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i kupiła mu zegarek. Kazała na nim wygrawerować datę ich poznania.

On, z kolei, zaledwie kilka tygodni później kupił jej piękny złoty wisiołek z ich splecionymi inicjałami wygrawerowanymi na odwrocie i ze swoim zdjęciem w środku, jak unosi kciuki. Sophie nie zdjęła go od tamtej pory. Czowała go teraz na piersiach, nadal lekko zimny od czasu, jaki spędziła, siedząc na murku przy zamku, i to ją pocieszało. Robin nie może być z nią tu w tej chwili, ale ma go przy sercu. Gdyby tylko mogła wymazać tych kilka kolejnych dni do czasu jego przyjazdu...

Wchodząc po schodach, zapinając po drodze kurtkę i zakładając znoszoną starą czapkę Robina, poczuła, że telefon wibruje jej w kieszeni. Zdjęła rękawiczki mimo mrozu, stuknęła w wyświetlacz, żeby odczytać wiadomość w świetle nad wejściem do kawiarni, które rzucało cień zgarbionej ludzkiej postaci na oblodzony bruk.

Przez kilka sekund się nie ruszała, a potem, powoli i delikatnie jak śnieg z deszczem, który właśnie zaczął padać, objęła się mocno i ruszyła ulicą.

Jesteś pewny tego miejsca?

Hope wsunęła Charliemu dłoń pod rękę, gdy dotarli do wejścia do restauracji.

– Mówiłem ci, że to będzie wyjątkowy wyjazd i mam zamiar cię rozpieszczać.

Przeszli przez most Karola, żeby tu dotrzeć, Charlie poganiał ją, gdy mijali wszystkie pomniki, obiecując, że przyjdą tu następnego dnia. Hope poczuła, że ciągnie ją do mostu, jak tylko postawiła na nim stopę i była rozczarowana, kiedy przeszli na drugą stronę i skręcili w prawo, kierując się w stronę linii brzegowej.

Ścieżka prowadząca do restauracji oświetlona była przez latarnie, z których każda rzucała snop złotego światła na chodnikowe płytki, mokre od śniegu z deszczem. Deszcz zaczął padać późnym popołudniem, sprawiając, że oboje byli sztywni z zimna, ale zmył też sporą warstwę śniegu i Hope mogła odważyć się włożyć szpilki, które ze sobą zabrała.

– Pięknie wyglądasz – powiedział Charlie co najmniej dziesiąty raz, odkąd włożyła na siebie dopasowaną czarną sukienkę z koronkowymi wstawkami z tyłu. Jeszcze nie przywykła do jego nieustannych pochwał i zarumieniła się, lekko zawstydzona, słysząc komplement. Hostessa w restauracji właśnie wróciła z szatni i wręczyła Charliemu dwa numerki na płaszcze, a potem wskazała im, żeby za nią poszli.

– Nieźle – powiedziała Hope kilka minut później. Dostali stolik z widokiem na Wełtawę. Niebieskie i bursztynowe światła z mostu Karola i pobliskich budynków odbijały się w pomarszczonej powierzchni wody i kiedy deszcz bez ustanku smagał szyby, widok za oknem był rozmyty, niemal senny. Hope ledwie udało się oderwać wzrok na tyle, żeby usiąść.

– Jak powiedziałem – odezwał się Charlie, otwierając kartę win. – Chciałem ci zrobić przyjemność.

– Naprawdę przeszedłeś samego siebie. – W końcu oderwała wzrok od rzeki i spojrzała na niego. – Najpierw ten cudowny hotel, a teraz to. Na nic nie zasługuję.

– Bzdura. – Charlie machnął ręką w powietrzu. – Zasługujesz na to wszystko i wiele więcej. Mówiłem poważnie, że chcę cię uszczęśliwić. Niczego więcej w życiu nie chcę.

– Do mnie po prostu nie dociera, że to naprawdę moje życie – przyznała, rozglądając się po restauracji z oświetlonymi świecami stolikami i wazonami wypełnionymi okazałymi bukietami. – Gdybyś parę miesięcy temu pokazał mi zdjęcie tego miejsca i powiedział, że będę tu siedzieć z tobą... Hm, śmiałabym się z ciebie pół tygodnia.

– Naprawdę jesteś szczęśliwa? – spytał Charlie, opuszczając kartę. Oczy miał poważne i Hope zorientowała się, że znów ją zalewa doskonale znajome poczucie winy. Pomyślała o Annette, tam, w Manchesterze, która oplakuje fakt, że mama zostawiła tatę. Jak może być szczęśliwa, kiedy jej córeczka jest taka smutna?

– Pewnie, że tak. – Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. – O niczym więcej nie mogłabym marzyć.

To było pierwsze kłamstwo, które mu powiedziała i utknęło jej w gardle jak częściowo strawiony środek przeciwbólowy, gorzki, ale konieczny. To nie wina Charliego, że Annette zareagowała w ten sposób. Zachowałyby się wobec niego nie w porządku, gdyby zaczęła to roztrząsać, zwłaszcza przy tak pięknym stoliku z tym olśniewającym widokiem.

Charlie najwyraźniej poczuł się zachęcony luksusowym otoczeniem, bo wybrał wino z zatrważającą liczbą zer wydrukowanych przy nim w karcie. Hope, która żyła z własnych skromnych oszczędności i hojności Charliego przez kilka ostatnich tygodni, czuła się strasznie niezręcznie z taką rozrzutnością. Ale jeżeli to go uszczęśliwiało, to zakładała, że wszystko jest w porządku.

– Za nas – powiedział i stuknęli się kieliszkami.

Zamówili przystawku, potem Charlie wybrał absurdalnie drogi stek, a Hope zdecydowała się na tańszą rybę. Trudno było robić coś innego niż siedzieć i gapić się na most za oknem, ale Hope oderwała wzrok od widoku i skupiła się na Charliem. Był milczący, co było do niego niepodobne, a ona poruszyła się na krześle. Dziwnie się czuła, gdy zdarzały się te krótkie krępujące chwile, ale w końcu to były ich początki. Znała Charliego dopiero od pięciu miesięcy – za krótko, żeby czuć się zupełnie swobodnie.

– Co miałbyś ochotę robić jutro? – spytała, bo nie była w stanie dłużej znieść ciszy.

Wzruszył ramionami z uśmiechem igrającym w kąciku warg. Zastanawiała się, czy odczuwa skutki tego szalonego dnia. Ona bez trudu mogłaby zasnąć w kąpieli w hotelu przed kolacją.

– Może najpierw pójdziemy na most i dalej stamtąd? – zaproponował.

Świeca na środku ich stołu tańczyła pod wpływem oddechów ich rozmowy, rzucając plamy światła na twarz Charliego. Ma takie ładne oczy, pomyślała Hope, i tak mocno zarysowaną szczękę. Dbał o siebie przez lata, w weekendy grał w piłkę nożną i chodził na siłownię. W przeciwieństwie do Dave'a, który coraz bardziej się zapuszczał. Nie chodzi o to, że miała coś przeciwko lekkiemu brzuszkiowi, ale raczej o to, że jej mężowi chyba przestało zależeć na tym, żeby dobrze wyglądać. Gdyby choć trochę mu na niej zależało, chciałby dobrze wyglądać? To właśnie z tego powodu Hope nie przestała chodzić na treningi na rowerze stacjonarnym i zajęcia rumbi, ale Dave chyba nigdy tego nie zauważał. Charlie był jego pełnym przeciwieństwem – uwielbiał każdy centymetr jej ciała, a ona czuła się o

trzydzieści centymetrów wyższa, gdy była z nim.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytał. Wypił pierwszy kieliszek wina, dolał jej, a potem napełnił swój.

– Myślałam, jaki jesteś przystojny. – Rozpromieniła się. – Naprawdę. Czuję się jak najszczęśliwsza kobieta w całej Pradze.

– Kto wie? – Charlie uniósł brew. – Może zaraz będziesz jeszcze szczęśliwsza, bo...

– Przegrzebki? – Kelnerka postawiła przystawkę Hope na stole, a przed Charliem znalazł się talerz carpaccio z tuńczyka z przybraniem.

– Coś zacząłeś mówić – zagadnęła Hope, gdy kelnerka zniknęła, podniosła sztucę i poczuła, że ślinka zaczyna jej ciec.

– A, nic ważnego. – Strząsnął serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach. – To może poczekać.

Dlaczego u nas nie ma takiego piwa? – Ollie podniósł olbrzymi kufel i przyglądał mu się z zachwytem.

– Jest, ty małpoludzie, tylko inaczej wygląda.

Ollie się skrzywił.

– I inaczej smakuje.

Megan kiwnęła głową.

– I ma zupełnie inną cenę.

– Niedawno zamówiłem piwo w pubie przy King's Cross i zapłaciłem jak za zboże! – krzyknął Ollie. – Spytałem gościa za barem, czy na dnie kufla jest kula ze złota.

– Nie zrobiłeś tego!

– Nie, ale powinienem był. Pięć funtów, czułem się, jakby mnie okradli.

Megan wypiła łyk swojego piwa i delektowała się głębokim, niemal miodowym smakiem, kiedy spływało jej po gardle.

– Nie sądzisz, że to dziwne, że bez problemu wydajemy majątek na kufel piwa, a narzekamy, że musimy zapłacić ponad funciaka za cały bochenek chleba? – zastanawiała się.

– Tak. – Ollie kiwnął głową, aż okulary zjechały mu z nosa. – A z kolei ja bez problemu płacę ponad funt za dwie kromki grzanki w kawiarni naprzeciwko szkoły. O co w tym wszystkim chodzi?

– Strzygą nas na każdym kroku, każdego dnia – skwitowała Megan celowo patetycznym tonem.

– Jeszcze raz to samo? – Ollie podniósł pusty już kufel.

To wcale nie jest takie dziwne, pomyślała Megan, obserwując, jak barman wybiera dwa czyste kufle i wsuwa je pod kątem pod kran z piwem. Na ramieniu miał tatuaż, który wyglądał jak dwa cudzysłowy położone nad ogonem i od razu rozpoznała w nim symbol Raka, swojego znaku zodiaku. Niedługo po tym, jak poznała Ollego, dla żartu sprawdziła zgodność ich znaków zodiaku. Według Internetu Skorpion i Rak są niemal idealnym połączeniem, potencjalnie bratnimi duszami. Nie wierzyła w te wszystkie brednie, oczywiście, ale nie ulegało wątpliwości, że bardzo się zaprzyjaźnili.

Ollie wymknął się do łazienki, a Megan wpatrywała się w zamyśleniu na zagłębienia, jakie na poduszce barowego stołka zostawiły jego pośladki. Czyżby jej mama i Internet mieli rację? Może Ollie faktycznie jest dla niej idealny? Zmarszczyła czoło, gdy w głowie pojawił jej się obraz ostatniego faceta, którego uważała za idealnego – mężczyznę, który robił wszystko, żeby ją omotać, ale ona splawiła go, nim zdążył to zrobić.

– Wszystko w porządku?

Ollie wrócił i okulary znów mu zaparowały.

– Jesteś cały zaparowany – poinformowała go, mrugając, żeby wygonić z myśli niemiłe wspomnienie.

– Chyba znalazłem wadę w tym skądinąd idealnym pubie – powiedział, wzdychając teatralnie dla lepszego efektu. – W łazienkach jest strasznie zimno. Musiałem trzymać ręce pod gorącą wodą całe wieki, żeby odzyskać czucie.

– A mówiłam, żebyśmy jeszcze poszukali, ale ty byłeś taki przekonany, że irlandzki pub z meksykańską nazwą to jest to – powiedziała, unosząc brew, a on przecierał okulary połą koszuli.

– Spodobała mi się krzykliwa ekscentryczność tego miejsca – powiedział.

Coś w tym było – Don Pisto z całą pewnością był miejscem ekscentrycznym. Kolorowe sombrera walczyły o miejsce z zabawnymi kapeluszami Guinnessa na ścianie za barem, półka ugięła się pod ciężarem prawdziwie zjawiskowej kolekcji tequili, a z głośników grzmiał eklektyczny miks U2 przeplatany czymś, co bardzo przypominało grajków mariachi. To było szaleństwo, ale wyjątkowo cudowne.

– Zgadzam się. – Walnęła kuflem o jego piwo. – Przerzucimy się potem na tequilę?

– Raz, dwa, trzy i siup!

Megan wypła drugi kieliszek tequili i odstawiła z trzaskiem pusty kieliszek.

Przenieśli się z baru w ką, gdzie mogli dalej śpiewać złe interpretacje kiczowatych piosenek z lat osiemdziesiątych na cały głos, nie ściągając na siebie rozbawionych spojrzeń innych gości.

– To najlepsze wakacje w życiu – powiedział Ollie, pochylił się i złożył wilgotny pocałunek na jej policzku. Wypił dwa razy tyle tequili, co ona, miał też na koncie jeden kufel piwa więcej.

– Ech – wymamrotała Megan, wycierając rękawem jego ślinę z policzka i spojrzała na niego z udawaną odrazą.

Nie pierwszy raz upiła się z Olliem. Właściwie ten pierwszy raz, gdy się poznali, skończył się podobnie do tego. Konkurs w miejscowym pubie nie był najciekawszą atrakcją, ale akurat tego wieczoru Nag's Head był pełen. Megan była ze swoją przyjaciółką z Polski, Magdą, która pracowała z nią w weekendy w galerii i była całkiem bezużyteczna, jeśli chodzi o wiedzę ogólną, a chłopak Magdy, Neil, tak bardzo przypominał ptaka z wąskim spiczastym nosem i wrzecionowatymi palcami, że Megan zawsze była zaskoczona, że nie odlatuje, gdy kończy się wieczór.

Ollie siedział przy stoliku obok z o wiele silniejszą ekipą sześciu kolegów – nauczycieli, którzy, jak można było podejrzewać, mieli bardzo szeroką wiedzę. Megan wyzywała ich od mądrali, ale niezmiennie bawiło ją to, że podnosili rękę, kiedy znali odpowiedź, chociaż wystarczyło napisać ją na kartce. Sam Ollie

najbardziej rzucał się w oczy po prostu dlatego, że był najwyższy, więc kiedy co trzy czy cztery minuty wyciągał rękę, trudno go było nie zauważyć.

Powiedział jej później, że on właściwie jej nie widział, dopóki to się nie stało, ale Megan wiedziała, że to bzdura. Ona z pewnością zauważyła, że zerka na nią, gdy myślał, że ona jest skupiona na kartce z pytaniami.

– Dobra, chłopaki i dziewczyny, pora na waszą ulubioną część wieczoru, kolejka drinków gratis!

Wszyscy odwrócili się na krzesłach do prowadzącego konkurs. Jego też nie można było nie zauważyć z powodu marynarki wyszywanej srebrnymi cekinami, którą miał na sobie.

– To się nazywa przesada – wyszeptała Megan do Magdy, która nie dosłyszała i zareagowała, pytając bardzo głośno:

– Co?

Zasady tej rundy były proste: Cekinowy zadawał pytanie, a zamiast pisać odpowiedź, trzeba było podskoczyć i ją wykrzyknąć. Ten, kto krzyknął najszybciej, i – na ogół, najgłośniej – dostawał w nagrodę wybrany drink zupełnie za darmo. Najwyraźniej nie dotyczyło to kieliszka wódki, o czym Megan z rozczarowaniem przekonała się poprzedniej niedzieli.

– Wszyscy gotowi? Komu najbardziej chce się pić? Chcę zobaczyć wasz entuzjazm, panie i panowie, chcę go poczuć na sobie, aż ogarną mnie dreszcze.

– Ten facet to idiota – skwitowała Magda, dorysowując serce w miejscu, gdzie Neil napisał jej imię.

Megan wzięła głęboki oddech.

– Który brytyjski piosenkarz zdobył najwięcej Brit Awa...

– Robbie Williams!

Oboje zgadli, oboje byli równie szybcy i równie głośni i oboje stali.

– Ja byłam pierwsza! – krzyknęła Megan tak głośno, że Cekinowy cofnął się o krok.

– Ja pierwszy podniosłem rękę – powiedział Ollie, o wiele spokojniej i przez to o wiele bardziej irytująco niż Megan.

– Gdzie się podziała rycerskość? – Megan cmoknęła, położyła sobie ręce a biodrach i spojrzała na niego najbardziej gniewnie, jak umiała, co nie było proste, bo miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

– Pewnie chciałabyś też, żebym zdjął kurtkę i położył ją dla ciebie na dworze? – odpowiedział Ollie, ale wyzywający ton znikł z jego głosu. Co gorsza, wyglądało na to, że się z niej nabija.

– Nie kpj ze mnie! – ostrzegła, zdejmując jedną dłoń z biodra, żeby mu pogrozić. – Wiesz, że wstałam pierwsza. Stałam już, zanim on skończył zadawać pytanie.

– Dobra, dobra. – Ollie podniósł obie ręce i się roześmiał. – Weź sobie tego

darmowego drinka, skoro tak ci na nim zależy.

– Dziękuję.

– Ponieważ jestem dżentelmenem w czasach, kiedy rycerstwo prawie wymarło.

– Uważaj.

– I ponieważ wiem, że i tak będzie smakował okropnie, bo zdobyłaś go oszustwem.

– Dość!

W chwili, gdy Megan miała do niego podejść i go ustawić, Cekinowy wszedł między nich i położył im dłonie na piersiach.

– No, no – odezwał się głosem niebezpiecznie podobnym do głosu dziecka. – Bawcie się ładnie. Powiem wam coś. Dziś jestem wyjątkowo hojny, więc ogłaszam remis i każdemu z was przyznaję drinka gratis.

Megan otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale po chwili z powrotem je zamknęła.

– Dziękuję – powiedział im obojgu Ollie, obchodząc Megan i skierował się do baru z drwiącą, rozbawioną miną. Cały pub gapił się na Megan i nagle poczuła się jak największa kretynka w całym Londynie.

– Idź z nim pogadać – wyszeptła Magda, kiedy Megan usiadła i próbowała się schować za kieliszkiem wina.

– Z kim?

Magda posłała jej tak groźne spojrzenie, że mogłoby od niego skisnąć mleko.

– Nie rób ze mnie idiotki. Wiesz, o kogo mi chodzi. Z tym facetem z długimi rękami.

Megan poczuła, że robi się czerwona i pokręciła głową.

– Z nim? Nie!

– Jest przystojny. – Magda rzuciła Neilowi przepaszające spojrzenie. – Kiedy ostatni raz uprawiałaś seks? Kiedy po ziemi chodziły tyranozauiry?

– Ej! – Megan zrobiła skrzywdzoną minę.

– Ciężko znaleźć porządnego faceta na tej zapadłej wsi – ciągnęła Magda. – Miałam cholerne szczęście, że trafiłam na mojego Neila. – Ścisnęła jego patykowate palce. – Ale ty możesz nie mieć takiego szczęścia. Musisz kuć żelazo, póki gorące, dobrze mówię?

– Mniej więcej – przyznała Megan.

Ollie odebrał swoje bezpłatne piwo i śmiał się z czegoś, co powiedziała dziewczyna za barem.

– Jemu podoba się barmanka – syknęła. – A poza tym jest wielki. Pewnie jest potworem, który kradnie nocą dzieci i je pożera.

Magda zamrugnęła.

– Co ty wygadujesz? Pożera dzieci? Zwariowałaś?

Musiała czytać tę książkę. Wszyscy ją czytali. Polacy chyba też? A może nie.

– Dalej! – Magda tym razem dźgnęła ją w żebra i Megan podskoczyła na krześle, rozlewając na stole resztki wina ze swojego kieliszka.

– Widzisz – wtrącił Neil. – Teraz naprawdę potrzebujesz nowego drinka.

– Nienawidzę was – powiedziała i ruszyła do Ollego.

– Poproszę kieliszek czerwonego wina gratis.

– To chyba Emmeline Pankhurst. – Ollie posłał jej leniwy uśmieszek.

– Mam na imię Megan.

– O wiele lepiej. Jestem Ollie. – Podali sobie ręce, jej była tak mała w jego dłoni i Megan poczuła, że zaczyna mięknąć. Teraz, kiedy stała tak blisko niego, zauważyła jego dobre oczy i pełne usta, to, jak co kilka sekund przysuwa szklankę do nosa i przeczesuje dłonią włosy.

– Przepraszam, że tak ci nagadałam – powiedziała. – Mam skłonność do rywalizacji, czasem nad sobą nie panuję.

– Nie musisz przepraszać. – Ollie wzruszył ramionami. – Cieszę się, że to zrobiłaś, dostałem darmowego drinka.

– W takim razie – powiedziała, przeklinając w duchu swoją zuchwałość. – Stawiasz następnego.

Roześmiał się z tego, a Megan lekko się rozluźniła. Widziała, że Magda przesadnie pokazuje jej podniesione kciuki i zręcznie skierowała uwagę Ollego na wypchaną sowę, z jakiegoś powodu przybitą do ściany za barem.

– Trochę dziwna, nie sądzisz? – W tamtej chwili nie była w stanie wymyślić nic inteligentniejszego.

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, a potem odwrócił się do niej.

– No, nie wiem. Mnie się chyba podoba. Zawsze myślałem, że fajnie byłoby być sową.

– Żebyś mógł latać? – Próbowała zgadnąć.

– Nie. – Zamilkł, a w jego zmrużonych oczach pojawił się blask. – Żebym mógł kręcić głową dookoła.

Megan czuła, że jej twarz zaczyna się wykrzywiać z rozbawienia i szybko porwała swój kieliszek z baru.

– Ludzie są pod tym względem bardzo ograniczeni – ciągnął Ollie, żartobliwym, ale poważnym tonem. – Podoba mi się myśl, że można wszystko widzieć. Z każdej perspektywy.

Megan mało nie zakrzuszyła się winem, gdy parsknęła śmiechem.

– Jesteś niemożliwy! – powiedziała.

– Może i tak. – Spojrzał na nią z ukosa. – Ale z całą pewnością mnie lubisz, widzę.

– A to dobrze?

W tej chwili wiedziała to ona, wiedział on i wszyscy w pubie. Nie przejmowała się nawet tym, że ominie ją dziesięć ostatnich pytań, a była to runda kulturalna.

– Ty mi powiedz. – Jego oczy nagle były pełne wyzwania, a ona patrzyła na niego przez kilka sekund i czuła, że jej policzki robią się czerwone. Zdawało jej się, że odgłosy pubu przycichły wokół nich, jakby zanurzyli głowy w wiadrze i nasłuchiwali przez wodę. Przez kilka sekund Megan była świadoma istnienia tylko jego i siebie, i było to rozkoszne.

Tkwili przy barze długo po tym, jak zebrano zamówienia na ostatnie drinki. Megan nie miała pojęcia, kto wygrał konkurs, o której wyszła Magda ani co musieli sobie o niej pomyśleć znajomi Ollego – i wcale jej to nie obchodziło. Tak dawno nie miała do czynienia z facetem, przy którym tyle się śmiała. Zaliczyła mnóstwo randek w ciągu trzech ostatnich lat, gdy była singielką, ale pierwszy raz czuła, że może być sobą. W końcu, po dobrych paru kieliszkach wina, to ona zaproponowała, żeby poszli do niej na kawę.

Ollie się nie wahał, dopił resztkę piwa i włożył kurtkę. Jednak kiedy wyszli już na dwór, Megan poczuła, że nastrój jej się zmienił. W jasnym świetle przytulnego pubu i pod czujnym wzrokiem obsługi czuła się pewnie, właściwie – niepokonana. Ollie śmiał się z jej żartów i z uśmiechem słuchał jej opowieści, jego policzki robiły się coraz bardziej różowe pod wpływem, była pewna, radości z wzajemnego zrozumienia. Jednak na zewnątrz, gdy zostali sami, nagle znów stał się obcy, a swoboda, jaką czuła, zaczęła znikać.

Kiedy wyciągnął rękę i próbował ją chwycić, praktycznie ją wyrwała i odskoczyła od niego, wpadając na czyjś krnąbrny iglak.

– Nie gryzę – powiedział Ollie, bardziej rozbawiony niż przestraszony jej dziwnym zachowaniem.

– Wiem. Tylko... – zamilkła.

Ollie przystanął i spojrzał na nią z uwagą, a kąciki jego warg opadły jak rogi smutnego dmuchanego materaca.

– Nie muszę iść do ciebie, jeżeli zmieniłaś zdanie.

Skrzywiła się.

– Nie o to chodzi.

Dotarli już do rogu jej ulicy i Megan zmusiła się, żeby ruszyć dalej, kiwając na Ollego, żeby szedł za nią. Da radę, powiedziała sobie. To nauczyciel, a nie oszalały morderca. Była między nimi chemia, był ciekawy jej i jej pracy. Wydawał się naprawdę miłym facetem, więc, do cholery, co się z nią dzieje?

– Nie ma jak w domu – oznajmiła, przekręcając klucz w zamku i pchnęła drzwi. Od miesięcy się zacinały, ale nigdy nie miała czasu się tym zająć.

– Twoje? – spytał Ollie, gwizdząc z uznaniem, gdy przystanął podziwiać mozaikę fotografii wiszących w ramach na ścianie prowadzącej do kuchni.

– Trafiony, zatopiony – odpowiedziała, wyciągając dzbanek do kawy.

Z jakiegoś powodu wydawało jej się absolutnie konieczne, żeby zaparzyć obiecaną kawę.

– Mogę w czymś pomóc? – Ollie stanął w drzwiach.

– Nie, nie trzeba. Po prostu, eee, czuj się jak u siebie w domu. – Łyżeczka wpadła z brzękiem do zlewu i Megan zaklęła na nią o wiele głośniej i z większym przejęciem, niż było konieczne.

Kiedy przysła do Ollego do pokoju kilka minut później, przekonała się, że wziął jej słowa do serca i siedział po turecku na kanapie, a jego skarpetki nie od pary gryzły się wesoło z patchworkową narzutą.

– Miłe miejsce – powiedział, nie odrywając od niej wzroku, kiedy stawiała kubki na stole i przycupnęła niezręcznie obok niego.

– Rodzice pożyczili mi na wkład własny – wymamrotała, zakłopotana. – Nie jest duże, ale przynajmniej własne.

Ollie otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale z powrotem je zamknął. Wiedziała, o czym myśli: dlaczego wysilają się na grzecznościowe pogawędki teraz, skoro są tutaj? Należało przekroczyć granicę i oboje balansowali na jej krawędzi, jedno czekało na sygnał drugiego. W końcu to Ollie zrobił pierwszy krok – rozplątał nogi i przysunął się do niej, swoim spojrzeniem wzbudzając w niej podniecenie i strach jednocześnie.

Pozwól mu się pocałować, myślała, przyglądając się, jak kawowe fusy tańczą w szklanej komorze. Co niby może się stać?

– Megan?

Odwróciła się i zobaczyła jego twarz dwa centymetry od swojej, znów był na niej uśmiech, a jego wargi były wilgotne z podniecenia. Przez kilka sekund ta intensywność była wręcz trudna do zniesienia, a potem Megan zamknęła oczy.

Był to delikatny pocałunek, ostrożny i nieśmiały, i Megan czuła smak piwa na języku Ollego. Czekała, aż jej ciało zareaguje, aż poczuje, jak przepływa przez nią pragnienie, które uniesie jej ręce i położy na jego plecach. Ale ono nie nadeszło. Za to przychodziły jej do głowy wszystkie możliwe powody, dla których pocałunek to zły pomysł. Przecież obiecała sobie, że poczeka ze związkiem, aż osiągnie to, co sobie zaplanowała. To chyba najgorsza rzecz, jaka może się teraz stać, akurat teraz, gdy jest o krok od tego, żeby stanąć na nogi po tym, jak potraktował ją ostatni facet, z którym się całowała?

Otworzyła ukradkiem oko i zobaczyła Ollego z zamkniętymi oczami i ściągniętymi w skupieniu brwiami. Nie, to nic dobrego. Nie tego chce.

– Przepraszam. – Odsunęła się i wbiła wzrok w swoje kolana.

Ollie wziął oddech, zanim odpowiedział. On, z całą pewnością, poczuł o wiele więcej przy tym pocałunku niż ona.

– Śmierdę piwem? – zażartował, ale jej reakcja była mizerna.

– Po prostu nie wiem, czy mogę – wymamrotała. – Nie chodzi o ciebie, chodzi...

– O mnie? – dokończył, odsuwając się od niej lekko.

– Nie, skąd. O mnie. Z całą pewnością o mnie – zapewniła go.

Ollie przyglądał jej się przez kilka sekund w milczeniu. Mógł wstać i wyjść, grzecznie powiedzieć, że miło ją było poznać, a potem się ulotnić i nigdy więcej jej nie zobaczyć, ale tego nie zrobił. Uśmiechnął się do niej, nalał im obojgu kawy i poprosił, żeby opowiedziała mu o swoich zdjęciach.

Mogli stać się takimi obcymi ludźmi, między którymi zaiskrzyło, przekonani, że pożądanie, które czują, jest czymś więcej i obudzić się następnego dnia pod ciężką kołdrą niezręczności i żalu. Ale tego nie zrobili. Decydując się, że nie prześpi się z Olliem, Megan nieświadomie położyła fundamenty pod coś o wiele ważniejszego: szczerą przyjaźń. Megan wyrwała się z chwilowego transu i zorientowała się, że Ollie zasnął twarzą na stole, ściskając w dłoni pusty kieliszek.

– Chodź. – Trąciła go mocno w udo, aż mruknął. – Pora wracać do hotelu, ty cienki bolku.

Wcześniejszy śnieg z deszczem przymarzył mocno do bruku i Megan mało nie straciła równowagi, gdy skręcali za róg przy Starym Mieście. Ulice tętniły od świętujących wieczory panieńskie i kawalerskie, w gorszym stanie niż ona i Ollie, który teraz był na wpół przytomny, ale nadal dużą część swojego ciężaru opierał na jej ramieniu.

– Zega jesss taki łanyyyy... – wybełkotał jej do ucha, wymachując ręką w górę, gdy niezdarnym krokiem przechodzili obok zegara astronomicznego. Okalały go światła i Ollie miał całkowitą rację – naprawdę ładnie wyglądał. Właściwie każdy zakątek rynku był idealnie oświetlony. – Chocham sie.

– Co?

Odpowiedź Megan poniosła się głośnym echem na cichej ulicy prowadzącej do hotelu. Odpowiedziała, zanim jej mózg zdążył przyswoić słowa, a teraz czuła, że drętwieje z przerażenia.

Kocham cię, to powiedział. Dobra, był naprany jak ten facet z Camden Market, który łązi w kółko z bochenkiem chleba przywiązany do głowy i wchodzi do kubłów na śmieci, ale mimo wszystko, powiedział to.

Albo nie dotarła do niego jej odpowiedź, albo zaniemówił z powodu gwałtowności, z jaką jej udzieliła, bo nie odezwał się więcej ani słowem, kiedy pokonywali ostatnie metry śliskiego bruku i wchodzili po schodach do ciepłej i względnie normalnej atmosfery hotelowej recepcji. Mamrocząc, że musi iść do toalety, Ollie wyprzedził ją, człapiąc, wszedł do baru i ruszył pędem do męskiej ubikacji.

Ollie ją kocha? Nie, jest po prostu pijany. Ale przecież to powiedział. Czyli

dalej coś do niej czuje?

– Megan?

Odwróciła się i zobaczyła Hope, kobietę, którą poznała rano w barze, pijącą coś, co wyglądało jak drink na dobranoc. Obok niej, ściskając coś, co również wyglądało na wysokoprocentowy alkohol, siedziała drobna krótkowłosa dziewczyna, którą widziały rano. Megan pomachała i przywołała na twarz uśmiech, który – miała nadzieję, wyglądał na przyjazny.

– Przysiądziesz się do nas na jednego szybkiego? – spytała Hope, wstając.

– Oj, nie. – Megan pokręciła głową. – Wypiłam już za dużo szybkich, możecie mi wierzyć. I muszę zaprowadzić tego – wskazała na Ollego, który chwiejnym krokiem wychodził z ubikacji – do łóżka, zanim się przewróci.

– To może zjemy razem śniadanie? – wyszczebiotała Hope.

– Jasne.

Ollie znów ją wyprzedził, zataczając się, ona pomachała kobietom, wykrzywiając się za jego plecami dla lepszego efektu.

Na szczęście wszelkie skrępowanie, jakie Megan czuła na myśl o tym, że ma się położyć w łóżku z Olliem, znikło, gdy weszli na górę i bezceremonialnie padł na nie na twarz i natychmiast zasnął. Pomyślała, żeby zdjąć mu buty, a potem zmieniła zdanie, nagle speszona myślą, że miałyby go dotknąć.

Dlaczego z tym wyskoczył? Teraz nie wiedziała już, co on naprawdę myśli, a co gorsza, co do niej czuje. A najgorsze z tego wszystkiego było to, przyznała do siebie dwadzieścia minut później, słuchając w ciemności cichego chrapania Ollego, że jakaś jej cząstka cieszyła się, że to powiedział.

Sophie uklękła i wsunęła głowę pod wodę, zamykając oczy, gdy zalało ją ciepło. Nalała do wanny tak gorącej wody, że serce jej dudniło i spod wody wydawało się nieprawdopodobnie głośnie, jakby dobosz z kapeli mariackich wygrywał solo pomiędzy jej uszami. Poruszyła się lekko, tak że jej nos i usta wynurzyły się spod powierzchni, i nabrała powietrza.

Chłód późnego popołudnia przeniknął ją aż do kości i kiedy wróciła z długiego spaceru do hotelu, szczykała zębami jak jakaś staruszka.

Kościół Świętego Mikołaja, który zawsze był jej ulubionym spośród licznych praskich kościołów, był niemal pusty, kiedy do niego dotarła, ale względną ciszę powitała z radością. Sama wielkość tego miejsca zawsze przemawiała do jej serca i umysłu i kiedy stała przed ołtarzem i patrzyła w odległe zakamarki olbrzymiej, zdobionej kopuły, czuła się mała i nic nieznacząca.

Robin zawsze chichotał, kiedy go tam zaciągała. On był żywiołowy i towarzyski, i zwykle nie czuł się dobrze w spokojnych miejscach, często ogarniała go ochota na wybryki dorosłego nastolatka.

Dziwnie było być tu samą i złapała się na tym, że jej wzrok dostrzega więcej niż zwykle.

Usiadła w jednej z ciemnych drewnianych ławek na przedzie i wpatrywała się w złote cherubiny na pulpicie, z misternie wyrzeźbionymi twarzami lśniącymi w ciemności. Kiedy jesteś z kimś, pomyślała, normalne jest, że starasz się znaleźć rzeczy, które można mu pokazać, nie pozwalasz swoim zmysłom na czysty egoizm. Od tak dawna, jak tylko pamięta, zawsze był z nią Robin i zawsze skupiała się na tym, co by mu się spodobało i co chciałby zobaczyć. Było to dość zwyczajne stwierdzenie, ale Sophie nigdy się właściwie nie zastanawiała nad różnicą, jaką odczułaby, będąc tu bez niego.

Zanim poznała Robina, wszystko robiła sama – często ku rozpaczycy rodziców, którzy narzekali, że wcale jej nie widują. Ale wiążąc się z Robinem, nie straciła swojej niezależności – po prostu stał się jej współnikiem – jej organicznym przedłużeniem. Teraz samotna obecność w tym miejscu była dla Sophie czymś nowym i zmusiła się, żeby czerpać pokrzepienie z otoczenia. W kościele nie było właściwie zakamarka, który nie byłby ozdobiony, a światło, które wpadało przez szyby z witrażami, zamieniało ściany, a nawet powietrze, w pudrowy róż. Było to tak, jakby unosiła się w samym jądrze zachodu słońca, a otaczający blask oszukiwał jej mózg tak, że czuła ciepło.

Oparła się o twardą ławkę i pozwoliła odchylić się głowie, aż widziała fresk, którym pokryty był sufit i spora część ścian po obu stronach kościoła. Było to tyle barw i tyle piękna, że ciężko było sobie wyobrazić malarzy na wysokich

rusztowaniach z pędzlem w dłoni i siłą woli, która pozwalała im dokończyć dzieło. Siedzieli tu, gdzie ona teraz i podziwiali pracę własnych rąk? Zastanawiali się, czy ludzie będą się nią zachwycać wiele wieków później? To pewnie jest jedna z najwspanialszych rzeczy w byciu artystą – to, że zostawia się po sobie coś na świecie, coś, co sprawia ludziom przyjemność i o czym mogą rozmawiać. Była w tym pewna magia.

Niestety, Sophie zupełnie nie miała zdolności artystycznych. Umiała tylko narysować ludka, jeżeli musiała, ale nie miała zielonego pojęcia, jak usiąść i namalować widok z okna sypialni czy twarze ludzi, których kochała. Kilka razy przez te lata rozmawiali z Robinem o tym, żeby zlecić namalowanie ich portretu, ale jakoś nigdy nie było na to czasu. Jak już tu przyjedzie, musi go jeszcze raz poprosić – podobała jej się myśl, że obraz ich dwojga przetrwa i że obcy ludzie w nieznannej przyszłości odkryją portret i będą się zastanawiać, kim byli. Sophie zawsze przybierała tę samą pozę na zdjęciach z Robinem: oczy kierowała na niego, nie w obiektyw, a na twarzy miała szeroki, pełen uwielbienia uśmiech. Takiego portretu chciała. Po ciepłej kawiarni kościół wydawał się lodowaty i Sophie czuła, jak jej pupa powoli zamienia się na ławce w blok lodu. Podniosła się i krętymi schodami weszła na galerię, dysząc lekko z wysiłku i mało nie wpadła na drewnianą belkę przymocowaną na środku podłogi. Praga była pełna takich niezwykłości – jakiś kawałek drewna tutaj, gdzie indziej kamienna płyta – ale wszystkie dodawały uroku temu miejscu. Kiedy się wyprostowała, zauważyła małego starszego mężczyznę, stojącego prosto na galerii. To, że o mało się nie potknęła, wyraźnie go rozbawiło i znów pomyślała, jak bardzo kocha tutejszych ludzi za ich radość.

Do jednego z kamiennych słupów przypięty był znak, żeby nie wychylać się z balkonu i Sophie poczuła, że nogi uginają jej się w kolanach. Nie miała lęku wysokości, ale ciało często ją zdradzało, zamieniając jej kończyny w galaretę na myśl o upadku. Kiedy po raz pierwszy wybrali się do Australii wiele lat temu, Robin uparł się, żeby od razu znaleźć najbliższe miejsce, gdzie można skoczyć ze spadochronem i Sophie do tej pory pamiętała, jak się wtedy czuła, stojąc na środku piaszczystej działki, zerkając przez palce z niepokojem, jak jej świeżo poznany chłopak szybuje w powietrzu. Z całą pewnością umiał trzymać dziewczynę w napięciu.

Starszy mężczyzna, który się z niej śmiał, odkaszlnął i Sophie odwinęła kilka warstw rękawa, żeby spojrzeć na zegarek. Dochodziła szósta, pora, kiedy zamykały się drzwi tego miejsca i czes, żeby wyszła. Uśmiechnęła się do niego i na palcach ostrożnie zesłała ze schodów. Naciągnęła sobie na uszy czapkę Robina i wyszła na mróz. Bum, bum, bum.

Serce nadal łomotało jej pod wodą. Podniosła jedną nogę i palcami odkręciła kran z gorącą wodą. Siedziała tu tak długo, że skóra na palcach zaczęła się jej

marszczyć, ale nie miała ochoty wychodzić. W jej pokoju było zimno i bez Robina czuła się samotnie. Źle jej było w miejscach, w których zwykle tulili się do siebie. Łóżko było za duże, kołdra za ciężka, cisza przytłaczająca. Zakręciła wodę i słuchała nicości, wyteżając słuch, żeby wyłowić choćby najlżejszy szmer. Słyszała kapanie, ciche głosy w oddali, może z telewizji, stłumiony odgłos otwieranych i zamykanych drzwi samochodu, lekki szmer przejeżdżającego tramwaju, a ponad tym wszystkim niepokojący szum absolutnej ciszy.

Poczuła, że na piersiach i rękach zaczyna dostawać gęsiej skórki, westchnęła głęboko i wygramoliła się z wanny. Dokuczliwa ciemność, która czyhała, żeby zakraść się do jej podświadomości, znów wróciła i dobijała się do niej, stukając jak makabryczny dzięcioł. W jednej chwili poczuła, że natychmiast musi wyjść z pokoju i włożyła dzinsy tak szybko, że się potknęła i wpadła na biurko.

Będzie miała kolejnego siniaka. Ostatnio z wielką łatwością wyskakują na jej ciele, jakby jej skóra była skórką miękkiego owocu. Skrzywiła się i przycisnęła palec do ciała, klnąc pod nosem. Potrzebowała rozrywki. Może na dole będą inni goście, z którymi będzie mogła pogadać. Wszystko będzie lepsze niż siedzenie w samotności.

Gdy podjęła decyzję, wzięła torbę i klucz, zatrzasnęła za sobą drzwi z hukiem i ruszyła w stronę schodów.

Nie jestem przekonana, czy truflowe ravioli na drugie danie było dobrym pomysłem.

Hope odwróciła się do Charliego, gdy szli przez most i położyła dłoń na jego brzuchu.

– O nie, zaszkodziło ci?

– Coś mi zaszkodziło. – Charlie się skrzywił i zatrzymał w pół kroku.

Hope chciała powiedzieć, że sam jest sobie winien, skoro był takim idiotą, że jak prosiak musiał zjeść dwie kolacje, ale wyczuła, że nie przyjąłby tego dobrze. Podobnie jak truflowego ravioli.

– Może po prostu za dużo dziś wypileś? – zasugerowała.

– Może. – Nie wyglądał na przekonanego.

– To był bardzo długi dzień – powiedziała, zwalnając, kiedy on zgął się wpół z wyraźnym grymasem na twarzy. – Biedaku. – Hope z łatwością wcieliła się w rolę matki, skakała nad nim i położyła mu rękę na czole, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki. – Temperatury chyba nie masz.

– Jestem zawstydzony. – Charlie zrobił się czerwony. – To miała być romantyczna podróż.

– Zobacz, jak pięknie wygląda Zamek, cały oświetlony – powiedziała, żeby odwrócić jego uwagi. Wskazała Zamek na Hradczanach, który stał dumnie za nimi na szczycie wzgórza, jasnozłoty na tle granatowego nieba.

– Bardzo ładny. – Nie wysilił się, żeby się odwrócić. – Przepraszam, skarbie, muszę wracać do hotelu.

– Jasne. – Hope wsunęła mu rękę pod ramię i szli dalej w milczeniu.

Spędzili taki udany wieczór w restauracji, w miłej atmosferze przy pysznym winie i Hope opowiadała mu o swoich planach. Postanowiła, że musi znaleźć pracę, choćby na część etatu w sklepie. Nie chciała być dla niego ciężarem.

Charlie, jak można było przewidzieć, skrzywił się, kiedy to usłyszał i zapewnił, że niczym nie musi się przejmować, że z radością będzie utrzymywał ich oboje tak długo, jak tylko będzie chciała. To ją powinno uszczęśliwić, ale lekko wyprowadziło z równowagi i skupiła się na jedzeniu do czasu, aż uczucie odpłynęło. Czy on nie rozumie, że ona musi pracować? Chce to robić dla siebie, nie dla niego. Przez wiele lat to mężczyzna zarządzał pieniędzmi, przez wiele lat musiała się zbierać na odwagę, żeby prosić Dave'a o dodatkowe dziesięć funtów, kiedy kończyły się zapasy. Nie miała zamiaru już nigdy do tego dopuścić, nawet jeżeli Charliem kierowały jak najlepsze intencje.

Kiedy dotarli na skraj Starego Miasta i szli ulicą prowadzącą do hotelu, Hope zastanawiała się, co o Pradze pomyślałby jej były mąż. Poważnie wątpiła, że jej

piękno i urok przemówiłyby do niego tak jak do niej, ale nie zawsze był tak niewrażliwy. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy stał się takim człowiekiem, kimś, kto nie był już jej przyjacielem, ale nie potrafiła przedrzeć się przez ciężką kotarę czasu.

Charlie zatrzymał ją w hotelowej recepcji, czerwony na twarzy, z kroplami potu na górnej wardze.

– Będiesz miała mi za złe, jak...? To znaczy, możesz poczekać, aż...?

– Chcesz, żebym tu chwilę posiedziała? – zgadła i poczuła, że łagodnieje, kiedy on z ulgą kiwnął głową. Biedak. – Wypiję sobie coś na sen w barze – zapewniła go, na chwilę kładąc dłoń na jego rękę. – Idź na górę.

Znów kiwnął głową, a Hope przyglądała się, jak człapie powoli jak żołnierz wracający z wojny. Mężczyźni i ich choroby – są naprawdę śmieszni, pomyślała, uśmiechając się do siebie, gdy otwierała drzwi baru.

– O, dobry wieczór.

Drobna dziewczyna z krótkimi włosami, którą widziała rano, siedziała sama przy stole pod oknem, z wypełnionym w połowie kieliszkiem białego wina przed sobą i z nieobecny wyrazem twarzy.

– Dobry wieczór – odpowiedziała cicho.

– Wszystko w porządku, skarbie? – Hope zauważyła cienie pod wielkimi przestraszonymi oczami. – Wyglądasz, jakbyś była daleko stąd.

Dziewczyna pokręciła głową i się uśmiechnęła.

– Bo byłam. To był bardzo długi dzień.

Zjawił się przy nich barman i spytał Hope, na co ma ochotę.

– Mogę? – Hope wskazała krzesło obok dziewczyny, a ta kiwnęła głową. – W takim razie... – Rozpromieniła się do barmana. – Poproszę duży džin z tonikiem.

– Oczywiście. – Oddalił się.

– Moja druga połówka musiała wejść na górę przede mną. – Hope zdjęła płaszcz. – Chyba za dużo zjadł na kolację.

– Gdzie byliście? – spytała dziewczyna. Miała lekki akcent, ale Hope nie mogła odgadnąć skąd. Z bliska była olśniewająco ładna i miała budowę elfa, i Hope właściwie się spodziewała, że pomiędzy łopatkami ma maleńkie skrzydełka.

– O Boże, nie przypomnę sobie teraz nazwy. Te długie czeskie wyrazy płaczą mi się na języku, ale restauracja jest po drugiej stronie rzeki, nad wodą.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Znam ją, Kampa, dość ekskluzywna, prawda?

Hope się zarumieniła.

– Wiesz co, tak! Ale Charlie, z którym tu jestem, chciał mi zrobić przyjemność.

– I słusznie. – Dziewczyna się uśmiechnęła i wypła łyk wina. Miała na sobie

gruby robiony na drutach golf, a podwinięte rękawy ukazywały chude jak patyki nadgarstki. – Jedzenie wam smakowało?

– Hm. – Hope zerknęła w stronę drzwi. – Będę mogła ci powiedzieć, jak się dowiem, co się stało na górze.

Dziewczyna się roześmiała i uniosła ręce w górę.

– Nie potrzebuję szczegółów, naprawdę.

– Tak w ogóle, jestem Hope.

– Sophie. – Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

– Bardzo miło cię poznać. Jesteś sama? – spytała Hope i nieco za późno dotarło do niej, że to pewnie zbyt wścibskie pytanie.

– Tylko przez parę dni. – Napila się wina. – Mój chłopak, właściwie narzeczony, ciągle o tym zapominam, ma tu do mnie przyjechać.

– Gratulacje! – Hope podniosła kieliszek, żeby wznieść toast za zaręczyny. – Domyślałam się, że to świeża sprawa?

– Oświadczył się w zeszłym miesiącu. – Na twarzy Sophie znów zagościła nieobecna mina. – To była zupełna niespodzianka i pewnie dlatego tak mi ciężko oswoić się z tą myślą.

– Było bardzo romantycznie? – spytała Hope. Uwielbiała fajne historie zaręczyn.

Sophie się uśmiechnęła.

– Prawdę mówiąc, niezbyt. Suszyłam włosy, a on był jeszcze w łóżku. Rzucił we mnie poduszką, żeby zwrócić moją uwagę, a ja się odwróciłam, żeby go opieprzyć, a on nagle miał na twarzy bardzo poważną minę.

– Och, przecież to bardzo romantyczne – zapewniła ją Hope. – Ja miałam szampana, kwiaty, muzykę i wszystko, a małżeństwo okazało się totalną porażką.

– Oj, bardzo mi przykro. – Sophie nagle się zatroskała. – Więc ten mężczyzna na górze to nie twój mąż?

– Charlie? Boże, nie! Absztyfikant. – Roześmiała się, a Sophie grzecznie jej zawtórowała, ale w jej oczach nie było widać rozbawienia.

– Mój mąż i ja... mieliśmy problemy od lat. Chyba nawet od zawsze. – Wypiła łyk wina. – Postanowiłam zrobić kurs prawa jazdy, bo wcześniej się na to nie zdobyłam i poznałam Charliego, mojego księcia z białej corsy vauxhall.

Hope nie wspomniała, że jej związek z Charliem zaczął się, zanim zakończyła małżeństwo, ale trudno się było do tego przyznać komuś, kogo dopiero się poznało. Sophie niedawno się zaręczyła i Hope nie chciała psuć atmosfery, przypominając jej, że ludzie się zdradzają.

Nawet jeżeli Sophie przypuszczała, że Hope nie mówi wszystkiego, nie powiedziała tego. Uśmiechnęła się tylko do niej.

– Kochacie się?

Hope kiwnęła głową.

– I tylko to się liczy.

Czyżby? Hope nie była pewna, ale Sophie sprawiała wrażenie szczerzej i nie oceniała jej. Hope z bólem przypomniała sobie o Annette, która patrzyła na nią z taką odrazą, a nienawiść i wściekłość były widoczne gołym okiem, gdy wrzeszczała na matkę, że jest dziwką. I miała rację – Hope zgadzała się z tym, że jej zachowanie było niewłaściwe. Nigdy nie sądziła, że złamie przysięgę, która tak wiele dla niej znaczyła, że stchórzy i wybierze niewierność zamiast przyzwoitości.

Związek z Charliem był jak ostateczny bunt, pierwsza samolubna rzecz, jaką Hope zrobiła w życiu. Pewnie, powinna była zakończyć małżeństwo, zanim związała się z kimś innym, ale wmawiała sobie, że Dave'owi byłoby to obojętne, nawet gdyby się dowiedział – przecież mnóstwo par żyje w otwartych związkach. Ale to było kłamstwo. Nie miała wątpliwości, że Dave nie kocha jej tak jak kiedyś, ale to nie dawało jej prawa do skoku w bok. Próbowwała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby to on był na jej miejscu i gdyby znalazł sobie kogoś innego. Przejęłaby się? Trudno było to teraz stwierdzić, po tym wszystkim, co się stało. Ale wiedziała, że nie kochała Dave'a od bardzo dawna i że siebie też nie kochała. Ale jak miała to wszystko wyjaśnić Annette? Narobiła takiego bałaganu i teraz za to płaciła.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Uśmiechnęła się do Sophie i wypła kolejny łyk wina.

– Po prostu moim zdaniem takie rzeczy się wie. – Sophie dokończyła wino i podziękowała barmanowi, który przyszedł wziąć od niej zamówienie.

– Chyba tak. – Hope zdawała sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie była zbyt wylewna z powodu alkoholu, jaki wypła w ciągu kilku ostatnich godzin, ale nie mogła się powstrzymać. Miło było pogadać z kimś spoza kręgu najbliższych znajomych. Jej mama była zdruzgotana, kiedy odeszła od Dave'a, choć doskonale widziała, jaka jest nieszczęśliwa, i to od dawna, a przyjaciele też jej nie rozumieli.

– Ja kochałam w życiu tylko jednego chłopaka – powiedziała Sophie z rozmarzeniem przesłaniającym jej oczy Bambiego.

– Długo ze sobą jesteście? – spytała Hope, czując, że jej czas na zwierzenia dobiegł końca.

– Dziesięć lat.

– Nieźle! – Hope o mało się nie zakrztusiła. – Poznaliście się w przedszkolu? Sophie się roześmiała.

– Mam dwadzieścia osiem lat!

Hope pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Żartujesz?

– Nie. – Sophie była rozbawiona. – Słowo daję, naprawdę mam dwadzieścia osiem lat. A poznaliśmy się z Robinem tutaj, w Pradze. Oboje podróżowaliśmy z plecakiem po Europie i po prostu do mnie podszedł.

– I dlatego tu jesteś? – Domyśliła się Hope. – To wasza dziesiąta rocznica? Sophie kiwnęła głową.

– Cudownie. – Hope wyciągnęła rękę i ścisnęła ją dziwnie. – W pięknym miejscu się poznaliście.

– Jest bardzo wyjątkowe – przyznała Sophie, palcami błędząc po krawędzi kieliszka. – Wracamy tu z Robinem co roku.

– Kiedy przyleci? – spytała Hope.

– Powinien być za kilka dni – odpowiedziała znów cichym głosem. – Pewnie w niedzielę.

– Ja jestem do poniedziałku. – Hope klasnęła w ręce, zadowolona. – Więc pewnie uda mi się uścisnąć mu dłoń i powiedzieć, jakie ma szczęście, że na ciebie trafił.

Sophie się zarumieniła.

– Mówię poważnie, jesteś piękną dziewczyną o dobrym sercu i duszy. Jak się przeżyje pięćdziesiąt lat, to wie się co nieco o świecie, zaręczam, umiem rozpoznać dobrego człowieka.

Obie podniosły głowę, słysząc skrzypnięcie i w drzwiach pojawiła się twarz Megan, jasnoróżowa od zimna. Chłopak, z którym była, był strasznie pijany i Hope ledwie zdążyła mu się przyjrzeć, zanim wtoczył się za drzwi prowadzące do męskiej toalety. Wcale nie była zaskoczona tym, że Megan nie skorzystała z zaproszenia na drinka – wszyscy mieli za sobą długi dzień.

– To Megan – powiedziała Hope do Sophie, gdy para zniknęła. – Poznałam ją rano, jest bardzo miła.

– Jej przyjaciel jest bardzo pijany. – Sophie zachichotała.

– Skoro o tym mowa... – Hope podniosła pusty kieliszek do ust, usiłując opróżnić go do ostatniej kropli. – Muszę pójść na górę, zobaczyć, co z Charliem. Ale powinnyśmy to powtórzyć.

– Chętnie. – Sophie uśmiechnęła się do niej. Wino dodało jej rumieńców, a Hope poczuła, że ciągnie ją do tej dziewczyny. Matczyny instynkt trudno wyciszyć, powiedziała sobie, wchodząc po schodach. Czuła troskę wobec Sophie, bo tak dawno nie widziała Annette.

Ale, pomyślała, wchodząc do sypialni i jęcząc na widok światła sączącego się spod zamkniętych drzwi łazienki, było w Sophie coś, co sprawiało, że chciała owinąć tę dziewczynę w wełniany szal i ukryć w bezpiecznym miejscu.

Było jeszcze ciemno, gdy Megan skradała się po cichu hotelowym korytarzem i schodziła na dół po schodach. Godzinę temu obudził ją zły sen, po którym była tak rozedrgana, że nie mogła już zasnąć. Ollie padł obok niej, zupełnie nieprzytomny, z otwartymi ustami i lekko metalicznym oddechem od całej wypitej tequili. Zamiast leżeć bez ruchu i wiercić się w desperacji, aż w końcu by go obudziła, wymknęła się ostrożnie spod kołdry, ubrała po cichu, umyła zęby przy świetle telefonu i na palcach obeszła pokój, żeby wziąć ubranie, jak skradający się bohater kreskówki. Plan miała prosty: pójść na most Karola i zrobić kilka zdjęć o wschodzie słońca. Poczowała lekkie ukłucie winy, że będzie go oglądać po raz pierwszy sama, bez Ollego, ale potrzebowała przestrzeni. Poza tym cały czas pamiętała o zbliżającej się wystawie, która kiwała na nią palcem i kazała brać się do roboty. Była bardzo ważna i w dużej mierze od niej zależała jej przyszłość, i samo to sprawiało, że patrzyła na nią jak na tyrana. Była już wcześniej w takim miejscu swojej kariery, przypomniał usłudnie jej umysł. Wszystko miała w zasięgu ręki, aż zabrał to ktoś inny.

Resztki zmęczenia, jakie jeszcze czuła, znikły, jak tylko wyszła na mroźne poranne powietrze. Niebo było ciemnoszare, nie czarne, z obietnicą świtu na obrzeżach. Zawiązała szalik, naciągnęła czapkę na uszy i pewnym krokiem ruszyła przez chrzęszczący śnieg.

Nie miała zamiaru myśleć o tym, co zeszłego wieczoru powiedział Ollie, bo, wiadomo, to nic nie znaczyło. Nawet jeżeli naprawdę chciał powiedzieć, że ją kocha, było to zwykłe, czułe, przyjacielskie wyznanie, dlatego że pomogła mu zaciągnąć pijany tyłek z powrotem do hotelu. Jeżeli wspomni coś na ten temat dzisiaj, obróci to w żart, postanowiła. Powie, że nic takiego nie mówił i że chyba kac płata mu figle. Miała mgliste podejrzenie, że jej koszmar wyzwoliły słowa Ollego, a jeżeli tak, to musi zniechęcić go do mówienia czegoś więcej. Nigdy nie była zbyt wylewna i miała trudności nawet z tym, żeby własnej matce powiedzieć, że ją kocha, nie wspominając o przyjaciółach. Myślała, że Ollie jest taki sam, ale widocznie się pomyliła.

Stare Miasto było puste, sterty śmieci po wczorajszych biesiadnikach ponuro wylewały się z kubłów. Jednak nadal było pięknie. Bogate złoto zegara astronomicznego lśniło w jego światłach, a gotyckie wieże wielkiego kościoła spoglądały na nią z wysokości. Znów poczuła, jak przenika ją historia. Tyle się stało w tym miejscu, a teraz ona po nim spaceruje, tworzy własną ścieżkę w historii. Czuła się przez to bardzo mała, a jednocześnie ważna.

Choć w Pradze była dopiero jeden dzień, już wydawała jej się znajoma i przyjazna, nawet o tej porze, nad ranem, kiedy była praktycznie jedyną osobą na

ulicach. Tak łatwo było się tu poruszać, wystarczyło zerknąć na mapę, żeby odnaleźć drogę przez kręty labirynt uliczek prowadzących na wielką imponującą Staromiejską Wieżę Mostową, która dawniej pełniła funkcję rogatki mostu Karola. Kiedy stanęła na progu, poczuła, że nie jest w stanie zrobić ani kroku dalej – widok był tak niezmierny i tak hipnotyzujący. Nie sięgnęła nawet po aparat, wołała podziwiać widok i czekać na nieunikniony przypływ emocji.

Światło dopiero zaczynało wynurzać palce sponad wody, ponad kamienne krawędzie muru mostu, rozświetlając gęstą mgłę. Ciemne kontury licznych figur na moście ledwie rysowały się w mroku, śmiałe postacie wycinały dziwne dziury w łagodnie opadającej mgle. Megan uklękła na gładkich, obłych kostkach bruku i zaczęła zapisywać tę scenę, palcami wprawnie pieszcząc szorstką obudowę obiektywu, gdy ustawiała go do zbliżenia, a potem znów cofnęła, utrwalając most w pełnym blasku.

Dawno już nie czuła przypływu takich emocji, kiedy obrazy same narzucały narrację, a ona była jedynie narzędziem, które im na to pozwala. Historia była już napisana, wystarczyło ją tylko odkryć. Właśnie w takich chwilach Megan czuła, że jest naprawdę sobą, jakby całym sensem jej istnienia były te zdjęcia, utrwalenie czegoś, co może pokazać innym – najlepiej całemu światu – żeby oni też mogli to poczuć, tak jak ona.

Czy to właśnie to? Czy to możliwe, że inspiracja czekała na nią na tym moście przez cały czas? Im więcej robiła zdjęć, tym bardziej wierzyła, że to możliwe, a gdy mgłę zaczęła rozpraszać niepokonana moc świtu, na horyzoncie pojawiły się kolejne kształty. Był zamek praski, z niewyraźnym, ale królewskim konturem w oddali z prawej strony, a dalej ciemne wieże katedry Świętego Wita. Gdy szła przez most coraz dalej, była w stanie dostrzec nawet zieloną kopułę dachu kościoła Świętego Mikołaja, o którym czytała w przewodniku i nie mogła się doczekać, żeby go zobaczyć. Serce jej łomotało, oddech w zimnym powietrzu wzbijał się jak aureola. Wiedziała, że jest świadkiem czegoś wyjątkowego, czegoś innego niż wszystko, czego doświadczyła do tej pory, i ta świadomość przyprawiła ją o zawroty głowy z podniecenia, jakby była na tyle lekka, że mogła się wzbić i pofrunąć ponad mostem i dołączyć do łabędzi na Wełtawie. Była oszołomiona i to uczucie było miłsze niż wszystko, czego doświadczyła do tej pory.

Do rzeczywistości ściągnął ją dźwięk dzwonów i wyjęła telefon, żeby sprawdzić, która godzina. Była już ósma, spędziła tu półtorej godziny, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Palce piekły ją od zimna i prawie ich nie czuła. Chciała tylko iść dalej, w głąb miasta, bo wiedziała, że czekają tam na nią skarby, ale się zawałała. Nie mogła zniknąć na cały dzień i zostawić Ollego.

Jęknęła z powodu niesprawiedliwości i spojrzała tęsknie na lewy brzeg. Właśnie dlatego przerwała ten pierwszy pocałunek z Olliem kilka miesięcy temu – chłopaki krzyżowali jej plany. Jak może dać się ponieść natchnieniu, skoro trzyma

ją na łańcuchu zobowiązanie i odpowiedzialność? Kiedyś odważyła się uwierzyć, że może mieć jedno i drugie, i jak to się skończyło? Łzami, zazdrością i destrukcją. Nie, jeżeli kiedykolwiek ma odnieść sukces jako zawodowy fotograf, musi poświęcić wszystko. Półśrodki nigdy nie są wystarczające. A poza tym, jeżeli tych kilka ostatnich godzin nauczyło ją czegoś, to właśnie tego, że to uczucie, którego doświadczyła, jak tylko utkwiała wzrok w moście Karola, jest tym, czego chce zaznawać codziennie. Nie mógł z nim konkurować żaden związek, tego była pewna.

Dzwony przestały bić, ale w niosącej się echem ciszy Megan zaczęła słyszeć odgłosy życia, zatraskiwanych drzwi samochodów, podnoszonych rolet i włączanego radia. Praga zaczynała się budzić i magia samotności powoli pierzchała, gdy Megan wracała do Ollego.

– Dlaczego mi pozwoliłaś zamówić tequilę? Dlaczego?

Ollie gadał do niej zza drzwi łazienki, w której siedział, odkąd ona wróciła ze swojej porannej wyprawy.

– Mnie zupełnie nic nie jest – powiedziała radośnie. Nie była to do końca prawda, obudziła się z potwornym bólem głowy, ale zimne powietrze szybko go przepędziło.

– Nienawidzę cię – jęknął, a ona się roześmiała, czując niedorzeczną ulgę, że znów jest buńczuczny, a nie cikliwy.

– Chyba powinniśmy pójść dziś na zamek – krzyknęła, zdejmując golf i zamieniając go na grubszy. – Możemy pójść przez park, spacer dobrze ci zrobi.

– Phi – padła odpowiedź.

– No, ja mam takie plany, twoja sprawa, czy ze mną pójdziesz, czy nie.

Nastąpiła cisza i Megan się zastanawiała, czy trochę nie przesadziła.

– Podobno to ja miałem być szefem? – odezwał się w końcu nie do końca szczerym tonem.

– Ty rządziłeś wczoraj – powiedziała. – Piwo na lotnisku o siódmej rano, tequila w barze...

– Nie wymawiaj tego słowa!

– Tequila, tequila, tequilaaaaaaaa – zaśpiewała z buzią przy drzwiach.

Ollie jęknął i kopnął drewno.

– Schodzę na dół na śniadanie – oznajmiła i schowała aparat do torby, starannie zapinając zamek. – Widzimy się na dole?

– Dobra.

Westchnęła.

– Nie zrzedź, zaręczam, że poczujesz się lepiej, gdy tylko wyjdziemy.

Nie usłyszała odpowiedzi, ale brzmiała jak skrzyżowanie przekleństwa z kolejnym jękiem. Boże, on naprawdę cierpi. Będzie musiała zatroszczyć się o to, żeby poprawić mu humor.

– Dzień dobry!

To była Hope i tym razem był z nią jej chłopak. On też był lekko zielony, zauważyła Megan, podając mu rękę i przysiadła się do nich.

– Sophie poszła po jabłecznik – powiedziała Hope, wskazując bufet, przy którym pochylała się drobna dziewczyna, którą Megan kojarzyła z wczorajszego wieczoru w barze.

– Chyba się do niej przyłączę – powiedziała Megan, z uznaniem wdychając roznoszące się zapachy. – Umieram z głodu.

Charlie cicho jęknął i ścisnął się za brzuch.

– Biedny Charlie, chyba się podtruł wczoraj wieczorem – wyjaśniła Hope, posyłając Megan spojrzenie, które mówiło: wiesz, jacy są faceci. Megan wiedziała i opowiedziała im o Oliem i jego nieprzyjemnej przygodzie z tequilą.

– Żałuję, że nie wypilem tequili. – Charlie się skrzywił. – Z kacem sobie radzę, z nadmiarem jedzenia nie bardzo.

Sophie wróciła z szarlotką i przywitała się z Megan, a potem usiadła. Sztućce wydawały się olbrzymie w jej drobnych dłoniach i Megan zastanawiała się, czy jest w stanie utrzymać na tyle długo, żeby donieść z talerza do ust ciepłe jabłko i kruche ciasto.

– Dobrze – powiedziała Sophie, gdy wzięła do ust pierwszy kęs. Lukier oblepił całą jej górną wargę i Megan zauważyła, że Hope odruchowo wyciąga serwetkę, żeby jej go wytrzeć, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje.

– Masz lukier na twarzy – powiedziała Megan, śmiejąc się z przerażonej miny Sophie, która szybko go oblizwała.

– Już? O mój Boże, taki ze mnie papłoń. Nigdzie nie można mnie zabrać. Tak mówi Robin, twierdzi, że jem jak pies.

– Robin? – spytała grzecznie Megan, dziękując kelnerce, która podeszła do stołu z kawą.

– Jej narzeczony – powiedziała Hope jak dumna matka.

– Aha. – Megan powstrzymała ziewnięcie. – Gratuluję zaręczyn. Przepraszam, niezbyt dobrze spałam.

– Ja też – mruknął Charlie, a Hope i Megan spojrzały na siebie nad stołem. Megan zastanawiała się, czy powiedzieć im o porannej wyprawie na most Karola, ale się zawahała. Na razie chciała zatrzymać to dla siebie.

– Robin jest tu z tobą? – spytała Sophie i natychmiast zauważyła, że uśmiech znikł jej z ust.

– Musiał zostać w domu – odpowiedziała, gmerając widelcem w kałuży resztek bitej śmietany na talerzu. – Przyleci za parę dni.

Kiedy to mówiła, telefon na stole przy niej zaświecił się i Megan dostrzegła zdjęcie mężczyzny ze zmierzwionymi blond włosami i szerokim uśmiechem.

Sophie chwyciła go i zerwała się na równe nogi.

– Muszę odebrać – powiedziała i wymknęła się przez szklane drzwi na dziedziniec.

Megan poszła do bufetu nałożyć sobie jedzenie na talerz – znajdowały się na nim wszystkie możliwe dania śniadaniowe, włącznie z delikatesami, które raczej nie przyszłyby do głowy o tej porze dnia. Rzodkiewka? Serio? Stosy konserwowych ogórków i surówka z kapusty? Były też frankfurterki pokrojone w kawałki i niebudząca zaufania sałatka z makaronem. Czesi najwyraźniej chcieli dogodzić każdemu podniebieniu, nawet tym, którzy gustują w potrawach serwowanych o późniejszej porze. Na szczęście były też jajka, grzanki i olbrzymie ilości szarlotki.

– Chyba umieram.

Odwróciła się do Ollego, który patrzył na półmisek przybranych jajek na twardo i ścisnął krawędź drewnianego blatu.

– Zjedz coś – poradziła. – Poczujesz się lepiej.

Ollie się skrzywił i bezwładnie sięgnął po chleb.

– Jakim cudem ty jesteś taka rozczwierkana? – spytał z naciskiem. – Wypiłaś mniej więcej tyle samo, co ja, a wyglądasz całkiem dobrze.

– Za mną stoi młodość – powiedziała. – Ty jesteś stary, nie zapominaj.

– Trzydzieści pięć lat to nie stary – wymruczał, dorzucając bekon do jajecznicy.

Dołączyli do pozostałych i Megan przedstawiła Ollego Hope i Charliemu. Mężczyźni chyba od razu znaleźli wspólny język, połączeni dolegliwościami i uzalaniem się nad sobą. Sophie nadal stała na dziedzińcu z telefonem przy uchu i obejmowała się w pasie.

– Musi jej tam być strasznie zimno – powiedziała Hope z zatroskaną miną.

– Na pewno wejdzie do środka, jak zmarznie – odpowiedziała Megan, uśmiechając się, żeby ją pocieszyć.

Ollie opowiadał Charliemu o swojej pracy, a Hope skupiła uwagę na mężczyznach, gdy Megan zajęła się śniadaniem.

– Nie wiem, jak ty to robisz – mówił Charlie. – Ja uczę jedną osobę naraz i to wystarczająco trudne. Cholera, jak można sobie poradzić z całą klasą?

– Człowiek się przyzwyczaja. – Ollie wzruszył ramionami. Jego policzki powoli odzyskiwały naturalny kolor, kiedy coś przełknął i Megan obserwowała, jak opowiada pozostałej dwójce o swoich pierwszych dniach pracy jako nauczyciel stażysta, kiedy wysłano go na zastępstwo do drugiej klasy liceum i dzieciaki zamknęły go w szafie.

– Siedziałem tam, aż stróż znalazł mnie o szóstej – powiedział, a Charlie zaśmiewał się do rozpuku. – Proponowałem im nawet, że im zapłacę, żeby mnie wypuścili, ale nie poszli na to. W pewnym sensie byłem pod wrażeniem, ale chciało mi się sikać, więc nie było za fajnie. Po tej akcji stwierdziłem, że

podstawówka to jest to.

– Podziwiam, że w ogóle chciałeś jeszcze uczyć – powiedziała Hope, wycierając oczy serwetką.

– Kocham uczyć – powiedział po prostu. – W dzieciach widzę przyszłość i chcę być jej częścią, chyba stąd czerpię motywację. Nawet jak na mnie klną.

– Szkoda, że mojej Annette nie uczył ktoś taki jak ty – powiedziała Hope. – Miała strasznych nauczycieli przez całą szkołę. Właściwie nigdy się w niej dobrze nie czuła, wolała rozmawiać z ludźmi niż czytać książki. Nic dziwnego, że została fryzjerką. Ale jest szczęśliwa i to najważniejsze.

Megan przypomniała sobie, jak jej rodzice powtarzali to samo, kiedy im powiedziała, że chce studiować sztukę i poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. Na szczęście roztrzęsiona Sophie akurat w tej chwili wróciła do stolika i rozmowa poszła w zapomnienie, bo Hope wstała, żeby nieśmiało ją objąć.

– Oj, skarbie, przemarzaś na kość, chcesz moją kamizelkę?

Sophie pokręciła głową. Szczękała zębami, a palce miała prawie niebieskie.

– Masz. – Ollie podał jej kubek gorącej czekolady, którąś skądś wyczarował.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się do niego, a Megan szybko ich sobie przedstawiła.

– To twój facet dzwonił? – spytał Charlie.

Sophie kiwnęła głową i uśmiechnęła się, pijąc czekoladę.

– Powiedział, kiedy przyjedzie? – spytała przejęta Hope.

– Za kilka dni – odpowiedziała Sophie, opuszczając ramiona, kiedy zaczęła powoli tajać. – Opowiedziałam mu o was, nie może się doczekać, żeby was poznać.

– A my jego – wykrzyknęła Hope.

Megan dalej starała się załapać, o co chodzi, ale uśmiechnęła się krzepiąco do Sophie, zastanawiając się, co pozostali myślą o tym, że jest tu z Olliem, który nie jest ani jej chłopakiem, ani narzeczonym. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z przyjacielem, ale też nigdy do tej pory nie była tak blisko z żadnym facetem. Nie powinno dziwić to bardziej, niż gdyby była tu z dziewczyną, ale z jakiegoś powodu czuła, że to co innego. Kiedy powiedziała Magdzie, że jedzie do Pragi z Olliem, jej przyjaciółka z Polski natychmiast uniosła wymownie brew. Czy Sophie, Hope i Charlie myśleli podobnie? Zakładali, że jest między nimi coś więcej niż przyjaźń?

– Powinniśmy iść – odezwała się do Ollego, który dopił kawę i kiwnął głową. – Może spotkamy się później w barze?

– Na napój bezalkoholowy – dodał szybko Ollie, krzywiąc się i znów rozśmieszając Charliego.

Megan jeszcze raz wymownie spojrzała na Hope, a potem wyszli, a ona niemal widziała pytania pod powiekami. Wracając myślami do czułego wyznania Ollego wczoraj wieczorem, Megan poczuła, że ściska ją w żołądku – biedak musiał być naprawdę pijany, żeby tak je rzucić. A może pora, żeby wyznała mu prawdę na

temat swojej przeszłości i położyć kres temu skrępowaniu, które znów zaczynała czuć.

Problem tylko w tym, że nie wiedziała, od czego zacząć.

Charlie chciał się położyć po śniadaniu, żeby jego żołądek doszedł w pełni do siebie, więc Hope wykorzystwała ten czas, by pomalować paznokcie i przejrzeć telefon – nie czekając na wiadomości od Annette, oczywiście. Wysłała jej wczoraj wiadomość, zanim poszła spać, i każda mijająca minuta bez czegoś poza obraźliwymi słowami łamała Hope serce. Sytuacja wyglądała beznadziejnie, a ona była zbyt smutna, żeby dostrzec ironię.

Zerknęła na Charliego, który leżał w ubraniu na pościeli z zamkniętymi oczami i oddychał powoli i miarowo. Wiedziała, że nie śpi, bo kiedy naprawdę tracił kontakt z rzeczywistością, wydawał z siebie ciche odgłosy posapywania. Nigdy wcześniej nie widziała go takiego spokojnego i niepokoiło ją to. Powinna się odezwać? Spróbować go rozweselić? Kiedy Dave źle się czuł, chciał, żeby go obiegała, przynosiła mu herbatę i zimne okłady na głowę, ale z biednym Charliem nie miała doświadczenia. To jej tylko uświadomiło, jak słabo go zna.

W pewnym sensie było łatwiej, kiedy ich związek był wielką tajemnicą. Czekala na dzień, kiedy jej poczucie winy wydostanie się na powierzchnię i zmusi ją, żeby wyznała, co planuje, ale tak się nie stało, a teraz najbardziej żałowała tego, w jaki sposób jej romans się wydał. Stało się to w najgorszy możliwy sposób i podejrzewała, że to jest jej kara. Zdradzanie męża nie jest niczym dobrym, nawet jeżeli małżeństwo jest martwe jak przejechane zwierzę, ale żeby na gorącym uczynku przyłapała cię własna córka? Cóż, karma cię dopadnie. Nie wiedziała, jak ma przeproszać Annette.

Charlie był tak samo zażenowany jak ona, zwłaszcza że siedzieli wtedy na tylnej kanapie jego samochodu i całowali się bez pamięci. Było to nierozsądne kilka przecznic od drzwi jej domu, ale Hope zakochała się w Charliem jak nastolatka, a to, co przy nim czuła, odbierało jej resztki zdrowego rozsądku. Annette, która wracała do domu po kłótni ze swoim chłopakiem Patrickiem i jak na ironię szła szukać pociechy i wsparcia u matki, zupełnie przez przypadek zerknęła do auta, które mijala.

Hope się krzywiła za każdym razem, kiedy o tym myślała i rozumiała, dlaczego córce trudno pokonać złość. Annette nawet się nie zatrzymała, kiedy jej wzrok napotkał przez szybę oczy Hope, pognęła w stronę domu, żeby powiedzieć ojcu, co zobaczyła. Hope, uziemiona na chwilę przez przerażenie i wstrząs, dogoniła córkę, kiedy słowa wylewały się z jej ust. Dave patrzył tylko na nią gniewnie i kręcił głową, usiłując uspokoić rozhisteryzowaną Annette. To było straszne.

– Chcesz się trochę przejść, skarbie?

Charlie siedział i uśmiechał się do niej z koślawym wyrazem uwielbienia na

twarzy.

– Jasne. – Hope potarła oczy. – Przepraszam, kochanie, byłam daleko.

– Na szczęście nie dosłownie. – Charlie opuścił nogi na ziemię i przeszedł przez pokój. – Cieszę się, że cię tu mam i że mogę cię całować, kiedy tylko chcę.

– Lepiej się czujesz? – domyśliła się.

– Trochę. – Spojrzał na nią z góry. – Ale możesz nade mną skakać, uwielbiam to.

Poszli prosto na most Karola i Hope niemal skakała z radości i z przejęcia. Czowała, jak Praga w nią wnika ze swoim pięknem i nieodłączną magią, która podnosiła ją na duchu. Gdziekolwiek spojrzała, widziała piękny budynek, który sprawiał, że wzdychała, ulicznego klauna, który ją rozśmieszał, albo parę młodych ludzi tulących się pod kocem i obserwujących toczące się życie. To było takie szczęśliwe miejsce i cieszyła się, że uległa jego czarowi.

– Jesteśmy – oznajmił Charlie, kiedy przeszli przez ulicę i znaleźli się pod wielkim łukiem Staromiejskiej Wieży Mostowej. – Witaj na moim moście!

Żart był kiepski, ale Hope była tak ucieszona spacerem, że parsknęła śmiechem.

Szeroki jak jezdnia brukowany most rozciągał się przed nimi kusząco, wypełniony po obu stronach magikami, właścicielami kramów i artystami – wszyscy oferowali portrety na miejscu lub karykaturę. Małe stoliki pełne były świecidełek, ozdób i zdjęć, a na zewnętrznych murach dumnie, w nieregularnych odległościach, stały posągi, przyglądające się potokowi przeciskających się środkiem turystów.

Hope poszukała w torebce przewodnika, ale Charlie położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie zawracaj sobie głowy – syknął pod nosem. – Przyłączmy się do którejś z wycieczek.

– To chyba trochę niegrzeczne?

– Trochę. – Puścił do niej oko. – Ale ja w to wchodzę, o ile się zgadzasz.

Ruszyli najbardziej swobodnym krokiem na przeciwną stronę mostu, gdzie przy dużym posągu kobiety trzymającej na rękach dziecko, otoczonej uwielbiającymi ją mężczyznami, stanęła wycieczka.

– To posąg Madonny, świętego Dominika i świętego Tomasza – wyrecytował przewodnik. – Postawiono go w tysiąc siedemset ósmym roku i ukazuje dominikanów, Madonnę i, jeżeli spojrzą państwo tutaj, także ich symbol, psa.

– Wszyscy wyglądają jak nieźle naprani – wyszeptał Charlie, a Hope pisnęła, rozbawiona. Przewodnik odwrócił się do nich i zmarszczył czoło, zły, że mu przerwano, a Hope szybko się oddaliła. – Dokąd idziesz? – Charlie pognał za nią. – Wydałaś nas, teraz musimy szukać następnej wycieczki.

– Jesteś złym człowiekiem – zbesztła go, chwytając go za rękę.

Szli dalej przez most, zatrzymując się co kilka metrów, żeby podziwiać widoki albo śmiałego gołębia, myjącego się na murze. Na wielu statuach, na głowach i ramionach, siedziały gołębie i Hope złapała się na tym, że bawi ją ich śmiałość.

– Nie byłoby pięknie, gdyby człowiek umiał latać? – powiedziała, patrząc na dwie mewy, które były się w powietrzu o resztki bułki hot doga.

– Wolę być z tobą na ziemi.

Przyciągnął ją do siebie i przez chwilę stali, opierając się o mur na końcu mostu. Hope pomyślała, że mogłaby tu spędzić cały dzień, a jej wzrok wędrował do niezmierzonej mozaiki czerwonych dachów, zegarowych tarczy i wieży, wiekowych kościołów. Wydawało jej się, że otworzyli karty baśni i weszli do środka, i z każdą mijającą minutą coraz bardziej była świadoma swoich zmysłów, które powracały do życia jak stworzenie wybudzone z hibernacji. Owiewające ich powietrze niesło intrygującą mieszaninę zapachów, a jej uszy wychwyciły odległy szmer przejeżdżających tramwajów i szum Wełtawy pod nimi.

Po pewnym czasie Hope złapała się na tym, że jej wzrok przyciąga posąg przed nimi, wokół którego zgromadził się spory tłum. Chwyciła Charliego za rękę, ruszyła przed siebie i znalazła dla nich miejsce niedaleko przewodniczki, która wyraźnie się cieszyła, że ma tak skupionych słuchaczy.

– To statua świętego Jana Nepomucena – oznajmiła i czekała, bo wszyscy wyciągnęli aparaty i zaczęli fotografować postać nad nimi. Święty Jan był odziany w szaty i czapkę, w jednej dłoni miał figurę Chrystusa na krzyżu, a w drugiej wielkie złote pióro. Nad głową aureolę z pięcioma złotymi gwiazdami. Minę miał smutną, ale mądrą i Hope poczuła, że przebiega ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnem.

– To był pierwszy posąg, który znalazł się na moście Karola w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku – ciągnęła przewodniczka. – Święty Jan jest słynny tu, w Pradze, a jego grób znajduje się w katedrze Świętego Wita. – Wszyscy zwrócili głowy w stronę gotyckich wież, wyraźnie widocznych na wzgórzu. – Święty Jan został aresztowany przez króla Wacława w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym trzecim roku i był torturowany – mówiła dalej, a wiele osób z tłumu otwierało szeroko oczy. – Późniejsza wersja głosi, że świętemu Janowi wypowiedała się królowa i że nie chciał wyjawić królowi, co powiedziała. Najpierw poddano go torturom, a później przyprowadzono na most ze skutymi rękami i kawałkiem drewna przywiązany do języka, i został wrzucony do rzeki.

– Jasna dupa – wyszeptał Charlie. – Lekkie barbarzyństwo.

– Legenda głosi, że kiedy poszedł na dno, ukazało się pięć gwiazd, a jego naśladowcy odnaleźli później jego ciało. Obecnie ludzie podchodzą i dotykają posągu na szczęście – dodała, przesuwając się, żeby pokazać cokół. Z jednej strony

znajdowała się tabliczka, ukazująca wrzucenie świętego Jana do rzeki, a płaskorzeźba przedstawiająca jego drobne ciało wypolerowana była na złoto od dotyku wielu rąk. Po drugiej stronie druga tablica ukazuje żołnierza głaszczącego jasnozłotego psa.

Przewodniczka uśmiechnęła się do siebie, gdy tłum ruszył do przodu i każdy po kolei dotykał tablicy. Hope nie mogła przestać wpatrywać się w twarz świętego Jana nad nimi.

– Nie chcecie podejść? – spytała przewodniczka. Cofnęła się o krok, oddalając od reszt grupy, żeby Hope i Charlie słyszeli, co mówi. – Podobno dotknięcie świętego zapewnia szczęście i to, że kiedyś wrócicie do Pragi, ale na tym moście znajdziecie lepszą gwarancję szczęścia.

– Tak? – Hope była w pełni pochłonięta tym, co mówi kobieta.

– Jeżeli przejdziecie przez most po tej stronie, traficie na inny mały obiekt, nie posąg, a ozdobę, która również ukazuje świętego Jana w wodzie – wyszeptwała konspiracyjnie. – Przed nim stoi złoty krzyż oprawiony w kamień. Jeżeli dotkniecie tego krzyża i pomyślicie życzenie, spełni się za rok i jeden dzień.

– Za rok i dzień? – powtórzyła Hope.

Przewodniczka kiwnęła głową, bardzo z siebie zadowolona.

– Nie każdy zna ten sekret – powiedziała i odwróciła się tak, żeby reszta grupy jej nie słyszała. – Mówię o tym tylko niektórym.

– Na pewno pójdziemy go odszukać. – Hope znów czuła buzującą w niej ekscytację. Wiedziała, że ten most ma w sobie coś wyjątkowego, coś, co przeniknęło ją, gdy tylko się na nim znalazła. – Chodź. – Chwyciła Charliego za rękę. – Jeszcze raz dziękujemy – powiedziała przez ramię i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszli.

Nie potrzebowała dużo czasu, żeby znaleźć to, czego szuka. Prostokątna ozdoba była o wiele mniejsza niż posągi i przedstawiała most Karola i świętego Jana Nepomucena w wodzie, z zamkniętymi oczami i aureolą z pięciu gwiazd nad głową. Z przodu, osadzony w kamieniu mostu znajdował się złoty krzyż z dodatkową listwą przez środek, a na końcu każdej listwy znajdowały się gwiazdy.

– To na pewno to! – Zadowolona Hope klasnęła w dłonie. – Czuć tu magię, nie sądzisz?

Charlie się skrzywił.

– Raczej nie wierzę w te wszystkie czary-mary.

Hope sapnęła. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, zachował się zupełnie jak Dave i nie była to miła świadomość. Była przekonana, że Charlie jest przeciwieństwem Dave'a pod wieloma względami, ale może się myliła.

– A jeżeli to prawda? – nalegała. – Warto spróbować.

Charlie znów wzruszył ramionami.

– Ja już mam wszystko, o czym mogłem marzyć, niczego więcej nie

potrzebuję.

– Jesteś kochany – powiedziała i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po policzku.

Kiedy się pochylał, żeby ją pocałować, a jego ciepłe jędrne ciało znalazło się przy jej ciele, wyciągnęła rękę za siebie i w myślach wypowiedziała życzenie.

Praga wydawała się dziś mniejsza.

Może dlatego, że nie było właściwie miejsca, w które nie zajrzeliby z Robinem, a może po prostu z powodu wszechogarniającego wrażenia swojskości. Sophie czuła się tak samo jak wtedy, gdy stała przy oknie swojej sypialni na farmie i patrzyła na wzgórza w oddali. Dokładnie wiedziała, ile kilometrów dzieli ją od horyzontu i ile arów zielono-brązowego patchworkowego pola rozciąga się od krańca farmy do dolnej linii chmur w oddali, ale mimo wszystko czuła, że jest w stanie objąć to wszystko.

Hope i Charlie spytali ją, czy ma ochotę przejść się z nimi na most Karola, ale grzecznie podziękowała. Już wcześniej postanowiła, że chce przyjść tutaj, do parku Letenské Sady, gdzie mogła się napawać widokiem na całe miasto, nie walcząc o miejsce pomiędzy turystami.

Park znajdował się w północnej części Pragi, tuż nad miejscem, gdzie Wełtawa okalała Dzielnicę Żydowską i zagraniczni turyści rzadko się tu zapuszczali, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy pozostałości śniegu z zeszłego tygodnia nadal tworzyły wysokie zaspę na trawie. Wczasowiczów odstraszała też duża liczba schodów, po których trzeba się było wspiąć, żeby dojść na szczyt i Sophie jeszcze teraz czuła, że mięśnie drżą jej z wysiłku.

Przeszła przez ulicę u podnóża wzgórza i weszła schodami prowadzącymi na prawą stronę parku, które doprowadziły ją nieopodal ogromnej czerwono-czarnej rzeźby metronomu, przy którym krzyżowały się wszystkie ścieżki. Sam pomnik nie bardzo ją interesował, bo jej zdaniem był zbyt industrialny, ale miała szczególny powód, żeby tu przyjść. Ostatnim razem, kiedy była w Pradze z Robinem, latem, ponad dwa lata temu, wybrali się do tego parku w niedzielne popołudnie, żeby posiedzieć w ogródku piwnym po wschodniej stronie. Szli tą samą drogą, którą dziś wybrała i kiedy znaleźli się na szczycie, natknęli się na grupę młodych Czechów, podrzucających wysoko adidas, które zahaczały o cienką linkę rozciągniętą od metronomu do pobliskiego drzewa.

Robin zaśmiewał się do rozpuku, kiedy patrzyli, jak para za parą leci w powietrze i zaraz ląduje na ziemi, o włos omijając głowy wesółych właścicieli. Ktoś przyniósł ze sobą radio i atmosfera była tak radosna, że nie sposób było się jej nie poddać. W prawdziwie czeskim stylu po chwili jeden z nastolatków podszedł do Sophie i Robina i zaprosił ich, żeby przyłączyli się do zabawy.

– Chyba powinniśmy dorzucić nasze buty – powiedział Robin, chwytając ją za rękę. – Chodź, będzie fajnie.

– Jesteś stuknięty – powiedziała Sophie, pokazując swoje buty. – Mam ze sobą tylko tę jedną parę. Nie mam zamiaru przez następne dni chodzić w samych

skarpetkach.

– Kupisz sobie nowe.

– Nie mamy kasy, mądralo. A poza tym to nowiutkie converse’y, nie ma mowy, żebyś wrzucała je na jakiś sznurek, nie wiadomo po co. Nawet dla ciebie – dodała, bo widziała, że robi tę niedorzeczną minę, jak zawsze, kiedy chciał postawić na swoim.

– Popsuj zabawa. – Roześmiał się i pochylił, żeby ją pocałować, a potem wstał. – Możesz być nudziarą, jak chcesz, ale ja w to wchodzię.

I zrobił to. Zdjął stare znoszone adidasy, związał sznurówki, zmarszczył czoło w skupieniu, upewnił się, że supeł trzyma, a potem ustawił się pod sznurem.

– Wierzysz, że wrzucę je za pierwszym razem? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Nie mam żadnych wątpliwości.

Czescy nastolatki zaczęły klaskać i dopingować Robina, który ustawił się w rozkroku, przyciskając białe stopy do kamiennej posadzki.

– Na trzy! – krzyknął, a wszyscy zaczęli odliczać.

– Trzy... dwa... jeden... Rzut! – krzyknęła Sophie, całkowicie pochłonięta, nie spuszczać wzroku z twarzy swojego chłopaka, który ze zmarszczonym czołem, mrużąc oczy, ugiął nogi w kolanach, wyciągnął ręce i wyrzucił buty wysoko w powietrze.

Przez kilka sekund wszyscy wstrzymywali oddech, a potem rozległy się gromkie brawa. Udało mu się: wrzucił jedyną parę butów na sznur, zahaczyły się i zawisły za pierwszym razem.

Wrócił truchtem do Sophie, żeby dostać od niej buziaka w nagrodę, śmiejąc jej się w usta, gdy nastolatki po kolei podbiegali, żeby poklepać go po plecach.

– Mój chłopak, bohater. – Uniosła brew.

– Nikt nigdy nie powie, że nie jestem ekspertem w rzucaniu – stwierdził. – Jeżeli wszyscy rzucający na świecie chcieliby wybrać swojego króla, chyba sprawdziłbym się w tej roli doskonale.

– Idiota. – Sophie dźgnęła go w żebra, ale Robin nie skończył.

– Gdybym nie odbierał telefonu, przyjmij do wiadomości, że doskonale gdzieś sztukę rzucania – powiedział. – Niektórzy są urodzonymi rzucającymi, i jestem dumny, że mogę nazywać się rzucającym!

– Zamknij się! – Wskoczyła na niego i próbowała go zmusić, żeby przestał gadać, zakrywając mu dłonią usta, ale on ją po prostu ugryzł.

– Au! – Roześmiała się. – Obiecuj, że przestaniesz wypowiadać słowo: rzucać.

– Ale rzuca się między innymi po to, żeby ktoś cię dosiadł.

– Robinie Palmer, jesteś bardzo niegrzeczny! – zbesztła go, ale nie ruszyła się z jego kolan. Lubiła tak siedzieć, mieć go między udami, znajdować się na

idealnej wysokości do pocałunku. Robin chyba wyczuł lekką zmianę nastroju, położył dłoń na jej talii i chwycił ją za pupę.

– Od tego całego rzucania zachciało mi się pić – wymruczał.

– Mnie też – przyznała. – Chyba musimy znaleźć ogródek piwny.

– Powinniśmy. – Spojrzał w dół na swoje spodenki, a potem w górę, w jej oczy. – Jeśli szybko nie zejdziesz, stracę resztki panowania nad sobą, których nie zostało wiele, a są tu dzieci.

Zachichotała i zsunęła się na ziemię po jego kolanach, odwracając wzrok, kiedy poprawiał spodenki i wstawał.

Pomachali grupie miejscowych, którzy nadal próbowali wrzucić swoje buty na sznur i poszli w głąb parku. Robin objął Sophie i się pochylił.

– Myślisz, że gdzieś w parku jest sklep z butami?

To był taki wesoły dzień, a kiedy kupili piwo, siedzieli kilka godzin na trawie i gadali o wszystkim i o niczym, o planach na przyszłość i o dawnych przygodach. Sophie uplotła wianek ze stokrotek i położyła go starannie na jasnej czuprynie Robina, a on z kolei wywołał jej pisk, grożąc, że wsadzi jej do buzi swój wielki ubłocony paluch.

Dziś park wyglądał zupełnie inaczej – z drzewami odartymi z liści przez niepohamowane lodowate palce zimy i trawą przykrytą śniegiem. Ale buty Robina nadal wisały, poczerniałe od deszczu, ale nie można ich było pomylić. W końcu, pomyślała Sophie z uśmiechem, kiedy stała i na nie patrzyła, kto inny nosiłby adidas w kwiaty i nie wyglądał jak wariat?

Opuściła metronom i wiszące buty i ruszyła ścieżką wzdłuż pawilonu. Była tu kawiarnia z tarasem z widokiem na miasto, ale kiedy podeszła, przekonała się, że nie widać przy niej żadnych oznak życia.

Nie przejęła się, właściwie cieszyła się, że ma widok tylko dla siebie.

Pogoda nie była dziś najlepsza – gęste szare i białe chmury zasłaniały słońce, a uporczywa mżawka sprawiała, że wszystko pachniało wilgocią i stęchlizną. Jednak niewiele rzeczy mogło odwrócić jej uwagę od piękna tego widoku i stała, pozwalając oczom upajać się każdym szczegółem. Widać było most Karola, tak różny od pięciu innych, które widziała, z posągami stojącymi jak figury szachowe na tle szarego nieba. Widziała stąd zamek i wieżę widokową na szczycie wzgórza Petřín. Na wschodzie dostrzegała futurystyczny zarys telewizyjnej wieży Zizkov, tak niezwykły, a jednak tak znajomy, a po drugiej stronie Wełtawy, dokładnie na wprost, przeżyły się wieże Starego Miasta. Znów miała wrażenie, że miasto się wokół niej kurczy.

Nie była w stanie zrozumieć, jak może się czuć przytłoczona tu, na wzgórzu, wśród takiej przestrzeni, ale patrząc na znajome pejzaże, czuła ciężar na piersiach. Czuła się tak, jakby ktoś sięgnął do jej wnętrza i ścisnął ją za serce, i zamknęła oczy, nabierając powietrza, aż poczuła, że serce znów zwalnia. Nie przejmując się

tym, że ziemia jest mokra, pozwoliła kolanom zgiąć się i opaść na beton, oparła głowę o metalowe szczeble tarasu, a przed oczami tańczyły jej ciemne plamy. Jej mózg zamienił się nagle w roztopiony wosk, a serce w rozbity kamień. Powinna być przerażona, ale czuła dziwny spokój. Skupiła się na oddechu, liczyła przy każdym do czterech i obserwowała, jak krople stopniałego śniegu spadają z gałęzi drzew na ziemię.

– Jeszcze tylko parę dni – wyszeptała. – Niedługo.

Czuła, że dżinsy przemakają jej od śniegu i zmusiła się, żeby wstać. Nogi jej drżały, gdy powoli oddalała się od panoramy i wracała do parku.

Dlaczego nie pojechaliśmy tą kolejką?

Megan westchnęła.

– Bo wcale nie jest taka fajna.

Ollie przewrócił oczami.

– Skąd wiesz? Przecież nigdy nie jechałaś.

– Byłam na Docklands Light Railway i to wcale nic fajnego. Poza tym pomyślałam, że z twoim kaczem lepiej się przejść.

– I?

– I co?

– Z tobą zawsze jest jakieś i, panno Spencer. Dalej, mów.

– Dobra, dobra. I chcę porobić zdjęcia na moją wystawę. Zadowolony?

– Tak. Ale zimno mi w nogi. I wydaje mi się, że w jednym bucie mam dziurę.

Megan spojrzała na przemoczone adidas Ollego i się roześmiała.

– Dlaczego nie zabrałaś odpowiednich butów, głupku? Mówiłam ci, że tu pada śnieg.

– Ale w mieście wcale nie ma śniegu – mruknął Ollie i rozejrzał się dookoła po przysypanej śniegiem trawie na wzgórzu Petřina. – Nie wiedziałem, że będziesz mi kazała łązić po czymś takim.

Megan, zadowolona z siebie, bo stopy miała przyjemnie otulone butami z kożuszką, zeskoczyła ze ścieżki na trawę i kopnęła wielką kupę śniegu w stronę Olliego.

– Bardzo dojrzałe – powiedział z przekąsem, wycierając nos czubkiem rękawiczki i zdjął okulary. – Wiesz, co zrobiłaś, prawda?

Megan się roześmiała i przeskoczyła dalej w śnieg, cofając nogę, żeby kopnąć w niego kolejną porcję, ale w ostatniej chwili się zatrzymała, bo Ollie się skrzywił i uniół ręce, żeby osłonić twarz.

– Co ci się stało? – szydziła. – Boisz się odrobiny śniegu, panie Morris?

Ollie nie ruszał się przez sekundę czy dwie, tylko stał i patrzył na nią wzrokiem, była pewna, zarezerwowanym dla najbardziej niegrzecznych dzieci w klasie, a potem nagle rzucił się do przodu i nabrał dwie garście śniegu. Zanim zdążyła się połapać, co się dzieje, pociągnął ją za tył kurtki i szalik i wsypał jej za kołnierz całą zawartość dłoni.

– Aaaa! – wrzasnęła, tańcząc wkoło. – Mam go w majtkach! – Uniosła pięść, ale zupełnie chybiła. Ollie opierał obie dłonie na kolanach i zanosił się od śmiechu, aż policzki zrobiły mu się różowe. – Zabiję cię! – wściekała się, ulepiła swoją śnieżkę i puściła się za nim ścieżką. Niestety, nie zauważyła dużej plamy

czarnego lodu i po chwili leżała na plecach bez tchu, a śnieżka, którą miała dla Ollego, rozsypała się jej na twarzy.

– Cholera! – Ollie wrócił biegiem i uklęknął przy niej. – Nic ci nie jest, Meg?

– Nie – warknęła, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu, co nie było łatwe, bo brakowało jej tchu.

– Poleciałaś jak worek gów...

– Nie kończ – warknęła. – Podnieś mnie.

Zrobił, co mu kazała i podciągnął ją na nogi, i zaraz wypuścił jej dłoń, kiedy nie musiał jej już trzymać.

– Proszę. – Podniósł garść śniegu. – Możesz się na mnie zemścić. Dalej, wrzucaj w spodnie, nie będę się bronił.

– A co w tym fajnego? – wymruczała, ale wzięła śnieg i obsypała mu głowę.

– I pomyśleć, że przejmowałem się jedną zmarzniętą, przemoczoną stopą – powiedział Ollie, mrugając, kiedy częściowo roztopiony śnieg spływał mu po twarzy i okularach.

– Masz rację – jęknęła Megan, rozcierając pupę i wznosząc w duchu modlitwę dziękczynną, że Ollie zaoferował się wcześniej, że będzie niósł jej aparat na wzgórze. Gdyby się przewróciła i zniszczyła... Nie miała odwagi o tym pomyśleć. – Chyba powinniśmy byli wjechać cholerną kolejką.

Ollie się skrzywił.

– Nie bądź taka – powiedział i rozpiął jej torbę. – Masz, zrób parę zdjęć, to ci zawsze poprawia humor.

Jak zwykle miał rację i nawet skakał po śniegu i robił głupie miny, żeby ją rozbawić.

– Te są NNF, dla jasności – ostrzegł, wychylając głowę zza drzewa i skrzywił się jak gargulec.

– NF co? – spytała, ustawiając obiektyw na zbliżenie.

– NFF: Nie na facebooka. Tak teraz gadają wszystkie dzieciaki.

– Jestem przekonana, że nie wszystkie – powiedziała. Wiedziała, że to prawda, bo ona korzystała z niego cały czas, a jest pewnie najbardziej na bakier z trendami na ziemi.

– Ta wieża Eiffla ciągle jest daleko – powiedział Ollie, zmieniając temat i wyjrzał spoza poskręcanych gałęzi na miejsce, gdzie nad wzgórzem górowała wieża widokowa.

– Jest dość wysoka – powiedziała Megan. Nogi ją piekły, a plecy nadal bolały od upadku, ale nie miała zamiaru przyznać się do tego Ollemu, który się prawie nie spocił, odkąd wyszli rano.

Przez chwilę szli pnąc się łagodnie w górę ścieżką, a Megan od czasu do czasu zatrzymywała się, żeby zrobić zdjęcia. Tak przyjemnie było być w

prawdziwym śniegu. W Londynie nie padał od lat, a uwielbiała to, że spowijał wszystko jak świeże płótno. Nijaki brązowy las nagle zamieniał się w magiczną baśniową krainę, cieknąca z rynien woda przeobrażała się w sople lodu, a niebo było rozmyte i czyste, jakby ktoś zarzucił na słońce pokrowiec.

Nie na wszystkich zdjęciach, jakie robiła, były widoki – robiła też mnóstwo zdjęć Ollemu, kiedy nie pozował. Wyglądał o wiele lepiej, kiedy się pochylał, żeby się przyjrzeć niedziałającej fontannie albo wytropił kępkę kwiatów, niż wtedy, kiedy starał się wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Na niektórych zdjęciach był naprawdę przystojny, ale nie miała zamiaru mu tego powiedzieć.

Po jakimś czasie dotarli do bardzo długich i bardzo stromych kamiennych schodów przykrytych warstwą śniegu, który wyglądał na niebezpiecznie śliski. Megan i Ollie spojrzeli na siebie.

– Myślisz, że to jedyna droga na górę? – spytał, zerkając na mały brązowy znak, który wyraźnie wskazywał, że wieża widokowa naprawdę znajduje się na końcu tej śmiertelnej pułapki.

– Hm... – Megan zastanawiała się nad pytaniem. – Możemy wrócić na dół i wsiąść jednak w kolejkę, ale to pewnie potrwa wieki.

– Eee. – Ollie pokręcił głową. – Będzie dobrze. Jest poręcz. Idź pierwsza, a jakbyś się znowu przewróciła, to cię złapię.

– Mój ty bohaterze – zażartowała, posyłając mu buziaka.

Ruszyli pod górę pewnym krokiem, a początkowe skupienie przerodziło się szybko w śmiechy, kiedy ślizgali się na lodzie jak para pijaków. W połowie drogi pod górę schody się kończyły i zamieniały w gładkie, strome podejście. Ollie i Megan musieli przystanąć, żeby się zaśmiać, gdy para młodych Włochów przemknęła obok nich na pupach, wrzeszcząc histerycznie i trzymając się za ręce, próbowali nawzajem utrzymać się na ścieżce.

– Jeszcze gorzej utrzymać równowagę, gdy się człowiek śmieje – krzyknął Ollie, odwracając się i zobaczył, że Megan wpada bezradnie na drzewo. – Już wiem, dlaczego tak jest zabawniej niż kolejką.

– Nie rozśmieszaj mnie! – odkrzyknęła, zaśmiewając się, kiedy prawa noga Ollego wysunęła się spod niego tak, że musiał wykonać taniec na lodzie, żeby się nie przewrócić. Nogi i ręce Megan zaczęły jej drżeć ze śmiechu i była o krok od tego, żeby stanąć na czworaka i wczołgać się pod górę w ten sposób, gdy dotarli do kolejnych schodów.

– Mam dość cholernych schodów – wyjęczał Ollie dowcipnie, klepiąc ją po plecach, kiedy w końcu go dogoniła. Dyszała z wysiłku, ale czuła się dobrze. Uwielbiała spacerować, wdychać czyste powietrze do płuc i upajać się pięknem wokół nich. – Spójrz. – Ollie ją wołał, a kiedy do niego podeszła, wskazał dół cienkiej metalowej poręczy, przyczepionej do ściany schodów.

Czerwona kłódka była taka mała, że łatwo mogliby jej nie zauważyć, i

Megan pochyliła się, żeby się jej przyjrzeć.

– Jest coś na niej napisane – powiedziała. – Zaraz.

– Myślisz, że jest jak te na moście w Paryżu? – spytał Ollie. – Zakochani je podpisują i przyczepiają na szczęście?

– Jest na niej R&S – powiedziała. – I serce narysowane dookoła liter.

– R&S? – Ollie zastanawiał się przez chwilę. – Zaraz, czy ta cała Sophie nie mówiła, że jej chłopak ma na imię Robin?

– Chyba tak. – Megan wstała. – Myślisz, że to ich? Wydaje mi się, że mówiła, że przyjeżdżają tu od lat.

– Wątpię. – Ollie się pochylił, żeby się przyjrzeć. – Na świecie jest na pewno mnóstwo par, których imiona zaczynają się na R i S.

– Ale byłoby miło, gdyby to była ich kłódka, prawda? – powiedziała, znów kucając, żeby zrobić kilka zdjęć.

– Prawda – przyznał, a Megan przez chwilę się wydawało, że powiedział to niemal z zazdrością. Czy tylko udawał, że nie jest beznadziejnym romantykiem, o co podejrzewała go Megan? Nigdy nie narzekał, kiedy się upierała, żeby obejrzeł *P.S. Kocham Cię* po raz trzeci z rzędu w skacowaną niedzielę. Cholera, przyłapała go nawet na tym, że płakał, jak oglądał go pierwszy raz, chociaż twierdził, że coś mu wpadło do oka. Nie, była prawie pewna, że Ollie jest właśnie takim typem człowieka, który zostawiłby kłódkę na jakimś odludziu i wierzył, że coś oznacza. Czyżby to pierwsze odrzucenie, jakiego od niej doświadczył na samym początku, sprawiło, że bał się być sobą? Megan miała nadzieję, że tak nie jest.

– Chodź – powiedział Ollie, wstając. – W takim tempie cały śnieg stopnieje, zanim wejdziemy na wieżę.

Odwrócił się, postawił jeden mokry but na pierwszym stopniu, ale noga zaraz się mu ześlizgnęła.

– Trzeba mieć nadzieję – powiedziała i ruszyła za nim niepewnie w górę.

Z oddali wieża widokowa wydawała się o wiele wyższa, niż kiedy się stało tuż pod nią, ale Megan zauważyła, że pewnie dlatego, że wygląda dokładnie tak jak górna część wieży Eiffla i to monstrualna.

Zapłacili po dziewięćdziesiąt koron każde, czyli mniej więcej po trzy funty i ruszyli powoli, w przypadku Megan ociężale – pod górę, niekończącymi się metalowymi schodami na szczyt. Ollie chyba myślał, że widok odebrał jej mowę, ale tak naprawdę nie była w stanie się odezwać, bo była taka zziębnięta.

– Widzisz! Warto było się piąć po tych schodach – oznajmił triumfująco, z przejęciem wskazując wszystkie charakterystyczne miejsca, które rozpoznał w mieście poniżej. – To most Karola, patrz. Widać wszystkie posągi. I znów ta dziwna wieża telewizyjna, ta z niemowlakami, i patrz na ten kościół.

– Jezu, chłopie, myślałam, że ta cała wspinaczka jest wyczerpująca, ale na tobie chyba nie zrobiła wrażenia.

Ollie wyduł wargi.

– Jestem przejęty.

Megan wyjęła aparat z torby i zaczęła go ustawiać, dobierając odpowiedni obiektyw z trzech, które zabrała. Kiedy Ollie rozmawiał ze starszą parą, która wyłoniła się ze schodów, na pierwszy rzut oka o wiele mniej zmęczona niż Megan parę minut temu, ona ukradkiem zrobiła mu jeszcze kilka zdjęć z profilu. Z tym obiektywem udało jej się utrwalić pory na jego skórze i różowy ślad, jaki okulary odcisnęły mu na nosie. Uśmiechał się, słysząc coś, co przed chwilą powiedział mężczyzna, a ona obserwowała przez wizjer, jak wokół jego oczu i ust pojawiają się zmarszczki od uśmiechu. Zorientowała się, że robi zdjęcia, dopiero gdy obiektyw zrobił półobrót, a ona zaklęła pod nosem.

– No, no. – Ollie stanął za nią. – Powietrze jest tu wystarczająco ostre, żebyś musiała jeszcze siarczyście kląć.

– Mam – powiedziała, oddychając z ulgą, kiedy aparat znowu ożył.

– No to może po tym wszystkim miałabyś ochotę przejść się do labiryntu luster?

Nienawidziła luster bardziej niż kijów do selfie, czyli bardzo.

– Nie mam najmniejszej ochoty.

– Ej, daj spokój, marudo. Tamta starsza para przed chwilą była i mówili, że jest zarąbiście. Naprawdę użyli słowa zarąbiście, więc chyba rzeczywiście musi być tam wyjątkowo.

Wyglądał jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek.

– To cię będzie kosztować.

– Ile? Dam wszystko!

– Kolacja wieczorem – powiedziała, uśmiechając się szelmowsko, kiedy zaczął kiwać głową energicznie jak wściekły gołąb. – I mówię o kolacji z prawdziwego zdarzenia, nie jakiejś kiełbasie z jarmarku.

Zasalutował.

– Co tylko chcesz, chociaż kiełbasa jest naprawdę dobra. Nie wiesz, co tracisz.

– Wierzę ci na słowo – odpowiedziała, przysunęła aparat do twarzy i skierowała na niego obiektyw.

Czas spędzony z Olliem był taki beztroski, pomyślała, obserwując, z jaką serdecznością podszedł znów do starszej pary i pochylił się, żeby pokazać im coś w przewodniku. Kobieta zdjęła rękawiczki, żeby przewrócić kartki, a skóra na jej dłoniach była przezroczysta. Przez obiektyw Megan widziała pajęczce fioletowe linie żył, okrążające płamy wątrobowe i sękate ścięgna. Megan wiedziała, że wiele jej znajomych chorobliwie boi się starości. Cholera, niektóre wstrzykiwały sobie nawet botoks, choć żadna się do tego nie przyznawała, co było niedorzeczne. Starość była częścią życia, mówiła im Megan, i jej zdaniem było w niej tyle samo

piękna, co w młodości.

Rozmyślała nad tym, wciskając wyzwalacz i utrwalając wizualną narrację pędzących myśli. Praga była doskonałym przykładem czegoś, co z pewnością jest stare, ale dzięki temu tym piękniejsze. Gdyby tylko ludzie byli w stanie dostrzec fascynującą opowieść kryjącą się pod zmarszczkami na czyjejs twarży, tak jak potrafią patrzeć z zachwytem na wiekowe zabytki. Świat byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby wszyscy na chwilę się zatrzymali, zastanowili i wysilili – docenili wygląd i pomyśleli o życiu, które jest za nimi, a nie przed nimi.

Rozmawiała kiedyś na ten temat ze swoim byłym. Andre prychnął w ten swój wkurzający sposób, jak zwykle, lekceważąc jej spostrzeżenia, jakby oganiał się od bezpańskiego psa, zebrzącego o jakiś kęs. On też był fotografem, ale nie postrzegał piękna w ten sam sposób co Megan. Dla Andre prawdziwe piękno zawierało się w doskonałości, a jego praca była tego świetnym przykładem. Nie interesowały go historie ukryte w twarzach, tylko to, jak wyglądały na jego zdjęciach.

Megan westchnęła głośno i opuściła kamerę na piersi. Wiatr gonił się sam ze sobą na szczycie wieży, wbijając swoje lodowate palce we wszystkie otwory i szczypiąc ją w odsłonięte policzki. Słyszała, gdy się skupiła, cichy świst, który niósł ze sobą mnóstwo innych dźwięków – stukot tramwaju na szynach, śpiew samotnego ptaka, muzykę w oddali i, oczywiście, głos Ollego. Wiatr przynosił także ten głos, a ona czuła, jak rozgrzewa jej wnętrze.

Jego przyjaźń stała się dla niej tak ważna, ale najbardziej lubiła jego towarzystwo. Przyzwyczaiała się do jego zapachu, widoku i do tego, jak się przy nim czuła. Zupełnie inaczej niż przy Andre. Przy swoim byłym zawsze uważała, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, żeby nie uszkodzić tej kruchej półki, na której niebezpiecznie balansowała ich dziwna więź. Przy Olliem mogła mówić wszystko, być sobą, a on lubił ją i tak. I zależało mu na niej, prawda? Powiedział to.

Nawet teraz na myśl o tych głupich wypowiedzianych po pijaku słowach Megan czuła się niezręcznie. Jasne, może ją kochać jak przyjaciółkę, wiedziała o tym, ale nie wiedzieć czemu te słowa ciążyły Megan jak wór z kamieniami. Przyjaźń niosła ze sobą mniej oczekiwań niż miłość, była bardziej pojemna i nie zdradzała tak okrutnie, jak kiedyś została zdradzona Megan. Jednak mimo wszystko złapała się na tym, że jej nogi obeszły wieżę, aż znalazła się przy Olliem. Był pogrążony w myślach, wzrok miał utkwiony w horyzoncie, a w kąciку warg błąkał się nieśmiały uśmiech. Megan bardzo powoli zrobiła krok do przodu i delikatnie oparła głowę na jego ramieniu.

Ze wszystkich toalet w Pradze wybrała oczywiście tę, w której nie było papieru. W zasadzie powinna się cieszyć, że weszła do niej tylko po to, aby się rozpłakać, ale fakt ten niestety nie poprawił jej samopoczucia.

Annette przynajmniej odpisała. Hope zerknęła na telefon, który trzymała w dłoni, chociaż wiedziała, że spowoduje to tylko kolejną lawinę uczuć.

„Nigdy więcej nie chcę z tobą rozmawiać. Zostaw mnie w spokoju”.

Jej słodka i kochająca córka nigdy dotąd nie powiedziała ani nie napisała do niej nic tak okrutnego. Hope poczuła, jak jej serce rozsypuje się na tysiące kawałków.

Wiedziała, że powinna odpisać, ale po raz pierwszy, odkąd ponad dwadzieścia lat temu urodziła córkę, nie wiedziała, co ma jej powiedzieć. Niestety przytłaczało ją i nie pozwalało jej jasno myśleć. Jeszcze nigdy nie zaznała takiego bólu.

A tam czekał na nią dobry i kochany Charlie, który przywiózł ją w to magiczne miejsce. Była nieszczęśliwa, wiedząc że zrujnowała ich wycieczkę swoimi łzami, ale bardziej gryzło ją to, że nie była z nim do końca szczerą. Wiedziała, że powinna pozwolić mu się pocieszyć, ale z jakiegoś powodu nie mogła się przełamać.

Kiedy się wreszcie pojawiła, Charlie był dla niej tak uprzejmy i uważny jak przez ostatnie tygodnie.

– Jakbyś zapadła się pod ziemię. Już zaczynałem się martwić.

– Och, no wiesz – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Była kolejka, a musiałam poprawić makijaż.

– Jesteśmy tutaj sami – zauważył ostrożnie. Rzeczywiście, oprócz dziewczyny za barem, która pełniła funkcję kelnerki, hosstessy, barmanki i szefa jednocześnie, byli jedynymi klientami w lokalu.

– Chodzi o Annette? – zapytał, przytulając ją mocno.

– Przepraszam – wyjąkała, szlochając. – Właśnie dostałam od niej wiadomość... i, i, i...

Charlie ujął jej twarz, aby się uspokoiła.

– Napisała, że nie chce mnie więcej widzieć. Mam ją zostawić w spokoju. Jak mam to niby zrobić? Jestem jej matką.

– Oczywiście, że jesteś – potwierdził uspokajająco, kiwając na kelnerkę, która niepewnie pojawiła się przy ich stoliku. Wpadli na to miejsce zupełnie przypadkiem, zwiedzając sąsiednią uliczkę, która prowadziła do kościoła na Starówce. Do drzwi przyciągnął ich jazz oraz zapach grzańca, a kafejka urzekła małymi drewnianymi stolikami, mnóstwem poduszek i lustrami wiszącymi na

ścianach i suficie. Kiedy Hope odkryła, że może tu napić się angielskiej herbaty podanej w odpowiedniej filiżance z idealnie dopasowanym spodkiem, była zachwycona.

– I co ja mam teraz zrobić? – wymamrotała, patrząc na odbicie swojej zapłakanej twarzy w jednym z luster.

– W końcu się odezwie – powiedział niepewnie Charlie. – Jesteście sobie tak bliskie.

– I dlatego to właśnie tak boli. – Rozpłakała się znowu.

Kelnerka podeszła do nich, niosąc coś na tacy.

– To miodownik – powiedziała do Hope. – Spróbuj, myślę, że może pomóc.

– Ten drobny gest uprzejmości jeszcze bardziej rozkleił Hope i wywołał falę wdzięczności Charliego.

– Ci ludzie są tutaj tacy mili – zachwycił się. Ułamał kawałek ciasta i podał jej do ust. – Spróbuj. Może poczujesz się lepiej.

Hope otworzyła usta i uśmiechnęła się, kiedy smak ciepłego jeszcze i kleistego ciasta wprowadził jej kubki smakowe w ekstazę.

– Jest przepyszne – powiedziała, przełykając. – Spróbuj.

– Mm. – Charlie skinął na kelnerkę.

– Przepraszam, że tak się rozkleiłam – powiedziała Hope, siadając wygodnie i wzięła do ust kolejny kawałek. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– W porządku – uspokoił ją Charlie. – Nie musisz przeproszać za to, że jest ci źle, ale proszę, powiedz mi, jeśli następnym razem będziesz smutna. Nie musisz uciekać do łazienki, żeby się wypłakać i nie musisz już sama się z tym zmagać. Jestem przy tobie i chcę ci pomóc.

– Naprawdę nie chciałam zepsuć nam wycieczki – wyszeptała.

– Ty nigdy nie mogłabyś niczego zniszczyć – powiedział, przełykając ciasto.

– Mówię serio. Hope, spójrz na mnie.

Popatrzyła na niego.

– Nawet gdybym znajdował się w najgorszym miejscu na ziemi, bez pieniędzy, ubrania i możliwości ucieczki, ale z tobą u boku, to potrafiłbym stawić czoło wszystkim przeciwnościom i zawsze miałbym nadzieję.

– Masz na myśli mnie, Hope, czy tylko nadzieję? – zapytała, biorąc go za rękę.

– To jedno i to samo – odpowiedział. – Mnie przeraża jedynie brak nadziei i ciebie. Nie chcę cię stracić.

Hope rzuciła się mu w ramiona i przytuliła go z całych sił. Ponieważ wybrała most Karola jako cel porannej wycieczki, Charlie mógł wybrać kierunek na południe. Niesamowite, pomyślała, że zdecydował, że powinni wybrać się na zakupy na plac Wacława i poszukać dla niej czegoś nowego do ubrania.

– To cię rozweseli – powiedział, kiedy protestowała. Może i miał rację, ale

zaczęła czuć się nieswojo, myśląc, ile pieniędzy na nią wydawał. Z drugiej jednak strony, postanowiła sobie, że bardziej się postara, dlatego pozwoliła mu poprowadzić się prosto z kawiarni pod łuki Bramy Prochowej.

Nie wiedziała właściwie, czego się spodziewać, ale zaskoczył ją fakt, że plac Wacława nie jest tak naprawdę placem. W rzeczywistości był to szeroki bulwar pełny sklepów, barów, kasyn i restauracji. Był też najbardziej nowoczesnym miejscem, jakie dotychczas zwiedzili, ale Hope pociągał inny rodzaj architektury.

– Spójrz tam – powiedziała do Charliego, pokazując wysoki żółty budynek po ich lewej stronie. Charlie, mrużąc oczy, wskazał szyld.

– Grand Hotel Europa – przeczytał.

– Niesamowity – wykrzyknęła, kiedy podeszli bliżej.

– Jaki to styl? – zapytał, patrząc w górę na kamienne łuki.

Hope nie odpowiadała, przez kilka minut zaciekle wertując przewodnik.

– Secesja – powiedziała. – Hotel otwarto po raz pierwszy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, ale obecnie jest zamknięty. Szkoda.

Stali teraz dokładnie naprzeciwko budynku, zadzierając głowy, aby zobaczyć wszystko jak najlepiej i zauważyli, że niżej położone wejście i okna zabito deskami.

– Jeśli wygram kiedyś w lotto, kupię ten budynek i przywrócę mu dawną świetność – rozmarzyła się Hope. Oczami wyobraźni widziała już siebie stojącą na progu i witającą gości grzańcem. Przez lata próbowała namówić Dave'a, aby kupili i utworzyli własny pensjonat. Ona zajmowałaby się gotowaniem i sprzątaniami, a on całą papierkową robotą. Marzyła o tym, ale Dave nie dał się przekonać.

– Nie chcę, żeby jacyś obcy ludzie panoszyli się po moim salonie – marudził.

– Przecież mielibyśmy osobną część domu tylko dla siebie – błagała. – Moglibyśmy nawet przeprowadzić się z miasta, do Walii albo Krainy Jezior. Annette byłaby zachwycona przestrzenią.

Wytykał jej, że używa dziecka jako karty przetargowej i twierdził, że wieś znudziłaby córkę tak samo jak jego. – Chcesz unieszczęśliwić własne dziecko, odbierając jej przyjaciół i zabierając ze szkoły? – zapytał, celowo przytaczając ten argument, bo wiedział, że nie może z nim walczyć.

I właśnie tak się wszystko skończyło.

Hope nigdy nie powiedziała Charliemu o swoich marzeniach, ale podejrzewała, że spodobałyby mu się. Był podobny do niej, otwarty, towarzyski i jako instruktor jazdy mógłby pracować w każdej części kraju. Zawsze jednak coś ją przed tym powstrzymywało i nie była do końca pewna, czy to strach przed tym, że nie spodoba mu się ten pomysł, czy przed tym, że właśnie będzie inaczej.

Szli dalej szerokimi ulicami, zatrzymując się w kolejnych sklepach i wychodzili z nich z pustymi rękami. Hope nie była w nastroju do zakupów i żadna sukienka czy buty nie były w stanie poprawić jej humoru. Charlie udawał, że

wszystko jest w porządku, ale Hope widziała, że się o nią martwi i po piątym sklepie, do którego zajrzała bez entuzjazmu, przestał nalegać.

– Ojej, popatrz na to – wyszeptała.

Niewielki tłum zebrał się przed włoską restauracją wokół figury siedzącego na drewnianej ławce mężczyzny, aby zrobić sobie z nim zdjęcie. Był w kolorze brudnego złota i siedział ze skrzyżowanymi nogami, a jedno z ramion leżało zapraszająco wzdłuż oparcia ławki.

– Idź, usiądź, a ja zrobię ci zdjęcie – nalegał Charlie, ale Hope nie chciała.

– Nie przy tych wszystkich ludziach.

– No, dalej. – Charlie popchnął ją delikatnie. – Wczoraj tańczyłaś przy wszystkich na placu, a było tam o wiele więcej ludzi.

Fakt.

Podeszła i usiadła, przesuwając się tak, że siedziała prawie na kolanach złotego faceta. Z bliska jego oczy były zimne i zapatrzone w dal, jakby został zamrożony sekundę po tym, jak zorientował się, co za chwilę nastąpi. To przypomniało jej o stworzeniach zamienionych w kamień przez Białą Czarownicę w książce C.S. Lewisa, *Lew, Czarownica i stara szafa*. Przeczytała Annette całą kolekcję książek C.S. Lewisa, gdy ta była mała, ale ta scena zawsze przerażała ją najbardziej i zawsze starała się wytłumaczyć córce, że stworzenia nie zostały zamienione w kamień na zawsze i przypominała, że lew Aslan wkrótce pojawi się, aby je uwolnić. Teraz wydawało się jej, że to Annette zamieniła się w kamień, przytłoczona ciężarem swojej złości, i nie było nikogo, kto pomógłby Hope ją uratować. „Uśmiech!”, zawołał Charlie, wrywając Hope z Narnii i przywracając do teraźniejszości.

Zorientowała się, że wstrzymuje kolejkę, postarała się zebrać w sobie i zrobić głupią minę do zdjęcia.

– Wystarczy! – powiedziała, wstając i robiąc miejsce dla starszej Szwedki.

Charlie pokazał jej zdjęcia i aż jęknęła. Były okropne.

– Skasuj je natychmiast, ty niegrzecznuchu – powiedziała, próbując wyjąć mu telefon z ręki. Udało jej się, ale komórka zaczęła dzwonić i Charlie wziął ją z jej dłoni.

– Au. – Potarła palce.

– Przepraszam, kochanie. – Wyciągnął do niej ręce bezwiednie, nadal trzymając telefon na odległość ramienia. – Muszę odebrać.

Obserwowała, jak odchodzi i znika w tłumie. Sekrety nie leżały w naturze Charliego i Hope poczuła pewnego rodzaju niepokój. Czyj telefon mógłby wywołać taką reakcję? Nie odebrałby, jeśli dzwoniłby któryś z klientów, przekonała się o tym już nieraz podczas ich wspólnej podróży. Podejrzenie, że mogłaby to być inna kobieta, było tak absurdalne, że Hope prawie się roześmiała, ale wtedy przypomniała sobie, jak rozpoczęła się ich znajomość. To ona zdradzała

Dave'a, chociaż wtedy ani ona, ani Charlie nie zastanawiali się co będzie, jeśli zostaną złapani lub jeśli ona odejdzie od męża. To wszystko stało się nagle, a teraz był tu z nią i zachował się honorowo, kiedy została wyrzucona z domu. Tylu rzeczy jeszcze o nim nie wiedziała.

Kiedy tak stała, oglądając jeden z zegarów miejskich, pojawił się Charlie, z szerokim uśmiechem na ustach i dwoma kubkami z pićem na wynos w rękach.

– Przepraszam bardzo. – Postawił oba kubki na niebieskiej skrzynce pocztowej i przyciągnął ją do siebie. – Cała się trzęsiesz – powiedział, przytulając ją mocniej do siebie.

– Kto dzwonił? – zapytała i poczuła, jak jego mięśnie się napinają.

– A, to? W sprawie mieszkania, nie musisz się przejmować.

– W sprawie mieszkania? – Chciała mu wierzyć i nie miała powodu, aby tego nie robić.

– Chciałem je wycenić – powiedział. – Pomyślałem, że będziemy potrzebować czegoś większego, i...

Nie mógł dokończyć, bo Hope chwyciła jego twarz i zaczęła całować go mocniej i mocniej, namiętniej niż do tej pory, a kiedy wreszcie przestała, wyglądał na oszołomionego.

– Przepraszam – wyszeptała. – Ja tylko...

– Nie przepraszaj. – Charlie wziął kubki i podał jej jeden, a potem wziął ją za rękę. – Chciałem, żebyśmy wypili tę gorącą czekoladę w czasie spaceru, ale teraz myślę, że o wiele bardziej będzie nam smakowała w hotelu.

Hope przytaknęła i poczuła narastającą tęsknotę. Pragnęła znów się z nim złączyć i odegnąć czarne myśli.

– Chodźmy się przekonać.

Gargulec spoglądał gniewnie ze swojego miejsca na dachu katedry, jego ciało i twarz wykrzywiały grymas. Woda, która zwykle ciekła z iglic i z jego otwartej buzi, zamarzła, ozdabiając potwora z rozdziawioną gębą postrzępionym językiem z lodu, który mienił się ładnie w bladym popołudniowym świetle.

Sophie wiedziała, że gargulce zostały zaprojektowane po to, żeby chronić katedrę przed złymi duchami, i właśnie dlatego miały tak odrażający wygląd, ale przekonała się, że te stwory są bardziej zabawne niż przerażające. Przez lata właściwie je polubiła.

– Jakbyś patrzyła w lustro, Robaczku – mówił Robin, kiedy tu byli. Jego nieobecność zaczynała sprawiać jej ból i spojrzała na katedralny zegar, marząc, żeby jego wskazówki poruszały się szybciej. Jak to jest, że kiedy się chce, żeby czas szybko minął, on zawsze się wlecze? I odwrotnie. Stojąc tu i patrząc w puste oczy ponurych kamiennych stworów, Sophie czuła, że każda wcześniejsza chwila została jej szybko wyrwana. Żałowała, że nie może sięgnąć do przeszłości i chwycić wspomnień obiema dłońmi, rozłożyć ich gdzieś w bezpiecznym miejscu jak zasuszonych kwiatów, żeby móc do nich wracać, kiedy się ma ochotę.

Jak na zawołanie miejskie zegary zaczęły wybijać godzinę, jakby naśmiewały się z jej naiwnych fantazji. Nie można uciec od faktu, że czas płynie, zdawały się szemrać. Od jednego nie można w tym mieście uciec – od poczucia, że czas płynie. Właściwie z każdego zakątka Pragi widać było zegar. Były wszędzie – nie tylko na kościołach, klasztorach i urzędach, ale na elewacjach sklepów, na słupach i ścianach każdego domu z okiennicami. Sophie była pewna, że jeżeli zamknie oczy i mocno się skupi, będzie w stanie usłyszeć tykanie zegara.

Na wejście do katedry czekał spory tłum turystów, więc Sophie się cofnęła i czekała, aż ustawią się w kolejce. Chłopczyk w jaskrawozielonej czapce włókł się noga za nogą, jęcząc matce w języku, którego Sophie nie rozumiała. Ale gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że mu się nudzi, że widział już dość kościołów i katedr, że wystarczy mu na całe życie i żeby poszli w jakieś bardziej zabawne miejsce. Obserwowała, jak matka się schyla i szepcze synowi coś do ucha, a on podnosi wzrok i patrzy z zachwytem na dach. Gargulce zyskały nowego wielbiciela.

Rodzice Sophie często jej mówili, że była strasznym dzieckiem. Nie dlatego, że się źle zachowywała, ale dlatego, że była dociekliwa i bardzo niezależna i potrafiła, na przykład, uciec, żeby się czemuś przyjrzeć albo zacząć się bawić, nie mówiąc mamie ani tacie, dokąd idzie. Dziwił ją ich niepokój, aż poznała Robina. Teraz doskonale rozumiała, jakie to frustrujące, kiedy ktoś, na kim ci zależy najbardziej na świecie, bez słowa znika na długie godziny. Ale podobnie jak z

czasem przekonali się jej rodzice, nakłonienie kogoś, żeby robił to, czego się od niego oczekuje, nie jest łatwym zadaniem.

– Zabiję go! – wykrzykiwała Sophie do matki, kiedy Robin ostatnim razem zniknął na jedną ze swoich „włóczęg”, jak zwykł je nazywać. To, co wzruszało w filmie o Australijczyku, który walczy z krokodylami, nie przekładało się na prawdziwe życie, kiedy twój chłopak nie dawał znaku życia przez osiem godzin i miał wyłączony telefon.

– Niedługo się pojawi – uspokajała ją matka. – Jak zwykle.

– Nie rozumiem, czemu to robi – jęknęła, wzięła od taty kubek herbaty, którą dla niej zaparzył, i kopnęła z wściekłości nogę kuchennego stołu.

– Stół nie jest niczemu winien – zauważyła mama, co wcale jej nie pomogło.

– Czuję się przez niego jak idiotka, a nią nie jestem! – ciągnęła Sophie. – Mam gdzieś, że chce się wyrwać i zajmować własnymi sprawami, chcę tylko wiedzieć, że nic mu nie jest.

– Rozumiem, kochanie – powiedziała mama, wysilając się na współczującą minę i uklękła na podłodze, żeby opróżnić pralkę. – Ale, niestety, ludzi nie zmienisz. Jak będziesz próbować, tylko ich do siebie zrazisz.

– Nie chcę, żeby się zmieniał. Chcę tylko, żeby napisał mi jedną cholerną wiadomość. – Wiedziała, że się powtarza. Robin zrobił to nie pierwszy raz i za każdym razem kończyło się tą samą idiotyczną rozmową, a jej biedni rodzice wysłuchiwali jej narzekań. Nie wiedziała, dlaczego pozwala, żeby to aż tak bardzo wytrącało ją z równowagi, bo wiedziała, że jak tylko wróci z aparatem pełnym zdjęć, które zrobił podczas swojej samotnej wyprawy i zobaczy zachwyty na jego twarzy, w jednej chwili mu wybaczy.

– Dlaczego ty nie wymyślisz sobie własnych zajęć? – zasugerował tata. – Jak byłaś mała, chwytając się wszystkiego. Doprowadzałaś mnie i mamę do szału.

– Dorosłam – zauważyła ponuro. – I chciałabym, żeby Robin też dorósł.

Tak naprawdę Sophie nie była w stanie wytrzymać bez Robina zbyt długo – od tego pierwszego dnia na zaśnieżonym moście. Nie dlatego, że nie mogła znieść jego indywidualizmu, raczej dlatego, że uwielbiała każdą chwilę, którą z nim spędzała.

– Stoi pani w kolejce?

Z rozmyślań wyrwało Sophie pytanie i kiedy się odwróciła, zobaczyła starszą parę. Przyglądali jej się, trzymając się za wykoślawione dłonie, z rumieńcem na policzkach. Nie zdawała sobie sprawy, że stoi nieruchomo przed wejściem do katedry i pokręciła głową.

– Proszę przejść – powiedziała, uśmiechając się, kiedy odsuwała się na bok. Uwielbiała patrzeć na pary starszych ludzi, tak zgranych ze sobą, że stanowili niemal jedno, a nie dwa odrębne byty. Wspólne starzenie się było wyrażeniem, którego nie doceniała, gdy była młodsza, ale teraz doskonale je rozumiała. Chciała

być przy Robinie, kiedy na jego skroniach pojawią się pierwsze siwe włosy i kiedy skóra na jego powiekach zacznie obwisać pod ciężarem upływającego czasu. Chciała muskać palcami zmarszczki, które pojawią się na jego twarzy, patrzeć, jak skóra szyi wiotczeje, a żyły wychodzą na wierzch na grzbiecie dłoni. Chciała być tą, która będzie zaglądać mu w oczy, kiedy będą zamglone ze starości i mimo wszystko dostrzegać iskrę pod mleczną zasłoną. Tylko tego chciała, być zawsze z nim.

Kiedy w końcu poczłapała do przodu przez chlapę i weszła do przepastnej katedry, tłum turystów dawno zniknął. Stała przez jakiś czas w przedsionku, czekając, aż jej wzrok oswoi się z mrokiem. Po obu stronach okna z witrażami ciągnęły się wysoko nad nią w kierunku sufitu o gotyckim sklepieniu – każde z feerią barw, imponujące na tle kamiennych ścian.

Sophie nagle przypomniało się, jak w szkole podstawowej z kawałków kolorowego plastiku robiła własny witraż. Próbowała teraz ożywić to wspomnienie i poczuć w dłoniach nożyczki, zapach kleju i przypomnieć sobie śliski plastik w palcach, ale, oczywiście, nie była w stanie. Upływ czasu odzierał wspomnienia z kolejnych warstw i teraz w jej myślach została jedynie smuga kolorów. Zastanawiała się, dlaczego mózg od czasu do czasu wydobywa te skrawki tylko po to, żeby po chwili znów je pochłoniąć. Często rozmawiała o tym z Robinem, ale on tylko głaskał ją po głowie i mówił, że jest szalona.

– Chyba po prostu nie ma w nim więcej miejsca – mówił, pukając ją w skroń. – Chyba musisz się pogodzić z tym, że niektóre wspomnienia nie są warte tego, żeby je zachować.

– A jeżeli zapomnisz te, które chcesz zachować? – nie ustępowała.

– Głupiutki Robaczku. – Całował ją w czubek nosa. – To tak nie działa. Te, które najbardziej lubisz, te naprawdę miłe wspomnienia, jak ślub czy, powiedzmy, dzień, w którym mnie poznałaś... – Spojrzał na nią szelmowsko. – Te będziesz mogła przywołać zawsze. Ale to, co jadłaś na kolację w jakiś zwykły czwartek października dziesięć lat temu, nie jest takie ważne, więc nie musisz tego pamiętać.

Sophie wpatrywała się w katedralne witraże, aż oczy zaczęły ją piec i zastanawiała się, czy stojąc tu teraz, wypiera jakieś wcześniejsze cenne wspomnienie, żeby zrobić miejsce na to nowe. Przerażała ją myśl, że pewnego dnia w przyszłości może nie być w stanie przypomnieć sobie każdego najdrobniejszego szczegółu rzeczy, które były dla niej najważniejsze. Marzyła, żeby znaleźć sposób, by je przechować, emocje i wszystko, jak w słoju, a potem mocno zakręcić wieko i patrzeć na nie przez szkło.

Obserwowała, jak para drobnych staruszków, z którymi wcześniej rozmawiała, idzie powoli na środek katedry. Była tam wiele razy, ale dziś miała w myślach cel. Było tam coś, co chciała zobaczyć. Mało tego, musiała to zobaczyć.

Podeszła cicho do ambony i skręciła, aż zobaczyła to, czego szukała –

powód jej wizyty w tym miejscu. Srebro w tym świetle wyglądało prawie jak złoto, lśniło bezwstydnie i dumnie w mrocznym otoczeniu. Podstawę okalał sznur – delikatne przypomnienie dla zwiedzających, że nie mogą jej dotykać – ale Sophie niemal uległa pragnieniu przejścia za próg. Zamiast tego uklękła na zimnej, twardej podłodze przed amboną, tak blisko grubego aksamitnego sznura, że w jego włóknach czuła wiekowy zapach stęchlizny. Zamknęła oczy i skupiła się na tym, co czuje, w końcu z zadowoleniem robiąc w umyśle miejsce dla tej nowej chwili.

W katedrze było zimno, ale kiedy tak klęczała, z dłońmi w rękawiczkach na kolanach i w starej znoszonej czapce Robina naciągniętej tak mocno na zamknięte oczy, że niemal je zasłaniała, poczuła, jak zalewa ją cudowne ciepło.

Ach, żeby mieć takie długie i szczupłe nogi.

Megan odwróciła się do Ollego i oboje spojrzeli na odbicie w krzywym zwierciadle, przerywając, żeby robić do siebie głupie miny, a potem parsknęli śmiechem. Ollie zrobił krok w lewo i natychmiast połowa jego twarzy stała się ogromna i wydłużona w lustrzanej ścianie, jego usta tak olbrzymie jak napompowane truskawki, a nos jak gigantyczna oberżyna. Megan, chichocząc, wpadła na niego, a odbicie jej brody zostało zassane nagle w dół, aż dosięgnęło stóp.

– To był świetny pomysł – powiedziała, kiedy odzyskała mowę. O wiele bardziej podobał jej się ten ostatni pokój lustrzanego labiryntu, z jego śmiesznymi, zniekształcającymi szklami, niż sieć zwykłych lustrzanych korytarzy, przez które musieli przebrnąć, żeby tu dojść. To nie w porządku, żeby dziewczyna widziała swoją twarz i pupę naraz – w dodatku pod pięcioma różnymi kątami. Zwłaszcza jeśli pupa jest taka duża jak jej.

– Nie dziękuj mi, to był pomysł tej pary starszków – odpowiedział Ollie, chodząc w przód i w tył, żeby widzieć, jak twarz mu się wykrzywia i skręca.

– Mimo wszystko. – Uśmiechnęła się do niego, ukazując ogromnie powiększone zęby. – Cieszę się, że mnie namówiłeś. Tutaj mogę się z ciebie pośmiać, a potem stawiasz obiad, słodki układ.

– I tak bym fundował obiad – powiedział, popychając ją lekko do przodu, aż jej nogi zniknęły zupełnie w szkle, a jej skurczone małe ciało unosiło się nad jej kozakami.

Razem z nimi w długim, prostokątnym pomieszczeniu była grupa małych dzieci, które piszczały z radości na widok swojego odbicia. Megan spojrzała na Ollego, który odwrócił się, żeby się im przyjrzeć. Tkliwość i radość malowały się na jego twarzy, kiedy słuchał ich wesołych krzyków. Jej aparat opierał się na piersi, a szeroki płócienny pasek na szyi, kiedy ukradkiem zdjęła osłonę obiektywu.

– Myślisz, że będziesz mieć kiedyś dzieci?- zapytał Ollie, patrząc nie na nią, lecz na chichoczące dzieciaki, które przedstawiały teraz przed lustrami dziwny rodzaj tańca. Kilkoro najmłodszych pękało ze śmiechu, patrząc na swoich rówieśników.

Megan zdjęła palec z przycisku zwolnienia migawki i westchnęła. To nie był pierwszy raz, kiedy Olli zadał jej to pytanie, na które znał już odpowiedź.

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą, jak za każdym innym razem, kiedy o to pytał. Nie chodziło o to, że nie chciała mieć dzieci, tylko o to, że nigdy nie poświęciła tej idei zbyt dużo uwagi. To, czego zawsze chciała, to robić zdjęcia. Odkąd pamięta, to było wszystko, co ją tak naprawdę obchodziło.

Tak czy inaczej, miała mnóstwo czasu przed sobą, zanim musiałyby zacząć myśleć o dzieciach.

– Wiem, że ty chcesz mieć dzieci – dodała, opierając się o filar, kiedy grupa dzieci została zawołana przez nauczyciela i grzecznie, parami, zaczęła opuszczać pomieszczenie. – Założę się, że chciałbyś całą drużynę piłkarską.

– Nie. – Ollie potrząsnął powoli głową, zwracając się z powrotem twarzą do niej. – Myślę, że wystarczyłaby mi dwójka, dziewczynka i chłopiec, byłoby idealnie.

– Oczywiście musiałybyś nazwać dziewczynkę Megan – stwierdziła. Ollie nie odpowiedział, ale Megan była pewna, że słyszała, jak mamrotał coś pod nosem. – Mówiłeś coś? – spytała, obracając się w ten sposób, żeby móc mówić do niego w lustrze. To, na które oboje patrzyli, rozciągało ich środkową część ciała na zewnątrz, tak że wyglądali, jakby ktoś ich zdeptał od głowy w dół, zgniatając ich.

Ollie czekał, aż ich spojrzenia się spotkają, zanim odpowiedział, biorąc głęboki oddech i odgarniając włosy z twarzy.

– Co ty na to, gdybym ci powiedział, że kogoś mam?

Żołądek Megan zsunął się niżej niż ten w krzywym lustrze.

– Naprawdę?

Ollie lekko się skrzywił.

– Nie, ale nie w tym rzecz.

– A w czym? – spytała, autentycznie zdziwiona.

– Mam na myśli, czy miałabyś coś przeciw? Spędzamy dużo czasu razem, a jeśli miałbym dziewczynę, to wyobrażam sobie, że musiałyby się to zmienić.

Megan zastanowiła się nad tym przez chwilę. Sama myśl o Olliem z dziewczyną była niepokojąca, ale nie chciała roztrząsać dlaczego.

– Byłoby mi z tym dobrze – powiedziała, wychodząc tak daleko do przodu, że tylko kilka centymetrów dzieliło ją od szklanej ściany i nie widziała już jego miny. – Jesteś moim przyjacielem, Ollie, bardzo chcę, żebyś był szczęśliwy.

– Czy kiedykolwiek...? – zaczął, a ona odwróciła się znowu, żeby spojrzeć na niego.

– Kiedykolwiek co?

– Czy kiedykolwiek się zastanawiałaś, co by było, gdybyśmy, no wiesz?

Wiedziała. Pozwalała sobie to wyobrażać wiele razy przez ostatnie sześć miesięcy, ale wiedziała również, dlaczego nie mogłoby się to wydarzyć. Dlaczego im nie mogło się to wydarzyć.

Niezamierzenie westchnęła i wzdrygnęła się, widząc natychmiastowy ból odbijający się w oczach Ollego. Kiedy on zamierzał odwrócić się od niej, chwyciła go za ramię.

– Mówiłam ci kiedyś o moim byłym czy nie? – spytała. Byli teraz sami w lustrzanej kabinie i Megan poprowadziła Ollego na środek pomieszczenia, gdzie

ich odbicia nie byłyby zniekształcone. Nie mogłaby prowadzić z nim poważnej rozmowy, kiedy jego stopy były wielkości łodzi, a głowa wyglądała jak ogromny kawał tofu.

– Już go nienawidzę – zażartował, ale jego brwi zmarszczyły się z zaciekawienia.

– Miał na imię Andre i był dość znanym fotografem. Zgłosiłam się na staż w jego londyńskim studiu jakieś pięć lat temu i zaprosił mnie na rozmowę.

Przerwała, bo nagle zdała sobie sprawę, jak marnie będzie brzmiała następna część tej historii. Ollie już kręcił nosem z niechęcią.

– Pewnie się domyślasz, co się stało potem – powiedziała. – Ale nie było aż tak źle, jak sobie wyobrażasz. Byłam dorosła, a on jest tylko sześć lat starszy ode mnie. To nie tak, że on był jakimś zdemoralizowanym staruchem, który podnieca się wrażliwą dziewczyną. Aczkolwiek – dodała, wzruszając lekko ramionami. – Imponował mi. Przynajmniej na początku.

– I co dalej? – szepnęła Ollie. Skrzyżował ramiona, kiedy zaczęła mówić i wyglądał prawie, jakby się bronił. Miała nadzieję, że to dlatego, że czuł się za nią odpowiedzialny, a nie dlatego, że bał się jej słów.

– Chciałam wziąć udział w konkursie. Pewnie o nim nie słyszałeś, ale jest otwarty tylko dla młodych talentów, ludzi takich jak ja, którzy za fotografię nigdy nie dostali żadnej nagrody.

Przytaknął.

– Pracowałam nad tym projektem miesiącami i na początku Andre bardzo mnie dopingował. Był zawsze bardzo krytyczny wobec mojej pracy, ale takie po części miał zadania jako mentor...

– I dupek – wtrącił.

– Tak, zgadza się, ale musisz zrozumieć, że na tym etapie ja go podziwiałam. Myślałam, że wszystko, co mówi, jest jak ewangelia. Dopiero gdy zaczęłam kwestionować jego pomysły, wszystko zaczęło się psuć.

– Więc on jest egomaniakiem? – spytał Ollie.

– Och, zdecydowanie. – Megan zacisnęła zęby na myśl o swoim byłym chłopaku: jego welwetowej marynarce, falowanych, nieokreślonego koloru włosach i tym nieustannym grymasie zadowolona z siebie, malującym się na jego twarzy. Na samą myśl o nim przeszły ją ciarki i mimowolnie się otrząsnęła, zanim zaczęła mówić dalej. – W dniu, kiedy miałam oddać pracę na konkurs, nie mogłam jej znaleźć.

– Jak to? – Ollie wyglądał na zaskoczonego. – Myślałem, że wszystko było cyfrowe w tamtym czasie?

– I jest – Megan pokręciła głową, gdy wspomnienie udręki z przeszłości zaatakowało ją raz jeszcze. – Miałam wszystkie pliki zapisane na moim laptopie i na karcie pamięci, i na prywatnym komputerze Andre. Wykasował wszystko.

– Ale drań!

– Był draniem – przytaknęła – i jest.

– Ale dlaczego? – Ollie miał tak zbolaną minę, że Megan poczuła nieodpartą ochotę, żeby go pocałować. Wiedziała, że taka niesprawiedliwość go zezłości i ta jego reakcja była niezaprzeczalnie pociągająca. Ale nie, nie może sobie pozwolić dać się ponieść emocjom. Zobacz, co się stało ostatnim razem, kiedy pocałowałaś Ollego. Zamykając na ułamek sekundy oczy, odepchnęła emocje na bok i wróciła do swojej historii.

– Powiedział mi, że zrobił to, żeby mnie ochronić, możesz uwierzyć? – Skrzywiła się, przypominając sobie tę rozmowę. – Mówił, że biorąc udział w konkursie, skompromitowałabym i siebie, i jego, ale w rzeczywistości był po prostu zazdrosny. Czuł się zagrożony przeze mnie, i wiem, że brzmi to arogancko, ale to absolutna prawda.

– Nie brzmi arogancko. – Ollie podniósł rękę. – Jesteś nieprawdopodobnie utalentowana, Megs, nawet ja to widzę, choć nie mam artystycznej duszy.

Megan uśmiechnęła się na to, zanim zaczęła ciągnąć dalej.

– Kiedy się zorientowałam, co zrobił, zasłona spadła mi z oczu – powiedziała. – Nagle zobaczyłam, kim naprawdę jest: okropnym małym człowiekiem o złośliwej naturze, małym talencie i osobowości płyty chodnikowej.

– Nieźle. – Ollie wytrzeszczył oczy. – Będę pamiętał, żeby nigdy z tobą nie zadzierać.

– Powiedziałam mu, że w dupie mam staż i związek – ciągnęła, uśmiechając się ponuro na wspomnienie miny Andre, kiedy na niego wrzeszczała.

– Nie spodobało mu się to.

– Dobrze zrobiłaś. – Ollie podniósł rękę, żeby przybić piątkę, ale ona ani drgnęła. – Jest jakies „ale”, prawda?

– Andre się wkurzył, że tak go poniżyłam – powiedziała. – Środowisko fotografów jest bardzo małe, a on obgadywał mnie prawie przed wszystkimi w Londynie.

– Kutas. – Ollie wyglądał na zbuntowanego.

– Ta wystawa, ta, którą mam w maju... – powiedziała, a Ollie przytaknął. – To pierwszy raz, kiedy pokażę swoje prace od czasu historii z Andre. Minęły trzy lata, odkąd ze sobą zerwaliśmy, i tyle czasu zajęło mi, żeby wreszcie poczuć, że jestem gotowa spojrzeć w twarz światu i tym ludziom, którzy tak bardzo chcieli spisać mnie na straty.

– Och, Megs... – Ollie otworzył ramiona i przyciągnął ją. – Nie miałem pojęcia.

– Chciałam tylko mieć szanse udowodnić wszystkim, że on się mylił – powiedziała do jego płaszcza – chciałabym zyskać uznanie, na moich warunkach, bez pomocy Andre... – Machnęła ręką. – Ani nikogo innego.

Poczuła, jak całe jego ciało się napięło, gdy usłyszał jej słowa i wiedziała, że musi wreszcie zrozumieć, dlaczego tak się wzbrania przed nowym związkiem. Ostatni mężczyzna, któremu ufała, zdradził ją w najgorszy możliwy sposób i musiała się przekonać, że potrafi dojść do czegoś o własnych siłach. Nie chciała na nikogo liczyć ani być podatną na zranienie – chciała się skoncentrować na tym, żeby spełnić swoje marzenia.

Stali przez jakiś czas w ciszy i Megan stopniowo rozluźniła ciało na piersi Ollego, słuchając rytmicznego bicia jego serca, i cieszyła się poczuciem bliskości, które od tak długiego czasu było nieobecne w jej życiu.

Było dużo więcej tego, co chciałyby ubrać w słowa dla niego, ale nie mogła wysłować tego, co czuła, nawet wobec samej siebie, a co dopiero się tym dzielić. Na razie wystarczyło, że ktoś ją zwyczajnie rozumiał.

– Chyba powinniśmy się zbierać – powiedziała w końcu, podnosząc głowę i uśmiechając się do niego. – Ten klasztor na wzgórzu podobno jest wspaniały.

– Dobrze. – Ollie zamrugał, podnosząc plecak z podłogi. – Cokolwiek rozkażesz.

Musieli wracać na dół bardzo śliskim, pokrytym śniegiem zboczem i stopniami prowadzącymi na ścieżkę, ale było im dużo mniej wesoło niż po drodze w górę. Ollie był pogrążony w myślach i cichszy niż zwykle, odkąd skończyła opowiadać o Andre.

Megan miała nadzieję, że zrozumie, dlaczego do tej pory trzymała to w tajemnicy. Nie było to coś, o czym lubiła mówić i tylko jej rodzina i przyjaciele wiedzieli, jak odbiło się na niej całe to doświadczenie. Nie czuła już nic do swojego byłego chłopaka, wręcz odwrotnie, jedynie obrzydzenie, ale z doskonałą jasnością pamiętała, jak źle się czuła tuż po zerwaniu. Mimo jego zachowania, byli ze sobą długo i Megan go kochała. Choć była wściekła, przekonała się, że nie tak łatwo wyłączyć uczucia, jak sobie wyobrażała i nadal się bała, że zostanie zraniona. Może gdyby poznała Ollego wcześniej niż Andre, zaryzykowałyby, ale tak się nie stało.

Usiłowała odciągnąć myśli od tego tematu, kiedy szli, patrząc w górę na nagie gałęzie wielu drzew, uginające się pod warstwą śniegu, i na stada małych ptaków fruujące pośpiesznie wokół wzgórza, które biciem skrzydeł ogrzewały drobne opierzone ciała. Wszystko inne wokół niej było spokojne i magiczne, ale mimo takiego piękna, Megan nie czuła aż takiego wzruszenia, żeby wziąć aparat. Na tym polegał problem z rozmową o uczuciach i wykopywaniem reliktyw przeszłości – zabijały kreatywność. Aby wystawa mogła okazać się sukcesem, musiała być skupiona, a w tej chwili była jedynie skołowana.

– Skoczę do łazienki – powiedział Ollie, skręcając na prawo, gdy dotarli do klasztoru na Strahowie.

Kiwnęła głową i odwzajemniła jego uśmiech, a potem zeszła po bruku i

przez kilka minut sfrustrowana wykopywała nogą ósemkę na pokrytym śniegiem trawniku. Pytanie Ollego w labiryncie luster pozostawiło w jej wnętrzu mieszaninę strachu i czegoś jeszcze, czego nie była w stanie nazwać. Widać było, że myślał o tym pierwszym pocałunku, a jeżeli miała być szczerą, ona też często o tym myślała. Wtedy zdołała się przekonać, że to coś złego, ale zachowanie Ollego od tamtej pory było cudowne i ciepłe. Nie chciała go stracić, tego była pewna, ale co, jeżeli przyjaźń, którą tak ceniła, nie jest dla niego wystarczająca?

Klasztor na Strahowie pod wieloma względami przypominał muzeum – pełno w nim było rozmaitych zabytkowych przedmiotów i panowała w nim ta wyjątkowa cisza. Po dziesięciu minutach oglądania ksiąg z trzynastego i czternastego wieku, kolekcji wypchanych zwierząt, zbroi, błyskotek i okazów pięknej biżuterii, Megan poczuła się spokojniejsza. Ollie poszedł w przeciwną stronę niż ona, gdy zapłacili za wejście, a ona spokojnie przystawała przy każdej ekspozycji.

Jest tu tyle historii, pomyślała, a jej wzrok powędrował do księgi ozdobionej złotymi i srebrnymi dekoracjami i wielkimi cennymi klejnotami.

Ewangelia Strahowska, przeczytała na okładce, a jej wargi ułożyły się w idealne „o”, kiedy zobaczyła, że pochodzi z dziewiątego wieku.

Kiedy myślała o świecie z tamtych czasów i o tych wszystkich jeszcze wcześniejszych wiekach, aż do tego właśnie momentu, ostatnia panika wydawała jej się głupotą. Toczyły się wojny, miasta płonęły doszczętnie, imperia powstawały i upadały. Cholera, ten klasztor, w którym stała w tej chwili, miał ponad osiemset lat – ile też widział przez ten czas... Studenci przychodzili się tu uczyć, ważne osobistości – modlić, miejscowi oddać hołd przez wiele setek lat. Ale dziś to majestatyczne, monumentalne i budzące prawdziwy podziw miejsce zostało zmuszone, żeby być świadkiem jej głupich wewnętrznych rozterek. W jednej chwili poczuła się mała, bez znaczenia i, co najistotniejsze, naprawdę głupia. Powinna się wyluzować i do tego potrzebowała Ollego. Przeszła cicho po drewnianej podłodze i zatrzymała się przy nim,

– Wszystko w porządku?

Był to ledwie słyszalny szept i w pierwszej chwili myślała, że Ollie jej nie usłyszał, a potem zobaczyła, że się uśmiecha.

– Tam na końcu jest gablota pełna zasuszonych, zdechłych ryb – powiedział pod nosem. – Zabawniejsze niż labirynt luster, o ile to możliwe.

Poczuła ogromną ulgę, że jej przyjaciel odzyskał formę i pozwoliła mu wziąć się za rękę i zaprowadzić na drugi koniec sali przy sklepie z pamiątkami, gdzie znajdował się, jak powiedział, prawdziwie odrażający i wręcz komiczny zbiór zębatych, wysuszonych morskich stworzeń.

– Jestem prawie pewien, że z jedną z nich byłem na randce w ciemno – powiedział Ollie, wskazując wyjątkowo odrażający egzemplarz.

Megan parsknęła śmiechem. Nadal trzymała dłoń w rękawiczce w dłoni Ollego i czuła, jak jej skóra robi się lepka pod tkaniną.

– Sporo takich zaliczyłeś, co? – spytała. Chciała, żeby zabrzmiało to nonszalancko i z przerażeniem usłyszała strach we własnym głosie. Jeżeli Ollie się zorientuje, nic nie powie.

– Parę. – Wzruszył ramionami. – Ale od dawna na takie nie chodzę. Kobieta ryba mnie zniechęciła.

– Ta wygląda jak Andre – powiedziała, również starając się zażartować. Zębami zdjęła rękawiczkę z wolnej dłoni i przycisnęła palec do szyby, ale ktoś z obsługi natychmiast podszedł i wskazał tabliczkę: „Nie dotykać”.

– Właśnie, Megan, nie dotkaj – droczył się Ollie. Na chwilę wypuścił jej rękę i uchylił się, kiedy dla żartu pogroziła mu pięścią.

Oboje znów zamilkli, gdy dotarli do drzwi prowadzących do sali filozoficznej i Megan poczuła, że palce Ollego ściskają ją nieco bardziej, kiedy spojrział w górę na olśniewający fresk na sklepieniu nad ich głowami. Wejście było otwarte, ale zagrodzone sznurem, a gdy Megan podniosła aparat, żeby uchwycić strumień barw misternego dzieła i dębowe półki pełne książek, wyrósł znikąd inny pracownik obsługi i powiedział, że fotografowanie należy dodatkowo opłacić.

Ollie pokręcił lekko nosem, słysząc tę informację, ale Megan się nie wahała i podała kilka monet – nie było mowy, żeby opuściła to cudowne miejsce, nie uwieczniając go na pamiątkę dla siebie i innych.

– Zainspirowana? – wyszeptał Ollie, kiedy pstryknęła z pięćdziesiąt fotek.

Mogła tylko kiwnąć głową. Wiedziała, że wygląda na wariatkę, z rumianymi policzkami, z butami w powietrzu, kiedy czołgała się po drewnianej podłodze na brzuchu, próbując perspektywy pod różnym kątem. Chciała zobaczyć łuki światła z każdej możliwej pozycji, znaleźć taki kąt sali, którego nikt wcześniej nie odkrył, przez wszystkie wieki jej istnienia. Chciała wnieść coś nowego do tego miejsca, coś magicznego. Tym się właśnie zajmowała, to była jej pasja i przez kilka minut, kiedy przebywała w tej bańce, nic innego się nie liczyło. Dopiero gdy stanęła na nogi, w końcu zadowolona z ujęcia, z którego mogła być dumna, uświadomiła sobie, że Ollie się nie ruszył. Stał tam, gdzie wcześniej i przyglądał się jej w akcji, aż zarumieniła się po blond włosy.

– Na co się tak gapisz? – odezwała się, strzepując z kurtki coś, co mogło być zgromadzonym przez osiem wieków kurzem.

– Na ciebie. – Ollie lekko zmrużył oczy. – Jak pracujesz.

– Pewnie pomyślałeś, że jestem stuknięta – powiedziała, śmiejąc się półgębkiem, kiedy to mówiła.

– To wiem od dawna. – Uśmiechnął się do niej promiennie. – Ale właściwie wcale nie uważam cię za wariatkę. Tak naprawdę myślałem, jak miło patrzeć na ciebie prawdziwą. Chyba nigdy wcześniej mi takiej siebie nie pokazałaś.

– To był przypadek – przyznała, zdumiona własną szczerością. – Zobaczyłam tę salę i... – zamilkła, szukając właściwego słowa, ale Ollie uciszył ją, podnosząc dłoń.

– Nie musisz nic tłumaczyć – zapewnił. – Ale naprawdę myślę, że teraz lepiej cię rozumiem, w pozytywnym sensie.

Megan wróciła myślami do tego wieczoru, kiedy się poznali, do zmieszanej, ale serdecznej miny Ollego, gdy go odepchnęła i uspokoiła bulgoczący gar z chemią, jaką do siebie czuli, zanim rozleje się na ich życie i zastanawiała się, czy może, ale tylko może, on w końcu zacznie doceniać to, dlaczego to zrobiła.

Charlie pochrapywał. Zaczekała chwilę, a potem wyslizgnęła się spod kołdry i na palcach poszła do łazienki. Potrzebowała przez chwilę побыć sama. Upuściła ręcznik na podłogę i stanęła nago przed wielkim lustrem. Zmarszczyła brwi, przebiegając wzrokiem po opadającej skórze wokół biustu. Robiła, co mogła, żeby utrzymać się w dobrej formie, ale mieć pięćdziesiąt lat to nie to samo co mieć trzydzieści. Możesz się starać, ale z grawitacją nie wygrasz. Pomyślała, że wciąż ma niezłe nogi. Stanęła bokiem do lustra i podziwiała swoje wyraźnie zarysowane łydki. Wbrew temu, co ludzie myślą, bycie panią domu nie oznacza, że siedzisz sobie przez cały dzień przed telewizorem. Wręcz przeciwnie, jesteś w ciągłym ruchu.

Naciągnęła skórę na brzuchu i wciągnęła powietrze tak mocno, że wyraźnie widać było zebra. Czy tak wyglądałaby lepiej? Bez tego zbędnego sadełka? Najwyraźniej Charliemu podobała się taka, jaka jest, ale sama musiała przyznać, że nie była do końca zadowolona ze swojego wyglądu. Powinno jej wystarczyć, że dla Charliego była ponętna – i przez moment, na początku, było to coś, na czym opierała swoje poczucie własnej wartości. Teraz jednak musiała przyznać, że to się zmieniło. Nie czuła się pożądana. I nie chodziło o Charliego albo jakiegoś innego faceta. To wszystko brało się z tego, w jaki sposób postrzegała samą siebie. Wygląd – to w sumie nic takiego, czym można by się zamartwiać. Bycie z kimś to coś więcej. Hope wiedziała, że są też inne rzeczy, które pozwalały jej dobrze czuć się z samą sobą: własne pieniądze, własny dom i – mój Boże – może nawet i własna kariera pewnego dnia.

Wyswobodziła brzuch i patrzyła, jak powraca do poprzedniego stanu. Czerwone ślady w miejscach, gdzie ścisnęła skórę, powoli robiły się różowe. Blizna wciąż była na swoim miejscu. Skóra wzdłuż niej była lekko podniesiona i schodziła się w miejscu, w którym lekarz przesuwiał skalpel. Tak bardzo chciała urodzić naturalnie, ale po prawie czternastu godzinach nie miała wyboru. Musiała się poddać i pozwolić lekarzom robić swoje. To był jedyny moment, kiedy widziała zapłakanego Dave'a. Hope zupełnie odwrotnie. Była dziwnie spokojna – co potem zrzuciła na te wszystkie leki, którymi ją nafaszerowano. Na koniec to właśnie ona pocieszała swojego męża, gdy ten płakał przerażony, patrząc na to, co się działo. Kiedy wreszcie położono jej Annette na rękach, Hope pomyślała, że wszystko wspaniale się ułoży. Dave był oczarowany od pierwszej chwili. Wielkimi oczami patrzył, jak jego malutka, idealna córeczka przytula się do piersi Hope. Mała nie płakała, tylko jak malutki ptaszek kwiliła cichutko.

Kiedy razem z Charliem w pełni wykorzystywali możliwości łóżka królewskich rozmiarów, światło za oknem przygasło i mogła zobaczyć księżyc.

Dzisiejszej nocy był w trzeciej kwadrze i świecił tak jasno, że musiała zmrużyć oczy. Para z kąpieli uciekała przez uchylone okno. Nachyliła się w stronę szyby, żeby wciągnąć chłodne powietrze. Pachniało czysto i świeżo. Hope poczuła, że jej mózg zaczyna się wybudzać. Mogła po prostu wsunąć się obok Charliego i poczekać do rana, ale nie mogła się uspokoić. Miasto oferowało tak wiele do odkrycia, że nie zamierzała marnować ani sekundy, siedząc tu w zamknięciu daleko od tych wszystkich widoków. Wsunęła się w pianę i przez chwilę leżała tak z zamkniętymi oczami. Zmęczenie z całego dnia powoli schodziło.

– Niezła frajda.

Charlie stał w drzwiach. Na połowie twarzy miał odcisniętą poduszkę.

– Właściwie to miałam już wychodzić – powiedziała, zastanawiając się, czemu wciąż tam leży.

– Mam ci pomóc umyć głowę? – zapytał Charlie. W jego głosie nie było już takiej pewności jak chwilę wcześniej.

Nie czekając na odpowiedź, usiadł na zamkniętej toalecie i wsunął palce w jej mokre włosy. Masował jej głowę silnymi, okrężnymi ruchami. To było niezemskie uczucie. Powiedziała mu to, gdy sięgał po szampon.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? – zapytała. Jej palce u stóp wykręcały się, kiedy dłonie Charliego przesuwały się po jej głowie.

– A czy musi być od razu jakiś powód?

– Raczej nie. – Uśmiechnęła się i pochyliła w jego stronę, żeby mógł zmyć pianę.

– Pomyślałem sobie, że mogłabyś się odwdziaczyć. – Zamilkł, czekając, aż wyłoni się z wody. – Ale przecież to by było bez sensu.

Hope zawsze było żal facetów, którzy stracili włosy.

Dave wciąż cieszył się całkiem niezłą czupryną, ale Charlie nie miał prawie nic na głowie. Chociaż z drugiej strony nie znała go z czasów, kiedy nie był łysy, nie miała więc porównania.

Charlie palcami nakładał jej odżywkę. Znów zamknęła oczy i wróciła myślami do momentu, kiedy po raz pierwszy się pocałowali. To była jej szesnasta lekcja z nim. Kazał jej wyjechać z miasta w stronę ogromnego terenu przemysłowego. Kiedyś był tam jakiś supermarket, ale zamknęli go zeszłej zimy. Charlie wyjaśnił, że pusty parking był idealny, żeby poćwiczyć manewry, nie wjeżdżając nikomu w drogę.

To, co z początku było zwykłą kumpłowską gadką, w ciągu kolejnych tygodni rozwinęło się w typowy flirt słowny. Na lekcje, które miała dwa razy w tygodniu, wyczekiwała bardziej, niż powinna. Tak łatwo jej się rozmawiało z Charliem. Sprawiał, że śmiała się częściej niż w ostatnich latach. Kiedy próbowała poruszać z nim jakieś aktualne tematy, patrzył na nią nieruchomo i był zawsze pod wrażeniem jej poglądów. Rozmawiali o wszystkim, od polityki po telewizyjne

reality shows. Z czasem Hope zaczęła wspominać o swoim małżeństwie. Charlie był zawsze pełen współczucia, ale przezornie nigdy nie krytykował Dave'a – chociaż później zdała sobie sprawę, że musiało go korcić, żeby powiedzieć, co o tym myśli.

Piętnaście lekcji przeszło w trzydzieści godzin spędzonych we własnym towarzystwie. W trakcie co najmniej pięciu ostatnich coraz bardziej się ośmielali. Hope wiedziała, że Charlie jej się podoba i przeczuwała, że on czuł to samo. Jednak żadne z nich nie przekraczało tej zakazanej linii. Tego pamiętnego dnia Hope miała na sobie kozaki za kolano, które Annette kazała jej zamówić z jakiegoś katalogu.

– Wybierasz się gdzieś potem? – zapytał Charlie, kiedy samochód zgasł jej po raz trzeci przy zawracaniu na trzy.

– Nie. – Potrząsnęła głową, na próżno próbując zapanować nad samochodem.

– Wyglądasz – Charlie zamilkł, szukając w myślach odpowiedniego słowa – naprawdę ładnie. Wiem, że to nie ja powinienem to mówić.

– Nie przepraszaaj – odpowiedziała, rozglądając się dookoła – możesz tak mówić ty, tak samo jak i inni.

Wyglądało, jakby Charlie odebrał to jako kolejną próbę wykonania manewru, tym razem Hope dała sobie radę z butem ześlizgującym się z pedału.

– Brawo! – KIASnął w dłonie, kiedy Hope triumfalnie zaciągnęła ręczny. – Jeśli potrafisz prowadzić z czymś takim na nogach, poradzisz sobie w każdej sytuacji.

– Założenie ich nie było chyba najlepszym pomysłem. – Uśmiechnęła się szeroko, zabierając ręce z kierownicy i poklepując się po udach.

– Hope, ja... – Spojrzał na nią a jego policzki zaróżowiły się. Jej serce zaczęło mocniej bić. – Naprawdę chciałbym cię pocałować – wykrztusił wreszcie. Wyglądał, jakby przepraszał za to, że powiedział coś niewybaczalnego. – Wiem, wiem. – Pokręcił głową. – To zupełnie niepoważne i nie powinienem się odzywać. Przepraszam, naprawdę przepraszam, już nig...

Uciszyła go pocałunkiem. Zanim zdała sobie z tego sprawę, jej ciało przesunęło się w jego stronę. Na początku niepewnie każde z nich bało się iść w coś, co jeszcze kilka chwil temu było jedynie wspólną fantazją. W końcu to Hope, nie Charlie, posunęła się dalej, kładąc dłoń na jego udzie.

Zmusiła się, żeby nie myśleć o Davie, ale nie mogła zrobić tego samego z Annette. Kiedy całowała Charliego, jej córka zawsze była obok. Nie było to jednak w stanie powstrzymać Hope. Czas spędzany z Charliem był jak narkotyk, którego nigdy nie miała dość. Czymś, co sprawiało, że rano wstawała z łóżka. Po raz pierwszy od czasu urodzin Annette poczuła się kochana, rozumiana, uwielbiana i pożądana – chociaż wciąż wstydziła się przyznać, jak bardzo delektowała się tymi

uczuciami. Hope miała zamknięte oczy, kiedy Charlie nadal masował jej głowę.

To silne uczucie wciąż było między nimi, niezmiennie. Ale od tamtej nocy, kiedy zobaczyła ten wyraz zniesmaczenia na twarzy swojej córki, zaczęło być również podszyte poczuciem winy. Hope nie mogła pozwolić sobie pójść w stronę, w którą powinna. Zdrada, za którą była odpowiedzialna sprawiała, że jej związek z Charliem był brudny. Czasami była to bardziej zwykła fizyczna potrzeba niż akt oparty na prawdziwej miłości. Od czasu przyjazdu do Pragi starała się pozbyć tego nieustającego poczucia, ale bez skutku. Kiedy poczuła palce Charliego coraz niżej i usłyszała, że zrzuca ręcznik, poczuła, jak napręża się jej ciało.

– O co chodzi? – zapytał Charlie, kołysząc się na piętach, kiedy Hope usiadła wyprostowana, rozchlapując przy tym sporo wody.

– W głowie mi się kręci – skłamała, a potem złapała go za rękę, żeby to zobrazować.

– Gorąco tu – zgodził się zmieszany.

– Jestem głodna – dodała, odsuwając się od niego i wyjmując korek z wanny.

– Pójdziemy gdzieś na kolację?

– Dobrze. – Skulił się na jej słowa. Hope pocałowała go w czubek lśniącej głowy i złapała ręcznik.

– Moglibyśmy znowu pójść w to miejsce, które znaleźliśmy, to z ciastem miodowym?

– Jak sobie życzysz.

Martwiła się, że zrobiła teraz coś złego, ale nie była pewna, jak go uspokoić. Niewygodną prawdą było to, że zaczęła się zastanawiać, co tak naprawdę myśli o tym związku. Charlie był porządnym facetem i zasługiwał na coś więcej, niż ona była w stanie mu zaoferować. Problem polegał na tym, że tak długo przedkładała potrzeby mężczyzny nad swoje, że fakt, iż robiła to samo z Charliem, wydawał się błędem.

Tak bardzo chciał ją wspierać i się nią opiekować. Hope zaczynała jednak zdawać sobie sprawę, że tych rzeczy nie powinna czerpać od Charliego – ani od żadnego innego faceta. Wsparcia i opieki powinna chcieć wyłącznie od siebie samej.

Na rynku Starego Miasta niewielki tłum zebrał się, żeby obserwować grupę muzyków. Sophie stała z samego brzegu, trzymając w ręku kubek z grzanym winem.

Grupa składała się z czterech muzyków, każdy był po pięćdziesiątce, każdy z własnym instrumentem. Jeden trzymał klarnet, drugi olbrzymi kontrabas, trzeci banjo, czwarty, który był solistą, miał głos, który przyprawiał Sophie o większą gęsią skórkę niż spadająca temperatura. Miał też żebrowaną drewnianą deskę wiszącą na szyi i dwa czynele przytwierdzone do podstawy. Grał, drapiąc i uderzając palcami ozdobionymi w większości grubymi srebrnymi pierścieniami.

Summertime Gershwina było utworem na życzenie. Sophie pozwoliła, żeby spokojna jazzowa muzyka wolno wypełniała jej zmysły. Wszyscy zdawali się urzeczeni niesamowitym tekstem i zachrypniętym głosem śpiewającego. Sophie obserwowała, jak pary przytulały się do siebie. Wzięła łyk wina i zaczęła się kołysać, zamykając momentami oczy i poddając się urokowi muzyki.

Śnieg, który spadł kilka dni przed jej przyjazdem, został odgarnięty na wielkie stosy dookoła rynku, a śniegowe kopce wyglądały na purpurowe w blednym świetle. Grupa rozlokowała się w pewnej odległości od jarmarku bożonarodzeniowego tak, żeby nie konkurować z salwami śmiechu dochodzącymi z budek z piwem ani ze świąteczną muzyką. Każdy z muzyków zabezpieczony był przed zimnem wełnianym kapeluszem i grubym płaszczem. Sophie jednak była w stanie dostrzec, że ich palce były różowe, kiedy wydobywali dźwięki ze swoich instrumentów.

Robin zaczął uczyć się gry na gitarze, ale był beznadziejnym piosenkarzem. Za pierwszym razem, kiedy usłyszała, jak sobie podśpiewuje pod prysznicem, poczuła prawdziwą ulgę. W końcu znalazła powód do tego, żeby uwierzyć, że jest prawdziwą istotą ludzką, taką jak ona sama, a nie jakąś tam boską postacią zesłaną przez niebiosy albo jak by to powiedziała ona, kosmitą z obcej planety. Przez pierwsze tygodnie od poznania Sophie była zachwycona Robinem, tym, jaki jest cudowny, namiętny, bystry i zabawny. Postawiła go na piedestale tak wysoko, że bała się, że zniknie jej z zasięgu wzroku. Kiedy więc usłyszała, jak śpiewa Elvisa tak beznadziejnie i tak poza melodią, poczuła się dużo lepiej.

Jak nietrudno przewidzieć, Robin był zaskoczony całą sytuacją, mówiąc jej, że jest całkiem psychiczna, skoro myśli o nim tak miło, i że jeśli ktokolwiek miałby w tym związku być tym słabszym ogniwem, to byłby to właśnie on. Powtarzał jej, że była idealna jak samotna gwiazda na ciemnym nocnym niebie. Była niesamowita i nadzwyczajna i... On był zwykłym Robertem Palmerem, niechlujnym surferem z Kornwalii bez wykształcenia. Sophie nie powiedziała mu

tego na początku, ale uważała, że był kimś znacznie więcej niż tylko sobą – był połówką, której szukała przez całe życie, nie zdając sobie z tego sprawy. Był jej brakującym fragmentem, jej bratnią duszą, był dla niej wszystkim.

– Sophie?

Okręciła się zdziwiona na dźwięk męskiego głosu. Spodziewała się, że jakimś cudem Robin za nią stoi, ale szybko poczuła się głupio. Ollie uśmiechał się do niej szeroko, jego okulary były w połowie zaparowane. Megan stała obok niego i też uśmiechała się do Sophie. Kiwała głową w stronę wciąż grającej czwórki mężczyzn.

– Są niesamowici – powiedziała niskim głosem. Sophie dostrzegła światło z jarmarku odbijające się w jej oczach. – Stoimy tu już wieki i obserwujemy ich. Ollie cię zobaczył i pomyśleliśmy, że podejdziemy się przywitać. Jak ci minął dzień?

Sophie pokiwała głową. Poczekała, aż skończy się piosenka i zwróciła się do obojga.

– A dziękuję, dobrze, a wam?

– Odkryliśmy lustrzany labirynt – powiedział Ollie – musieliśmy przy tym pokonać tony śniegu.

– Tony, jasne! – zbeształa go Megan, przewracając oczami w stronę Sophie. – Tylko on nie zabrał żadnych kozaków do Pragi, w środku zimy – dodała, spoglądając na przemoczone aadidasy Ollego.

Sophie uśmiechnęła się i zrobiła pełną współczucia minę, patrząc na wysokiego kompana Megan, który teraz dreptał w miejscu, narzekając, że od lunchu nie czuje własnych stóp.

– Byliśmy też w klasztorze na Strahowie – ciągnęła dalej Megan – To niesamowite miejsce. Widzisz stamtąd całe miasto rozpostarte poniżej.

Sophie przytaknęła.

– Jest piękny, to prawda.

– Chciałabym wrócić tu latem – mówiła – jestem ciekawa, jak to wszystko wygląda w porównaniu z obecną porą roku.

– Jest pięknie o każdej porze roku – zapewniła ją Sophie – ale śnieg nadaje Pradze czegoś niesamowitego.

– Nadaje ci odmrożone stopy – wtrącił się Ollie, rozśmieszając obie dziewczyny.

– Wracasz do hotelu? – zapytała Megan.

Grupa zrobiła sobie właśnie zasłużoną przerwę i Ollie podskoczył, żeby wrzucić kilka monet do ich puszeki.

– Chyba tak. – Sophie wzruszyła ramionami. – Właściwie to nie mam żadnych sztywnych planów.

– My też nie – przyznała Megan.

Sophie pomyślała, że Megan jest bardzo ładna z tymi złotymi lokami wystającymi spod kapelusza i okalającymi jej twarz. Miała mały, lekko zadarty na końcu nos a jej rzęsy były na tyle długie, że nie potrzebowała tuszu do rzęs, żeby je podkreślić. Ollie musiał mieć bzika na jej punkcie. W sumie teraz, kiedy tak sobie myślała, Sophie zdała sobie sprawę, że prawie słyszała powietrze iskrzące między nimi i zastanowiła się, dlaczego nie zauważyła tego wcześniej.

– Dużo zdjęć dzisiaj zrobiłaś? – zapytała, wskazując na aparat wiszący na szyi Megan.

– Bardzo dużo – Megan uśmiechnęła się do niej szeroko – dawno nie czułam się tak zainspirowana. Szczerze mówiąc, przyjeżdżając do Pragi, poczułam, jakby ktoś przełączył jakiś przycisk w mojej głowie. A to światło, kiedy wychodzi słońce... to jest po prostu wow.

– Znowu o mnie rozmawiacie? – zażartował Ollie.

Wrócił z trzema płytami, które kupił od grupy i dał po jednej każdej z nich.

– Nie powinienesz – powiedziała Sophie, rumieniąc się.

– A właśnie, że powinienem. – Wzruszył ramionami.

– Myślę, że wszyscy poczuliśmy coś wyjątkowego, słuchając ich, dlaczego więc nie zabrać tego uczucia do domu?

Sophie pomyślała sobie, że to niemożliwe wyjechać z Pragi, nie zabierając ze sobą uczuć – to było takie miejsce – ale nie powiedziała tego na głos, tylko uśmiechnęła się i wsunęła płytę do torby.

– Ollie zaoferował, że postawi mi dziś kolację – powiedziała Megan, kiedy oddalali się od rynku w stronę swojego hotelu. – Nie sądzę, żebyś wiedziała, gdzie jest najdroższa restauracja w Pradze, prawda?

– Prawdziwa przyjaciółka, co? – powiedział Ollie z udawaną powagą, mrugając do Sophie, kiedy spoglądała na nich po kolei.

Jego lekkie żarciki przypominały jej Robina.

– Znam kilka – odpowiedziała, ciesząc się, że może się przyłączyć do słownej potyczki. – Ale jeśli mam być szczerą, najlepsze miejsca są na uboczu. Im dalej od centrum, tym lepsze mają jedzenie.

– Nie spróbowałem jeszcze nawet gulaszu – stwierdził Ollie, wciągając nosem zapachy z restauracji z tradycyjną kuchnią czeską, która właśnie mijali.

– Wiesz co, większość Czechów tak naprawdę nie je tak dużo gulaszu i zupy cebulowej – powiedziała im Sophie. – Oni mają bzika na punkcie włoskiej kuchni, serio. Szybciej spotkacie rodzinę z Pragi na pizzy niż w jednej z tych tawern.

– Uważam, że są szaleni – powiedziała Megan, kopiąc kulkę śniegu w stronę Ollego. – Ja uwielbiam całe to mięso, pierogi i ziemniaki.

– Nie ma nic lepszego niż dziewczyna, która kocha swojego... – zaczął Ollie, ale szybko jego kapelusz został zsunięty na twarz przez oburzoną Megan.

– Oboje jesteście zabawni – powiedziała do nich Sophie, śmiejąc się, kiedy

patrzyła, jak Ollie udawał niewidomego. – Jesteście jak stare dobre małżeństwo.

– Oj! – Ollie podniósł kapelusz i poprawił okulary na nosie. – Nie takie stare. Niedawno skończyłem trzydzieści pięć lat i jestem przewrażliwiony na punkcie mojego nieuchronnie posuwającego się wieku.

– Trzydzieści pięć to nie tak dużo – powiedziała Sophie, czując, że bardzo lubi Ollego. – Moja mama powiedziała, że jesteś w najlepszym wieku.

– A jest wolna? – zaśmiał się z własnego żartu. Sophie mu zawtórowała, kręcąc przepraszająco głową.

– Niestety, zajęta.

– Kolejna poza listą – westchnął Ollie, spoglądając ukradkiem na Megan.

Między tą dwójką z całą pewnością coś jest, pomyślała Sophie, widząc rumieńce na twarzy Ollego, kiedy Megan zaczynała się uśmiechać.

– Czy to Hope i Charlie? – zapytała nagle Megan, wskazując na drugą stronę ulicy, gdzie jakaś para torowała sobie drogę przez kałuże, trzymając się za ręce. Sophie i Ollie obserwowali ich, kiedy Sophie ich zawołała, po czym dobiegł do nich zachwycony głos Hope.

– Wybraliśmy się na kolację do tej małej restauracji za kościołem – powiedziała Hope, kiedy już wszyscy uścisnęli sobie ręce i wycelowali się.

– Może pójdziemy razem?

– Dla mnie super – odpowiedziała szybko Megan. Ollie przytaknął, będąc pewnie przeszczęśliwym, że może iść tam, gdzie ona tylko chce.

Sophie zawahała się. Jej telefon był prawie rozładowany, a ładowarka została w hotelu. Chociaż kolacja brzmiała świetnie i była lepszym pomysłem niż siedzenie w pokoju. Dzień spędzony zupełnie samotnie sprawił, że czuła się niepewnie i jej wrażliwsza część zachęcała ją, żeby poszła. Towarzystwo mogło być fajne i mogło być jakąś odmianą. Mogło sprawić, że czas szybciej minie i przyłot Robina się przybliży. Tak postanowiła.

Jak tylko dotarli do małej kafejki z restauracją za kościołem na Rynku Staromiejskim, Megan przeprosiła i pomknęła do toalety. Miała na sobie wełnianą czapkę naciągniętą na uszy przez cały dzień i po prostu wiedziała, że jej długie blond włosy zbiły się pod nią w jeden kołtun. Gdyby była tylko sama z Olliem, rozczesałaby się przy stole, jednak pomyślała, że teraz, kiedy mają towarzystwo, lepiej, żeby nie zachowywała się tak całkiem zwyczajnie.

– Auu! – wykrzyknęła, wykrzywając się do swojego odbicia w lustrze, kiedy jej składana szczotka złapała szczególnie splątany kawałek włosów i utknęła mocno w tych kosmykach.

– Czy potrzebujesz pomocy?

To była Sophie. Właśnie otworzyła pchnięciem drzwi i skrzywiła się niemal równie mocno, jak Megan, kiedy została wciągnięta na scenę tej masakry.

– Też miałam ciągle ten problem – powiedziała, dając krok naprzód i chwytając swoimi maleńkimi palcami plastikową szczotkę. – Dawno temu miałam włosy tak długie, że mogłam na nich usiąść.

– Wow. – Oczy Megan rozszerzyły się w lustrze. – Teraz masz takie krótkie, to musiała być wielka sprawa, kiedy postanowiłaś je całe ściąć.

Sophie już zdążyła zdjąć swoją ogromniastą czapę w paski, a jej fryzura „na skrzata” sterczała teraz na wszystkie strony. Chaotyczny styl sprawił, że wyglądała nie tyle niedbale, co bezbronne i Megan czuła, jak sama mięknie, obserwując swoją nową przyjaciółkę delikatnie uwalniającą szczotkę z jej włosów.

Sophie wyglądała na zakłopotaną, kiedy wręczała z powrotem Megan szczotkę.

– To tylko włosy, prawda? W końcu odrosną.

– Co powiedział twój chłopak, przepraszam, narzeczony, kiedy to zrobiłaś? – spytała Megan, ściągając włosy w kucyk i energicznie rozczesując końcówki.

Sophie zrobiła na moment pauzę i nie całkiem patrząc Megan w oczy w lustrze, odpowiedziała:

– Popłakał się – i prawie natychmiast zaczęła się głośno śmiać.

Obie podskoczyły kiedy zadzwonił telefon, a Sophie wyciągnęła go z kieszeni płaszcza.

– Lepiej odbiorę – powiedziała, a Megan dostrzegła zdjęcie przystojnego roześmianego blondyna, to samo, które pojawiło się wcześniej w hotelu.

Kiwnęła głową i patrzyła, jak Sophie wybiega z toalety, pozwalając drewnianym drzwiom zatrzasnąć się za nią z hukiem. Dziewczyna była wyraźnie zbzikowana i Megan westchnęła, dalej rozczesując włosy. Dlaczego innym ludziom tak łatwo przychodzą związki? Dlaczego ona miała takiego pecha, że

związała się z Andre, skoro na świecie są tacy mili faceci jak Robin Sophie? I dlaczego nie mogła zapomnieć o tym, co się stało?

Umywarka napełniła się powyrywaniem włosów i Megan zebrała je i wyrzuciła do kosza. Tak naprawdę знаła odpowiedź na wszystkie te pytania. Wiedziała, kim jest, a skoro jest Megan Spencer, wiązały się z tym pewne ograniczenia. Kiedyś będzie miała czas na cały ten sercowy rozgardiasz, powiedziała sobie. To po prostu nie jest odpowiedni czas.

– Co zrobiłaś z Sophie? – spytał Ollie, przysiadając się do ich stolika kilka minut później.

– Rozmawia przez telefon, narzeczony – powiedziała, leniwie wskazując na zewnątrz.

– Aaaaaj. – Hope się rozpromieniła. – Młodzieńcza miłość.

– Niewiele się różni od późnej – powiedział Charlie, kładąc dłonie na dłoniach Hope.

Megan wpatrywała się w menu.

Kawiarnia była mała i przytulna, z zaokrąglonym sufitem, który sprawiał, że można się tu było poczuć właściwie jak w jaskini. Prawie na każdej ścianie wisiały lustra, a w kątach rozmaite instrumenty muzyczne, które wyglądały na zabytkowe. Stoły były całe drewniane, a na krzesłach i ławkach rozrzucone były wszelkich rozmiarów i kształtów poduszki. Megan wzięła jedną i przytuliła do siebie, palcami bezwiednie wodząc po luźnych nitkach, wiszących przy zamku.

W rogu, niemal poza polem widzenia, stało pianino, a za nim znów stoliki, każdy ze świecą na środku.

W kawiarni było ciepło i od razu można się było poczuć swobodnie jak w domu, szczególnie dzięki kelnerce, która stała przy ich stoliku, żeby przyjąć zamówienie – była nad wyraz czarująca. Megan uwielbiała w tym mieście przyjaznych i serdecznych ludzi. Dzięki nim można się było poczuć nie jak turysta, ale jak drogi gość i Megan z poczuciem winy przypominała sobie, z jaką złością przechodziła obok oczarowanych turystów w Londynie, cmokając na nich za każdym razem, kiedy zatrzymywali się na środku chodnika, nie chciała przystanąć i pomóc im, kiedy prosili o wskazówki. Naprawdę musi się bardziej wysilić, gdy wróci do domu.

Ollemu, jak zwykle, zaparowały okulary i czyścił je teraz serwetką, rozmawiając z Hope o tym, co zamówili.

– Dostaję obsesji na punkcie szarlotki – powiedział, wyszukując ją w menu i podnosząc pięść w geście zwycięstwa. – Może po prostu zamówię trzy i nie będę zwracał sobie głowy obiadem.

– Chciałabym zrobić to samo – powiedziała Hope. – Ale gdybym tak jadła desery, za chwilę nie zmieściłabym się w żadne ubranie. Szczęściarz z ciebie, jesteś taki wysoki i szczupły. Na pewno możesz jeść, co chcesz.

– To prawda – wtrąciła Megan. – Powinnaś zobaczyć, ile on wciąga. To wkurzające, ja nie mogę nawet powąchać talerza frytek, bo zaraz tyję pół kilo.

– Wy, kobiety, macie bzika – skwitował Ollie. – Obie wyglądacie idealnie. A jaki sens ma życie, skoro od czasu do czasu nie można sobie pozwolić na małą przyjemność?

– To samo jej powtarzam – wtrącił Charlie. – Ale wiesz, jak to jest z kobietami.

– Oj, uważaj. – Ollie zerknął na Megan z ukosa, z żartobliwie wystraszoną miną. – Ta zaraz założy czapkę feministki i da ci wykład.

Megan spojrzała na niego gniewnie i zaśmiała się gorzko.

– On ma rację – powiedziała Charliemu, wypijając kolejny łyk wina. – Zrobię to.

Charlie podniósł ręce, poddając się.

– Jestem za równouprawnieniem – zapewnił. – Ale lubię rozpieszczać kobietę, wiesz? Otwierać drzwi, płacić rachunek, tego typu rzeczy. Chyba nie ma co zniechęcać facetów do tego, żeby byli dżentelmenami. To miły gest, nic więcej, nie zagrożenie dla kobiet.

Megan słyszała, jak Ollie chichocze i zacisnęła zęby.

– Oczywiście, że takie rzeczy są miłe – przyznała. – I wierz mi, jestem jak najbardziej za tym, żeby nas czasem rozpieszczać, o ile mężczyzna nie traktuje mnie jak bezradnej łani, o którą cały czas trzeba się troszczyć. Tego bym nie zniosła.

– Przyjaźnimy się od sześciu miesięcy, a ona nie pozwala, żebym w jakikolwiek sposób jej pomógł – powiedział Ollie, śmiejąc się z pełnej furii miny na twarzy Megan. – Oj, przestań, tak jest! Nie pozwolisz, żebym ci pomógł z szafkami w kuchni, bo jesteś zbyt dumna, a są już tak rozchwiane, że zbijasz co najmniej trzy kubki tygodniowo.

– To moje mieszkanie, a nie zajęcia ZPT! – krzyknęła. – Cały budynek się chwieje. Przysięgam, że kiedyś cały wpadnie do leja krasowego, a wtedy stracę dużo więcej niż kilka kubków.

– Moim zdaniem mężczyźni w pewnych kwestiach są lepsi od kobiet i odwrotnie – powiedziała Hope, po raz trzeci uśmiechając się przepraszająco do kelnerki. Ciągle czekali, aż Sophie wróci, żeby złożyć zamówienie.

– Na przykład w jakich? – spytał Ollie i zarobił kolejne ostre spojrzenie Megan. Widział, że ten temat ją wkurzy i celowo prowokował Hope.

– No, na przykład takie jak naprawa pralki albo wymiana koła w samochodzie.

Megan przewróciła oczami.

– Ale obie te rzeczy możesz zrobić sama, wystarczy chcieć – klóciła się, pilnując, żeby zachować swobodny ton. – Chyba nie powinnyśmy się cofać i

godzić z tym, że czegoś nie potrafimy, tylko dlatego, że faceci chętniej próbują.

Hope otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale z powrotem je zamknęła. Nagle wyglądała na przybitą i Megan poczuła się strasznie.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie chciałam cię obrazić, ja tylko...

– Masz rację – przerwała jej Hope, zerkając na Charliego. – Byłam żoną faceta, który wszystko za mnie robił. No, kiedy mówię: wszystko, mam na myśli bardziej tradycyjne męskie zajęcia, wiesz, takie jak opłacanie rachunków, podatku od samochodu i koszenie trawnika. Ja zajmowałam się sprzątaniami, gotowaniem i praniem. Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Moja matka miała taki sam układ z moim ojcem i nami, i nikt nigdy tego nie kwestionował.

– To rozsądne. – Megan się do niej uśmiechnęła.

– I nie ma w tym nic złego – dodał buńczucznie Ollie. – Ludzie powinni zajmować się tym, co ich uszczęśliwia i pieprzyć, co myślą inni.

– A prasowanie? – spytał Charlie. – Nikogo nie powinno się do tego zmuszać, ani mężczyzny, ani kobiety.

– To prawda. – Ollie się roześmiał.

Megan już miała im przyznać rację, ale wszystkich owiał zimny podmuch i Sophie usiadła z nimi przy stole.

– Przepraszam – powiedziała, podnosząc kartę, gdy siadała na ławce obok Hope.

– To był pan Wspaniały? – domyśliła się Hope, uśmiechając się do niej ze szczerym ciepłem.

Sophie kiwnęła głową, znów zerkając na menu, a potem je odłożyła.

– Nie powinniście byli czekać z zamówieniem – powiedziała.

– Bzdura – zapewnił Charlie. – Nigdzie nam się nie spieszy, prawda? Kto chce wina?

Kiedy kieliszki mieli pełne, Hope spytała Olliego o pracę nauczyciela.

– Mnie się wydaje, że już z jednym dzieckiem w domu jest głośno – przyznała z tęskną miną, opowiadając o dwudziestopięcioletniej córce, kiedy była dzieckiem. Najwyraźniej Annette uwielbiała wkładać do buzi wszystko, czego nie powinna. Ollie śmiał się, kiedy Hope opowiadała, jak pewnego razu, kiedy zdjęła obrączkę i pierścionek zaręczynowy, zabierając się do prania, zorientowała się, że Annette zdążyła je połknąć, kiedy ona na chwilę się odwróciła.

– Ulżyło mi, że nie połknęła wtedy krzyżyka – powiedziała. – Ale te pierścionki nigdy już nie były takie same, gdy je odzyskałam.

– Mam w klasie chłopca o imieniu Bertie, który uwielbia jeść błoto – powiedział Ollie. – Mówię na niego Brudny Bertie, ale nie na głos, oczywiście. Pozostałe dzieci ładnie się bawią albo grają w piłkę, a Bertie siedzi po turecku na klombie, wybiera ziemię garściami i wkłada ją sobie do ust jak okruchy biszkopta.

– Ja zjadłam kiedyś ślimaka – wtrąciła Sophie, wypijając łyk wina, kiedy

wszyscy skierowali na nią wzrok. Ma takie wielkie oczy, pomyślała Megan i ręce ją świerzbiły, żeby zrobić jej zdjęcie. Normalnie poprosiłaby ją, żeby pozowała do paru portretów, ale z jakiegoś powodu miała przeczucie, że Sophie się nie zgodzi. Prawie cały czas się wierciła i zerkiała na prawo, jakby ktoś przy niej stał, chociaż nikogo nie było.

– W pierwszym roku pracy w szkole miałem w klasie dziewczynkę o imieniu Molly, która wyobrażała sobie, że ma oswojonego aligatora – opowiadał Ollie. – Wchodziła pod ławkę i gryzła inne dzieci w kostki, a potem winiła Snappy’ego.

– Podoba mi się. – Megan uśmiechnęła się promiennie, sięgając po otwartą butelkę wina i nalewając wszystkim po kolei. Hope szybko piła, zauważyła, ale Sophie za to prawie wcale.

– Raz zrobiła to nawet mnie – ciągnął Ollie. – Bolało jak cholera, mówię wam. Skakałem po całej klasie i wyrzucałem z siebie wszystkie możliwe nieprzekleństwa pod słońcem.

Hope zaróżowiła się na twarzy od śmiechu, a Megan przyglądała się, jak patrzy na nią Charlie. Z całą pewnością przy tym stole nie tylko Sophie była rozpieszczana. Zerknęła ukradkiem na Ollego, który kończył opowieść. Świeca ze stołu odbijała się w jego okularach, a ciemnobrązowe włosy sterczały nad uszami. Pokusę, żeby wyciągnąć rękę i je ugładzić, trudno było jej zwalczyć i ledwie się powstrzymała. Spojrzała w dół na swój chleb i zauważyła, że Hope się jej przygląda.

– Czy wszystkie mamy w szkole z tobą flirtują? – spytała Ollego Hope, zerkając przelotnie na niego, a potem na Megan.

Pokręcił głową.

– Nie. Cały czas o tym marzę, ale nic z tego. To chyba tylko legenda, którą opowiadają facetom, żeby zgodzili się uczyć w szkole.

– Ja byłem kiedyś zauroczona nauczycielem historii Annette – ciągnęła Hope, a Charlie spojrzał na nią, zaskoczony. – Nazywał się Johnson i miał wielką rudą brodę, ale miał coś w sobie.

– Może tu popełniam błąd – zażartował Ollie, gładząc świeżo ogoloną twarz i marszcząc czoło. – Widocznie trzeba mieć wygląd jaskiniowca.

– Ale przecież nie wolno ci spotykać się z matkami uczennic, prawda? – spytała Megan bardziej oskarżycielskim tonem, niż zamierzała.

Ollie zamarł z kawałkiem chleba w połowie drogi do ust.

– Nigdy nie słyszałem, że to wbrew zasadom.

– Byłoby to dziwne z punktu widzenia konkretnego dziecka – ciągnęła. – Wyobraź sobie, że twoja mama ma romans z twoim nauczycielem, nie przeżyłbyś tego.

Hope zrobiła się nietwarzowo brązowa, a Megan odniosła wrażenie, że nieopatrznie dotknęła czulej struny. Ona i jej niewyparzona gęba.

Ollie miał pełne usta i nie mógł odpowiedzieć, ale wyglądał tak, jakby chciał się roześmiać.

– A wy nigdy...? – spytał nagle Charlie.

Teraz to Megan zaczerwieniła się jak burak.

Sophie lekko zakaszłała, zawstydzona, ale Charlie nadal patrzył to na Megan, to na Charliego i czekał na odpowiedź na pytanie, które widocznie wydawało mu się zupełnie niewinne.

Ollie odezwał się pierwszy.

– Megan też lubi brody. – Wzruszył ramionami. – Nie jestem w jej typie.

– Ale dobrze się dogadujecie – ciągnął Charlie, szukając potwierdzenia u Hope.

Zapadła cisza, a Hope lekko pokręciła głową i Megan poważnie się zastanawiała, czy dać nura pod stół i odstawić własną wersję Snappy'ego.

– Tak – powiedział w końcu Ollie, kiedy stało się jasne, że Megan się nie odezwie. – Ale spotykamy się tylko jako przyjaciele.

Z niewiadomego powodu Megan poczuła, że łyzy pieką ją w oczy. Przywykła do tego, że to ona wypytuje innych, a nie na odwrót. Ollie robił, co mógł, żeby sytuację obrócić w żart, ale ona czuła się dotknięta tym, jak lekko ją zbył – jak lekko ich skreślił. Cholera, co się z nią dzieje?

Kiedy odważyła się znów spojrzeć na stół, dostrzegła wzrok Hope i wymawiane przez nią wargami słowo: „przepraszam”. Zrozumiała, że jedynie kwestią czasu jest to, że temat jej i Ollego wypłynie znowu. Hope będzie ją wypytywać następnym razem, kiedy nie będzie facetów, tego była pewna, ale nie chciała udzielać jej żadnych odpowiedzi. Zastanawiała się, co myśli Sophie i czy ma swoje zdanie na ten temat, ale kiedy próbowała ściągnąć ją wzrokiem, zorientowała się, że ona patrzy przed siebie w przeciwną stronę, szeroko otwartymi ustami i z rozchylonymi ustami, jakby analizowała jakieś wspomnienie.

Poczuła, bo nie widziała, że Ollie poruszył się na krześle. Drewno zatrzęszczało pod jego ciężarem i wiedziała, że na nią patrzy. Jednak tym razem udało jej się powstrzymać i nie podniosła wzroku do miejsca, w którym jego wzrok na nią czekał.

Przy stole panowała napięta atmosfera i Hope ulżyło, kiedy pojawiło się jedzenie, a wszyscy mieli wymówkę, żeby przestać rozmawiać.

Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała Megan o kobietach, że mogą robić, cokolwiek by chciały, bez względu na to, czy była to, czy nie, „męska robota”. Wiedziała, że to prawda, oczywiście. Powód, dla którego zapisała się na lekcje jazdy samochodem, był przede wszystkim taki, aby zdobyć odrobinę więcej niezależności. W przeszłości zawsze musiała polegać na Davie podwożącym ją do supermarketu na wielkie tygodniowe zakupy w weekend, a z czasem on miał coraz mniej chęci by ruszać się ze swojego fotela przed telewizorem. Zamiast raczej zrzędzić, jak to często miało miejsce, zdecydowała się wziąć sprawy w swoje ręce. A wtedy, oczywiście, poznała Charliego.

Hope zawsze była zadowolona, mogąc zajmować się domem. Koniec końców to przecież Dave był tym, który chodził do pracy, a ona cieszyła się, będąc na miejscu, kiedy Annette wracała ze szkoły. Mogła wyjść z domu i zdobyć pracę naprawdę w każdej chwili, ale się bała. Hope wiedziała, jak być matką i żoną, lecz kiedy chodziło o pracę na zewnątrz w realnym świecie, nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

Obserwowała teraz Megan po przeciwnej stronie stołu. Ta młodsza kobieta wydawała się tak silna i pewna siebie z rozjaśnionymi włosami i teatralną kreską na powiece. Najwyraźniej byli z Oliem blisko. Patrzył na nią kątem oka, Hope to zauważyła. W zasadzie, kiedy o tym pomyślała, on niemalże nie odrywał od niej wzroku.

Gulasz, który zamówiła, był pyszny, z kawałkami delikatnej wołowiny, która rozpływała się w ustach, słodką czerwoną cebulą i bogatym, rozgrzewającym sosem, w którym maczała właśnie swoje cudownie soczyste pierożki z bekonem. Megan zamówiła to samo, jednak panowie woleli łopatkę wieprzową, która przybyła w hojnym towarzystwie kiszonej kapusty i tłuczonych osolonych ziemniaków. Sophie natomiast wybrała rosół wołowy, który podany został w uroczy sposób – w bochenku chleba. Pachniał bosko, lecz Hope od razu wiedziała, że tamta tylko udaje, że je.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – wyszeptała, kiedy Sophie podniosła pełną łyżkę do ust i ponownie opuściła ją z powrotem.

– Czuję się okej. – Sophie posłała jej półuśmiech.

Wyraźnie nie chciała rozwijać tematu, więc Hope jedynie leciutko ścisnęła jej ramię, zanim zwróciła swoją uwagę z powrotem na resztę grupy.

– Dziś poszliśmy na most Karola – oświadczyła.

– Ja też – odpowiedziała Megan, potakując głową z entuzjazmem. – Poszłam

tam zaraz z rana żeby porobić zdjęcia.

– Czyli fotografia to jest to, czym się zajmujesz, tak? – dopytywał się Charlie.

– Staram się tym zajmować – przyznała Megan, wbijając swój widelec w kawałek mięsa, zgarniając go do ust razem z cebulą.

– To, czego ci nie mówi, to fakt, że jest genialna – dodał Ollie. – Szczerze, gdybym był wystarczająco bogaty zapłaciłbym jej, żeby rzuciła pracę i całymi dniami robiła tylko zdjęcia.

– To takie słodkie. – Hope ścisnęła swoje dłonie ze sobą.

– Nigdy bym mu nie pozwoliła – pospieszyła z wtrąceniem Megan. – A tak czy inaczej, moja praca wcale nie jest taka zła. Pracuję w galerii – dodała.

– To musi być fajne?

Megan ledwo potaknęła.

– Jest okej. Niektórzy klienci są okropni, ale i tak nie mamy ich zbyt wielu, więc mogłoby być gorzej.

– U mnie też trafiają się tacy i zamawiają lekcje jazdy ze mną – powiedział Charlie. – Jedna pani była naprawdę bardzo przesadna i za każdym razem, kiedy przyjeżdżałem po nią, musiała otworzyć i zamknąć wszystkie drzwi trzykrotnie, zanim wsiadła. Najwyraźniej gdyby tego nie zrobiła, z całą pewnością rozbilibyśmy się.

– Brzmi wyczerpująco – powiedziała Megan.

– Takie było – zgodził się Charlie. – Ale była bardzo miła. Chociaż nigdy nie przeszła przez egzamin. Wydaje mi się, że poddała się po trzynastym podejściu, co musiało być jakimś rekordem.

– Ja nie mam prawa jazdy – przyznała Sophie, sprawiając, że wszyscy zwrócili się do niej. – To znaczy umiem prowadzić, mój tato nauczył mnie na farmie, kiedy miałam około dwunastu lat, ale nigdy nie zadałam sobie trudu, aby to zalegalizować.

– To tak samo jak ja – powiedziała Megan. – Moi rodzice chcieli opłacić mi lekcje, gdy skończyłam siedemnaście lat, ale ja zamiast tego chciałam aparat. A tak czy siak teraz mieszkam w Londynie, a tam samochód nie jest potrzebny.

Hope pomyślała przelotnie o dniu, kiedy miała egzamin z jazdy. Ku swojemu zaskoczeniu i rozkoszy zdała za pierwszym razem, a potem Charlie zawiózł ją do wiejskiego pubu, gdzie uczcili to lunchem. Pamiętała jak dumna się poczuła i jak odmówiła wypicia kieliszka szampana, ponieważ chciała prowadzić z powrotem do Manchesteru. Zaledwie tydzień po tym Annette ich przyłapała.

– Widzieliście ten złoty krzyż na moście? – Hope spytała teraz Megan, kierując rozmowę z powrotem na miasto i z dala od jej wspomnień.

– Widziałam mnóstwo krzyży.

– Ten nie znajduje się na żadnym posągu – wyjaśniła Hope. – Jest na murze

samego mostu, w miejscu, gdzie wrzucono świętego do rzeki.

Megan patrzyła na nią skonsternowana, więc Hope opowiedziała im całą historię, którą ona i Charlie poznali wcześniej tego dnia.

– Myślę, że to stek bzdur – przyznał Charlie, odkładając razem widelec i nóż. – Po prostu historyjka, którą opowiadają turystom aby podtrzymać ich zainteresowanie.

– Ależ z ciebie stary cynik – zbeształa go Hope. – Ja uważam, że to piękna opowieść.

– Jutro tam pójde i poproszę o podniesienie ceny – powiedział Ollie, sprawiając, że Charlie się zakrztusił. Jednak dziewczyny wyglądały obie na zamyślane.

– Jest coś magicznego w tym mieście – kontynuowała Hope uparcie, unosząc kieliszek wina. – Można to wyczuć. Jest tu coś w powietrzu jak wyszeptany sekret unoszący się na wietrze. Wiem, brzmię jak szalona.

– Wcale nie. – Megan potakiwała teraz zgodnie. – Wiem dokładnie, co masz na myśli. Poczułam to dziś rano na moście Karola i w klasztorze na wzgórzu. To tak, jakby to miasto było nawiedzone, ale nie w zły czy straszny sposób.

– Myślę, że wypiłyście za dużo wina – zażartował Charlie.

Hope zwróciła się wtedy do Sophie.

– Ale ty się z nami zgadzasz, nieprawdaż, kochanie?

Sophie odłożyła łyżkę i przesunęła odrobinę swój talerz.

– Ja po prostu kocham to miejsce – odpowiedziała prosto. – Zwiedziłam niemal cały świat, ale tylko tu ciągle wracam i to tu poznałam Robina.

– Musi być jakiś powód, dla którego tylu ludzi wciąż wraca tutaj rok po roku – stwierdziła Hope.

– Tanie piwo? – zasugerował Ollie.

Hope uśmiechnęła się, ale była zadowolona, że nie tylko ona wyczuła w Pradze coś wyjątkowego. Kiedy pomyślała sobie swoje ciche życzenie tego ranka na moście Karola, szczerze wierzyła w to, o co prosiła. W tamtej chwili, kąsana zimnym wiatrem po policzkach wśród odległych dźwięków bijących kościelnych dzwonów, pozwoliła sobie uwierzyć w prawdziwą magię.

Rok i jeden dzień to był długi czas oczekiwania, aby jej osobliwe życzenie się spełniło. Być może powinna się była skupić na tym, jak stworzyć odrobinę magii na własny użytek.

Kiedy już ostatnie okruchy jabłkowego strudla ze śmietaną zostały zeskrobane z talerzy, a hojny napiwek wylądował na stole obok kilku pustych butelek po winie, Hope zaproponowała, żeby powalęsali się jeszcze po placu zanim wrócą do hotelu. Patrzyła, jak Sophie zakłada ponownie swoją przeogromną czapę i zapina na guziki płaszcz, chroniąc się przed marznącym nocnym powietrzem. Oto była dziewczyna, która nie tylko przyjechała tutaj sama, ale podróżowała po całym

świecie. Prawdopodobnie umiała o sobie znacznie lepiej zadbać, niż Hope będzie kiedykolwiek zdolna, lecz ta nieprzeparata potrzeba matkowania jej ciągle wpyływała i nie dała się utopić. To pewnie dlatego, że tęskni za Annette.

Chociaż jej córka była towarzyska i miała mnóstwo przyjaciół, zawsze przychodziła do Hope, kiedy potrzebowała pomocy, a przynajmniej było tak do niedawna. Hope, patrząc na Annette, zawsze widziała w niej swoją małą córeczkę, a nie dorosłą, dwudziestopięcioletnią, robiącą karierę kobietę z własnym domem. Nie przypuszczała, że to kiedykolwiek się zmieni. Ale świadomość, że jej własne dziecko nie chce mieć z nią nic wspólnego, była bolesna jak otwarta rana.

– Spojrzysz chociaż na tego bezczelnego faceta? – spytał Charlie, zatrzymując się obok stajni. Podłoga każdego boksu, w którym mieszkały trzy ciekawskie kozy, kucyk i osioł, wyłożona była słomą. Na końcu stajni wisiał dozownik na monety z orzechami dla kuczka. Osioł, którego boks znajdował się najbliżej, nieustannie próbował dostać się do przysmaków.

– Jaki słodki – powiedziała Hope nieśmiało, głaszcząc go pomiędzy uszami.

Ollie szukał drobnych w kieszeni, a Megan czekała już z gotowym aparatem w rękę. Hope słyszała, jak klikała jak szalona, podczas gdy Ollie położył w dłoniach Hope i Sophie dużą garść orzechów. Osioł ruszył natychmiast do przodu, podnosząc górną wargę i pokazując zęby.

– To znak, że jest bardzo zadowolony – powiedział człowiek zajmujący się stajnią.

Trzymając płasko dłoń i obserwując pałaszujące zwierzę, Hope domyśliła się, że osioł jest przyzwyczajony i że jest nakarmiony, sądząc po rozmiarze jego brzucha. Cofnęła się o krok, i starła kurz z orzechów na dłoni i zauważyła, że Charliego nigdzie nie ma.

– Wiesz może, gdzie on zniknął? – zapytała Megan, która ciągle jeszcze trzymała aparat w rękę.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Tam jest – powiedziała Sophie, wskazując pomiędzy oślimi uszami drugą stajnię oddaloną o kilka metrów. Charlie stał do nich tyłem, ale zdradzał go jego wzrost i czerwony kapelusz. Hope poczuła, jak ścisną ją w żołądku, gdy zobaczyła telefon przy jego uchu. O tej porze nie mógł to być żaden agent nieruchomości.

Ollie musiał zauważyć jej zaskoczony minę, bo szybko wrzucił kolejną monetę do podajnika z orzechami i kiwnął, żeby do niego podeszła.

– Chodź no – zawołał, podnosząc głos przynajmniej o jedną oktawę. – Zobaczmy, czy uda nam się nakłonić osła i kuca do walki.

Hope wyciągnęła rękę i uklękła w miejscu, gdzie zawzięta gniada klacz wciskała swój mały nos pomiędzy szczelinę w płocie. Nadal widziała czubek głowy Charliego i słyszała, bardziej niż widziała, Megan robiącą kolejne zdjęcia.

Jak się tutaj znalazłam? – zastanawiała się. Jeszcze kilka dni temu wydawało

jej się, że znalazła kogoś, komu może ufać i kogo może kochać, ale teraz w Pradze, z kolanami na zimnym mokrym bruku i z palcami różowymi od lodowatego powietrza uświadomiła sobie, z rosnącym strachem, że jednak nie zna Charliego za dobrze.

Następnego ranka niebo było białe i ciężkie od śniegu. Sophie mogła niemal poczuć ten ciężar, kiedy wymknęła się z hotelu i z trudem brnęła przez przyzmy brudnej brei na chodnikach. Znalazła się na brzegu Wełtawy, zmierzając najpierw w stronę Muzeum Kafki i zatrzymując się jedynie, aby kupić sobie kubek świeżej imbirowej herbaty u małego sprzedawcy na drugim brzegu rzeki.

Naprzeciw niej rosło ogromne ogołoczone z liści drzewo, którego korzenie to tu, to tam wystawały z błotnistej ziemi a najniższe gałęzie zwisały tuż nad powierzchnią wody. Biele, brązy i szarości to jedyne kolory, jakie były tu obecne, a sama Wełtawa, odbijając blade niebo nad sobą, spłóviała do mroczno beżowej barwy. Sophie wciągnęła nosem cokolwiek zatechłe powietrze i zmarszczyła nos, podnosząc do twarzy kubek, aby słodkim aromatem imbiru zamaskować zapach kaczych odchodów.

Tego ranka wypełniła kieszenie swojego płaszcza chlebem z bufetu śniadaniowego, a teraz usadowiła się na jednym z ogromnych korzeni i zaczęła dzielić kromki na kawałki. Nie trwało długo, aby okoliczna zgraja łabędzi, kaczek i mew wyczuła woń chleba i nagle kałuże wokół stóp Sophie zaroily się od pierzastych łakomczuchów.

Nie spieszyła się, wybierając, które z nich nakarmić. Rzuciła kawałki tuż ponad głowami chciwych łabędzi, które agresywnie przepychały się na przód stadka. Jej niechęć do nagradzania ich bezczelności rozwścieczyła je. Skuliła się ze strachu, kiedy jedna szczególnie obrażona bestia rozpostarła skrzydła i przypuściła atak na jej kostki.

– Spieprzaj! – krzyknęła, wykonując odpędzające ruchy i niemal straciła ramię na rzecz równie agresywnego ptaszyska. Sposób, w jaki ptaki wzajemnie się uderzały, kiedy przepychały się, aby zdobyć miejsce, przypominał jej londyńskie metro. Wielu ludzi tam zachowywało się tak jak te łabędzie tutaj, zupełnie jakby byli najważniejszymi osobami na tej planecie i oczekiwali takiego właśnie traktowania. Sophie uważała ich za śmiesznych i uśmiechnęła się, kiedy pomyślała z czułością o względnym spokoju swojego domu. Na wsi nie było potrzeby, aby ktokolwiek kogoś popychał. Kiedy Sophie była dzieckiem, często skarżyła się rodzicom, że wieś jest „nudna” i że ona zamierza wynieść się do Londynu, jak tylko będzie wystarczająco duża. Jaką była idiotką.

Nagle przed nią zrobiło się poruszenie, a kilka kaczek ruszyło z kwakiem do wody. Z początku Sophie pomyślała, że to jeden z łabędzi znów zaczyna rozrabiać, lecz wśród pierzastej bijatyki mignęło jej brązowe futro.

– Co do diabła? – wysapała, mocząc jedną z rękawiczek letnią herbatą imbirową, kiedy wzdrygnęła się w szoku.

Zdecydowanie widziała futro. I coś jakby ogon. I zęby. To jednak nie mógł być szczur. Swego czasu widywała duże szczury, był to jeden z uroków życia na farmie, ale to było coś innego. Było większe od kaczek, które teraz po kaczemu umykały.

Pragnienie, żeby wstać i uciekać, stało się przemożne, ale Sophie zorientowała się, że nie może się ruszyć. Czuła mrowienie na skórze z niewygody i z jakiegoś powodu jej umysł wyczarował obrazy mokrego, śliskiego stworzenia wspinającego się na jej nogi. Jeżeli kiedykolwiek potrzebowała tutaj Robina, to właśnie teraz. On wiedziałby, co robić, nie bałby się.

Przebiegł ją potężny dreszcz, kiedy gryzoń znów wyłonił się zza grupki rozeźlonych kaczorów i zaczął obwąchiwać śmieci wyrzucone na brzeg kilka metrów od jej miejsca pod drzewem. Z tej bezpiecznej odległości stwierdziła, że to coś wcale nie było takie złe. Tak naprawdę to było nawet słodkie. Miało bardziej płaski pyszczek niż szczur, a jego łapy przypominały bardziej płetwy niż pazury. Kiedy odwrócił się do niej tyłem i ześlizgnął do wody, dostrzegła ponownie jego ogon i nawet zaśmiała się na głos z samej siebie. To był bóbr, a nie szczur.

Ona i Robin widzieli delfiny w Meksyku, krokodyle w Australii, orła łapiącego rybę w lagunie na Cejlonie i tysiące gołębi podczas swojej podróży dookoła świata, ale nigdy wcześniej nie widzieli bobra. Jak tylko poczuła ulgę, że to nie gigantyczny szczur, Sophie uderzyło nowe odczucie: żal. Nie mogła uwierzyć, że Robina tutaj nie ma, żeby to zobaczyć.

Wyciągając swój telefon, Sophie poczłapała przez błoto na skraj wody, na próżno rozglądając się za zwierzęciem, na widok którego jeszcze kilka minut temu w desperacji chciała z krzykiem uciekać. Mogła przynajmniej zrobić mu zdjęcie. Chociaż to i tak nie byłoby to samo.

Ona i Robin tyle razem przeszli. Niemal się nie rozstawali, od kiedy się poznali, a już zwłaszcza od kiedy on opuścił swój dom w Kornwalii i zamieszkał na farmie w jej sypialni na strychu. Wydawało się to samo w sobie niewłaściwe, że była tutaj teraz sama i doświadczała czegoś, czego on nie był częścią.

W jej umyśle zamigotało bezwiednie wspomnienie, które bezskutecznie usiłowała pogrzebać, wspomnienie kłótni, która wprowadziła zmianę w ich związku. Wrócił do domu później niż zwykle, jego oddech cuchnął piwem, on sam był drażliwy i pobudzony. Kiedy Robin był w tego rodzaju nastroju, nie mógł usiedzieć na miejscu i kręcił się po pokoju, zajmując się czymkolwiek. Gdy Sophie mu to wytknęła i zapytała, dlaczego wydaje się taki pobudzony, on nagle stał się cichy i niezwykle milczący.

– Czego mi nie mówisz? – naciskała, patrząc, jak on podniósł pudełko z płytą i udawał, że czyta coś na odwrocie.

– Nic.

– Dlaczego wracasz tak późno?

– Po prostu poszedłem na drinka po pracy, to wszystko. – Wzdrygnął się.

– Z kim?

Sophie zauważyła, jak napinają mu się ramiona.

– Tylko z kolegami i...

Odłożył płytę i schował włosy za uszy, wzrok kierował na podłogę raczej niż na nią.

– I z kim? – Starła się powstrzymać sączenie bólu w swoje słowa, ale było to niemożliwe. To było niepodobne do Robina, aby być tak tajemniczym. Westchnął głęboko i wreszcie na nią spojrział.

– Z nikim – powiedział.

Sophie wzięła głęboki wdech. Najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć jej prawdy.

– Rozumiem.

Robin jęknął i zabębnił niecierpliwie palcami w blat komody.

– I właśnie dlatego nigdy ci nie mówię, kiedy wychodzę z chłopakami. Wiedziałem, że będziesz histeryzować.

– Nie histeryzuję. To ty zachowujesz się, jakbyś był winny.

– Daj spokój, Robaczku.

– To prawda – powiedziała, odwracając się do niego plecami, gdy on próbował wziąć ją w swoje ramiona. – Jestem nic nieznaczącym robaczkiem, nie dziwota, że wolisz wychodzić ze swoimi przyjaciółmi.

– Teraz to już naprawdę jesteś głupia. – Patrzył na nią z mieszaniną lęku i rozbawienia, ale to właśnie ta nutka żartu w jego głosie sprawiła ból. Jak on śmiał się z niej śmiać?

Jej twarz musiała portretować jej uczucia, ponieważ Robin tylko spojrział i się wycofał.

– Przepraszam – powiedział, jego brawura zniknęła jak woda w odpływie. – Powinien był ciebie też zaprosić. Chłopaki nie są dla ciebie zagrożeniem, Robaczku. Powinnaś to wiedzieć. Wiesz, że jesteś dla mnie ważniejsza niż którykolwiek z nich.

– Po prostu boję się ciebie stracić – powiedziała, jej głos był słaby, a Robin przyciągnął ją do swojej piersi.

– To się nigdy nie stanie – przyrzekł, a ona poczuła, że się uśmiechnął. – Obawiam się, że utknęłaś ze mną na całe życie.

Szloch, jaki się wydarł z nienacka z samej głębi jej piersi, zaskoczył te kilka kaczek i mew, które wciąż krążyły wokół niej w oczekiwaniu na chleb. Wydała się sobie teraz śmieszna, nie było powodu do tych wszystkich łez. Kłótnia wydarzyła się miesiąc temu, a ona i Robin już się dawno pogodzili.

Sophie nie była pewna, jak długo tam siedziała, zagubiona w przeszłości, ale po jakimś czasie spod powierzchni wody na wprost niej wynurzył swój gładki łeb

bóbr i zaczął węszyć z zainteresowaniem. Sophie nawet nie drgnęła, więc minął ją tak blisko, że mogła wyciągnąć rękę i pogłaskać palcem jego gładkie futro na grzbiecie.

Ptaki ucichły teraz a na przeciwnym brzegu rzeki miasto budziło się do życia. Sophie nastawiła uszu i dosłyszała dźwięk klikania zwrotnic dobiegający ze skrzyżowania przy moście Karola, gdzie tramwaje z piskiem przemierzały brzegi Wełtawy. Nikły odgłos muzyki dryfował gdzieś zza niej, a wiatr zajęty był ściganiem opadłych liści po bruku.

Temperatura powoli spadała i Sophie westchnęła, kiedy spojrzała na swoje przemoczone rękawiczki. Była zadowolona, że ma długi płaszcz, który przykryje mokrą plamę na tyle jej dżinsów. Przynajmniej będzie miała historyjkę do opowiedzenia pozostałym tego wieczoru, pomyślała, przeklinając się w duchu raz jeszcze, że nie zdołała zrobić zdjęcia bobrowi. Być może gdyby Megan tu przyszła, udałoby się jej zrobić kilka i z pewnością umiałaby lepiej wykorzystać okazję.

Wszyscy zgodzili się, żeby wyjść znów na kolację razem całą grupą tego wieczoru, a ona była wdzięczna, że byli tacy troskliwi. Znów wyobraziła sobie Robina z jego życzliwymi, śmiejącymi się oczyma i potarganymi blond włosami. Jak ona za nim tęskniła, za jego zapachem, dotykiem, za nim całym. Po tym wyjeździe nie zamierzała już nigdy więcej pozwolić mu się od niej oddalić.

Jeździłaś kiedykolwiek na segwayu?

Megan się skrzywiła.

– Nie.

Odsunęła się na bok, bo już kolejna grupa turystów, dudniąc, minęła ich na dziwnych dwukołowych urządzeniach.

– Gdyby ktokolwiek jechał tym do pracy w Londynie, z całą pewnością zostałby zlinczowany – dodała, rzucając okiem na segwaye znikające za brukowanym rogiem przed nimi. – Możesz to sobie wyobrazić?

– Pewnie tak by się stało – zgodził się Ollie. – I jeszcze by ich okradli. Przypomnij mi raz jeszcze, dlaczego my mieszkamy w takim mieście.

– Bo to tam się wszystko dzieje – poinformowała go. – Jeżeli chcesz być kimś, to nie możesz się kryć w małej wiosce.

– Czy to właśnie dlatego ty tam jesteś? – Przyglądał się jej z zaciekawieniem. Zimny wiatr zabarwił mu nos na kolor dojrzałego jabłka.

Megan wzruszyła ramionami z niechęcią.

– Przypuszczam, że tak. Ale tu nie chodzi o to, że chcę być sławna czy coś w tym stylu. Tam po prostu jest więcej wystaw i możliwości dla fotografów. Gdybym została z rodzicami na wsi w Kent, nigdy bym do niczego nie doszła.

Ollie wyglądał, jakby kompletnie jej nie wierzył, więc Megan poczuła, że zjeżyła się z irytacji.

– Tak uważam – powiedziała. – Chcę, aby ludzie patrzyli na moje prace, a nie na mnie.

– Nie no, ty nienawidzisz, kiedy ludzie na ciebie patrzą – zgodził się.

Wobec jego neutralnego tonu nie była pewna, czy naprawdę to miał na myśli, czy też robił małą aluzję do tamtej nocy, kiedy się poznali, i skręcała się ze wstydu pod jego spojrzeniem, kiedy usiedli obok siebie na jej kanapie. Nie czuła się komfortowo z intensywnością uczuć Ollego do niej w tamtym momencie – to pokrywałoby się z prawdą, ale nie dlatego, żeby wizja, że on jej pożąda, jej się nie podobała. A może jednak? Z każdą godziną spędzoną tu w Pradze z Olliem Megan czuła się coraz bardziej skonfundowana całą tą sytuacją. Dopiero co, dziś rano, kiedy się obudziła, stwierdziła, że wkradł się ze swoją dłonią w jej dłoń, kiedy spali. Właściwie to nie wiedziała, czy zrobił to naumyślnie. Mógł to być nieświadomy ruch, ale to, co ją niepokoiło najbardziej, to, jak bardzo jej się to spodobało. Zrobiło jej się naprawdę smutno, kiedy zaczął się wiercić i odwrócił się od niej.

Megan zawsze myślała o sobie jako o niezależnym duchu, jako o kimś, kto łatwo znajduje siłę, aby pogodzić się gładko z brakiem mężczyzny w jej życiu. Ta

nowa potrzeba, to, co czuła do Ollego, było niepokojące i sprawiało, że czuła się słaba. Ostatnią rzeczą, jakiej Megan chciała w życiu, była słabość. Nie po tym, co stało się z Andre, kiedy jej błędna ocena przyniosła jej tyle zgryzoty. Wiedziała, że jedynym sposobem, aby pewnie odzyskać życie, jakiego chciała i pokazać światu dokładnie, z jakiej gliny była ulepiona, jest stworzenie najlepszej wystawy, jaką Londyn kiedykolwiek oglądał i chciała to zrobić sama.

Im jednak więcej czasu spędzała z Olliem, tym bardziej czuła się do niego przywiązana. Jej uczucia wciąż wlokły się za nią i klepały po ramieniu, domagając się jej uwagi.

Spójrz na niego – zdawały się ją nagabywać. – Jest uroczy, wysoki i zabawny, i ma własne włosy. Idź tam i pocałuj go.

Jednak Megan wołała potrząsać głową i odpędzać je. Ollie był tylko o jedną komplikacją za dużo w tym momencie i nie byłoby fair wobec niego teraz postępować zgodnie z uczuciami. Przerzuciła swoje myśli z powrotem do poprzedniego wieczoru, kiedy to wypadki przybrały raczej dziwny obrót.

Kiedy już wszyscy razem opuścili tę ekscentryczną kafejkę na tyłach Rynku Staromiejskiego i natknęli się na tego genialnego, złośliwego osła – Megan aż wyszczerzyła się teraz do siebie, kiedy przypomniała sobie zdjęcia, które zrobiła – Charlie gdzieś się zawieruszył, żeby zadzwonić, a atmosfera między nim i Hope stała się natychmiast jeszcze chłodniejsza niż pogoda. A to już coś, zwłaszcza jeżeli ma się na względzie, że temperatura spadła poniżej zera. Hope zapytała go, z kim rozmawiał, a Charlie cudacznie oskarżył ją o wymyślanie sobie czegoś. Wszyscy widzieli Charliego z telefonem przyciśniętym do ucha, więc było to bardzo dziwne słyszeć, jak się beczelnie wypierał i kiedy Megan odwróciła się do Hope, ta mamrotała coś pod nosem. Poziom niezręczności wkrótce wzrósł do porządnej, budzącej gęsią skórę dziesiątki, a wielkie oczy Sophie uchwyciły wzrok Megan i jeszcze się rozszerzyły.

Ollie, zawsze pragmatyk, wkroczył i uratował sytuację, proponując, że on i Charlie pójdą na „męski kufelek” do jednego z tych okropnych, wyglądających z angielska pubów, po drugiej stronie placu, zostawiając gotującą się w ciszy Hope z pozostałymi dwoma dziewczynami.

– Jeszcze wina? – zaproponowała Megan, nie mając nic lepszego do powiedzenia. Hope przybrała coś na kształt uśmiechu i potrząsnęła głową.

– Myślę, że wrócę już do hotelu, ale wy, dziewczyny, idźcie.

Megan spojrzała na Sophie w poszukiwaniu pomocy, lecz ona tylko skryła uszy między ramionami wstrząsana dreszczami.

– Daj spokój – tłumaczyła Megan. – Jest tyle miłych barów. Dlaczego nie pójdziemy do tego tam z lampami grzejnymi na zewnątrz? Mam ochotę na grzane wino pod kocym, a wy nie? Od ostatniego minęło już z dziesięć minut i znów zacznę zamarzać.

Hope spojrzała na nią, na Sophie i znów na nią, i wreszcie zdołała się uśmiechnąć naprawdę.

– Och, chodźmy. Przekabaciłaś mnie.

Na niebie niemal nie było chmur, jednak sztuczne światła oświetlające architekturę Rynku Staromiejskiego rzucały poświatę, która przesłoniła gwiazdy. Dzięki Bogu wiatr zelżał, więc czuły się całkiem przytulnie, kiedy sączyły swoje gorące drinki pod trzema grubymi kocami. Megan zauważyła, że kelner, który był imponująco wysoki i miał raczej duży nos, poświęcił sporo czasu, aby opatulić kocem jej talię i uda.

– Masz tutaj swojego admiratora – zachichotała Hope, mrugając do niej, kiedy mężczyzna uwijał się pomiędzy stolikami. Miał na sobie elegancką koszulę i krawat i żadnej marynarki, aż Megan przebiegły dreszcze ze współczucia.

– To zimno najwyraźniej przyćmiło mu mózg – powiedziała.

– Dobrze, że Ollie tego nie widział – ciągnęła Hope, szturchając konspiracyjnie Megan w ramię.

Megan zignorowała ją, podnosząc swój kubek a następnie przeklinając, bo gorący korzenny płyn poparzył jej gardło.

– Obawiam się, że jest nazbyt oczywiste, że go pociągasz – kontynuowała Hope. – On nie może oderwać od ciebie oczu.

– Słyszałaś, co powiedział podczas kolacji – przypomniała jej Megan. – On widzi we mnie tylko przyjaciółkę. Był czas, kiedy... – urwała, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

– Nie musicie o tym rozmawiać. – Sophie podniosła wzrok zza drugiego końca stołu.

Jak na kogoś tak cichego okazała się bardzo bystra, pomyślała Megan. Może właśnie jednak pogadanie o tym zrobi jej dobrze.

– Skończyłam to z Olliem, zanim, tak na dobre, się w ogóle zaczęło – powiedziała im, wyjaśniając pomiędzy niepewnymi łykami wina, jak ich dwoje się poznało i jak całowali się pierwszej nocy po quizie w barze. – Przeżyłam ciężkie zerwanie kilka lat temu – dodała, postanawiając nie wchodzić w szczegóły. – To nie tak, że uważam Ollego za złą osobę, tak naprawdę to wręcz przeciwnie. Uwielbiam być jego przyjaciółką.

– Jak to się stało, że wylądowaliście tutaj razem? – zapytała Hope, przechylając swoją piękną głowę na bok. Z blond włosami ułożonymi w loki przypominała Megan jednego z wielu wyrzeźbionych w kamieniu aniołów i cherubinów rozsianych po całym mieście.

– Ollie chciał tu przyjechać i sprawdzić to miejsce, zanim będzie o tym uczył dzieciaki na swoich lekcjach i pomyślał, że mogłabym mu pomóc, robiąc dla niego zdjęcia. – Przerwała, bo zdała sobie sprawę, że od ich przyjazdu wszystko, co robiła, to skupiała się na własnych zdjęciach. Czy Ollie to zauważył i po prostu nic

nie powiedział? To do niego podobne.

– I jak było? – Hope kontynuowała, patrząc na Sophie, która się uśmiechała.

– Było naprawdę fajnie – przyznała Megan, a potem skrzywiła się, przypominając sobie pijaną spowiedź Ollego, kiedy wyszli pierwszej nocy. – Jednak było kilka niezręcznych momentów. Czasem mam wrażenie, że on jest mną poirytowany.

– Dlaczego miałyby być? – spytała Hope, podciągając koc odrobinę wyżej i zaciskając odziane w rękawiczki dłonie wokół swojej szklanki.

Megan pokręciła głową.

– Być może dlatego, że nie pozwoliłam mu posunąć się dalej niż tamten pocałunek? Nie wiem. Może po prostu jestem irytująca? – Roześmiała się, lecz pozostałe dwie nie przyłączyły się.

– Czemu nie pozwoliłaś na nic więcej? – spytała delikatnie Hope.

– Musiałaś mieć swoje powody – przerwała jej Sophie. – Zawsze jest jakiś powód.

Megan zdała sobie sprawę, że ona drży.

– Chcesz jeszcze jeden koc? – zapytała. – Albo możemy poprosić o stół w środku.

– Och, nie. Nic mi nie jest – odparła Sophie i zgarbiła ramiona.

Rozległ się głośny dźwięk metalu zgrzytającego o kamień, kiedy Hope przyciągnęła swoje krzesło bliżej Sophie i objęła jej barki swoim opiekuńczym ramieniem, pocierając jej rękę w górę i w dół, aby ją rozgrzać.

– Ollie potrzebuje prawdziwej dziewczyny – powiedziała im Megan. – Kogoś, kto może mu poświęcić cały swój czas. Zasluguje na to. Ale ja nie jestem tą osobą, jestem zbyt samolubna.

– Jestem pewna, że nie jesteś – klóciła się Hope, ale Megan potrząsnęła głową.

– Jestem, wierz mi. Przynajmniej jeżeli chodzi o moją karierę. Problem z fotografią jest taki, że to nie jest praca od dziewiątej do piątej. Nie mogę po prostu się wyłączyć na koniec dnia i wyrzucić wszystko z głowy aż do następnego dnia. Czasami nie śpię do późna, edytując jedno ujęcie, tylko po to, żeby o trzeciej nad ranem wywalić je do kosza. Innym razem zrywam się do pracy przed świtem. To zależy od mojego nastroju, ale faktem jest, że mam wolność, aby robić to, co lubię. Gdybym miała chłopaka, musiałabym poświęcić część mojego wolnego czasu, a nie jestem na to gotowa.

– Kochasz go? – padło ze strony Sophie, podczas gdy Hope gapiała się na Megan oszołomiona.

– Masz na myśli Ollego? – Megan zarumieniła się i roześmiała nieco zbyt głośno. – Nie! To znaczy tak, jako przyjaciela. Och, sama nie wiem.

– Miłość nie zawsze jest taka oczywista – powiedziała Hope poważnie. –

Czasem może się wydawać, że jesteś w kimś zakochana, aby po latach zdać sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie byłaś ani trochę. Byłaś zakochana w wizji miłości bardziej niż w samej osobie.

– Musisz być pewna – powiedziała cicho Sophie. – Od zawsze byłam z Robinem. Od chwili, kiedy się poznaliśmy, nie było ani dnia, żebym nie miała absolutnej pewności, że go kocham. Myślę, że kiedy wiesz, to po prostu wiesz.

– To rzadkie, taka miłość – powiedziała im Hope, jej oczy były zamglone gdy wpatrywała się w światła Rynku. – Niektórzy ludzie nigdy nie wiedzą, czy to, co czują, jest prawdziwe.

– A skąd się wie? – zapytała ich Megan. – Chodzi mi o to, czy jest taki moment, jakby fajerwerk odpalił się w mózgu?

Chwila przerwy, wszystkie zastanawiały się nad tym pytaniem, aż Sophie odezwała się pierwsza.

– Kiedy poznałam Robina i mam tu na myśli dosłownie ten moment, kiedy pierwszy raz się do mnie odezwał, odczułam w sobie jakąś zmianę. To było tak jak wskazówki zegara, które wskakują z kliknięciem na swoje miejsce, aby wskazać godzinę. On powiedział, że czuł dokładnie to samo. To było tak, jakby wszechświat sprowadził nas do siebie.

– Miałam fajerwerki w majtkach, kiedy po raz pierwszy spotkałam Ollego – przyznała Megan. Nastrój zrobił się zdecydowanie zbyt serio jak na jej gust i miała ochotę go nieco rozluźnić.

Hope zachichotała i dała znak tyczkowatemu kelnerowi, żeby przyniósł więcej wina.

– Niemniej, nigdy się tym nie martwisz? – Sophie spytała Megan.

– Czym się martwić?

– Tym, że Ollie to ten jedyny? Co, jeżeli spotkaliście się nie bez powodu, a ty popełniasz błąd, trzymając go na dystans?

– Wiem, że to nie jest błąd – odpowiedziała Megan automatycznie. – Po prostu to czuję, wiesz, w bebechach. To nie jest w porządku.

– A co bebechy Ollego mówią jemu? – spytała Sophie. Nie wyglądało, jakby ten przytyk był celowy, lecz oczy Megan zwięzły się odrobinę. Ta skrupulatna analiza zaczęła ją dotykać i poczuła się, jakby była osaczana. Tak było zawsze, kiedy pojawiał się temat Ollego, jej rodzina i przyjaciele, wszyscy go uwielbiali i wszyscy uważali, że jest wariatką, nie przenosząc tego związku na wyższy poziom, a teraz nawet te dwie zwały szyki przeciwko niej.

– Myślę, że Ollie wie, że jesteśmy tylko przyjaciółmi – powiedziała prosto. – Nawet jeżeli nie rozumie moich powodów, żeby z nim nie być, myślę, że się stara.

Hope zdjęła dłoń ze swojej szklanki z winem i uściśnęła ramię Megan przez koc.

– Musisz robić to, co jest najlepsze dla ciebie – powiedziała. – Nie stawiaj

nikogo innego na pierwszym miejscu. Ja robiłam tak z moim Dave’em przez tyle lat, a teraz zrobiłabym wszystko, aby cofnąć czas.

– Czasem chciałabym zatrzymać wszystkie zegary – powiedziała Sophie marzycielsko. – Dałabym wszystko, aby mieć dla siebie kilkaset lat więcej razem z Robinem.

– Nie mogę się doczekać, aby poznać tego twojego koleśia – wyszczerzyła się Hope. – Brzmi jak ideał.

Sophie uśmiechnęła się.

– Taki jest. Cóż, jest idealny dla mnie.

Przeszła do opowiadania o swoim narzeczonym, planach co do ich ślubu i o tych wszystkich miejscach na świecie, jakie mieli ciągle przed sobą razem do zwiedzenia. Megan była zadowolona ze zmiany tematu, ale też zdała sobie sprawę, że jest zazdrosna o szczęśliwy związek Sophie. Dlaczego jej to wszystko tak łatwo przychodziło, a jednocześnie było tak nieosiągalne dla Megan?

Megan spoglądała teraz na Ollego, na jego czerwony nos i okulary zsunięte na sam czubek, na jego różowe policzki i na paskudny obsyty futrem kapelusz, który wybrał na straganie po drodze przez most Karola i starała się skoncentrować na tym, co czuje. Cokolwiek to było, było ciepłe. Czowała to, jakby roztopiony karmel rozplwający się po jej wnętrzu. Jej kończyny stały się lekkie, a serce przyspieszyło, chłód stał się ledwo odczuwalny. Czy to była miłość? A jeżeli tak, to jaki rodzaj miłości? Skąd mogła mieć pewność, że to nie jest miłość do Ollego jako przyjaciela? Sophie powiedziała, że po prostu wiedziała, że kocha Robina, jak tylko go poznała, więc dlaczego ona, Megan, miała z tym takie trudności?

– Wydaje mi się, że Ściana Johna Lennona jest w tę stronę – oświadczył Ollie, przerywając gwałtownie jej meandrujący pociąg myśli. Miał mapę, którą trzymał otwartą i pozaginaną w dłoniach w rękawiczkach. Zeszli z mostu Karola i skierowali się teraz na lewo, wchodząc kolejno w kręte uliczki z wysokimi żółtymi budynkami. Gładkie kostki bruku dekorowały ziemię pod ich stopami, a każda z nich była ozdobiona skrzącą się pajęczyną szronu. Zamieciony śnieg leżał na smutnych, zapomnianych przykramach przy krawężniku. Głosy rozmawiających turystów cichły, w miarę jak się oddalali.

To mogłoby być idealne miejsce na pocałunek, Megan była przerażona, kiedy zdała sobie sprawę, o czym myśli. Nikogo dookoła, kto mógłby im przeszkodzić. Minęło tyle czasu, od kiedy pocałowała Ollego po raz pierwszy, ale wciąż pamiętała, jak ostrożnie wysunął swój język naprzeciw jej własnego, nie niezręcznie czy niezdarnie, ale właśnie wyważenie i delikatnie. Jej kolana zaczęły drżeć, więc instynktownie sięgnęła w dół, aby je rozetrzeć.

– Czyżby wciąż bolały cię ścięgna po wczorajszej wspinaczce, staruszko? – zapytał Ollie rozbawiony.

Gdybyż on tylko wiedział...

– Kogo nazywasz staruszką, panie bliżej do czterdziestki niż trzydziestki?
Ollie pokazał jej język.

Następny róg, w który skręcili, doprowadził ich do małego mostu, który z jednej strony miał niski murek, z drugiej pręty z kutego żelaza. Do tych prętów przypięte było dosłownie setki kłódek w rozmaitych kolorach, wielkościach i stylach, a każda nosiła imiona lub inicjały par, które je tam umieściły. Megan pomyślała o samotnej kłódce, którą znaleźli w pół drogi pod górę na Wzgórze Petřín poprzedniego dnia i uśmiechnęła się. Gdyby kiedykolwiek miała przypiąć gdziekolwiek w Pradze kłódkę miłości, nie żeby miała to zrobić oczywiście, to z całą pewnością poszłaby w ślady tamtej pary i schowała ją gdzieś w dyskretnym miejscu.

– W tym mieście jest mnóstwo zakochanych – zauważył Ollie, przeglądając kilka kłódek najbliższej niego.

Megan nie odpowiedziała, bo była zbyt zajęta robieniem zdjęć z każdego możliwego kąta. Miło było nie czuć się już skrępowaną w obecności Ollego. Po wczorajszej chwili szaleńczej żywiołowości, jaką pokazała w klasztorze, doszła do wniosku, że nie ma znaczenia, co zobaczył. Jeżeli mieli być przyjaciółmi, to musiał poznać prawdziwą ją – a to była prawdziwa ona.

– Naprawdę zamierzasz się położyć na tym...? Och. – Ollie odskoczył na bok, kiedy Megan zaczęła się wiercić na ziemi tuż przy jego stopach. – No tak, zrobiłaś to.

Wszystko, co była w stanie dostrzec teraz Megan, to kolor, miłość i radość, a kiedy kadrowała swoje ujęcia, starała się poczuć to, co właściciele tych kłódek musieli czuć, kiedy je tutaj przynieśli. To uczucie wzajemnej fascynacji, tę tęsknotę, aby to, co do siebie czuli, trwało na zawsze. Solidna gwarancja, jedyna, jaką mogli zobaczyć i potrzymać w rękę i być może odwiedzić ponownie, gdyby sprawy zaczynały się toczyć źle. Co zresztą działo się prawie zawsze, z tego co wiedziała.

– Masz minę jak niemowlak zapełniający swoją pieluchę – zauważył Ollie bezwiednie.

– To jakbyś patrzył w lustro – zrewanżowała się słodko, w końcu gramoląc się na nogi, bo kolejna wycieczka na segwayach nadciągała zza rogu, trajkocząc.

Ollie podał jej rękę, żeby pomóc jej złapać równowagę, delikatnie ściskając jej palce pomiędzy własnymi, tak jakby chciał tym zakomunikować coś, czego nie był gotów powiedzieć głośno. Megan znów pomyślała o pocałunku, ale zmusiła się, aby się odsunąć.

– Zimno – oświadczyła, patrząc w dół na swoje przemoczone ubrania i drżąc gwałtownie, by zilustrować swój osąd. – Chodźmy znaleźć tę twoją ścianę, o której nie możesz przestać nawijać.

Ollie spojrzał na nią przez umazane szkła swoich okularów i zbliżył swoją

dłoń, żeby zmieść pojedynczy kosmyk blond włosów, który przylgnął do jej pomadki na ustach.

I znów pojawiło się tamto ciepło.

– Jesteś bardzo piękna – powiedział. – Myślę tak za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę i zazwyczaj umiem się powstrzymać, żeby ci tego nie mówić, ale nie tym razem.

Megan nie powiedziała nic, ale poczuła, jak się trzęsie. Tym razem ona też nie odwróciła od niego wzroku. Po prostu stała nieruchomo niczym jeden z posągów na moście i wpatrywała się w niego.

– No, chodź – powiedział w końcu, otrząsając się z tego wspólnego transu i sięgając po jej dłoń. – Pozwól nauczycielowi się poprowadzić.

Kiedy miękkie światło wkradło się przez zasłony tuż po brzasku tego ranka, na swoich bladych paluszkach najpierw po wykładzinie, przez kwiecisty chodnik i potem w górę przez pomięte prześcieradła na łóżku, odnalazło Hope, która już nie spała. Nie spała od wielu godzin. Od momentu, kiedy obudził ją krzyk.

Charlie leżał obok niej, z twarzą odwróconą w przeciwną stronę. Hope mogła słyszeć jego delikatne chrapnięcia, jednak te dźwięki nie przynosiły ukojenia. Położyli się spać pokłóceni – po pierwszej prawdziwej kłótni, a Hope wciąż czuła żądła ich gniewnych słów.

– Ubzdurałaś sobie coś, kochanie – stwierdził, kiedy oskarżyła go o to, że w tajemnicy dzwonił ze swojego telefonu na bazarze, gdy jej uwagę odwrócił osioł. – Czemu się mnie czepiasz?

Jednak Hope nic sobie nie ubzdurała, widziała go. Kiedy mu o tym powiedziała, Charlie spojrzał na nią z pogardą, tak jakby nawet sam jej widok był irytujący. To było tak niepodobne do tego delikatnego, kochającego Charliego, do jakiego przywykła, że Hope oszołomiona momentalnie ucichła. Spróbowała innej taktyki.

– Cokolwiek to jest, możesz mi powiedzieć – zmuszała swój głos, aby przybrał pojednawczy ton. – Nie ukrzyżuję cię, przyrzekam.

– Nie ma nic do powiedzenia. – To jego odpowiedź. Nawet nie spojrzał jej w oczy.

To było takie dziwne czuć się tak odłączoną od niego jak teraz. Ich związek był zawsze namiętny, jednak jak właśnie zdała sobie sprawę, byli także zawsze bardzo blisko fizycznie. Czy po prostu dali się ponieść żądzy, która ich pożerała, i nie zdołali zauważyć luki, która otwierała się jak przepaść pomiędzy nimi? Czy byli zbyt niecierpliwi w zakochaniu? Hope była tak pewna swoich uczuć. Jeszcze kilka dni temu była przekonana, że Charlie jest odpowiedzią w jej układance, czyżby się myliła? Czy jej pragnienie, aby zmienić swoje życie, pchnęło ją w coś, co nie było prawdziwe?

Punkt zapalny, do którego ciągle wracała, stanowił fakt, że naprawdę troszczyła się o Charliego, jednak nie była gotowa pozwolić mu zaopiekować się sobą, tak jak on tego chciał i właśnie musiała się z tym zmierzyć.

Światło zmieniło się, odsunęła zasłony i cichutko przeszła do łazienki. Jęknęła na głos, kiedy zobaczyła się w lustrze. Skomplikowana mapa kresek na jej twarzy świadczyła o tym, jak mało spała. Znów pomyślała o tych krzykach, które usłyszała z jednego z pozostałych pokoi – tak przepełnionych żalem i nieszczęściem, że musiała wybiec na korytarz i zawołać: „Halo? Czy wszystko okay?”

Nikt nie odpowiedział. Jedyne dźwięki dobiegały z lekko brzęczącego automatycznego oświetlenia, które migotało nad jej głową, i delikatnie tykającego pobliskiego grzejnika. Krzyk najwyraźniej nie obudził nikogo więcej, a Hope zaczęła myśleć, że musiała to sobie wymyślić. Była zmęczona i psychicznie, i emocjonalnie, więc nie było trudno uwierzyć, że jej umysł mógł zrobić jej psikusa. Pokonana, wróciła do łóżka, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w ciemny sufit.

Charlie obudził się późno i przecierał oczy, instynktownie sięgając po swój zegarek, a potem odwrócił się w stronę Hope. Obserwowała go ze swojego miejsca na krześle przy oknie, gdzie spędziła ostatnie ponad pół godziny, ubrana i z zaciśniętymi ustami.

Potrząsnął głową, kiedy na nią spojrział.

– Przepraszam – wymamrotał.

Zapadła cisza. Hope nie była pewna, co miała powiedzieć. Wiedziała, że on czeka, że ona również go przeprosi, jednak tego nie zrobiła. Nie czuła się winna, nie zrobiła nic złego. Zbyt wiele razy prosiła o wybaczenie Dave'a w trakcie ich małżeństwa, zbyt wiele razy pozwoliła, by uszło mu na sucho sprawianie, że czuła się, jakby to ona była odpowiedzialna. Nie zamierzała być tamtą osobą nigdy więcej.

– Po prostu oddzielmy grubą kreską wczorajszy wieczór, możemy? – powiedziała, zamiast przeproszać. – Postarajmy się spędzić przyjemnie dzisiejszy dzień, zwiedzić trochę więcej w mieście.

Przytaknął.

– Podrzucić mi ten ręcznik, możesz?

Jest przesadnie skrępowany, pomyślała Hope, kiedy obserwowała, jak starannie owija się ręcznikiem. Pomimo swojego wcześniejszego postanowienia, poczuła się winna.

– Spotkamy się na dole – powiedziała przez zamknięte drzwi łazienki, nie mogąc znieść atmosfery panującej w pokoju choćby przez sekundę dłużej i cicho wymknęła się na korytarz.

– Pomyślałem, że możemy wybrać się dziś na wycieczkę statkiem – powiedział Charlie. Kiedy opuścili hotel, rezolutnie wsadził obie ręce głęboko w kieszenie swojego płaszcza, zamiast objąć jej dłoń, ale przynajmniej przestał mówić do niej monosylabami.

– To cudowny pomysł – zaszczebotała, okazując o wiele większy entuzjazm, niż faktycznie odczuwała. Jej wcześniejsze rozdrażnienie zostało rozmiękczone śniadaniem i kilkoma filiżankami mocnej czarnej kawy, wszystko, czego teraz chciała, to, by sprawy pomiędzy nimi wróciły do normy.

Niebo dzisiaj było czystą bielą i wyglądało niemal ciężko, tak jakby ktoś przewrócił puszkę lakieru i zamazał wszystkie rysy i plamy. Hope powiedziała to

Charliemu, a on spojrział w górę, lekko mrużąc oczy.

– Myślę, że może spaść śnieg – powiedział. – Ma się takie wrażenie, prawda?

Hope uśmiechnęła się zgodnie, myśląc w głębi duszy, że wiszące w powietrzu przepowiednie prawdopodobnie mają więcej do czynienia z psuciem się ich związku niż załamaniem pogody.

Kluczyli uliczkami Starego Miasta, kierując się w stronę Wełtawy, zatrzymując się krótko, aby podziwiać męczyznę siedzącego na skraju nieczynnej fontanny, ubranego od stóp do głów w plastikową folię. Między zębami miał małą rurkę, przez którą wypuszczał stały strumień wody wpadający do wiadra na jego kolanach. Kiedy tak stali i gapili się, podniósł otwartą dłoń w geście pozdrowienia. Był o niebo lepszy od tych wszystkich kretyńskich żywych posągów, które Hope widywała w Manchesterze, więc przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu koron, aby wrzucić mu je do wiaderka.

– Przecież on zamarźnie. – wykrzyknęła, otulając się ramionami, gdy smagał ich podmuch wiatru.

– Lepiej że on niż ja – zgodził się Charlie, chociaż jego zwykły pogodny humor najwyraźniej zniknął i Hope skrzywiła się, kiedy zauważyła głęboką zmarszczkę niepokoju wyrytą pomiędzy jego oczami.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, odważając się delikatnie dotknąć jego ramienia. Charlie wziął głęboki wdech.

– Oczywiście, że tak – powiedział.

Kiedy przespacerowali się tam i z powrotem brzegiem Wełtawy, zdecydowali się na Praski Rejs Historyczny Rzeką, który zawierał w cenie biletu darmowy napój i ciastko. Łódź, która była szeroka i wykończona pięknie drewnem na wysoki połysk, stała nisko w wodzie, a dwóch przewodników wycieczki ubranych było w tradycyjne stroje żeglarskie. Hope była zachwycona, ledwo udało jej się powstrzymać przed palnięciem, że Annette, jako dziecko, pokochałaby taką wycieczkę. Musiała pamiętać, że jej córka jest już teraz dorosła, jest kobietą ze swoim zdaniem, która nie potrzebuje już, żeby Hope skakała wokół niej. Jednak bycie matką Annette było wszystkim, co Hope umiała robić i kiedy ta rola została jej tak gwałtownie odebrana, pozostało jej dryfowanie bez steru po oceanie niepewności.

Kiedy zaczął pod nimi dudnić silnik, a łódź ruszyła na rzekę, Hope ostrożnie pozwoliła spocząć swojej głowie na ramieniu Charliego i została za to wspaniale wynagrodzona, kiedy zsunął rękę pod kocem na jej kolano. Przyjemnie było być opatulonym kocem, z kubkiem grzanego wina w rękę, kiedy przewodnik mówił o historii miasta. Hope zauważyła, że przewodnik nie wspomniał o specjalnym życzeniu, jakie można było pomyśleć na moście, za to trzymał się bardziej tradycyjnej wersji o dotykaniu posągu na szczęście. Była zafascynowana dalszymi

opowieściami o świętym Janie Nepomucenie, chociażby o jego grobie w katedrze Świętego Wita zwieńczonego wielkim srebrnym monumentem. Ściszone głosem przewodnik powiedział im też o nadnaturalnych mocach świętego i o tym, jak jego język został odnaleziony nietknięty wewnątrz jego czaszki całe trzy wieki po jego śmierci. Hope znów pomyślała o swoim życzeniu, jakie sobie wymyśliła, i zacisnęła kciuki pod kocem.

– A teraz dotarliśmy do Diabelskiego Strumienia – oświadczył przewodnik przesadnie dramatycznym tonem. – Uznaje się, że powstał w dwunastym wieku. Tutaj w Pradze nazywamy go Čertovka.

Znajdowali się teraz na przeciwległym brzegu rzeki w dzielnicy miasta Mała Strana, a przewodnik radośnie poinformował ich, że ta część była w większości niezniszczona.

– Niemal żaden budynek tutaj nie powstał później niż w osiemnastym wieku – wyjaśniał powoli, robiąc pauzy na ochy i achy słuchaczy, najwyraźniej do nich przyzwyczajony. – A w tym kanale mamy dwa średniowieczne młyny, koło jednego z nich obraca się po dziś dzień.

Rozległa się seria kliknięć, gdy pasażerowie przyciskali swoje aparaty fotograficzne do szyb, aby uchwycić mijane budynki. Hope mogła się tylko wpatrywać, skamieniała, próbując wyobrazić sobie miasto tak, jak wtedy wyglądało, tyle wieków temu. Czy ludzie mieli czas, aby przysiąść na brzegu Wełtawy i pozwolić myślom błąkać się po nieznannej przyszłości? Czy byli sobie w stanie wyobrazić łódkę załadowaną turystami gapiącymi się na ich domy?

– Spójrz! – powiedział nagle Charlie, unosząc się z siedzenia tak, że koc spadł na podłogę. – Czy to nie Ollie i Megan?

Hope wstała i spojrzała przez szybę na przedzie łodzi. Przed nimi było ogromne młyńskie koło, połowa była zakryta wodą, a nad nim był wąski mostek ozdobiony...

– Co to takiego? – zapytała Charliego.

– Kłódki – wtrącił przewodnik. – Ludzie zapinają je tam na szczęście lub by ocalić swoją miłość.

– To zdecydowanie Ollie. – Charlie wskazywał dalej. – Megan była tam sekundę temu, ale znikła.

Hope mogła teraz zobaczyć Ollego, jego okulary odbijały światło, kiedy spoglądał przez dziury pomiędzy kłódkami. Odkryła dla niego miejsce – perełkę w ostatnich dniach i dla Megan też. Tych dwoje wydawało się stanowić tak dobraną parę, że jej romantyczna strona nie mogła pogodzić się, żeby nie zostali czymś więcej niż dobrymi przyjaciółmi.

– Och, tam jest Megan! – wykrzyknęła, kiedy blond głowa wychynęła gdzieś poniżej kolan Ollego. – Ciekawe, co ona robiła na ziemi.

– Cóż... – Charlie posłał jej spojrzenie z ukosa.

– Ani się waż! – krzyknęła, dając mu żartobliwego klapsa, kiedy usiedli znowu.

Charlie roześmiał się i wreszcie objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Dobrze było poczuć, że jej wybaczył i być znów w przytulnym kąciku jego uczucia, gdzie mogła się wypłakać. Dzięki Bogu za Ollego i Megan.

Teraz przewodnik opowiadał im o historii Wyspy Kampa, która znajdowała się przed nimi po prawej.

– Uwielbiam to, że to miejsce ma tyle małych historii i mitów – powiedziała Hope do Charliego, gładząc jego palce swoimi. – To sprawia, że czuję się jak w bajce. Ciągle myślę, że wystarczy spojrzeć w górę i zobaczyć Roszpunkę spuszcającą włosy przez jedno z tych okien albo armię krasnoludków maszerującą do pracy jednym z tych mostów.

– Zabawna jesteś – powiedział jej Charlie.

– Tak jak ty – odpowiedziała, tuląc się do niego.

Cokolwiek oznaczał tamten telefon, najwyraźniej Charlie miał swoje powody, aby utrzymywać to przed nią w sekrecie, a ona powinna to zaakceptować. Wizja utraty Charliego, tak samo jak Annette, to po prostu byłoby zbyt wiele, żeby mogła temu stawić czoło, w tej chwili. Mieli szansę, ich dwoje – to było tylko podstępne rozwidlenie rzeki. Musiała w to uwierzyć.

Koniec końców, kiedy łódź wracała w stronę Starego Miasta, Hope zdała sobie sprawę, że Charlie jest wszystkim, co jej pozostało.

Sophie objęła sedes, brodę oparła na desce klozetowej i wpatrywała się w kałużę żółci.

Nie zjadła dziś śniadania, więc nie bardzo miała czym wymiotować, ale żołądek i tak gwałtownie się kurczył, desperacko próbując pozbyć się trucizny, którą, jak sobie widocznie ubzdurał, miała w sobie. Nagle obrzydliwy widok zawirował, a w oczach pojawiły się łzy frustracji.

Co się z nią dzieje?

Po tym, jak wypatrzyła nad rzeką bobra, opuściła centrum i poszła w kierunku dalszych dzielnic, bo miała zamiar znaleźć małą piekarnię, na którą razem z Robinem trafili rok temu. Od lat nie potrzebowała mapy, żeby poruszać się po Pradze, ale dzisiaj nie mogła się odnaleźć. Krążyła przez ponad pół godziny po to tylko, żeby wylądować w miejscu, z którego wyruszyła, gdzie na dodatek znów zrobiło jej się słabo. Była rozpalona, a przed oczami latały jej czarne kropki. Przytrzymała się ściany, żeby nie upaść, wtedy podeszła do niej młoda para z Polski. Pomogli jej dotrzeć do najbliższej kawiarni, gdzie, jak stanowczo polecili, miała się napić czarnej słodkiej herbaty. Jej ciało miało jednak inny plan.

Poczuła, że siedzi tam już od jakiegoś czasu, gdy zaczęły jej cierpnąć nogi. W boksie, w którym tkwiła, prawie nie było miejsca, kolana miała zgięte pod dziwnym kątem, a dzinsy jeszcze nie wyschły po tym, jak nad rzeką klęczała na zimnej ziemi. Pobieгла do łazienki, a za nią przyszła Polka; pomiędzy falami wymiotów Sophie zapewniła ją, że wszystko dobrze. Nie miała pewności, czy dziewczyna zrozumiała, ale tak czy inaczej dała spokój.

Czuła w kieszeni znajomy ciężar komórki i pragnęła znaleźć siłę na wyciągnięcie jej i wykonanie telefonu.

Nachyliła się i ciało przeszył kolejny spazm. Toaleta zawirowała, a ona poczuła się tak żałośnie, że bezsilnie załkała. Nienawidziła wymiotować.

Gdyby Robin z nią był, uspokoiłby ją bezsensownym paplaniem i głupimi żarcikami. Odgarnąłby jej włosy z twarzy i może nawet splatał roztrzęsionymi palcami, udając, że w ogóle się nie martwi, chociaż martwiłby się bardzo. Kiedyś już się nią tak zajmował, na Cejlonie. Musiała zjeść coś nieświeżego w ciągu dnia i obudziła się w środku nocy w zatłoczonym hostelowym pokoju, targana najgorszym bólem brzucha, jakiego w życia doświadczyła.

– Robin? – szepnęła cicho, żeby nie obudzić pozostałych. – Idę do łazienki. Źle się czuję.

– Pójdę z tobą. – Złaził już z górnej półki piętrowego łóżka, ignorując protesty.

I dobrze się stało, że poszedł, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa, zanim

dotarła do końca korytarza.

– Hej, co jest? – Złapał ją pod pachami i przytrzymał. Nie był bardzo wysoki, ale siły mu nie brakowało. Poza tym, jak potem wytłumaczył, ważyła tyle, co nic.

Dotarli do toalety w samą porę, żeby wyrzuciła z siebie resztki kolacji, przez cały czas krzycząc z bólu, taki był nieznośny. Potem wymioty się nasiliły i skoczyła jej temperatura. Sophie dostała takiej gorączki, że nie pamiętała, co się działo dalej. Robin opisywał jej kilka dni później, jak się miotła po podłodze, płakała i prosiła, żeby coś zrobił, żeby to się skończyło. Charczała, bełkotała i łkała w agonialnym bólu. Mówił, że to było sześć najgorszych godzin w jego życiu, ale ani na chwilę nie odszedł od jej boku.

Gdy w końcu przestała wymiotować, ale nadal miała wysoką gorączkę, próbował ją namówić, żeby wrócili do sypialni, gdzie będzie mogła odpocząć, ale odmówiła. Myśl o pościeli dotykającej jej płonącej skóry wydawała się nieznośna. Chciała spać tutaj, na brudnych, zimnych płytkach i Robin mógł błagać, a ona nie zmieniała zdania. W końcu, żeby przestać się wyklócać, przyniósł z pokoju dwie poduszki i położył się na podłodze obok, a potem delikatnie przesunął palcem po kręgosłupie, w górę i w dół. Nieznośny dygot zmienił się w łagodne dreszcze, a choć wreszcie zapadła w błogosławioną drzemkę, Robin i tak trwał przy niej.

– Wyglądałaś tak spokojnie na tej obleśnej podłodze – wspominał. – Nie miałem serca cię przenosić. Bałem się, że znów zaczniesz boleć, a ponad wszystko chciałem ochronić cię przed tym bólem, wziąć go na siebie.

Cały Robin, zawsze najważniejsze było dla niego, żeby nie cierpiała, wołał sam odczuwać ból, niż patrzeć, jak ona się męczy. Dla niej to też był moment przełomowy, bo zdała sobie sprawę, że w takich chwilach Robin jest jedyną osobą, jakiej potrzebuje. Nie chce do mamy, taty ani żadnej z przyjaciółek. Musi być przy Robinie. Nikt inny jej nie pomoże.

Ale nigdy jeszcze nie zatrula się w Pradze. Nawet po tych pokręconych wieczorach spędzonych na sprawdzaniu szerokiej oferty praskiego absyntu. A już na pewno tak się nie pochorowała. Czuła, jakby ciało zamierzało wywinąć się na lewą stronę i nie miała kompletnie żadnej kontroli nad tym, co się dzieje.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami do toalety, a następnie rozległy się głosy dwóch dziewczyn, Włoszek, sądząc po akcencie, które weszły do kabin po jej obu stronach. Sophie stwierdziła, że pod ściankami rozdzielającymi kabiny widać jej stopy, więc ostatkiem sił dźwignęła się na kolana, a gdy dziewczyny wyszły i myły już ręce, zdołała usiąść i ocierała usta papierem toaletowym. Oddychała głęboko, żeby opanować mdłości.

Postanowiła nie myśleć, ile nowych zarazków przy okazji pochłonęła i jak tylko stwierdziła, że Włoszki wyszły, dowlokła się do umywalki, a potem odkręciła gorącą wodę. Od wrzątku skóra dłoni zrobiła się różowa i aż się skrzywiła, takie to

było nieprzyjemne, ale przynajmniej mogła znów stać. Serce przestało już tłuc się jak oszalałe i trochę się nawet zarumieniła. Wszystko będzie dobrze, wmawiała sobie. Musi tylko coś zjeść i będzie w porządku.

Było już późne popołudnie i niebo zmieniło kolor z białego w szarawy, przypominający odcień kitu. Sophie pomyślała, że będzie padać śnieg, ale bardziej prawdopodobny był jednak deszcz. Po długotrwałym zwisaniu nad muszlą klozetową czuła się zdezorientowana i kontakt z zimnym powietrzem był jak ciśnięcie o ścianę. Przystanęła, żeby włożyć rękawiczki, a czapkę Robina naciągnęła na czoło tak, że prawie nie widziała, dokąd idzie. Nieważne, ile warstw włożyła rano, zimno zdawało się pokonywać wszystkie bariery jedna za drugą i docierało do wnętrza kości, zmieniając je w sople. Wiedziała, że temperatura spadła poniżej zera, ale nie umiała stwierdzić o ile. Nie знаła Pragi tak lodowatej.

Przed sobą zobaczyła przewoźny stragan z preclami, kupiła jeden duży, bez dodatków, i skubała, wlokąc się powoli do centrum miasta. Chodniki w tej części Pragi były szerokie i wysypane żwirem, szosa sprawiała wrażenie łaciatej od kałuż. W połowie wzgórza znajdowała się rozległa prostokątna platforma z widokiem na spiczaste wieże katedry. Turyści stali przy barierkach pozbijani w grupki i w trybie zmianowym pozowali do zdjęcia na tle panoramy miasta. Gołębie brnęły wśród porozrzucanych wokół koszy na śmieci okruchów i nie zwracały najmniejszej uwagi na sunące wokół nich potoki przechodniów.

Sophie odłamała kawałek precla i rzuciła w ich stronę, a potem obserwowała, jak znikąd pojawia się cwana mewa i rozgania podrygujących w powietrzu konkurentów, którzy wrzeszczą z oburzeniem. W przeciwieństwie do londyńskich kuzynów, tutejsze gołębie wyglądały schludnie i elegancko, pazurki miały idealnie ukształtowane, a oczy jasne. Sophie zaczęła się zastanawiać, czemu niektóre zostały tu na zimę, zamiast wyemigrować. Ona dałaby wszystko za odrobinę słońca, rozgrzanie nóg i choć trochę otuchy.

Gdy dotarła do bramki przy wejściu na Złotą Uliczkę, precel zaczął działać i czuła się znów jak człowiek. Wprost nie mogła uwierzyć, że aż tak ją mdliło.

Ten wąski zaułek był jednym z jej ulubionych miejsc w mieście i z radością zapłaciła za wstęp uśmiechniętemu mężczyźnie w budce. On też był opatulony w co najmniej trzy szaliki i dwa płaszcze, a kiedy podchwycił jej wzrok, spektakularnie zadygotał dla podkreślenia efektu.

Z wcześniejszych wizyt w Pradze wiedziała, że uliczka zawdzięcza nazwę złotnikom, którzy zamieszkiwali ją w siedemnastym wieku, a maleńkie piętrowe domki wbudowano w łuki murów zamkowych.

Każdy budynek pomalowany był na inny kolor, a paleta barw obejmowała żółć, błękit, czerwień, a nawet róż. Większość służyła teraz jako sklepiki z pamiątkami lub galerie, ale niektóre pozostawały zamknięte dla ciekawskich oczu turystów. Sophie zajrzała przez kraty do sklepu z czeskimi

kryształami i syciła oczy feerią barw zalewających półki. Światło wewnątrz zostało tak zaprojektowane, żeby podkreślać piękno zdobień i rzucać czar na turystów. W zeszłym roku kupili z Robinem swoje pierwsze praskie szkło. Była to prosta niebieska miska, ale prezentowała się pięknie pośrodku komody w sypialni. Gdy Sophie rano odsłaniała okna, światło rozświetlało ją od wewnątrz.

Przez uliczkę przemknął powiew wiatru, a Sophie miała wrażenie, że przeniknął przez nią jak zbłąkana dusza. Często myślała, że Praga musi być nawiedzona, biorąc pod uwagę wiek i krwawą historię, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Przeciwnie, nie mogła sobie wyobrazić, że ktokolwiek tutaj szukał zemsty, czy był duchem, czy żywym człowiekiem. To miasto jawiło się jej jako siedziba nadziei i szczęścia, magii, dobrych życzeń i piękna. Z wszystkich miejsc na świecie, jakie odwiedzili, żadne nie ujęło ich tak jak Praga, a wiary w nią i jej magię trzymali się przez lata. Sophie czuła, jak dusza miasta się w nią wkłada, jak zresztą przy każdym pobycie, a świadomość jego historii dodawała otuchy, stanowiła obietnicę spełnienia marzeń i tonowała melancholię.

Została na Złotej Uliczce, aż zza ostatnich promieni dnia wyłonił się zmierzch i zasnuł niebo szarością. Kończyny miała już wówczas zeszywniałe z zimna, a wydychane powietrze otaczało ją jak kłęby dymu. Dobiegał końca następny dzień, wkrótce cykl dwudziestoczterogodzinny miał się zacząć na nowo. Złote wskazówki zegara katedry informowały, że do spotkania z resztą zostało już tylko kilka godzin.

Deszcz zaczął w końcu padać, gdy mijała platformę widokową, a wielkie krople ścigały grupkę turystów w dół wzgórza. Podniosła wzrok w samą porę, żeby ujrzeć rozczochrane jasne włosy wystające zza kołnierza płaszcza.

– Robin! – zawołała na tyle głośno, że kilka osób zatrzymało się i spojrzało na nią. Przepchnęła się między nimi i desperacko wypatrywała mężczyzny, który jej mignął, ale wyglądało na to, że rozpląnął się w powietrzu. Wszędzie widziała wełniane czapki we wszystkich kolorach tęczy, tu jaśniała blond głowa, tam jakiś blondyn pospiesznie rozkładał parasol, ale Robina nie znalazła. Poczuli się głupio, spuściła głowę i skuliła ramiona, ześlizgując się jednocześnie z krawężnika i niemal tracąc równowagę, gdy jej stopa wylądowała w lodowatej kałuży. Wnętrza przeszły jej nieoczekiwany skurcz i chłód zaczął błyskawicznie piąć się w górę jej roztrzęsionych nagle nóg.

Zaraz znów zwymiotuje.

Wbiegła między ludzi, niemal oślepiąca mdłościami i deszczem pomknęła w dół wzgórza i wpadła do pierwszej restauracji, jaką napotkała na swojej drodze. Nie zwróciła uwagi na kelnera, który wyszedł jej na powitanie, skierowała się w stronę, którą wskazywał napis „toaleta” i dłonią w rękawiczce zakryła usta.

Biegła chwiejnie między stolikami i mocno pchnęła ciężkie drewniane drzwi, nie zauważywszy nawet, że ktoś zawołał ją po imieniu. W następnej chwili

znów klęczała na zimnych płytkach i nie liczyło się nic, tylko ból.

Pij życie!

– Co to ma niby znaczyć? – spytała Megan, a wybuch śmiechu posłużył jako wykrzyknik na końcu zdania.

– A to? – Ollie wskazał gdzieś nad jej głową. – „Uśmiechnij się, gdy to czytasz”. – Napisano to niebieskim flamastrem, a dzieła dopełniała uśmiechnięta buźka.

– Uśmiecham się! – przyznała Megan i dalej szukała co ciekawszych graffiti. – Patrz na to: „Wataha 2002. Nie trać wiary”. Ale w co?

– No w watahę! – odparł Ollie z szerokim uśmiechem i podniósł wzrok na szczyt muru, a potem odwrócił się i złapał ją za rękę. – Megan – zaczął – jak mam wyrazić, że jesteś zajebista?

Aż się zarumieniała od tej bliskości i intensywnego spojrzenia, ale zaraz potem zauważyła w jego oczach iskierkę humoru. Popatrzyła tam, gdzie spoglądał przed chwilą i zauważyła pytanie, które właśnie zadał, wypisane grubymi, czarnymi literami na żółtym tle, żeby było lepiej widać.

– Fajne – poinformowała i zaczęła kaszleć, żeby zamaskować drzenie głosu. Zabrała rękę i ruszyła wzdłuż muru, wskazując na kolejny napis. – „Niech najlepsze chwile twojej przeszłości okażą się dopiero początkiem”.

– Poetyckie. – Ollie wyszczerzył do niej zęby.

– A mnie się podoba. To fajna myśl. Że przyszłość ma być lepsza od przeszłości. Największa motywacja.

Ollie pokiwał głową.

– Niby tak. Ale ja wolę watahę – oznajmił. – No wiesz. Jest zabawniejsza.

Megan pogрузyła się w myślach o ponurej przeszłości i o tym, że z każdą sekundą po podjęciu decyzji o odejściu od Andre, czuła się coraz lepiej. Bywało oczywiście, zwłaszcza na początku ich związku, że szczerze wierzyła w szczęście, większe niż kiedykolwiek wcześniej i potem. Jakie niedorzeczne jej się to teraz wydawało. Dotarło do niej, że gdyby nie odeszła, nigdy nie trafiłaby do Pragi. I nie poznałaby Ollego. A myśl o życiu bez niego była straszliwa, choć sprawiła, że zrobiła się cała czerwona.

Dotarli już do połowy długiego, wysokiego muru, do miejsca, gdzie spomiędzy kolorowych graffiti spoglądała na nich czarno-biała twarz Johna Lennona. Wprawdzie nie miał włosów, brody ani policzków, ale nie ulegało wątpliwości, że to nikt inny, jak gwiazdor Beatlesów. Megan wszędzie rozpoznawały te dobre, mądre oczy ukryte za charakterystycznymi okrągłymi okularami i natychmiast podniosła aparat.

– Patrz! – zawołał Ollie kilka minut później. Wypatrzył kolejny poetycki

cytat, nabazgrany na murze markerem i odczytał go, gdy kucnęła, żeby złapać lepsze ujęcie. – „Nie mów, że niebo jest nieosiągalne, skoro na Księżycu są ślady stóp”. To naprawdę głębokie.

– Myślałam, że ci się tu spodoba! – Megan była szczerze zaskoczona ironią w jego głosie. – Przecież kręci cię takie pozytywne podejście do świata.

– Bo kręci! – zapewnił z oburzeniem. – Może po prostu widziałem za dużo głębokich cytatów na Instagramie.

– Boże, wiem – przyznała. – Ale ja wolę czytać je na takim murze niż z ekranu telefonu. Tutaj wydają się mniej tandetne. Nie takie wysilone i ostentacyjne.

– Jeśli ktokolwiek dołoży ślady na Księżycu, to będziesz ty – zapewnił Ollie, odwracając się od ściany i serwując jej jedno z poważnych, nauczycielskich spojrzeń.

– Daj spokój. – Zbyła komplement machnięciem ręki.

– Serio – upierał się, a potem zrobił krok i dotknął jej policzka dłonią w rękawiczce. – Jesteś najbardziej zdeterminowaną kobietą, jaką w życiu poznałem, Megs. Wystawa, którą zaplanowałaś, jest po prostu niesamowita. Tym bardziej, że teraz już wiem, ile przeszkód musiałaś pokonać, żeby dotrzeć tu, gdzie jesteś. To prawdziwa inspiracja, naprawdę.

– Cicho! – Megan była już tak czerwona, że przestało jej być zimno.

– Mówię poważnie. – Znów spojrział w ten szczególny sposób. I nie cofnął ręki, którą dotykał jej twarzy, a Megan zdała sobie sprawę, że ta bliskość jej się podoba; stanowcza, ale delikatna. – Chętnie bym cię zaprosił do szkoły, żebyś pogadała z dziećmi o swojej pracy, ale niestety nie mam pewności, czy nie zaczniesz przeklinać.

– Co ty pieprzysz? – roześmiała się.

Ollie zabrał rękę.

– Nie mam więcej pytań.

Wszelką niezręczność, która mogła między nimi zawisnąć, rozproszył lodowaty powiew wiatru. Megan zatrzęsa się od stóp do głów niczym galaretką na masce buldożera. Roztarła ramiona i zaczęła przestępować z nogi na nogę, a potem spojrzała na mur.

– To jest urocze – zauważyła jakąś minutę później, opuszczając aparat, żeby Ollie mógł przeczytać ponad jej głową. – „Bob kocha Buga, teraz i na wieki”.

– Słodkie – przyznał. – Bob i Bug, jak imiona bohaterów książeczki dla dzieci, przy czym Bug wcale nie jest owadem. Przeciwnie, obstawiam, że jest psem. Książeczki dla dzieci są dziwne.

Cofnął się o kilka kroków i przyglądał się Megan, zawzięcie przyciskającej migawkę, której dźwięk zastępował rękę unoszoną w celu uciszenia głosów. Do obfotografowania były całe metry muru, a ona nie chciała przegapić ani kawałka. Każdy z tych rysunków i bazgrołów miał historię i własne znaczenie, a ona

pragnęła uwiecznić tyle, ile się da, żeby pokazać na wystawie.

Ci, którzy zostawiali ślad na ścianie Lennona, przychodzili tu z pragnieniem w sercu, z nadzieją że ich słowa coś zmienią. Megan odbierała emocje, którymi emanował zimny kamień, a kolory splatały się w chaotyczne kłębowisko miłości, pożądania, gniewu i bólu. To miejsce, które pokochała, było szczere, ale wiązała się z nim też presja. Tutaj wolno, a nawet trzeba, powiedzieć coś od siebie, dostając w zamian obietnicę, że to przetrwa. Warstwy słów, obrazów i uczuć... Niemal trudno je było znieść.

Straciła rachubę, jak długo robiła zdjęcia, ale kiedy wreszcie odsunęła się od muru i odwróciła, by sprawdzić, gdzie jest Ollie, zastała go z dwoma parującymi kubkami w dłoniach.

– Poszedłem po herbatę – poinformował. – Można zamarznąć, jak się stoi i patrzy na ciebie w roli Rankina.

Już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale jej przerwał:

– Nie, żebym narzekał. Uwielbiam cię obserwować przy pracy. To hipnotyzujące, fascynujące i ogólnie fantastyczne.

– Przestań! – zawołała, ale uśmiechała się tak, że aż rozbolała ją twarz.

Coś się dziś między nim zmieniło. Zwykle nie wiedziała, jak się zachowywać w towarzystwie Ollego. Była to pozostałość po wieczorze, gdy wyznaczyła między nimi granicę i niespełniony romantyczny dalszy ciąg ich znajomości zawsze czaił się gdzieś w tle jak przerażone dziecko kryjące się za nogami matki. Ale ani dzisiaj, ani w ogóle, odkąd przyjechali do Pragi, nie była taka pogubiona ani zestresowana. Odczuwała zadowolenie, ale nie tylko. Zaczynało ją ciągnąć do Ollego inaczej niż do przyjaciela i zaczęła zdawać sobie sprawę z jego obecności, z tego, jak blisko stał i jak łatwo byłoby wyciągnąć rękę i go dotknąć. Ich znajomość zawsze skrzyła się od wzajemnych docinków i przekomarzanek, ale choć dzisiaj oboje byli rozmiękczeni – wręcz tkliwi – Megan nie czuła się ani trochę niezręcznie i wydawało jej się, że coś w niej topnieje. W mieście mogły panować temperatury polarne, ale jej wewnątrz bulgotało jak wzburzone spieniaczem do mleka.

– Charlie coś ci mówił wczoraj wieczorem? – Uśmiechnęła się z wdzięcznością i wzięła kubek z herbatą. Cytrynowo-miodową, pachniała cudownie.

– O czym? – spytał i od niechcienia poprawił skrzyżowany na jej szyi pasek od aparatu.

– Dzięki – powiedziała i zaczęła się wiercić, żeby uwolnić przyciśnięte pasma włosów. – O tej rozmowie telefonicznej, którą chciał utrzymać w tajemnicy.

– Nic nie mówił, a ja nie pytałem – odparł, a potem szturchnął ją w żebra, bo jakiś przesadnie entuzjastyczny kierowca segwaya prawie wybił zęby na wysokości twarzy Lennona.

– Hope też nam nic nie powiedziała. – Megan dmuchała w herbatę, żeby ją

ostudzić. – Ale wydawała się zmartwiona.

– Charlie też – zgodził się Ollie, a potem przystanął na moment, łykając ciepły napój. – Powiedział mi za to, jak bardzo kocha Hope i chce się nią zaopiekować. Widać, że jest odurzony.

– Wiem – przyznała Megan, ale zmarszczyła czoło na wspomnienie miny starszej kobiety, która poprzedniego wieczoru namawiała ją, żeby poszła za głosem serca i myślała w pierwszej kolejności o sobie. Czyżby Hope zaczynała mieć wątpliwości co do Charliego?

– Dlaczego związki zawsze są tak skomplikowane? – spytał nagle Ollie. – Przecież Charlie i Hope się kochają. Czemu to nie wystarczy? Po co się kłócą o głupoty?

– Może dla niej to nie głupota – podsunęła Megan i przypomniała sobie napięcie na twarzy Hope, gdy ta zauważyła, że Charlie się wymknął, żeby zadzwonić. – Poza tym, choć fajnie jest traktować miłość jak trofeum, to dopiero początek, prawda? Miłość się sprawdza, gdy wszystko idzie gładko.

– Jak to? – dopytywał. Podniósł kubek do ust, a unosząca się nad nim para pokryła jego okulary.

Westchnęła i nagle odechciało jej się rozmawiać na ten temat.

– Chodzi mi o to, że możesz kochać kogoś, jak bardzo ci się podoba, ale czasem to nie wystarczy.

– A powinno – odparł po prostu.

– Może. – Znów wzruszyła ramionami i spojrzała. Wargi zaczynały mu pierzchnąć z zimna, więc sięgnęła do torby po pojemniczek z maścią, którą zawsze nosiła przy sobie. – Ale popatrz na Romea i Julię, na Rose i Jacka z „Titanica”, na Rossa i Rachel z *Przyjaciół*. Wszyscy się kochali, ale w grę wchodziły też inne czynniki.

– Zdajesz sobie sprawę, że to wszystkie postacie fikcyjne? – Popatrzył na nią z kiepsko maskowanym rozbawieniem i zanurzył palec w pudełeczku z maścią.

– Jezu, oczywiście! – Machnęła ręką. – Pewnie, że tak. To tylko przykłady. Ale jeśli prześledzisz poezję i prozę na przestrzeni wieków, zobaczysz, że miłość nigdy nie była łatwa, od zarania dziejów.

– To prawda. – Wyjął jej z ręki pusty kubeczek i rozejrzył się za koszem. – Ale to mnie niespecjalnie pociesza.

– Spójrz na Sophie i jej narzeczonego. Jak on ma na imię?

Ollie się zamyślił.

– Robert. Nie, Robin!

– Właśnie. Popatrz na tę parę. Zakochali się w sobie praktycznie od pierwszego wejrzenia i od tamtej pory nie oglądają się za siebie. Ona o nim mówi tak, jakby byli jednym organizmem, a nie dwiema osobami z oddzielnymi życiorysami.

– To urocze – stwierdził Ollie z uśmiechem. Minęli mur i skierowali się z powrotem w stronę rzeki.

– Może. – Megan odczekała moment, zanim zaczęła mówić dalej. – Ale jej oddanie aż mnie niepokoi. Chodzi mi o to, że gdyby on ją zdradził albo wykręcił jakiś niewybaczalny numer, jak mnie Andre, co ona by zrobiła bez niego? Zaangażowała się w związek w takim stopniu, że aż się martwię, czy zostało jej coś dla siebie.

– Chyba po prostu mu ufa – odpowiedział Ollie, ale nie było już w tym tyle przekonania, co wcześniej.

– Nie ma innego wyjścia – stwierdziła Megan. Zeszła na bok, żeby ominąć kałużę i wpadła na niego. On się do niej przysunął i znów poczuła to ukłucie. Chciała, żeby wziął ją za rękę, jak wcześniej, i objął, żeby ją rozgrzać, jak Hope zrobiła z Sophie. Pokręciła głową i zdecydowanie się odsunęła, a potem skupiła myśli na rozmowie. – Liczę tylko, że on czuje to samo, ten cały Robin – westchnęła. – Prawie nie znam tej dziewczyny, ale z jakiegoś powodu zabija mnie myśl, że miałyby cierpieć.

– Mam tak samo. – Ollie kiwał głową. – Ona mi przypomina pisklaka, którego znaleźliśmy w zeszłym roku wiosną na boisku. Dzieciaki się uparli, że będziemy się nim opiekować, aż wyzdrowieje, ale on oczywiście nie przeżył nocy. Siedziałem z nim i próbowałem go nakarmić chlebem maczanym w ciepłym mleku, ale jego maleńkie ciało było tak słabe, że... – przerwał nagle, a gdy Megan podniosła wzrok, ujrzała za szklami okularów jego lśniące oczy.

– Wszystko dobrze? – spytała, a potem poddała się nagłej potrzebie i wzięła go za rękę.

Ze zdziwieniem spojrzął na ich splecione palce, a potem pociągnął nosem.

– W porządku – zapewnił. – Nie wiem, jak ty, ale ja mógłbym zjeść konia z kopytami. Może pójdziemy w stronę Zamku i wpadniemy na bardzo późny lunch?

Nagle, z równą przenikliwością, jak przeszywające ich powiewy wiatru, desperacko zapragnęła, żeby Ollie ją pocałował, ale tylko pokiwała głową i lekko ucisnęła jego dłoń pod warstwami rękawiczek.

– Brzmi dobrze.

Powoli powędrowali pokrytymi mokrą breją uliczkami Małej Strany, a potem minęli imponującą fasadę kościoła św. Mikołaja. Na tym etapie dłoń Megan była już rozpalona pożądaniem, Ollie nie wypuścił jej nawet na chwilę. Coraz trudniej przychodziło Megan ignorowanie pulsującego pragnienia. Mogła obwiniać o ten stan mocną herbatę wypitą niemal na czczo, ale tak naprawdę wiedziała, co się dzieje. W końcu kilka miesięcy temu przerwała pocałunek z Olliem nie dlatego, że jej się nie podobał, sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Tak naprawdę bardzo jej się podobał i nie miała pojęcia, jak długo jeszcze zdoła zachować tę informację tylko dla siebie.

– Tu jest chyba fajnie – stwierdził Ollie, a jego słowa rozdarły gęstą zasłonę żądzy, która ją otoczyła.

Restauracja była kojąco tradycyjna, z ciężkimi drewnianymi meblami i gigantycznymi preclami dyndającymi na specjalnych wieszakach ustawionych pośrodku stolików. W powietrzu unosił się rozkoszny zapach gulaszu i grzanego wina.

Zaprowadzono ich do małego stolika z tyłu sali, a Ollie puścił jej dłoń, gdy zdejmowali kurtki, czapki i szaliki, po to tylko, żeby chwycić znów, gdy zajęli miejsca. Megan wiedziała, że powinna zabrać rękę i przerwać czar, któremu uboje ulegli, ale tego nie zrobiła. Dotyk okazał się zbyt przyjemny i chciała go czuć, skóra przy skórze. Raz w życiu cieszyła się, że straciła kontrolę nad sytuacją, a przyjemny dreszcz aż mrowił, gdy wyobrażała sobie, dokąd to może zaprowadzić.

– Co będziesz jadła? – spytał Ollie. Wpatrywał się z nią z zaciekawieniem, aż zaczęła się zastanawiać, czy mina wszystko zdradza. W zasadzie się dziwiła, że ślina nie kapie na obrus.

– Chyba gulasz. – Zmrużyła oczy, gdy zachichotał. – No co? Jestem uzależniona, jasne? Dziewczyźnie nie wolno się raz na jakiś czas nacieszyć kawałkiem mięsa?

– Ach! – Obliznął usta, a w oczach skrzyło mu się zawadiackie poczucie humoru, które tak ją ujęło, gdy się poznali. – Nie ma w tym absolutnie nic złego. Wręcz przeciwnie... czekaj. Czy to Sophie?

Megan zauważyła tylko kolorową smugę, która przemknęła obok, gdy dziewczyna w kolorowej czapce minęła ich z pełną prędkością. Zawahała się na ułamek sekundy przed drzwiami do toalety, a potem zakryła ręką usta i wpadła do środka.

Ollie puścił rękę Megan.

– Nie wyglądała najlepiej, prawda?

Megan obejrzała się przez ramię i popatrzyła na drzwi.

– Raczej nie.

Przez chwilę milczeli, a Megan zajrzała mu w oczy. Tam, gdzie zaledwie kilka sekund temu widziała rozbawienie i pożądanie, nie było nic poza troską.

– Pójdę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zamów też dla mnie, dobrze?

Pokiwał głową, wyraźnie zaniepokojony, a Megan musiała się bardzo skupiać, żeby nie odczuwać rozczarowania. Biedna Sophie, nic nie mogła na to poradzić, że przerwała im tak miłą chwilę. Poza tym, pomyślała Megan zdecydowanie, dobrze się stało, że nie pójdą z Olliem tą drogą. Nic dobrego by z tego nie wynikło.

Ale idąc w stronę toalety, wciąż czuła na ręce ciepło jego dłoni.

Nie za mocno?

– Doskonale.

Hope ściągnęła palce stóp i splótła pod kocem dłonie. To Charlie zasugerował, żeby wpadła na masaż dłoni, głowy i stóp. Ponieważ kiepsko spała, chwila relaksu mogła jej dobrze zrobić. Nie zaprzeczyła. Poza tym chciała mu wynagrodzić niefortunny początek dnia i zamierzała dać się rozpieszczać bez narzekania.

W salonie masażu było ciepło i Hope czuła, jak powieki stają się ciężkie, gdy Tajka wsuwała sprawne palce w jej włosy, a następnie zjeżdżała na szyję i nagie ramiona. Zgodnie z poleceniem Hope zdjęła sweter i zsunęła ramiączka stanika. Od ciekawskich oczu przechodniów osłaniał ją koc. Hope jeszcze nigdy nie była w takim miejscu, ale w większości turystycznych miejsc w mieście istniały takie punkty. W każdym lokalu stała przy wejściu gigantyczna figura smoka pomalowanego na krzykliwy odcień jasnej zieleni.

Po przejeździe łodzią Charlie odzyskał dobry humor, przynajmniej częściowo, więc przeszli nad brzegiem Wełtawy do dzielnicy żydowskiej zwiedzić stary cmentarz, a po drodze znów wziął ją za rękę. Hope poruszyły do łez tysiące nagrobków stłoczonych na niewielkim terenie tak ciasno, że stały niemal jeden na drugim, a już całkowitym wstrząsem okazało się odkrycie, że z powodu braku miejsca w niektórych grobach spoczywało nawet dwanaście ciał.

Charlie robił, co mógł, żeby odwrócić jej uwagę, pokazywał wskazówki zegara na synagodze, które wyglądały jak siodełka roweru, zimowe kwiaty, dzielnie przedzierające się przez śnieg na obrzeżach cmentarza i małe ptaszki, które bawiły się w chowanego wśród nagrobków. Ale było już za późno, niepokój zapuścił korzenie w myślach.

Na cmentarzu jak nigdzie indziej człowiek zastanawia się nad życiem oraz kierunkiem, w którym zmierza i Hope uświadomiła sobie, że tkwi w martwym punkcie.

Jeśli nieodwracalnie straciła Annette, a tego się obawiała, co ją czekało? Miała zostać żoną Charliego i zamienić pranie i sprzątanie w jednym domu na robienie tego w innym? Niemożliwe, musiało chodzić o coś więcej. Nadszedł czas, żeby zrobić coś dla siebie? Wróciła do słów Megan, wypowiedzianych przy drinkach na placu, że chciałyby zrealizować swoje ambicje bez mężczyzny u boku. Dotychczas Hope uważała, że boi się zostać sama i wówczas nie wiedziałyby, kim jest, ale pobyt w Pradze zasiał w niej podejrzenie, że dałaby radę. A nawet więcej, może byłaby szczęśliwsza niż z Charliem.

Zastanawianie się, którą drogą pójść, było wyczerpujące, nie ułatwiało sprawy

też fakt, że gdziekolwiek w Pradze spojrzeła, tam widziała zegar. Zaraz po przyjeździe wydawało jej się to urocze, teraz czuła się prześladowana. Czas mijał, upływał bez Annette, mogłaby poświęcić się wychodzeniu na prostą. Wydawało jej się, że jeśli się skupi, usłyszy w głowie tykanie upływających sekund.

Charlie zaczął podejrzewać, że melancholia Hope wynika z otoczenia, w jakim się znaleźli, więc zabrał ją szybko na Starówkę, gdzie jarmark świąteczny przyniósł jakże pożądaną zmianę nastroju. Kupił kubek gorącego grogu i tradycyjne czeskie ciastko, *trdelnik*, a Hope, choć nie zdawała sobie sprawy z głodu, pochłonęła je kilkoma kęsami. Wtedy Charlie zasugerował masaż.

– A co będziesz w tym czasie robił? – spytała, gdy dotarli do drzwi strzeżonych przez smoka.

– W sumie nic, pójdę po kawę.

Pokiwała głową i patrzyła, jak powoli toruje sobie drogę pośród turystów i wraca w stronę placu. Jakże proste byłoby życie, gdyby szczęście znajdowało się na wyciągnięcie ręki, jak zdawał się myśleć Charlie. Prawie nie pamiętała czasów, kiedy czuła się przepelniona szczęściem, lata temu, w miesiącach poprzedzających ślub. Na samym początku ich związku Dave był tak skupiony na niej, że niemal stąpała w powietrzu, unoszona siłą jego miłości. Wydawało się to takie proste: on kochał ją, ona jego, więc będą żyli długo i szczęśliwie, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Ale potem na świat przyszła Annette.

Nawet Hope zaskoczyła moc miłości, jaką obdarzyła córeczkę. Narodziła się w jednej chwili, nagliła i pochłonęła w całości, nie pozostawiając miejsca dla nikogo więcej, czego Dave nie mógł zrozumieć. Kochał Annette, oczywiście, ale nie tą pełną lęku, histeryczną i neurotyczną miłością, której doświadczała Hope. Szukała wymówek, żeby nie pozwalać mu dotykać jej najcenniejszego w świecie skarbu, bo obawiała się, że zrobi to nie tak, jak trzeba. Wmawiała mu, że to jej zadanie, jest matką Annette, nosiła ją przez dziewięć miesięcy, urodziła i to jej prawo.

Dave początkowo wyrażał zrozumienie, tylko mrucał coś o „pieprzonych hormonach”, ale kiedy Annette skończyła rok, a Hope nadal nie wyszła poza stadium histerycznej, przyklejonej do dziecka kupki nieszczęścia, tupnął nogą i zażądał, żeby poszła z kimś o tym porozmawiać. Hope wytrzymała kilka sesji, ale stwierdziła, że terapeuta traktuje ją z góry, a poza tym nie mogła znieść oddalenia od córki i odmówiła dalszego leczenia. Tak zaczęła się epoka kłótni, która trwała przez większość następujących później dwóch dekad, aż w końcu oboje zamknęli się w sobie, wykończeni walką, ale zbyt uparci, żeby przyznać się do przegranej.

Hope żarliwie trzymała się roli matki i żony, nie wyobrażając sobie nawet, że chciałaby robić coś innego, zwłaszcza gdy Dave stanowczo odmówił starań o drugie dziecko. Dzień, w którym zrobił wazektomię, Hope pamiętała tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Błagała go, żeby to rozważył, ale on podjął decyzję i tym

samym resztki miłości, które im jeszcze zostały, nie miały już racji bytu. Annette miała wówczas dziesięć lat i zaczęła właśnie wyłaniać się ze swojej ulubionej kryjówki, czyli zza nóg Hope. Nie do pomyślenia było zburzenie jej świata w tak newralgicznym momencie, więc Hope zmusiła się do tłumienia niechęci, jaką czuła do Dave'a. Z czasem oboje przyzwyczaili się do udawania normalności i tak to trwało, aż Annette wyprowadziła się z domu, a na jej miejsce wtargnęła brutalna rzeczywistość. Oboje ponosili winę za ignorowanie, co się między nimi działo i do Hope dotarło, że powinna była odejść już dawno. Stchórzyła, ale on nie był lepszy. Romans z Charliem był aktem zemsty, zawoalowanym pięknym za nadobne, długiem spłacanym za to, co Dave zrobił lata wcześniej. Ale wszystko wymknęło się spod kontroli i Hope znalazła się w sytuacji, co do której nie miała przekonania.

– Dziękuję bardzo.

Hope otworzyła oczy i wróciła do teraźniejszości.

– Dziękuję. Było cudownie. Tego właśnie potrzebowałam.

Charlie czekał na nią przed wejściem, a wyraz twarzy miał zamyślony. Hope zaczęła się zastanawiać, czy on też ma wątpliwości. Czy codziennie po przebudzeniu rozważał, jak do tego doszło?

– Musimy porozmawiać – oznajmiła, gdy do niego podeszła, choć dopóki nie usłyszała tych słów padających ze swoich ust, nie wiedziała, że je wypowie.

Charlie uśmiechnął się ponuro.

– Wiem, musimy, ale może przełożmy to na jutro? Spędźmy miły wieczór i zapomnijmy o wszystkim na kilka godzin.

Był taki przystojny i szczerzy, że determinacja Hope zaczęła słabnąć.

– Dobrze. – Odwzajemniła uśmiech.

– Na placu gra zespół jazzowy – poinformował, zerkając przez ramię. – Tam zaczniemy?

Ślizgali się po bruku, a późnopołudniowe powietrze drapało ich odsłonięte policzki igielkami lodu. Hope podniosła wzrok i ujrzała złote wskazówki zegarów rozświetlone kroplą słonecznego blasku.

Wszystko dobrze?

Sophie usłyszała ciche pukanie w drzwi kabiny i jęknęła. Pozostałości precla unosiły się na powierzchni wody, ledwo strawione i włókniste. Zamknęła oczy.

– To ja, Megan. Żyjesz?

– Tak – wydusiła Sophie, spuściła wodę i po raz drugi pozbierała się z podłogi w toalecie. Nie wiedziała, co za franca ją toczyła, ale z pewnością traktowała swoją pracę poważnie.

Gdy wyszła, Megan opierała się o ścianę przy umywalce. Jasne włosy miała rozczochrane, a na jej twarzy malował się wyraz szczerzej troski.

– Nie brzmi to przekonująco – zauważyła.

– Musiałam się czymś zatruć – mruknęła Sophie i ostro wciągnęła powietrze, gdy gorąca woda popłynęła na przemarznięte dłonie. Wyszło jej w ustach, a w gardle nieprzyjemnie piekło, ale zmuszała się do uśmiechu.

– Słuchaj. – Megan zbliżyła się o krok, a ich oczy spotkały się w lustrze. – To nie moja sprawa, ale czy ty nie jesteś... No wiesz.

Sophie zaśmiała się szczekliwie.

– Nie!

– Przepraszam. Nie powinnam pytać, ale mój mózg zawsze jest kilka kroków za językiem.

– Nie przepraszaj! – Sophie udało się uśmiechnąć. – Pewnie pomyślałabym o tym samym. Ale nie, to nie to. Zresztą, już mi lepiej – skłamała. – Może po prostu wczoraj wypiałam za dużo wina.

– Faktycznie, nie odmawialiśmy sobie – przyznała Megan.

Razem wyszły z toalety i skierowały się w stronę schodów. Gdy tylko Ollie je zobaczył, poderwał się z krzesła i zaferował je Sophie.

– Nie, nie trzeba. – Podniosła rękę. – Nic mi nie jest, naprawdę.

Zerknął na Megan, jakby szukając potwierdzenia.

– Może po prostu coś z nami zjedz? – zaproponował i przysunął krzesło od stolika, przy którym nikt nie siedział. – Zamówiłem lunch i oczywiście strudel – poinformował Megan.

– Kiedy nie jestem głodna. – Sophie nadal próbowała się wymigać.

– Więc może wody? Albo herbaty? – upierała się Megan i subtelnie nakierowała ją w stronę krzesła. – Na dworze pada, a ty nie wyglądasz najlepiej. Jak zjemy, odprowadzimy cię do hotelu i porządnie sobie odpoczniysz. Tak, Ollie?

Pokiwał głową i poklepał Sophie po ręce. Zauważyła, że dziś zachowują się inaczej. W Megan pojawiła się łagodność, której Sophie wcześniej nie widziała, i było to całkiem przyjemne. Postanowiła zignorować narastające mdłości, które

groziły kolejnym atakiem i wpatrzyła się w menu.

Pojawił się kelner z piwem dla Ollego i Megan, a Sophie zamówiła herbatę, jak jej polecili. Nie wątpiła, że skończy się to kolejną falą wymiotów, ale uznała, że warto spróbować. W nocy mało spała, a od rana dręczyło ją zatrucie, więc czuła się lekko zamroczona i zaczęła się martwić, czy nie zemdleje. Zamglonymi oczami obserwowała, jak Ollie przesuwając rękę do leżącej swobodnie dłoni Megan, a potem lekko pociera jej palce. Megan nie odwzajemniła pieszczoty, ale, jak odnotowała Sophie, nie cofnęła ręki. Odrobinę tylko napięła ramiona i upiła łyżeczkę piwa. A więc jej wcześniejsze przypuszczenia co do uczuć Ollego się potwierdziły, ale nie umiała stwierdzić, czy Megan je odwzajemnia. Miała nadzieję, że tak.

Patrzyła na ten niewymuszony ruch Ollego, wynikający z potrzeby, nie z obowiązku, wykonany podświadomie, jak podrapanie się po nosie czy ziewnięcie, i zatęskniła za Robinem. Kiedy byli razem, zawsze się dotykali, czy to muskali opuszkami palców po policzkach, ocierali wierzchem dłoni o uda albo stykali się stopami. Nie było możliwości, żeby przebywając w jednym pomieszczeniu, nie nawiązali kontaktu fizycznego.

Ollie nie puścił palców Megan aż do przybycia jedzenia, a i wtedy Sophie odebrała przerwanie kontaktu jako coś, do czego zmusiła go sytuacja. Widziała, jak Megan zastygła w bezruchu, skuliła palce, a potem podniosła dłoń do twarzy i niemal od niechcienia musnęła się po policzku.

– Zostawię was samych – oznajmiła Sophie i odsunęła pustą filiżankę na bok. – Nie chcę przeszkadzać.

– Skąd, nie przeszkadzasz! – zareagowała natychmiast Megan. – Naprawdę, już mam dość towarzystwa Ollego. Jest strasznie nudny, nie wiem, czy zauważyłaś?

Oczywiście żartowała, więc Ollie ulepił kulkę z chleba i rzucił w nią.

– Opowiedz nam o podróżach – poprosiła Megan i podniosła do ust łyżkę zupy. – Mówiłaś, że zwiedziłaś cały świat, prawda?

Sophie kiwnęła głową.

– Tak. Z Robinem.

– Więc opowiadaj – powtórzyła Megan. – Chcę zaplanować, gdzie pojedę w przyszłe wakacje.

Sophie zaczęła mówić. Opowiedziała o wielkich posągach Buddy, które widzieli na Cejlonie i że stada krów snujące się po miastach, to w tamtych okolicach nic dziwnego. Mijała wielkie ciężarówki ze słoniami na przyczepach. Mówiła, jak nisko wisi słońce w Los Angeles, rzucając upiorne światło na plaże i drapacze chmur, zmuszając człowieka do bezustannego mrużenia oczu, jakby się dopiero obudził.

Megan fascynowały takie właśnie szczegóły, jako fotografka chciała doświadczać podobnych chwil. Ollego interesowali ludzie w innych krajach i

zasypywał ją pytaniami o poziom biedy i kulturę. Megan wypytywała o miejsca, te najbardziej zjawiskowe, a Sophie widziała, że szerzej otwiera oczy, gdy mówiła o Phuket, Nowej Zelandii i Buenos Aires.

– Muszę więcej podróżować – stwierdziła Megan rozmarzonym głosem. – Nie dziwne, że nic mnie nie inspiruje, skoro mieszkam w Londynie.

– Londyn ma swoje mocne strony – zaoponował Ollie. – Richmond Park jest obłędny. A Tamiza o zachodzie słońca?

– W Londynie nie da się uniknąć zgiełku. – Megan była tak poruszona, że machała rękami. – Nie można uciec od ludzi, korków i smogu. Słyszę to wszystko na zdjęciach i nie mogę znieść.

– Serio? – Ollie wydawał się szczerze zaskoczony jej wyznaniem, a Sophie zaczęła się zastanawiać, jak często rozmawiają o jej pracy. Znała Megan dopiero od kilku dni, ale już wiedziała, że nowa koleżanka jest absolutną pasjonatką tego, co robi. Rozumiała, o co chodzi, gdy mówiła o zgiełku na zdjęciach. Na obrazach też się to widywało, a w końcu Londyn był jednym z najtłoczniejszych i najruchliwszych miast świata.

– Nie podoba mi się większość zdjęć, jakie robię – wyjaśniała Megan, a w jej głosie słychać już było raczej rezygnację niż złość. – Nie zawsze udaje mi się pokazać emocje, o które mi chodzi.

– Według mnie twoje prace są niesamowite – zapewnił Ollie, a Sophie się uśmiechnęła. Był bardzo miły i bezgranicznie oddany Megan. Gdyby tylko zechciała to dostrzec i przyjąć. Sophie akceptowała miłość Robina a on jej, nawet jeśli zdarzały się gorsze chwile. Ich związek nigdy nie był dla niej ciężarem. Za to przyjaciele opowiadali o trudnościach, jakie mieli, o nieustannej niepewności, czy naprawdę są szczęśliwi i wątpliwościach, czy gdzieś nie czeka ktoś lepszy. Dla Sophie nie było niczego ani nikogo lepszego, potrzebowała Robina, nikogo więcej i nigdy, choćby na sekundę, w to nie zwątpiła.

Ollie stworzył w telefonie stronę internetową Megan i pokazywał Sophie niektóre zdjęcia. Miał rację, były obłędne, ale Megan się nie zgadzała.

– Chcę, żeby budziły w ludziach emocje – tłumaczyła Sophie. – Wiem, że robią wrażenie perspektywą, sposobem ujęcia czy grą światła, ale to wszystko beznamiętna technika. A ja chcę poruszać, wprawiać w stan, jaki ja czuję, gdy robię zdjęcie.

– Praga cię poruszyła? – spytała Sophie, choć znała odpowiedź.

– Bardzo! – wykrzyknęła Megan i kawałkiem chleba wymazała z talerza resztki gulaszu. – Tu jest tak pięknie, że prawie nie chowam aparatu. Mam nadzieję, że pokażę ją, jak na to zasługuje.

– Nie mam wątpliwości – zapewnił Ollie. Sophie zauważyła, że z powrotem położył rękę na stoliku, zwartą i gotową, żeby dotknąć Megan. To musiał w niej kochać najbardziej: pasję. Taka prawdziwa zdarzała się rzadko i Sophie rozumiała,

dlaczego ludzi, którzy sami jej nie doświadczają, tak do niej ciągnie. Pasjonaci, jak Megan i Robin, zawsze świecili jaśniejszym światłem, więc nic dziwnego, że otaczał ich tłumek żądnych ogrzania się w niezwykłym blasku.

Megan poprosiła gestem o rachunek i szybko zbyła propozycję Sophie, że ona zapłaci.

– Wypiłaś tylko herbatę!

Wyszli we troje i skierowali się w stronę hotelu.

Most Karola pękał w szwach od turystów w czapkach i rękawiczkach mających ich chronić przed zimnem. Chmury odrobinę się przeredziły i zmierzchające niebo spowijała teraz mieszanka ciemnych szarości. Wełtawa jawiła się jako głęboka, nieprzenikniona toń upstrzona gdzieniegdzie białymi smugami mew. Co jakiś czas ptaki wydawały przenikliwy pisk i wlatywały ponad most, dawały nura i wirowały, byle tylko złapać kęs, który przypadkiem spadł lub został z premedytacją wyrzucony w powietrze.

Gołębie obsiadły niskie kamienne poręcze po obu stronach wielkiej budowli, jakby przedrzeźniały posągi między nimi. Megan miała aparat cały czas przy oku i uśmiechała się, raz za razem wciskając migawkę. Ollie szedł za Sophie i wpatrywał się raczej w nią niż w widoki, jakby się bał, że w każdej chwili może się przewrócić.

– Już mi o wiele lepiej – zapewniła z nadzieją, że w tych słowach brzmi choć odrobina prawdy. Bo przecież herbata litościwie została na swoim miejscu, a trzy łyżeczki cukru, które do niej wsypała, robiły, co należy. Ręce przestały jej się trząść, ale wciąż czuła się dość niepewnie. Miała wrażenie, że stąpa po zamkniętych ustach bestii, mogącej w każdej chwili rozewrzeć paszczę i pochłonąć ją w całości.

Uskoczyła w bok, żeby uniknąć uderzenia kolejnym kijkiem do selfie i wpadła na Ollego, który asekurował ją od tyłu. Megan znalazła coś interesującego i machała, żeby do niej dołączyli.

– O tym opowiadała Hope? – spytała, jak tylko znaleźli się w zasięgu głosu. Sophie spojrzała na miejsce, gdzie spoczywała dłoń Megan opatulona rękawiczką i zobaczyła złoty krzyż z dwoma ramionami, blaknący w bladym wieczornym świetle.

– Chyba tak – odparł Ollie, zanim Sophie zdążyła otworzyć usta, więc tylko kiwała głową i patrzyła, jak Megan ściąga rękawiczkę i przesuwając palcem po każdej z pięciu złotych gwiazdek.

– Czego sobie życzysz? – spytał Ollie niemal z nadzieją.

Megan znieruchomiała, zamknęła oczy i zaczęła bezgłośnie poruszać ustami, nagimi palcami dotykając krzyża.

– Już. – Uśmiechnęła się i otworzyła oczy. – Gotowe.

– No to mów! – ponaglał Ollie. – Nie trzymaj nas w niepewności.

– Nie mogę powiedzieć! – Megan była wstrząśnięta. – Jeśli się zdradza życzenia, nie spełnią się! Wszyscy o tym wiedzą!

Oboje zwrócili się do Sophie, ale nie mogła odpowiedzieć. Nogi ugięły się pod nią jak złamane zapałki i opadła na chodnik niczym jesienny liść.

– Boże! – Ollie złapał ją w ostatniej chwili, a Megan podbiegła, żeby przy niej ukucnąć.

– Znajdziemy ci lekarza – oznajmiła, marszcząc niespokojnie brwi. – W hotelu na pewno będą wiedzieli, gdzie szukać.

Sophie słabo pokręciła głową

– Nie. Nic mi nie jest.

– No chodź. – Ollie zignorował jej protesty i podniósł ją. Podał Megan swój plecak, a sam kucnął i polecił Sophie wdrapać się mu na plecy. – Pojedziesz na barana, tak będzie najrozsądniej. Zdrzemiesz się, a jeśli wieczorem nadal będziesz się źle czuła, poszukam lekarza. Zgoda?

Sophie wiedziała, że nie ma wielkiego wyboru, więc weszła na plecy, choć w żołądku zabulgotało jej ostrzegawczo, gdy ją podrzucał, szukając wygodnej pozycji.

– Ja zostanę i zrobię jeszcze kilka zdjęć. – Megan poklepała Sophie o plecach. – A z Olliem spotkamy się w barze, Don Pisto, za jakieś pół godziny?

Umówili się, a Sophie widziała ze swojej miejscówki, że wziął Megan za rękę i raz jeszcze ucisnął. Ludzie odwracali się za nią, ale się nie przejmowała. Było jej dobrze, a sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu Ollego osłaniały ją przed światem. Chciała mu podziękować, wyrazić wdzięczność za to poczucie bezpieczeństwa, ale mdłości tak jej doskwierały, że na wszelki wypadek nie otwierała ust.

Ollie ruszył mostem Karola, splótł dłonie na brzuchu, żeby jej nogi się nie ześlizgiwały, a ona marzyła, żeby po prostu zamknąć oczy i zasnąć jak dziecko, a gdy się obudzi, będzie już następny dzień, dzień, kiedy przyjedzie Robin.

Megan odprowadzała Ollego i Sophie wzrokiem, aż zniknęli jej z oczu, wówczas przeniosła uwagę na latające nad jej głową stado mew. Dostosowała czas naświetlania i zrobiła kilka zdjęć w trybie półautomatycznym, ale potem zmieniła ustawienia na manualne. Chciała uwiecznić ptaki tłukące szaleńczo skrzydłami i walczące o swoją pozycję w powietrzu. Ten jedyny raz zależało jej na nasyceniu obrazu dźwiękiem, pragnęła oddać skrzeki i pokrzykiwania mew walczących o ziarna i chleb.

Robiła zdjęcia i myślała o Sophie. Coś było nie w porządku i nie mogła przestać się martwić. Sophie wydawała się delikatna niczym ptak origami, Megan była dumna z Ollego, że wkroczył do akcji i odegrał rolę bohatera, chociaż nie ukrywała, że targала nią też zazdrość, gdy patrzyła, jak ta drobniutka osóbką obejmuje go rękami i nogami.

Przypomniała sobie, jak w labiryncie luster wspomniał, że kogoś poznał. Dziwny zbieg okoliczności, bo jej mama zaledwie kilka dni wcześniej spytała, jak Megan by się czuła, gdyby Ollie zaczął się spotykać z inną kobietą. Odkąd ich sobie przedstawiła tego lata, jej mama wszczęła niezbyt subtelną kampanię mającą na celu spiknięcie ich. Gdy aluzje nie przyniosły efektów, przerzuciła się na błaganie. Ponieważ jednak i to nie skruszyło oporu Megan, zaczęła rzucać tego typu uwagi, sądząc prawdopodobnie, że jej córka dożyła trzydziestego roku życia, nie nauczywszy się rozpoznawać desperackich prób zastosowania przeciwko niej psychologii odwróconej.

Wówczas myśl o Olliem poznającym kogoś wydawała się niewiarygodna, ale z jakiegoś powodu wizja w niej została i aktualnie nie potrafiła się jej pozbyć. Czy to możliwe, że była jedną z tych dziewczyn? Które nie chcą jakiegoś faceta, ale nie zgadzają się też, żeby miał go ktoś inny?

Z obrzydzenia aż zmarszczyła nos. Zazdrość była bardzo brzydką cechą, a egoizm jeszcze gorszą, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie chciała, żeby inna kobieta miała Ollego, choć wiedziała, że tak się skończy. Był zbyt łakomym kąskiem, żeby odpuściła go sobie dziewczyna mająca przynajmniej odrobinę oleju w głowie.

Nie mogła zlekceważyć tego, co czuła dzisiaj, tych dreszczy, gdy igrał z jej palcami i nieustannej ochoty pocałowania go. Wiedziała, że wpływa na bardzo niebezpieczne i egoistyczne wody, ale jej rozszalałe lędźwie szykowały się na wygranie bitwy ze zdrowym rozsądkiem i wystarczyłoby kilka drinków dla kurazu, żeby żądza została okrzyknięta zwyciężczynią.

Dotarła do końca mostu Karola i weszła pod gotycki łuk strzelistej Staromiejskiej Wieży Mostowej. Chłapa pokrywająca bruk zdążyła nadmarznąć i

Megan rozkoszowała się chrupaniem lodu pod butami. Dotarłszy do przejścia dla pieszych, wcisnęła guzik i obserwowała, jak wyświetlacz odlicza czas od trzynastu do zera, kakofonicznym dźwiękiem dając znać, że może bezpiecznie przejść. Zachwycała się koronką splecionych ulic i torów tramwajowych, lubiła, gdy światło odbijało się od wypolerowanej stali wyglądającej spomiędzy budynków lub zza pomników.

Kiedyś przewodnik wycieczek po Londynie powiedział jej, że to, co jest najpiękniejsze w mieście, widzimy, gdy podniesiemy głowę. I faktycznie, nawet miejsce tak pozornie nudne i nowoczesne jak Oxford Street zmieniało się, gdy człowiek odrywał wzrok od witryn sklepowych i dostrzegał zachwycające budynki ponad nimi. Megan uwielbiała oglądać stare zdjęcia Londynu, sprzed czasów, gdy zawładnęły nim sieciówki zalewające główne ulice tandetnymi światełkami i szyldami. Najbardziej lubiła fotografie małych sklepików, jak lokalny warzywniak czy sklep rybny, z właścicielem, personelem i ich rodzinami przęcającymi się w szeregu przed wejściem. Obserwowała dzieciaki z umorusanymi policzkami i jasnymi oczami, udręczone matki z niemowlęciem na biodrze i staromodnym wiklinowym koszykiem w ręce oraz głowy rodziny w spodniach na szerokich skórzanych szelkach, zawadiacko nasadzonym kapeluszu i z fajką zwisającą z uśmiechniętych ust. Każda z tych postaci miała swoją historię i Megan mogła się w nie wpatrywać godzinami, próbując odgadnąć ich losy.

Szła zamyślona i nie zwracała uwagi, w którą stronę się kieruje, ale zdała sobie sprawę, że przegapiła zakręt wiodący na Starówkę i teraz zmierzała w stronę placu Waclawa. Wzruszyła ramionami i szła dalej, uznała bowiem, że jeśli zrobi koło, wyjdzie na to samo, gdyby teraz zaczęła zawracać. Zwłaszcza że dobrze się czuła, mając miasto przez jakiś czas tylko dla siebie. Mogła się swobodnie zatrzymać i gapić na żółte liście rosnącego w oddali drzewa, odcinające się od szarej płaszczyzny budynków. Eksplozja kolorów wyglądała niczym fajerwerk natury, tak piękny, że serce mocniej zabiło jej w piersi. Uniosła aparat i pstrykała raz za razem, co jakiś czas oceniając efekt, ale nieustannie kręciła głową, gdy okazywało się, że znów nie wyszło.

Jak dla kogoś mogło to być fascynujące, zastanawiała się. Wkurzała nawet sama siebie, gdy snuła się w kółko, polując na ujęcie takie jak to, więc wszyscy wkoło powinni wręcz wpadać w furję. Między innymi dlatego uważała, że lepiej jej było jako singielce: mogła robić, co chce, bez poczucia winy.

Nagle usłyszała pełne emocji okrzyki, które przyniósł wiatr, i ruszyła ich śladem na niewielki plac. Wśród sporej grupy małych dzieci stał mężczyzna, a maluchy aż podrygiwały z niecierpliwości, obserwując, jak zanurza linę w wiadrze stojącym u jego stóp. Na chwilę znieruchomiał, dla lepszego efektu, i roześmiał się, gdy jedno z dzieci zaczęło podskakiwać. Następnie zamachnął się i zakręcił sznurem, a na pętli utworzyła się gigantyczna bańka mydlana.

Megan podniosła aparat i uśmiechnęła się tak szeroko, że poczuła zimne powietrze aż na dziąsłach. Dzieciaki ruszyły naprzód, żeby przekłuć bańkę, ale mężczyzna szykował już następnego olbrzyma, a potem stadko mniejszych. Podeszła i sfotografowała bańkę, tuż zanim pękła dokładnie na wysokości jej obiektywu, a potem zaśmiała się, gdy oczarowane dzieci zaczęły obiegać jej nogi. Niewiele im brakowało do szału mew na moście; na pewno były znacznie głośniejsze, a ich radość zaraźliwa. Megan żałowała, że nie ma tu Ollego, a na myśl o nim zdała sobie sprawę, że spóźni się na umówione spotkanie. Z żalem odeszła i jeszcze długo słyszała za sobą piski i krzyki dzieci.

Gdy dotarła na miejsce, Ollie siedział już w barze, niezgrabnie oplótszy długie nogi wokół drewnianych nóżek stołka. Przed nim stały dwa kufle czeskiego piwa. Nie słyszał, jak weszła, więc mogła przez chwilę spokojnie na niego popatrzeć. Jego dziwaczna czapka oraz tropikalne ogrzewanie w Don Pisto sprawiły, że zwykle przyklapnięte brązowe włosy lekko się naelektryzowały i kilka kosmyków kołysało się w powietrzu, stercząc w zupełnie innym kierunku niż reszta. Trampki miał poplamione i przemoczone od panującej na zewnątrz wilgoci, a jeden z rękawów kurtki wywrócił się na lewą stronę.

Z jakiegoś powodu ten ostatni szczegół nieodwołalnie wpłynął na Megan. Podeszła prosto do baru, złapała Ollego za rękę i obróciła razem ze stołkiem do siebie, a następnie pocałowała go mocno i zdecydowanie prosto w usta.

Przez ułamek sekundy nie wiedział, co się dzieje, ale w następnej chwili odwzajemnił pocałunek tak żywiołowo, że musiała się przytrzymać, by ustać na nogach. Zdjął jej czapkę i wplótł palce we włosy, masował skórę jej głowy i muskał językiem górną wargę, a następnie mięsistą dolną. Jedną rękę nadal trzymała mu na ramieniu, ale drugą oderwała od baru i przyciągnęła go bliżej, wsuwając ją między nogi. Poczowała na brzuchu twardą krawędź stołka.

Wokół grała muzyka, ludzie rozmawiali i ich świat ani trochę się nie zmienił z powodu tej całującej się pary. Megan usłyszała swoje westchnienie, odchyliła głowę i poczuła usta Ollego na szyi, za uchem i na rozpalonych policzkach. Całowała go w ucho, nie otwierając oczu, sunęła ślepo po twarzy, aż natknęła się na okulary, więc zdjęła je, żeby zbliżyć się jeszcze bardziej. Ich oddechy stawały się coraz bardziej urywane i napierając na niego mocniej, poczuła, jak bardzo jej pragnie. Zresztą, sama była w pełni świadoma intensywnego pulsowania między nogami, pragnienia, potrzeby.

– Wracamy do hotelu? – wydyszał Ollie, ogrzewając jej szyję gorącym oddechem.

– Jeszcze nie.

Pokiwał głową i oparł czoło na jej czole, czekając, aż serce mu się uspokoi. Megan nachyliła się i pocałowała go jeszcze raz, tym razem lżej, a jej uśmiechające się usta łaskotały go w policzek. Czowała pieczenie w miejscach, gdzie otarł się

zarostem i aż zadrżała ze szczęścia. Cofnął się odrobinę i pocałował ją w czubek głowy, w powieki i brwi, a potem na nią popatrzył.

– Posłuchaj, ja nie... – zaczął, ale na widok wyrazu jej twarzy zamilkł.

– Możemy o tym nie rozmawiać? – spytała błagalnie i cicho. – Proszę.

Zmarszczył na moment czoło, ale nic nie powiedział. Sięgnął za to po kufel i zaczął pić.

Pragnienie, by znów go do siebie przyciągnąć, było dla Megan wręcz namacalne, ale zmusiła się do wpatrywania w podłogę, aż serce przestało tłuc się o żebra. Wkroczyli na nowe terytorium i nie miała pojęcia, co teraz.

– Jak się czuła Sophie, gdy wychodziłeś? – spytała w końcu, stanowczo kierując rozmowę na neutralne tory. Zdjęła kurtkę i zajęta teraz była wyplątywaniem się z szalika, którym zajął się przez chwilę Ollie. Była zarumieniona i lekko spocona z emocji, z wdzięcznością więc sięgnęła po piwo, gdy wreszcie wgramoliła się na stół.

– Była bardzo spokojna. – Zawahał się na moment, a potem położył dłoń na jej udzie. – Kupiłem jej najlepszą w Pradze colę. Uznałem, że przyda jej się trochę cukru.

– Słusznie. – Megan uśmiechnęła się ponad kuflem, a potem oparła but na podnóżku między jego stopami. Wciąż czuła na szyi ślady pocałunków i odruchowo uniosła rękę, żeby ich dotknąć. Czy to się naprawdę wydarzyło? Wpadła tu i pocałowała Ollego?

– Mam nadzieję, że nic jej nie jest – mówiła dalej, wciskając kolano w jego nogę. – Tam na moście padła jak ścięta z nóg, coś straszego!

– Może mieć jakieś zaburzenia odżywiania? – Ollie nie włożył z powrotem okularów i Megan przyglądała się jego oczom, gdy mówił. Patrzyła w nie już setki razy, ale dziś wyglądały na pełniejsze życia. W ponurym świetle baru ich orzechowy odcień pociemniał i można go było wziąć nawet za czern, a otaczające rzęsy były krótkie i gęste.

– Sama nie wiem. – Zmarszczyła czoło. – Myślałam, że może jest w ciąży, ale mnie wyśmiała.

– Nie sądzisz, że to dziwne, że jest sama? – Ollie wyciągnął rękę i zatknął jej za ucho pasmo włosów. Wiedziała, że powinna iść do toalety i się uczesać, ale bała się, że jeśli zostawi Ollego choć na kilka minut, czarodziejska bańka mydlana, w której się bujali, pęknie.

– Chyba nie tak miało być. – Odwróciła głowę i musnęła ustami jego palce. – Z tego, co zrozumiałam, mieli przylecieć razem, ona i ten jej facet, ale on musiał zostać.

– Nie jestem pewien, czy się pojawi. – Ollie wyglądał na przejętego, jakby właśnie przyszło mu to do głowy. – Dlaczego zwleka?

Megan powstrzymała chęć ściągnięcia go ze stołka prosto w swoje ramiona.

– To nie w pana stylu, drogi panie – szepnęła. – Co się stało z teorią, że miłość wszystko zwycięży? Czy nie tak pan zawsze twierdził?

Nie mogła oderwać wzroku od jego ust i pragnęła, żeby znów ją pocałował.

– To byłem dawny ja – odparł i zawadiacko uniósł brew. – Chyba zabrakło mi odwagi, żeby nadal w to wierzyć.

– No cóż – odparła. – Wkrótce się przekonamy, prawda? Sophie mówiła Hope, że Robin ma przylecieć jutro po południu.

– Oby przyleciał. – Ollie wstał i wreszcie przyciągnął ją delikatnie do siebie. – Uroczą z niej dziewczyną. Zasluguje na szczęście.

Megan zamknęła oczy i rozkoszowała się doznaniem jego piersi pod policzkiem. Słyszała jego serce pod grubym swetrem, biło powoli, statecznie i kojąco. Objęła go tak mocno, żeby móc włożyć ręce do tylnych kieszeni jego dżinsów. Jak na tak wysokiego mężczyznę, miał przyjemnie jędrną pupę i ścisnęła ją z uznaniem.

– Ostrożnie – szepnął. – Jeszcze raz i też cię zataszczę do hotelu na barana.

– To nie moja wina, że jesteś taki nieznośnie seksowny – mruknęła i wbiła mu paznokcie w pośladki.

Przez cały okres trwania ich przyjaźni ani razu nie powiedziała mu komplementu, a już na pewno takiego. On ciągle jej powtarzał, że ma talent, że uwielbia jej zdjęcia i że zawsze potrafi go rozśmieszyć. Ale dziś powiedział jej, że jest piękna, a ona mu uwierzyła. Andre nigdy nie mówił o jej wyglądzie, a im dłużej z nim była, tym bardziej workowate ciuchy wkładała. Gdy teraz patrzyła na siebie w lustrze, widziała złote kosmyki włosów, jasne oczy swojej matki i ładne usta pod zgrabnym niedużym nosem. Nie krzyczała może z przerażenia, ale nie umierała też z zachwyty. Jednak dla Ollego była najwyraźniej całym światem. Megan nigdy nie potrzebowała męskiej aprobaty, co więcej, nie mogła znieść myśli, że jej poczucie własnej wartości miałoby zależeć od opinii innej osoby, ale musiała przyznać, że przyjemnie budzić taki zachwyty.

Słyszała, jak serce Ollego bije tym szybciej, im wyżej przesuwiała palce po jego plecach. W ostatnich miesiącach spędzali razem mnóstwo czasu, w niedzielne popołudnia przesiadywali w pubach, grali w piwnego ponga na dachu baru w Brixton, spacerowali po Parliament Hill i jedli lody, spoglądając na rozciągającą się u ich stóp stolicę. A jednak do niczego nie doszło. Nie wziął jej za rękę, nie dotykał twarzy, jak tu w Pradze, a ona nie chciała, żeby coś zrobił. To, jak nagle i bezboleśnie wślizgnęli się w tę wspólną intymność, zaskoczyło ją i zachwyciło. Nie wiązała się z tym żadna niezręczność, a pocałunek wydawał się zupełnie oczywisty. Nawet więcej: nieunikniony.

Pożerało ją po kawałku rozkoszne, rozedrgane ciepło, ale była też świadoma cichego, naglącego głosiku dobiegającego z najdalszej części jej umysłu, który pytał, co ona do jasnej cholery wyprawia. Zignorowała go, wyjęła ręce z kieszeni

Ollego i objęła jego twarz. Gdy schylał się, żeby znów ją pocałować, była przekonana, że zobaczyła w jego oczach coś bardzo przypominającego smutek.

Czuję, że nikt nie przyjdzie.

Hope i Charlie siedzieli w hotelowym barze nad dwoma drinkami. Resztę popołudnia spędzili, snując się po Małej Stranie, kupując pamiątki i śmiejąc się z twarzączek drewnianych pacynek, które łypały ze sklepowych wystaw. Mijały godziny, a z nimi niezręczna atmosfera, która się między nich wkradła.

Nie zważali na pulsowanie w przemarzniętych palcach i ruszyli pod strome wzgórze zamkowe, gdzie zachwycali się oddaniem strażników strzegących wejścia. Oddaniem i najwyraźniej także obojętnością na polarne temperatury. Stali niewzruszeni i całkowicie spokojni w szarych futrzanych czapach pasujących do kołnierzy i niewzruszenie patrzyli przed siebie, chyba, bo ich oczy kryły się za okularami przeciwsłonecznymi. W obleczonej w białą rękawiczkę dłoni zaciskali lufę karabinu. Charlie stanął obok jednej z biało-niebieskich pasiastych budek strażniczych i śmiał się, salutując przed obiektywem Hope.

Żeby umknąć przed mrozem, który zdawał się narastać z każdym okążeniem wskazówek jednego z miejskich zegarów, zwiedzili bazylikę św. Jerzego. Hope aż westchnęła z zachwyty, gdy przez zmrużone powieki obserwowała freski pokrywające łukowe sklepienie. W ponurym świetle kaplicy czerwień i złoto nabierały jeszcze bardziej królewskiego charakteru. Otwarta przestrzeń przyprószona była kurzem, a w powietrzu unosił się zapach historii. Przekraczając progi takich miejsc, Hope czuła, jakby wkraczała w przeszłość, a doniosłość tego uczucia litościwie wygrywała z huśtawką emocji, która nią targała. Na te kilka cennych godzin Hope pozwoliła sobie odpuścić całą resztę i po prostu chłonać. Im dłużej przebywała w Pradze, tym bardziej wierzyła, że w tym mieście magia istnieje naprawdę. Czuła ją.

– Może Ollie wreszcie uwiódł Megan? – zasugerował Charlie z psotną miną.
Hope zasmiała się.

– Wątpię. Nie po tym, co mi wczoraj mówiła.

– Czyli? – Charlie nachylił się nad stołem.

– Nie mogę ci powiedzieć – wyjaśniła. – Solidarność jajników i tak dalej.

– Rozumiem. – Upił drinka. – W tej sytuacji lepiej, żebym ci nie powtarzał, co on mi mówił.

To ją zainteresowało.

– Jak to? Musisz mi powiedzieć.

Charlie pokręcił głową.

– Nie mogę. Braterstwo samców i tak dalej.

– No dobrze! – poddała się Hope i uniosła ręce w geście kapitulacji. – Powiem ci, ale pod warunkiem że potem ty powiesz i przysięgniesz, że jak

następnym razem się z nimi zobaczymy, nie zdradzisz, co wiesz.

Charlie zasalutował z udawaną powagą.

– Słowo harcerza.

Hope mówiła i obserwowała, jak coraz bardziej marszczy czoło, słuchając teorii Megan, jakoby nie było w jej życiu przestrzeni na mężczyznę i że na pierwszym miejscu zamierza postawić karierę.

– Jak dla mnie to jakieś bzdury – stwierdził w końcu i pociągnął trochę napoju przez rurkę.

– Mówiła też, że w głębi duszy nie czuje, żeby to miało sens. A takich przeczuć nie wolno ignorować. – Powiedziawszy to, przypomniała sobie o własnym przecuciu, które nawiedziło ją w salonie masażu i poczuła się tak niezręcznie, że aż się zarumieniła.

– A co, jeśli to przecucie to tylko strach? – spytał Charlie. – Jasne, instynkt bywa dobrym doradcą, zgadzam się, ale często jest w to zamieszana po prostu solidna porcja strachu. Prawdę mówiąc, Ollie mówił niewiele. Mam wrażenie, że to porządny facet, który nie chce o niej rozmawiać za jej plecami, ale wspomniawszy, że chciałby, żeby byli więcej niż przyjaciółmi. Gdyby mnie ktoś pytał, to ci dwoje są dla siebie stworzeni i moje przecucie twierdzi, że będą razem.

Zaczęła się zastanawiać, co Charlie powie o jej obawach dotyczących ich związku, a mianowicie, że nie starczało im sił. Zrozumie czy po prostu oskarży o bezzasadny strach?

Wówczas dosłyszeli dobiegający z lobby hotelu śmiech. W uchylonych drzwiach baru dojrzeliby objętych Ollego i Megan, którzy pędzili w kierunku schodów.

Hope aż pisnęła z radości, a Charlie szeroko się uśmiechnął, szalenie zadowolony, że jego przecucia okazały się słuszne. Nie mieli wątpliwości, dokąd ta para zmierzała i z całą pewnością nie była to kolacja z nimi.

– Ciekawa jestem, gdzie się podziewa Sophie – stwierdziła Hope, gdy tamta dwójka zniknęła, a ona dopiła drinka i postawiła pustą szklankę na stoliku. – Cały dzień jej nie widziałam.

– Może w końcu pojawił się ten jej chłopak? – zasugerował Charlie i zerknął na zegarek.

– Szkoda, że nie znam jej nazwiska, spytałabym w recepcji. Niedobrze, żeby się tak wałęsała po ulicach całkiem sama.

– Jesteś kochana, że się martwisz. – Charlie uśmiechnął się. – Ale nie zapominaj, że ta dziewczyna zjechała cały świat i pewnie zna to miasto lepiej niż my Manchester.

Miał oczywiście rację, ale Hope nie mogła pozbyć się wrażenia, że z jej nową koleżanką coś jest nie w porządku. Gdy poprzedniego wieczoru umawiali się na dzisiejsze spotkanie w barze, Sophie entuzjastycznie kiwała głową, ale radość

nie odzwierciedlała się w jej oczach. Może Robin przyleciał wcześniej, a może Sophie chciała po prostu spędzić trochę czasu sama, a nie z dwojgiem podstarzałych nudziarzy jak ona i Charlie. Poza tym nie była przecież jej matką.

Zegar na ścianie wskazywał już prawie wpół do ósmej.

– No nic, chodźmy – zwróciła się do Charliego i nie mogła nie zachichotać, tak błyskawicznie poderwał się z miejsca. – Zdobędziemy coś do jedzenia, zanim padniesz.

Na zewnątrz chłód wgrzył się w nich jak wściekły pies, opętany i niemający zamiaru łagodzić ucisku szczęk. Hope poczuła, jak skóra na policzkach się naprężyła i wetknęła dłonie do kieszeni, jak mogła najgłębiej. Chmury przez cały dzień zasnuwające niebo jak mokry koc wreszcie się przerzedziły i gdy podniosła głowę, widziała gwiazdy rozsypane na tle czerni.

Mróz utrudniał rozmowę, więc Hope słuchała chrupania zmarzniętego śniegu pod podeszwami butów i zmieniającej się co chwila muzyki płynącej zza okien lub drzwi mijanych barów. W Pradze nigdy nie panowała cisza, ale nie było to też głośnie miasto. Manchester terroryzował uszy kakofonią huku ruchu ulicznego, przelatujących samolotów i robót drogowych. Praga natomiast rozkosznie wypełniała uszy muzyką.

Była sobota wieczór i piękne, brukowane uliczki placu Wacława pękały w szwach od rozwrzeszczanych uczestników wieczorów panieńskich i kawalerskich, fatalne zachowanie nie wystawiało laurki ich ojczyźnie. Hope aż się skrzywiła, gdy minęła ją dziewczyna wystrojona od stóp do głów w zestaw obowiązkowy uczestniczki babskiej imprezy: pierzaste boa, jasnoróżowe tutu, rajstopy kabaretki oraz nadmuchiwany penis. Zatoczyła się i wpadła na przepelniony kosz, a potem kopnęła w rozsypane śmieci tak, że wyleciały w powietrze.

– Coś obrzydliwego – mruknęła Hope do Charliego, ale nie słuchał, bo przyglądał się chłopakom czekającym w kolejce do budki sprzedającej gigantyczne *klobasy*. Pan młody, podtrzymywany przez dwóch rżących ze śmiechu kumpli, miał na sobie jasnozieloną sukienkę i blond perukę.

– Co podać? – spytała sprzedawczyni, uprzejma nawet w obliczu tak absurdalnego i nietrzeźwego klienta.

– Szynkę, jajka i cyczuszki, skarbie – wykrzyknął chłopak, czym zaskarbił sobie żywiołowe oklaski kolegów.

Kobieta przewróciła oczami, ale nie odpowiedziała, a zbulwersowana Hope poczuła, że Charlie aż się trzęsie z tłumionej wesołości.

Dotarli do restauracji, nie zgubiwszy się ani razu, co świetnie się składało, jak zauważyła Hope, bo gdyby dłużej pozostali na mrozie, Praga wzbogaciłaby się o dwa nowe pomniki, a miała ich już sporo. W piwnicznej sali było cudownie i przytulnie, w jednym końcu radośnie trzaskał ogień w kominku, a cienie świec tańczyły na ścianach, wspinając się aż do łukowego sklepienia. Na drewnianych

ławkach leżały poduszki, a na ceglanych murach porozwieszano stare zdjęcia Pragi.

Zamówili butelkę czerwonego wina, która została podana w wiklinowym koszyku, a potem oddali się lustrowaniu karty dań, czekając przy okazji, aż palce u nóg i rąk odzyskają czucie. Nastrój w tym miejscu w niczym nie przypominał chaosu panującego na placu Wacława i Hope czuła, jak z każdym rozkosznym łykiem wina coraz bardziej się rozluźnia.

Charlie wyjął komórkę i położył na stoliku, a potem lekko zmarszczył czoło.

– Coś się stało? – spytała.

– Nie ma tu zasięgu – mruknął.

– Czekasz na telefon? – Starła się, żeby w głosie nie rozbrzmiała nuta podejrzenia.

Westchnął.

– Nie. A może. Sam nie wiem

– Wszystko w porządku?

Nagle wydał się zmęczony i znacznie starszy, niżby sugerowało jego czterdzieści osiem lat i Hope szczerze się zatroskała.

– Jasne. – Udawał beztroskę. – Wszystko dobrze, kochanie. Nic się nie martw.

– Ale się martwię – odparła cicho. – Martwię się, bo mi na tobie zależy.

– Mnie też. – Patrzył na nią, aż zapiekły ją oczy, więc spojrzała z powrotem na menu. Zerkała tylko, jak bawi się brzegiem obrusa, kieliszkiem i laminowanymi kartami menu, a także telefonem. Był zdenerwowany, a ona nie miała pojęcia, co zrobić albo powiedzieć, żeby mu pomóc.

Ulżyło im, gdy pojawił się chleb, jeszcze ciepły, i Charlie wreszcie miał co zrobić z rękami. Nie uzgadniali swoich zamówień i Hope bardzo się zdziwiła, bo zamówili to samo: czeski smażony ser z pieczonym ziemniakiem i sosem tatarskim. Charlie prawie zawsze jadł mięso, a w tej karcie było go mnóstwo. Kiedy o to spytała, wrzucił ramionami.

– Miałem ochotę na odmianę.

Sposób, w jaki to powiedział, lekceważąco i od niechcenia, obudził uczucie, którego doznała po południu. Niesłabnące wątpliwości, które narastały w niej od kilku dni niczym gotujące się mleko zbliżające się do brzegów garnka, urosły do poziomu, niedającego się dłużej lekceważyć. Teraz, tutaj, w tej pięknej restauracji, mogła położyć dłonie na sercu i stwierdzić, że chce być z Charliem. Ale gdy spoglądała w przyszłość, biegnąc myślami do wspólnego życia w Manchesterze, wiara w to, co wspólnie tworzyli, słabła. Skoro nie potrafiła z pełnym przekonaniem stwierdzić, że dadzą radę, czy bycie z nim było w ogóle fair? Złamała już jedną przysięgę i ledwie wyszła z tego cało. Nie zamierzała powtarzać tego błędu.

Pomyślała o Sophie, tak pewnej swoich uczuć i głęboko wierzącej w miłość, jaką darzyli się z Robinem. Ma wielkie szczęście, stwierdziła Hope, że przytrafiło jej się coś tak silnego i prawdziwego. Nawet w najlepszych chwilach z Dave'em Hope nie mogła z pełnym przekonaniem stwierdzić, że był dla niej odpowiednim mężczyzną. Dlatego tak dobrze rozumiała Megan: skoro żadna z nich nie mogła mieć tego, co Sophie i Robin, czy w ogóle miało sens zaczynać? Pewnie nie. Pewnie lepiej być samej. I chociaż myśl o utracie Charliego była nieznośna, musiała przyznać, że wizja całkowitej niezależności kusila. Od przyjazdu do Pragi coś się w niej zmieniło i coraz trudniej przychodziło zapanowanie nad tym.

Charlie przeprosił i wstał od stolika, ale nie poszedł w kierunku toalet, tylko wbiegł po schodach do wyjścia. Hope zerknęła na jego nakrycie i głęboko odetchnęła. Telefon też zniknął.

Sophie śniła. Wiedziała, że to sen, bo miała długie włosy, a na ramionach czuła ciepłe promienie słońca. Robin biegł przed nią po plaży, stopy zostawiały ślady w mokrym piasku.

Często miała takie sny, w których była na tyle świadoma, by wiedzieć, że to, co widzi, nie jest prawdą, ale jednocześnie na tyle nieprzytomna, by czerpać z tego przyjemność. Zdawała się na wyobraźnię, która wiodła ją przez najlepsze wspomnienia i było to fantastyczne doznanie.

Patrzyła, jak Robin Ze Snu robi nieudaną gwiazdę i śmieje się z grudek mokrego piachu wzbitych przy tym w powietrze.

– Małpison! – zawołała za nim, a potem podbiegła i wskoczyła mu na plecy. Nogi się pod nim ugięły, ale jej nie upuścił, tylko złapał za stopy i łaskotał, aż piszczała i wiła się na jego plecach.

– I kto tu jest małpisonem? – śmiał się, gdy objęła go w pasie nogami, splotła z sobą kostki i schowała twarz w jego szyi.

– Ty! – zawołała i podskoczyła mu na plecach. Miała bikini, znoszone džinsowe spodenki i łańcuszek z medalionem. Włosy jeszcze nie wyschły po pływaniu. Z lewej strony, kawałek od brzegu oceanu, widziała palmy, a ponad nimi tropikalne niebo niebieskie jak pawie pióro. Gdzie się znajdowali? Zastanowiła się przelotnie. Cejlon? Bali? Meksyk? Malezja? Tajlandia? Czy to w ogóle ważne?

Robin się zatrzymał i usiadł, a potem przekręcił Sophie tak, że siedziała przodem do niego. Nie widziała już horyzontu, tej hipnotyzującej linii, gdzie ocean i niebo stykały się, krzesząc iskry i składając szeptaną obietnicę przygody, dochodzącą spoza miejsc, gdzie sięgał wzrok, ale Sophie się nie zmartwiła. Widok Robina był znacznie wspanialszy, w oczach miał radość, a źrenice rozszerzały się, żeby pochłonąć ją całą. Widziała jego usta, hojne i kuszące, pełną dolną wargę pociemniałą od słońca, złote kosmyki okalające twarz i sól zastygającą na końcach mokrych włosów. Wpatrywała się w niego jak zawsze z zachwytem i miłością, a on schylił głowę, żeby potrzeć nosem o jej policzek.

– Nie wracajmy do domu – poprosił, a gdy muskał ustami jej skórę, po plecach przebiegł jej dreszcz zapowiadanej tym szeptem rozkoszy.

Uśmiechnęła się.

– A nasze rodziny? Co im powiemy?

– Zrozumieją – zapewnił i popatrzył na nią poważnie. – A ja nie potrzebuję nikogo oprócz ciebie.

Sophie otworzyła usta, żeby się odwzajemnić, ale sen uczynił ją niemą. Otworzyła szeroko usta, ale słowa nie wychodziły, nawet szeptem. W myślach krzyczała raz za razem, ale on nie słyszał. Patrzył gdzieś poza nią, na ocean, a w

kącikach ust błąkał mu się spokojny uśmiech.

Ja też! – myślała i walczyła z ograniczeniami, jakie nałożył na nią sen. Czowała, że ta scena zaczyna się walić, a jego wizerunek i całe doznanie rozsypują się jak piasek przesiewany przez sito, więc w panice przywarła do Robina i mocno go objęła. Gdy odważyła się znów spojrzeć w jego twarz, plaża za jego plecami pociemniała. Zerwał się wiatr i palmy gięły się i drżały jak w gorączce. Radość Sophie ze strachu i niepewności rozsypała się jak układanka, wszędzie widziała ostre krawędzie puzzli i puste pola. Nawet Robin zniknął w mroku, a jego uśmiech rozplątywał się we mgle. Sophie nie znajdowała się już na plaży, tylko na skraju przepaści, a wicher walił w nią i groził, że zepchnie poza krawędź. Mrugała desperacko, ze wszystkich sił starała się odzyskać słoneczną część snu, ale na próżno. Zamiast plaży pojawił się ciemny, obcy pokój hotelowy, a jedyne światło docierało spomiędzy nie do końca zaciągniętych ciężkich zasłon.

Połowa łóżka obok niej była pusta i poczuła, że w jej piersi narasta rozczarowany skowyt. Zamknęła znów oczy i zmusiła się do głębokich oddechów, wzywając sen, żeby przybył i zabrał ją z powrotem. Chciała znaleźć się z Robinem na plaży, poczuć sól w powietrzu i ciepły wiatr pieszczący ich, gdy pieścili siebie nawzajem. Milczała, a po policzkach płynęły jej łzy.

Sen nie wracał i po jakimś czasie poddała się, otworzyła oczy, przyjrzała się ciemnym kątom i zastanawiała się, co dalej. Coś jej się kołatało, że miała się spotkać z Hope, Charliem i resztą w barze na dole, ale nie mogła sobie przypomnieć, na którą się umówili. Zresztą, uświadomiła sobie, przytomniejąc coraz bardziej, Ollie i Megan raczej nie będą się jej spodziewać po tym, jak zemdlą na moście Karola. Zarumieniła się na wspomnienie siebie przywierającej do pleców Ollego jak glon. Może dlatego we śnie jechała na barana na Robinie? Jak im teraz spojrzy w oczy? Bóg jeden wie, co sobie o niej pomyśleli po całym tym wymiotowaniu i mdleniu. Serce zaczęło jej bić szybciej i przypomniała sobie o głębokich wdechach.

Sięgnęła po telefon i na wyświetlaczu znalazła sześć nieodebranych połączeń, wszystkie z tego samego numeru, więc szybko poderwała się do pozycji siedzącej. Dostała też esemesy, więc szybko przebiegła przez nie wzrokiem, a potem stukając w ekran, napisała odpowiedź.

Jutro o tej porze będzie z nią Robin. Ta myśl dodała jej tyle sił, że zdołała wygrzebać się spod kołdry i ruszyć do łazienki, gdzie odkręciła ciepłą wodę i zaczęła, aż polecą wrzątek, a następnie ochlapała nią policzki. Po wcześniejszych mdłościach była szaroblada, oczy miała przekrwione, ale przynajmniej nie było jej już niedobrze. Gdy wycierała ręce, zauważyła, że lekko się trzęsą i spróbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła. Skubnęła trochę precla, ale większość wróciła w fali wymiotów. Potem Ollie, kiedy zostawiał ją przy drzwiach pokoju, polecił, żeby zjadła trochę hotelowych biszkoptów, ale czy posłuchała? Nie

pamiętała.

Musiała mieć gorączkę, kiedy spała, bo prze poczone ubranie przykleiło jej się do pleców i boków. Oderwała je od skóry i rzuciła na łazienkową podłogę, wgramoliła się do wanny i odkręciła wodę pod prysznicem. Otworzyła usta, gdy gorący strumień spływał jej po twarzy i piersiach.

Wtarła szampon w krótkie nastroszone włosy i przypomniała sobie, że Ollie podał jej numer swojego pokoju. Zapewnił, że jeśli poczuje się gorzej, może zapukać albo zadzwonić bez względu na porę, a on i Megan dopilnują wezwania lekarza.

Szybko się opłukała, żeby nie zajmować się zbyt długo swoim ciałem, pozbawionym ochronnych warstw ubrania. Żebra sterczały pod skórą jak jakiś upiorny ksylofon, pod nimi wystawały biodra – złowrogo i na tyle daleko, żeby rzucić cienie na wklęsłą nieckę brzucha. Wiedziała, że jej ramiona zaczynają tracić kształt, a obojczyki przypominają uchwyty dla wspinających się po ścianie. Gdy na siebie patrzyła, wydawało jej się, że obserwuje cudze ciało. Zawsze była drobna, ale umięśniona i w niczym nie przypominała tego cherlawego worka kości, jakim stała się w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Zastanawiała się, czy Robin zauważy zmianę. Ich rozłąka nie trwała może aż tak długo, ale on zawsze się jej przyglądał. Czasem wydawało jej się, że zna jej ciało lepiej niż ona sama, namierzał każdą plamkę i każdy dołeczek. Stał się samozwańczym ekspertem od Sophie, informował ją z dumą, wynurzając się spod kołdry, gdzie przebywał na jednej ze swoich „ekspedycji”, jak to nazywał. Zawsze twierdził, że mógłby spędzić cały dzień tylko na wpatrywaniu się w nią i nigdy by się nie znudził, bo zawsze odkrywał coś nowego i rozkosznego.

A jeśli teraz wzbudzi w nim obrzydzenie? Zamarła na tę myśl i przestała się splukiwać. Uwielbiał ją taką, jaka była, ale przecież zmieniła się. Rozbierze ją i może się wzdrygnąć na widok tego, co zobaczy. Czy z niechęcią pokręci głową i się odwróci? Poczula, że tego nie zniesie.

Z prysznica zaczęła lecieć zimna woda i Sophie odskoczyła z piskiem. Jak długo tu stała? Sięgnęła po ręcznik i z ulgą zauważyła, że duże lustro całkiem zaparowało, dając jej dość czasu na wysuszenie się i ubranie bez widoku własnego odbicia, które ją niepokoiło. Od czasu do czasu odczuwała falę słabości i musiała wyciągać rękę, żeby się nie chwiać. Zdecydowanie musiała coś zjeść.

Postanowiła zejść na dół i poszukać reszty, więc oddała się drobiazgowemu nakładaniu grubej warstwy podkładu, licząc, że zamaskuje zielonkawy odcień policzków. Megan i Ollie na pewno wtajemniczyli Hope i Charliego w wydarzenia popołudnia i wiedziała, że Hope się martwi. Co jakiś czas czuła na sobie jej pełne niepokoju spojrzenie. Ale żadne z nich nie musi się o nią martwić. Jak tylko przyjedzie Robin, zobaczą, że wszystko z nią w porządku.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła korytarzem w stronę schodów.

Gruby dywan prawie całkiem wygłuszał jej kroki. Na ścianie każdego półpiętra wisiało wielkie lustro w zdobionej ramie i Sophie przystanęła przy pierwszym.

Makijaż zdecydowanie pomógł, tak samo jak dodatkowy sweter, ale jej fryzura nadal wyglądała strasznie. Przez lata tak się przyzwyczaiła do chowania za długimi włosami, że wciąż nie mogła zaakceptować krótkich.

Dotarwszy na drugie półpiętro, usłyszała śmiech zbliżających się ludzi. Pokonana przez bezsensowną nieśmiałość, rzuciła się do pobliskiego okna i wskoczyła za grube, sięgające podłogi zasłony. Wyrzała przez małą dziurkę w tkaninie i ujrzała Megan i Ollego. Mocno trzymał ją za rękę, a jej twarz była aż zarumieniona z emocji. U podnóża schodów prowadzących do pokoi Megan się zawahała i pociągnęła Ollego, żeby go zatrzymać.

– Co się stało? – spytał łagodnie, ale niecierpliwie.

Sophie patrzyła, jak Megan zerka pod nogi, a następnie podnosi wzrok.

– Na pewno chcesz to zrobić?

Wypowiedziała to niemal szeptem i Sophie aż wstrzymała oddech, zdruzgotana, że niechcący stała się świadkiem tak intymnej chwili między nimi.

– Oczywiście. – Ollie zszedł z dolnego schodka, na który zdążył się wspiąć i wziął ją za drugą rękę. – Chcę tego najbardziej na świecie.

Widocznie podziałało, bo Megan się do niego przysunęła.

– Szkoda by było zmarnować takie łóżko – orzekła w końcu, a sens jej słów nie pozostawiał wątpliwości. Sophie szerzej otworzyła oczy.

Ollie zaśmiał się, przyciągnął ją, a potem się schylił i pocałował z taką żarliwością i namiętnością, że Sophie aż się zarumieniła. Odwróciła wzrok, zawstydzona, ale i tak słyszała ich krótkie, urywane oddechy, gdy sycili się sobą, wygłodniali w sposób, który znała aż za dobrze.

Zwróciła głowę w stronę okna i skupiła się na skórze świerzbącej od zimnego, nocnego powietrza wciskającego się przez niewidoczne szpary. Jego lodowate palce muskały pasma włosów zakrywające jej uszy. Na czarnym niebie ponad budynkami widziała gwiazdy. Świeciły tak jasno, że oczy zaczęły jej łzawić i musiała zamrużyć, żeby powstrzymać łzy.

Gdy wróciła do dziurki, przez którą bezwstydnie podglądała, Megan i Ollego już nie było.

Megan obudziły wibracje komórki, więc sięgnęła na drewnianą szafkę przy łóżku, na której zostawiła telefon i zaczęła szukać po omacku. Okazało się, że to aktualizacja jednej z appek, których używała do obróbki zdjęć w telefonie: przybyły trzy nowe filtry. Po prostu super. Miło z ich strony, że dali jej znać w środku pieprzonej nocy!

Burcząc cicho pod nosem, odłożyła telefon z powrotem na szafkę, ale jej wzrok przykuło coś innego i poczuła, jak krew odpływa jej z całego ciała. Mrugał do niej pakiecik po prezerwatywie, a srebrne brzegi radośnie lśniły w niebieskawym świetle jej telefonu, niewinnie, a jednocześnie tak potężająco.

Ona i Ollie to zrobili. Uprawiali seks.

Wychyliła się poza krawędź łóżka i rozejrzała się po pokrytej wykładziną podłodze.

Zrobili to co najmniej trzy razy!

Z trudem powstrzymała się przed jęknięciem na cały głos i pohamował ją jedynie strach przed obudzeniem Ollego. Leżał wyciągnięty obok niej, zasłaniając przedramieniem oczy, całkowicie, bezwstydnie i dość zdumiewająco nagi.

Skrzywiła się, gdy pod wpływem ruchu zaskrzypiały sprężyny, ale zahaczyła kołdrę na stopie i powoli podciągnęła ją tam, skąd w szale musieli ją skopać. Gdy znajdowała się już na bezpiecznej wysokości pasa, zostawiła ją, ale serce zaczęło jej się tłuc jak głupie, gdy Ollie przekreślił się i jego twarz wylądowała zaledwie kilka centymetrów od niej. Wyciągnął rękę i zaczął jej po ciemku szukać, a ona zeszywniała i ani drgnęła, gdy jego ciepła dłoń wylądowała na jej ramieniu.

Nagle poczuła, że pokój zacieśnia się wokół niej, a unoszący się w powietrzu zapach seksu, nie do pomylenia z niczym, chwycił ją za gardło. Zamykała oczy, ale widziała tylko Ollego, usta na swoich piersiach, górującą nad nią klatkę piersiową, dłonie na jej talii, na pupie i te oczy, wpatrujące się bezustannie i z niezwykłą intensywnością. Zaczęła cofać się myślami aż do baru, do którego weszła – tak, ona zaczęła – pocałowała Ollego bez żadnego ostrzeżenia. Nie zaplanowała tego, fakt, ale wiedziała też, że chciała, żeby tak się skończyło.

Potem pili drinki i całowali się. A po przyjsciu do hotelu? Nie miała pewności. Czy ktoś ich widział? Boże, przecież miotali się po całym barze, uświadomiła sobie nagle. Okazywanie uczuć w miejscach publicznych, choćby trochę, było do niej zupełnie niepodobne, a jednak zatraciła się w tej chwili z Olliem. Zamknęła oczy, a jej ręce wędrowały po całym jego ciele. Nawet nie wyszli z baru, tylko stali tak, na oczach obsługi i klientów, i całowali się jak para napalonych nastolatków.

Wstyd przeszył ją tak przenikliwie, że przez moment bała się, że

zwymiotuje. Ollie, najwidoczniej nieporuszony tym nadzwyczajnym biegiem wypadków, spał u jej boku w najlepsze. Zazdrościła mu, a jednocześnie była o to zła. Miała świadomość, że to jej wina, tak, ale żałowała, że nie zrobił tego, co należy, nie kazał jej iść do diabła, nie odwrócił głowy i nie odwzajemnił pocałunku. Pomyśli, że ta noc wszystko zmieniła i będzie miał, rację, ale zamiast się cieszyć, zaczynała odczuwać dławiący żal.

Znów zamknęła oczy, ale tym razem ujrzała siebie z odrzuconą głową i wygiętymi w akcie rozkoszy plecami, z palcami przeczesującymi włosy Ollego, gdy całował jej ciało, zatrzymując się jedynie, żeby łagodnie, ale zdecydowanie lizać ją aż do stadium gorączkowej ekstazy.

Było cudownie, ale to był błąd.

Megan upewniła się, że Ollie śpi głęboko, uniosła kołdrę i zsunęła się bezgłośnie na podłogę, a potem na czworakach zbliżyła się do otwartej walizki i zaczęła cicho grzebać wśród ubrań. Desperacko potrzebowała prysznic, ale pragnienie ucieczki przewyższało nawet tę potrzebę, więc wciągnęła dzinsy i sweter, wymacała buty i torebkę i nie budząc Ollego, wydostała się na korytarz.

W jadalni było pusto, nie licząc samotnej dziewczyny przygotowującej bufet. Uśmiechnęła się nieśmiało do Megan, kiedy wypatrzyła ją, czając się w drzwiach i wskazując na zegar, wytłumaczyła, że wkrótce będą gotowi. Megan, spragniona jak największego dystansu między sobą a Olliem, odwzajemniła uśmiech i pomknęła dalej, a przy samych drzwiach wyjściowych włożyła rękawiczki.

Zimne poranne powietrze smagnęło ją po obnażonej skórze jak bicz, ale tym samym w jednej chwili wyostrzyło jej zmysły. Gdy dotarła do końca ulicy, z którego nie widziała hotelu, zaczęła się uspokajać. Na mieście nie było prawie nikogo, nie licząc kilku nieszczęsnych dusz, które minęła w drodze na most Karola. Nie planowała, że pójdzie właśnie tam, ale jakoś tak wychodziło, że zawsze lądowała w tym miejscu.

Wstawał piękny poranek, niebieskie niebo wyglądało jak świeżo po praniu i obiecywało, że słońce, które czaiło się nieśmiało gdzieś w odmętach horyzontu, jasno zaświeci. Megan uniosła aparat, gotowa uchwycić tę chwilę, ale złapała się na tym, że nie może. Nie dostrzegając przez wizjer piękna i łzy frustracji popłynęły jej po policzkach. Okazało się, że emocje, których od tak dawna łaknęła, nie chcą się zmaterializować.

Aparat bezradnie opierał się o jej pierś, bezwartościowy grat, przydatny jak sanki na plaży. Bez tego uczucia, bez więzi, nie mogła nazywać się fotografką i równie dobrze mogła cisnąć bezużyteczny sprzęt do Wełtawy.

Co ona sobie myślała, idąc z Olliem do łóżka? Po tylu dniach panowania nad sobą poddała się i teraz nie było już powrotu. On nie przyjmie kręcenia, nie zrozumie, czemu nie może z nim być, a powodem były właśnie te potworne, poplątane uczucia, poczucie winy i żal. Ollie wpełzł jej pod skórę i umiejętność

robienia zdjęć wyparowała w ciągu jednej nocy. Nie mogła mieć jednego i drugiego, okazało się to z bezduszną wyrazistością, a wolała podążyć za marzeniami niż za głosem serca.

To było strasznie niesprawiedliwe. Tylu jej znajomych przewracało oczami, gdy tłumaczyła, czemu nie może być z Olliem. Nawet jej własna matka szydziła z tej decyzji i ostrzegała przed popełnieniem błędu, którego będzie żałować do końca życia, ale nikt nie widział, że jej też pękało serce. Miała świadomość, że to jej schizy i lęki ich rozdzielały, choć aż do teraz nie przyznawała się nawet przed sobą. Zależało jej na Olliem, był dla niej ważny, od zawsze, i nie chciała go zranić, ale przecież właśnie będzie musiała to zrobić.

Szła przed siebie bezmyślnie i gdy w końcu podniosła głowę, stwierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Budynki były tu o kilka pięter wyższe niż na Starówce, a wiele dużych, prostokątnych okien wyposażonych było w balkony z kutego żelaza, każdy zastawiony szczątkami jakiegoś życia. Przez teleobiektyw wypatrzyła doniczki z rosnącymi zimą kwiatami, dziecięce rowerki i przepełnione popielniczki. Akurat gdy się temu przyglądała, jedne szklane drzwi się otworzyły i pojawiła się kobieta. Owinęła się w ciemnoszary szlafrok, a czarne włosy spięła w rozczochrany koczek na czubku głowy. Megan zmrużyła oko i zobaczyła w wizjerze wystające spod szlafroka czerwone kapcie.

Kobieta jeszcze jej nie zauważyła, a Megan trwała z palcem na wyzwalaczu migawki. Uwielbiała chwile, gdy przypadkiem wpadła w czyjeś życie i miała szansę przyjrzeć mu się, niezauważona. Kobieta ewidentnie dopiero co się obudziła i Megan aż się do siebie uśmiechnęła, gdy tamta ziewnęła i przeciągnęła się z rękami nad głową. Kobieta wpatrywała się w horyzont, gdzie słońce wznosiło się powoli niczym rosnąca w piekarniku babeczka i eksplodowało promieniami, tak że zamrożone dachy miasta lśniły jak niekończąca się sieć lampek choinkowych.

O czym myśli ta kobieta? – Zastanawiała się Megan. Co będzie dziś robić?

Stała tak, a kobieta nagle odwróciła się i spojrzała prosto na nią, jakby poczuła jej palące spojrzenie. Przez moment wydawało się, że się uśmiechnie, ale tylko pokręciła głową, poruszyła ustami i wróciła do środka.

Megan nie wróciła w znane rejony, tylko szła dalej szerokimi brukowanymi ulicami, w głąb dzielnicy mieszkaniowej zachodniego brzegu Pragi, bo uznała, że tu się właśnie znalazła. Cieszyła się, że uciekła od hałaśliwych części miasta, bardziej turystycznych, gdzie łatwo było dać się skusić imponującej architekturze i przegapić drobiazgi, które tak uwielbiała. Nauczyła się, że żeby naprawdę poczuć jakieś miejsce, trzeba zajrzeć pod zasłonę pozorów i wbić się ciekawskimi zębami w to, co się znajdzie pod spodem.

Minęła piekarnię, która właśnie się otwierała i zawahała się przez moment, ale otworzyła drzwi i weszła do środka. Niemal od razu się uśmiechnęła. Po części dlatego, że jowialny mężczyzna stojący za ladą rozłożył ręce w geście powitania,

ale przede wszystkim z powodu obłądnego zapachu unoszącego się ponad blachami ciastek, bochnów i bułek. Żałowała, że nie może uwiecznić ich na zdjęciu, ale nie chciała być niegrzeczna. Z trudem przyszło jej nauczenie się po czesku choćby podstawowych słów, jak „proszę” i „dziękuję”, więc pytanie, czy może zrobić zdjęcie, pozostawało poza zasięgiem. Poprzestała na używaniu zmysłu wzroku i wybrała ciastko wyglądające jak wielka tartaletka z dżemem.

– Poproszę to – wydukała i czując się jak głupek, wskazała palcem ciastko na szklanej ladzie.

Mężczyzna aż klasnął w dłoń.

– Ach, *kolach!* Dobry wybór. – Porwał papierową torebkę i metalowe szczypcy. – To jest z dżemem... – przerwał, jakby miał nastąpić ciąg dalszy. – Ale mam też z serem i mięsem.

– Z serem? – powtórzyła. No, to była rozmowa!

Siwa broda mężczyzny zadrżała, gdy kiwał głową i przesunął rękę w lewo, gdzie pysznił się kolejny rząd ciastek. Z okrągłych środków aż wylewała się żółta rozkosz.

– Tak! *Prosim* – dodała i odwzajemniła się, gdy uśmiechem docenił jej starania.

Kiedy już wydawał resztę, dzwoneczek nad drzwiami ożył i weszła starsza pani. Na wałkach miała wielki filcowy kapelusz, a do tego różowy płaszcz i jasnozielone kalosze. Natychmiast wdała się w żywiołowy, ilustrowany gestami monolog po czesku, na zrozumienie którego Megan nie miała absolutnie żadnych szans. Mężczyzna odpowiedział i wkrótce przekrzykiwali się radośnie, nie zważając zupełnie na Megan, która oparła się o szybę i jadła przepyszne serowe ciastko, chłonąc przy okazji otoczenie. Codzienne życie w Pradze wydawało się swojskie i proste. Można się tu było poczuć jak na wsi, a w poszczególnych dzielnicach wszyscy wydawali się wszystkich znać. Miało się wrażenie wspólnoty. Pomachała nieśmiało piekarzowi, gdy kierowała się do drzwi i wyszła na lodowatą ulicę. Tego jej właśnie brakowało w Londynie, ale dopiero gdy doświadczyła sceny sprzed chwili, zrozumiała, jak dotkliwa to tęsknota. Może myliła się, sądząc, że musi tam mieszkać. Fakt, możliwości było znacznie więcej, ale czy nie wszędzie można zrobić coś swojego, gdziekolwiek rzuci nas los? Żałowała, że nie ma z nią Ollego, żeby mogła o to spytać, ale nie było go, jasne, w końcu bardzo się o to postarała.

Snuła się po przedmieściach, aż nogi zaczęły ją boleć z zimna, więc niechętnie skierowała się na północ i wkrótce znalazła drogę pod Petřin. Rozciągający się ponad nią park wciąż zasypany był masą śniegu, a gdy zatrzymała się, żeby zaczerpnąć tchu, zaczęły ją szczypać oczy. Stała tak przy bramie, gdy pojawił się mężczyzna z psem. Psiak był mały i pokraczny, porośnięty szorstkim i splątanym czarno-brązowym futrem, ale na pysku miał wyraz tak niezmaconego

szczęścia, że Megan musiała się uśmiechnąć. Jego pan nie miał z sobą piłki, ale zbierał grudki śniegu i rzucał. Ilekroć bezbrzeżnie zdumiony pies wracał z zakończonych niepowodzeniem poszukiwań śnieżki, mężczyzna wybuchał głośnym śmiechem. Taka prosta scenka, a taka piękna! Megan patrzyła na nich, aż zniknęli jej z oczu.

Wyjątkowo wcale nie czuła potrzeby uwieczniania tej chwili, cieszyło ją samo zapisywanie w pamięci wspomnienia z Pragi niekoloryzowanego historią, magią ani nawet Olliem, po prostu wspólna chwila człowieka i jego najlepszego przyjaciela.

Wyjęła komórkę i sprawdziła godzinę. Zbliżała się dziewiąta, a Ollie się nie odezwał. Zastanawiała się, czy już się obudził i wie, że znów zniknęła? Jak się z tym poczuje? Zawsze okazywał wielką wyrozumiałość wobec jej wybryków, ale nie była pewna, czy i tym razem zasłuży na przebaczenie. Gdyby tylko udało jej się zrozumieć, co właściwie czuła! Złapać emocje i przypiąć do ściany, żeby móc im się przyjrzeć jak zdjęciom, poszukać ukrytych znaczeń wśród kolorów i kształtów.

Pięła się pod górę przez śnieg i zatrzymała się dopiero, gdy doszła na tyle wysoko, by zobaczyć pod sobą panoramę miasta. Z tej odległości nawet rozległe, sześciopiętrowe budynki nad brzegiem Wełtawy wydawały się maleńkie, a jej przypominał się pewien sobotni wieczór, gdy grali z Olliem w monopol. Mieli do podziału butelkę szampana, a ona systematycznie pozbawiała go jakiegokolwiek majątku, wykupując wszystko, co miało wartość. Stanowczo odmawiała też ustąpienia o krok, gdy on lądował na jej terenie. W przeciwieństwie do Megan, Ollie pozbawiony był choćby odrobiny odruchu rywalizacji, co jednocześnie wzruszało ją i drażniło. Pokonanie kogoś, kto wcale nie chciał wygrać, nie było ani trochę przyjemne, czego nie omieszkała mu wytknąć, ale on tylko posłał jej całusa ponad planszą.

Liczne praskie zegary wybijały dziewiątą, gdy dotarła do Zamku i zrozumiała, że czas wracać do hotelu. Byłoby strasznie nie fair, gdyby zepsuła wszystkim resztę wycieczki swoimi schizami, a właśnie to robiła. Postara się więc zachowywać, jakby nic złego się nie stało, a gdy wróci do Londynu, poważnie porozmawia z Olliem.

Seks uznają za jednorazową akcję, wakacyjną rozrywkę. Na szali leżała ich przyjaźń, a przynajmniej dla Megan nie było nic ważniejszego. Pewnie na początku będzie niezręcznie, nie miała wątpliwości, przez jakiś czas wspomnienie tej nocy będzie stale obok jak wielki, kudłaty mamut włączący za nimi do każdego pomieszczenia, ale to z czasem minie. Wierzyła, że dla nich obojga przyjaźń jest ważniejsza od wszystkiego. Ona na pewno nie chciała stracić Ollego i miała niemal stuprocentową pewność, że i on nie będzie chciał jej stracić. Jednak z drugiej strony, uczucia Ollego do niej już wykroczyły poza obręb przyjaźni i może wcale nie być taki chętny do udawania, że nic się nie stało. Cóż, istniał tylko jeden sposób

na przekonanie się, co naprawdę czuje Ollie w tym całym zamieszaniu: konfrontacja.

Zawsze był dla niej kochanym, wspierającym przyjacielem. Megan nie mogła sobie wprost wyobrazić, że teraz się od niej odwróci. Ale skoro tak, spytała sama siebie, gdy cała w nerwach dotarła na róg ulicy prowadzącej do hotelu, dlaczego jest tak śmiertelnie przerażona, że to właśnie zrobi?

Hope obudził świt, jak zwykle. Zmrużyła oczy i pozwoliła przyzwyczać im się do światła. Leżała na boku, tyłem do Charliego. W tej samej pozycji zasnęła, a wydarzenia ubiegłego niespokojnego wieczoru rozdzieliły ich jak leżący pośrodku łóżka głaz.

Po kolacji zasugerowała, żeby położyli się wcześniej. Dzień porządnie ją zmęczył, ale chciała też sprawdzić, czy Sophie na nich nie czeka. Gdy Charlie powrócił do stolika z rzekomej wyprawy do toalety, a w ręce zaciskał komórkę, postanowiła nic na ten temat nie mówić. W ciągu ostatnich kilku dni sporo się nauczyła o swoim mężczyźnie, przede wszystkim, że nie lubił, gdy go oskarżała o tajemnice. W przeciwieństwie do niej nigdy nie zaznał małżeństwa i od lat nie był w poważnym związku, więc całkowita otwartość wobec drugiej osoby musiała mu się wydawać dziwna. Rozumiała to, a wręcz mu współczuła, ale skrytość ją niepokoiła.

Dotarli już do ulicy wiodącej do hotelu, gdy Charlie zatrzymał się i spojrzał na nią, a jego oczy w świetle pobliskiej latarni wyglądały jak czarne. W lodowatym powietrzu widziała oddech.

– Chciałbym ci powiedzieć, że cię kocham – oznajmił z zaskoczenia. – To dla mnie ważne, żebyś znała moje uczucia.

– Och, Charlie... – Wyciągnęła rękę, a w swoim głosie usłyszała strach. – Chyba nie jesteś chory?

Pokręcił głową.

– Nie.

– Na pewno?

Nie mogła znieść myśli, że ten potężny, silny i czuły mężczyzna może w jakikolwiek sposób cierpieć.

– Na pewno. A teraz chodź, pójdziemy do hotelu.

– Oczywiście. – Skinęła głową.

Później już milczeli, a Hope ze wstydem stwierdziła, że jej ulżyło, gdy zajrzała przelotnie do baru i nie zobaczyła tam Sophie. Bardzo chciała sprawdzić, jak dziewczyna się czuje, ale wiedziała, że Charlie potrzebuje jej bardziej.

Kochali się, ale Hope wyczuła w tym pożegnaniu, co ją wytrąciło z równowagi i leżała bezsennie długo po tym, jak Charlie zasnął u jej boku. Zmartwienie nie pozwalało jej się odprężyć.

Teraz wstawał rano, a przed nimi kolejny dzień do przeżycia. Poranek spędzony na mówieniu wszystkiego, tylko nie tego, co najważniejsze, popołudnie tajemnic i ucieczek, żeby odebrać tajemniczy telefon. A potem co? W poniedziałek wrócą do domu, ona utkwi w jego małym mieszkanku. Annette nie wróci, a ona

zostanie pogubiona w życiu, uwięziona w labiryncie niepewności, strachu i niezadowolenia.

Przykre myśli zaczęły jej się kotłować w głowie, więc się podniosła i wtedy zdała sobie sprawę, że łóżko jest puste.

– Charlie?

Cisza.

Usiadła wyprostowana i potarła oczy.

– Charlie! – zawołała głośniej, myśląc, że może ściany łazienki wyłumiły jej głos.

Nadal nic.

Wstała i podreptała do drzwi, otworzyła i zaczęła szybko mrugać, bo światło zaatakowało oczy. Nie było po nim śladu. Z umywalki zniknęła jego kosmetyczka. Pomyślała, że poszedł na dół po kawę. Albo po kwiaty. Lubił takie gesty, a ubiegły wieczór był... Cóż, nie była pewna jaki.

Zaniepokoiła się jeszcze bardziej, gdy się okazało, że płaszcz i czapka Charliego zniknęły, a walizka jest starannie zapakowana, więc szybko wzięła prysznic i zaczęła się ubierać, zerkając cały czas na zegarek. Następnie się umalowała i wysuszyła włosy. Po Charliem wciąż nie było śladu i czuła, że ją mdli, a złe przeczucia się nawarstwiają.

Krażyła po pokoju, poskładała ubrania i rozwiesiła sukienkę, którą wczoraj miała na sobie. Pościeliła łóżko, rozsunęła zasłony i przystanęła na chwilę, żeby chłonąć widok. Panorama Pragi zawsze zatrzymywała ją w pół kroku i pozwoliła sobie na kilka chwil zachwyty.

Jak długo jeszcze ma czekać? Jadalnię zamykają za pół godziny. Zresztą, może Charlie cały czas tam siedzi, pije dziesiątą filiżankę herbaty i zastanawia się, co do diabła zajmuje jej tyle czasu. Nie wydawało się to bardzo prawdopodobne, ale innych możliwości nie miała. Podjęła decyzję, więc usiadła na łóżku i zaczęła wkładać buty. Wtedy usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Halo?

Zapadła cisza, a potem rozległ się głos Charliego:

– Wejź – zachęcał. – Bardzo się ucieszy.

Hope darowała sobie drugi but i szybko podeszła do drzwi, a gdy je otworzyła, prawie się przewróciła z wrażenia.

W progu stała zmęczona, wystraszona i wyglądająca, jakby zaraz miała się rozpłakać, Annette.

Jeszcze kawy?

Megan wzięła do ręki pustą filiżankę Ollego i uniosła pytająco brwi.

– Jasne.

Odsunęła krzesło i poszła do ekspresu, a potem wpuściła przed siebie dwie kobiety. Atmosfera przy ich śniadaniowym stoliku stawała się nieznośna i nie miała najmniejszej ochoty wracać.

– Proszę. – Z przesadnym entuzjazmem postawiła filiżankę na jego spodeczku. Ollie się nie uśmiechnął.

Gdy w końcu wróciła do hotelu po swojej porannej przebieżce, zastała go jak najbardziej przebudzonego i ubranego. Uprzątnął pozostałości ubiegłej nocy i przewietrzył pokój, więc nie pachniało już tym zdradzieckim piżmem, które tak ją przeraziło, gdy się obudziła. Wyszedł nawet z hotelu i kupił kwiaty. Ona przez całą drogę powrotną układała w głowie przemowę, w której przekaze, że ubiegła noc była jednorazowym zdarzeniem i potknięciem, które się już nie powtórzy, ale nie musiała wypowiadać ani słowa. Na widok bukietu zamarła w kiepsko maskowanym przerażeniu, a Ollie tylko pokręcił głową.

– Nie szkodzi – zapewnił. Odłożył kwiaty na stół i wrócił do pakowania. – Nie musisz nic mówić. Rozumiem.

Ulżyło jej, oczywiście, ale rozczarowanie, które malowało się na jego twarzy, prawie ścięło ją z nóg. Nie wyobrażała sobie, żeby ktoś mógł nienawidzić siebie bardziej niż ona w tej chwili. Przypomniała sobie jego minę z ubiegłej nocy, gdy w barze całował ją z takim bezbrzeżnym smutkiem. Czyżby od początku wiedział, że zmieni zdanie? Nie mogła znieść myśli, że jest tak przewidywalna. Ale jaka była druga możliwość? Cieszył się nawet z jednorazowego numerku i wołał to niż nic? Ta wizja wydawała się jeszcze gorsza.

– Zajrzałem do Sophie – zmienił temat.

Megan próbowała coś z siebie wydusić.

– I co?

Zmarszczył czoło.

– Nie ma jej w pokoju. A jeśli jest, to się nie odezwała. Na dole też jej nie było.

Megan wyjęła z kieszeni komórkę.

– Robi się późno – stwierdziła. – Może już wyszła na miasto.

– Może. – Nie wyglądał na przekonanego.

Czekał w sypialni, gdy brała prysznic i ubierała się w łazience, doświadczając nowej fali poczucia winy na widok drobnych siniaków na szyi i piersiach, gdzie Ollie skubał ją i ssał. W ciągu zaledwie kilku godzin bliskość,

która ich połączyła, wyparowała i zostali uwięzieni w znacznie bardziej niezręcznej sytuacji niż kiedykolwiek dotąd. Ją dręczyło poczucie winy, jego niewypowiedziany żal. Kiepska mieszanka.

Wysączyła kawę i grzebała wśród resztek śniadania. Na stole między nimi leżał otwarty przewodnik, więc podniosła go i przewracała kartki, aż dotarła do rozdziału poświęconego Novemu Mestu.

– Pójdziemy zobaczyć Tańczący Dom? – spytała i wskazała na zdjęcie budynku.

Okulary zsunęły się Ollemu z nosa, gdy przechylał głowę, żeby zerknąć na stronicę.

– Jasne. Gdzie tylko chcesz.

Tego się obawiała: był na nią wściekły. Ale czy mogła go winić? To, na co pozwoliła, było egoistyczne, głupie, nieprzemyślane...

– Megan?

Podniosła z nadzieją wzrok.

– Tak?

Przyglądał jej się przez kilka sekund.

– Masz jajko na brodzie.

Roześmiała się z ogromną ulgą i sięgnęła po serwetkę.

– Dziękuję, że powiedziałeś. – Zanurzyła skrawek materiału w szklance z wodą i przetarła skórę. – Nie musiałeś.

– Wiem. – Zaciśnął usta. – Nie musiałem. I kusilo mnie, żeby nie mówić.

– Nie miałabym żalu. – Westchnęła, bo wiedziała, że wypływa na niebezpieczne wody i zbliża się do rozmowy na temat, którego nie chciała poruszać. – Zasłużyłabym.

Nic nie odpowiedział, tylko podniósł filiżankę i wpatrywał się w Megan tak długo, że odwróciła wzrok.

Czemu? Przeklęła się w myślach. Dlaczego do tego dopuściła? Chociaż, oczywiście, dobrze wiedziała dlaczego: bo chciała. Z każdą mijającą w Pradze godziną apetyt narastał. A potem uciekła i wszystko zepsuła. Zostały zgliszcza.

Siedzieli w jadalni, aż personel zaczął sprzątać ze stolików wokół. Megan liczyła, że spotka Charliego i Hope, których chciała przeprosić za wczorajszy wieczór. Podejrzewała, że Ollie czeka na Sophie, ale nikt się nie pojawił.

Słońce zajęło już najwyższy punkt na niebie, więc automatycznie podnieśli ręce, żeby zasłonić oczy.

– O rany! – Ollie naciągnął czapkę. – Widzisz to? Zrobisz dzisiaj niesamowite zdjęcia.

Nie miał pojęcia, jak bardzo zaboląły te słowa. Gdyby nie miała takiej obsesji na punkcie swojej pracy i nie podjęła się organizacji tej głupiej wystawy, może nie byłaby tak psychicznie przeczołgana. Wiedziała, że to, co się wydarzyło z

Andre, wyczuł ją, ale miała też świadomość, że Ollie był znacznie lepszym człowiekiem. Wierzyła przecież, że jej nie zdradzi ani nie skrzywdzi, więc jaki do cholery miała problem?

– Zrobię, co w mojej mocy – mruknęła i zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych.

Szli przez chwilę w milczeniu i patrzyli na różnokolorowe dachy i ciemne kościelne wieże odznaczające się na tle błękitu. Słońce wywabiło turystów, ale temperatura nie pozwalała im przebywać zbyt długo w jednym miejscu. Megan zrobiła kilka zdjęć dla ściemy: maleńkiego pieska ostrożnie krocącego po zamrzniętym bruku i starszej pary idącej za ręce po ukrytym za bocznymi ulicami placu. Mieli czerwone nosy i na wyścigi wskazywali sobie różne ciekawe rzeczy. Ona jednak nie potrafiła włożyć w to serca, brakowało jej natchnienia. Ollie siedł obok w milczeniu, zamyślony i spokojny. Swawolny nastrój, w którym był przez kilka ostatnich dni, najwyraźniej spakował dziś rano do walizki razem z brudnymi skarpetkami i spodniami.

Dotarli nad brzeg Wełtawy. Słońce przesączało się przez szpary w murze biegnącym równoległe do rzeki i rzucało niezwykle cienie. Megan uniosła aparat i sfotografowała mewy przycupnięte na drewnianych elementach zapory oraz kaczki unoszące się wesoło na powierzchni wody. Z prawej strony widziała zachwycające przęsła mostu Karola, a posągi jawiły się w jasnym świetle tylko jako sylwetki. Ponad mostem tulila się do wzgórza Mała Strana ciągnąca się aż do Hradczanów i Zamku. Między czerwonymi dachami rozpychały się czarne i zielone iglice. Feerię barw przelamywał od czasu do czasu żółty budynek albo roztańczona wstążka dymu z komina. Wszystko skąpane było w dziwnym, ostrym świetle, a na samym szczycie wzgórza pyszniła się katedra, mroczna, imponująca i na kilometr rozciągająca zapach historii. Minęło kilka minut, zanim Megan zorientowała się, że przygląda się tej scenie przez wizjer, a po policzku płynie jej łza zachwytu.

– Cześć!

Odwróciła się na dźwięk głosu Ollego, ale nie mówił do niej. Tuż przed nimi wylądował na murze gołąb, przesuwając się to w jedną stronę, to w drugą na swoich chudych, różowych nóżkach i patrzył na nich paciorkowatymi oczkami. Ollie bardzo powoli wyciągnął rękę. Gołąb się nie poruszył, tylko przekrzywił odrobinę gładki łebek i przyglądał się ciekawsko. Po chwili, gdy dłoń Ollego znalazła się tuż tuż, rozwinął skrzydła i sfrunął mu na ramię.

– O Boże! – pisnęła Megan i aparat aż wyslizgnął jej się z ręki, tak się śpieszyła, żeby nie przegapić tej chwili.

Czekała, aż Ollie powie coś zaczepnego, na przykład, że ptaki na niego lecą, ale milczał. Wydawał się oczarowany swoim nowym pierzastym przyjacielem, a Megan mogła pstrykać w nieskończoność. W korytarzu, w domu jej rodziców wisiało bardzo podobne zdjęcie jej samej z dzieciństwa. Stała z rozłożonymi

rękami pośrodku Trafalgar Square w Londynie, a na całych ramionach siedziały gołębie. Jeden usiadł na głowie. Pamiętała, jak bardzo była wstrząśnięta, gdy usłyszała, że mają się ich pozbyć. Co komu szkodziły ptaki? No cóż, teraz przynajmniej wiedziała, gdzie przywieźć dzieci na spotkanie z gołębiami. Jeśli oczywiście będzie kiedyś miała jakieś dzieci...

– Co za ptasi magnetyzm! – zażartowała, gdy stało się jasne, że Ollie tego nie zrobi.

– Na to wygląda.

Nie zamierzał się odgryzać. Megan wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu. Musieli przeżyć jeszcze tylko dzisiejszy dzień. Za kilka godzin będą wracać do domu i zostawią tę podróż za sobą.

Gołąb po raz ostatni spojrzął na Ollego, a potem chybotliwie przeszedł po jego ramieniu z powrotem na mur i dołączył do kumpli nad wodą. Megan śledziła jego ruch przez obiektyw i z zachwytem obserwowała, jak wiatr mierzwi mu pióra. W locie nawet gołąb wyglądał królewsko.

– Zostawił mi coś na pamiątkę – mruknął Ollie, łypiąc na białą plamę na rękawie.

Megan wybuchnęła śmiechem i puściła aparat, który zakołysał się na pasku, a sama zaczęła przegrzebywać torbę w poszukiwaniu chusteczki do nosa.

– Pamiętaj, że to na szczęście! – poinformowała, a potem wspięła się na palce i zaczęła ostrożnie ścierać ptasią kupę.

– Tak mówią tylko ci, na których ptak nie narobił – odparł Ollie. Nie śmiał się wprawdzie, ale Megan widziała w kącikach ust czającą się wesołość.

– Oj, przestań! – Trąciła go tak mocno, na ile się ośmieliła. – Przyznaj, że to śmieszne!

– Przyzwyczajam się, że wszyscy na mnie srają – burknął, ale zaraz zerknął na nią przeproszająco. – Wybacz.

Megan skończyła i wrzuciła brudne chusteczki do pobliskiego kosza na śmieci, a potem wzięła głęboki wdech.

– Nie szkodzi – zapewniła i uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby. – Należało mi się.

Ollie już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale je zamknął. Oboje świetnie wiedzieli, że mówiła prawdę: zasługiwała na jego niechęć. Odrzuciła go raz, a teraz zrobiła to ponownie. Nic dziwnego, że z trudem na nią w ogóle patrzył.

– Chodź – powiedział za to i ruszył przed siebie. – Poszukajmy tego dziwnego tańczącego domu, którego jesteś ciekawa.

Mamo?

Hope stała w progu jak wmurowana i wpatrywała się w córkę. Możliwe, że ona tu jest? A może nadal śniła?

– Jak? – wykrztusiła i przytrzymała się drewnianej framugi.

Annette tłumila łzy, a zanim zaczęła mówić, głęboko zaczerpnęła powietrza.

– To Charlie – wyjaśniła. – Wydzwaniał do mnie przez wiele dni. Gdy w końcu odebrałam, powiedział, jaka jesteś przybita. – Musiała przerwać, bo obawiała się, że zacznie szlochać, a Hope odważyła się spojrzeć na Charliego. On też wyglądał, jakby połykał łzy.

– Mówił, że płaczesz, ciągle o mnie opowiadasz i... – Nie mogła dłużej powstrzymać płaczu, a jej twarz wykrzywił ból. Wyglądała, jakby znów była małą dziewczynką, całą czerwoną, z buzią w plamach, całkiem bezradną. Hope w końcu odzyskała władzę nad kończynami i złapała córkę w ramiona. Głaskała ją po włosach i szeptała kojąco do ucha. Wkrótce płakały już obie, przywierając do siebie z mieszanką miłości i ulgi.

Hope słyszała, jak Charlie pokasłuje pod nosem. Podniosła wzrok i zobaczyła, że policzki ma mokre od łez, ale uśmiechał się dzielnie.

– Zejdę na dół po kawę – poinformował. – Pogadajcie sobie.

– Dziękuję – powiedziała bezgłośnie, wciąż przyciskając Annette tak mocno, jak mogła. Charlie tylko skinął głową, potem się odwrócił i ruszył w kierunku schodów.

Poprowadziła córkę do sypialni, w myślach zmawiając dziękczynną modlitwę, że sprzątnęła i pościeliła łóżko. Annette jednak nie zwracała uwagi na piękny wystrój i zachwycające ozdoby, wpatrywała się tylko w Hope.

– Tęskniłam za tobą, mamo – przyznała, gdy ją w końcu puściła i pozwoliła się zaprowadzić na fotel.

– Skarbie, ja też bardzo tęskniłam. – Hope dotknęła jej dłoni. – Codziennie czułam, że pęka mi serce.

– Byłam wściekła – wyznała Annette. – Nie rozumiałam, jak mogłaś to zrobić tacie.

– Bardzo mi przykro, że się dowiedziałas w ten sposób. – Hope zawstydziała się, gdy przypomniała sobie twarz Annette wpatrującą się w nią i Charliego przez okno samochodu. – Nigdy, przenigdy nie chciałam, żeby tak się stało.

Ku jej zaskoczeniu Annette zaczęła chichotać.

– Co cię tak bawi?

– To, że migdałiłaś się z facetem w samochodzie. Moja mama! Jak teraz o tym myślę, jestem nawet pod wrażeniem, serio.

– Przestań! – Hope udawała, że daje jej klapsa w dłoń. – Bo się zarumienieć!

– Charlie jest bardzo miły – stwierdziła Annette, po raz kolejny ją zaskakując. – Myślałam, że go nienawidzę, ale okazało się, że to nieprawda. Nie mogłam tylko znieść tej sytuacji.

– To dobry człowiek – przyznała Hope. Annette była blada i miała ściągniętą twarz. Musiała bardzo wcześnie wylecieć z Manchesteru, żeby dotrzeć tu o tej porze. Hope miała ochotę wstać, zrobić herbatę i wmusić trochę biszkoptów, żeby na policzki córki wróciło trochę kolorów, ale powstrzymała się. Rozmawiały po raz pierwszy od tygodni i nie chciała zepsuć spokoju, który między nimi zapanował.

– Jak do mnie zadzwonił – kontynuowała Annette, patrząc na dłoń Hope spoczywającą na jej ręce – powiedział... Właściwie błagał. Mówił, że zrobi wszystko, żebyśmy się pogodziły. Zapłacił za mój przelot, za samochód z lotniska i w ogóle za wszystko. Nie przyjmował odmowy. A Patrick bardzo się cieszył, że przestanę się snuć po domu i jęczeć. – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. – Chyba ulżyło mu tak samo jak mnie, że ktoś wziął się za ten impas.

Hope myślała o telefonach Charliego i o tym, że ukrywał przed nią prawdę, pewnie by nie robić jej nadziei. A ona była tak podła i w niego zwątpiła. Przez cały czas walczył, żeby zrobić dla niej coś ważnego i wielkiego, a ona podejrzewała najgorsze. W efekcie powstała między nimi przepaść, z którą nie wiedziała, jak się uporać.

– Wciąż nie wierzę, że mu się udało! – wykrzyknęła. – Naprawdę myślałam, że nie odezwiesz się do mnie do końca życia.

– Też tak myślałam – przyznała Annette, a Hope aż się wzdrygnęła. – Ale potem poszłam odwiedzić tatę i on powiedział, że jestem niesprawiedliwa.

– Naprawdę? – Hope była tak zaskoczona, że aż wybałuszyła oczy.

– Mówił, że wasze... Że już od dawna nie byliście prawdziwą parą. Chyba nawet nie był zaskoczony, kiedy wpadłam do domu i wydzieriałam się o tobie i Charliem. Myślę nawet, że chyba mu ulżyło.

Hope poczuła, jak z barków znika jej wielki ciężar.

– Tak?

– Gdybyś go widziała, mamó. Od paru tygodni zachowuje się jak nowy człowiek. Zaczął biegać!

– Nie! – Hope szczerze się roześmiała.

– Sama mu to doradziłam. Mama znalazła kogoś, z kim jest szczęśliwa, więc on powinien zrobić to samo. I chyba wziął to sobie do serca, bo jak wpadłam następnym razem, zastałam go w kuchni z jedną z twoich książek Jamiego Oliviera, jak pichcił coś porządnego.

– Nie wierzę! – Hope aż klasnęła w dłonie.

– Oczywiście kuchnia wyglądała jak po wybuchu bomby – dodała Annette – ale przynajmniej próbował. Bardzo byłam z niego dumna.

– Ja też jestem. – Hope uśmiechnęła się. – Nigdy nie chciałam go skrzywdzić, ale to, co ci powiedział, to prawda. Od lat nie byliśmy prawdziwym małżeństwem. Tylko żadne z nas nie miało dość odwagi, żeby coś z tym zrobić, więc pozwoliliśmy, żeby tak trwało. Dopiero gdy poznałam Charliego, uświadomiłam sobie, że nadal jestem kobietą, nie tylko żoną. A co więcej, dał mi pretekst do ucieczki. – Zamilkła, bo nie chciała za bardzo obciążać Dave’a ani ich małżeństwa, ale Annette wpatrywała się w nią z napięciem.

– Mów dalej.

Hope zaczerpnęła tchu.

– Chodzi o to, skarbie, że myślę o tym, odkąd tu przyjechaliśmy. Bardzo długo byłam tylko żoną Dave’a i twoją mamą. I chociaż nie ma na świecie nic piękniejszego, niż bycie twoją matką, gdzieś po drodze zatraciłam siebie. Rozumiesz?

Annette pokiwała głową, a w oczach zalśniły jej łzy.

– Przez większość czasu czułam się niewidzialna – przyznała Hope. – Ty i tata mieliście pracę i życie poza domem, a ja nie. A przynajmniej nie naprawdę. Nie tak, jak bym chciała. Zrozumiałam teraz, że chcę mieć coś swojego. Kochanie, tylko nie płacz!

– Żałuję, że nie powiedziałaś mi wcześniej. – Annette siąknęła nosem i otarła łzy wierzchem dłoni. – Gdybym wiedziała, że jesteś nieszczęśliwa, mogłabym coś poradzić.

– Nigdy nie unieszczęśliwiało mnie bycie twoją matką – zapewniła szybko Hope. – Nie waż się tak myśleć. Obiecujesz?

Annette pokiwała głową i odetchnęła głęboko, żeby zapanować nad szlochaniem.

– Bycie twoją mamą to najlepsze, co mogło mnie spotkać i się przydarzyć. Dopiero gdy zamieszkałaś z Patrickiem, zaczęłam czuć, że to nie moje miejsce. Charlie pojawił się chyba w samą porę. Zobaczył we mnie kobietę i człowieka. Dla niego byłam Hope. Czy to ma w ogóle sens, co mówię?

– Mnóstwo sensu – siąknęła znów Annette. – Zachowałam się jak gówniarz. Teraz mi wstyd!

Hope pokręciła głową.

– Przestań. Zachowałabym się dokładnie tak samo. A w ogóle, teraz jesteś tutaj i to najważniejsze. Bardzo się cieszę także dlatego, że na pewno pokochasz Pragę.

Annette wstała z fotela i podeszła do okna. Spojrzała na skrzące się błękitem niebo.

– Strasznie zimno – zauważyła. – A ja nie wzięłam szalika.

– Kupimy jakiś – oznajmiła Hope i od razu pomyślała o pewnym stoisku na rynku.

Annette zaczerpnęła tchu.

– Przepraszam cię, mamó – wybąkała. – Przepraszam za wszystko.

– Dość już tego! – zbesztła ją Hope, ale sama musiała przełknąć łzy. – Pewnie umierasz z głodu. Zejdźmy na dół, zobaczmy, czy da się gdzieś zjeść późne śniadanie.

– Weźmiemy z sobą Charliego? – dopytywała Annette z nieoczekiwaną stanowczością. – Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu. Chciałabym mu porządnie podziękować.

– Oczywiście. – Hope wzięła ją za rękę.

Zamknęły za sobą drzwi i trzymając się za ręce, zaczęły schodzić po wyłożonych dywanikami schodach, a Hope myślała o życzeniu, które wypowiedziała na moście Karola. Tamtego dnia odzyskanie córki za rok i jeden dzień wydawało się cudownie kuszącą perspektywą, ale teraz, kiedy miała ją przy sobie, nie zniosłaby tak długiego oczekiwania. Wyszło na to, że nie potrzebowała tajemniczej praskiej magii, żeby jej życzenie się spełniło. Wystarczyło, że miała Charliego.

Pamiętasz reklamy z Mister Softem?

Megan zmarszczyła czoło.

– Miętówki Softmints?

Ollie zerknął na nią, a potem na wznoszący się przed nimi budynek.

– Tak. Miały pioseneczki i w ogóle. Były trochę obleśne, ale uwielbiałem je.

– Pamiętam.

– No więc ten budynek mógłby wystąpić w reklamie. Wygląda, jakby go ktoś ścisnął w połowie.

W sumie racja, pomyślała Megan. Tańczący Dom wyglądał jak nieudane naczynie zdjęte z garncarskiego koła, miał nieregularne krawędzie i dziwaczne załamania, ale i tak jej się podobał. Miał tyle okien porozmieszczanych w nietypowych miejscach, że przypominał domek z kreskówki albo z baśni.

– „Znany jest jako budynek Freda i Ginger” – odczytał Ollie z przewodnika.

– A na samej górze jest jakaś wypaśna restauracja.

Megan nie odpowiedziała, bo kucała u jego stóp w poszukiwaniu dobrego kąta ujęcia. Tańczący Dom stał na rogu bardzo ruchliwego skrzyżowania, a samochody i tramwaje przemykały, nadjeżdżając ze wszystkich stron.

– Przejdę na drugą stronę – poinformowała Ollego i wcisnęła duży czerwony przycisk przy przejściu, a potem zaczęła czekać na tykanie oznaczające przejście. – Stąd nic nie zrobię.

Ollie ruszył za nią, ale potem zmienił zdanie.

– Ja się przespaceruję w tamtą stronę. – Wskazał na ulicę odbiegającą w prawo. – Może znajdę jakieś miejsce z herbatą.

Patrzyła, jak się oddala z rękami głęboko w kieszeniach i ze spuszczoną głową. Musiała się bardzo powstrzymywać, żeby za nim nie pobiec. Czy jej matka miała rację? Popelniała błąd, odrzucając go? Wczoraj w nocy było cudownie, ale nie tylko: było też po prostu dobrze, jak powinno. Wszelkie wątpliwości zniknęły pod wpływem siły ich więzi. Jednak teraz, gdy alkohol wyparował, a rzeczywistość wszczęła alarm, to samo co zawsze przerażające uczucie znów zaczęło drążyć jej wnętrzości, a ona nie mogła go lekceważyć. Jeśli naprawdę kochała Ollego, dlaczego nie robiła wszystkiego, co w jej mocy, żeby z nim być, tylko uciekała?

W końcu zrobiła mnóstwo zdjęć ze wszystkich możliwych stron, a z każdym wciśnięciem migawki była pod coraz większym wrażeniem ambicji architekta, który zbudował Tańczący Dom. Przeszła z powrotem przez ulicę i ruszyła na poszukiwania Ollego.

Nie licząc kociej kawiarni, wydawało się, że przy tej ulicy stoją tylko domy mieszkalne. Przecież Ollie nie poszedłby do kociej kawiarni, prawda? Wzruszyła

ramionami i poszła szerokim chodnikiem wyłożonym płaskimi szarymi płytami, aż natrafiła na czarno-biały szyld z kotem i parującą filiżanką. Zajrzała przez szybę i aż zamruczała z zachwytu.

Ollie siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, pod tyłkiem miał dużą czerwoną poduszkę, a na nim kłębiły się co najmniej cztery koty. Drobną Czeszką siedziała nieopodal na krześle i patrzyła na Ollego, który powiedział coś, co ją rozbawiło. Megan powoli podniosła aparat.

Jeden z kotów leżał między chudymi nogami Ollego, a drugi, wyraźnie młodszy, wspinał się po jego ręce, żeby sięgnąć do szylkretowej przyjaciółki, która umościła się na ramieniu i spokojnie myła sobie tyłek. Ollie czekał, aż kociak wespnie się na czubek jego głowy, a potem napił się kawy, podczas gdy dziewczyna klaskała i pokazywała kota palcem.

Megan oddzielały od tej sceny dwie warstwy szkła, po pierwsze szyba, a po drugie obiektyw, ale odczuła dotkliwe ukłucie zazdrości. Ona już nigdy nie będzie dziewczyną, z którą Ollie flirtuje i się śmieje. Za dużo się wydarzyło, żeby znów mogła się nią stać. Po jego stronie nagromadziło się za dużo żalu i nieufności; zbyt wiele wspomnień, jak dobrze było, zanim wszystko popsuła. Z jej strony sytuacja jeszcze bardziej się komplikowała, bo miała poczucie winy. Nie tylko zraniła uczucia Ollego, ale się nad sobą uzalała. Wszystko zepsuła.

Ollie nagle podniósł wzrok i zobaczył ją za szybą. Zawahał się przez moment, a potem się uśmiechnął, wskazał na koty i podniósł, choć dość niemrawo, dwa kciuki. W środku panował niemal przytłaczający smród kociego żwirku i nawet aromat świeżo zaparzonej kawy nie miał z nim szans.

– Jesteś dzisiaj najprawdziwszym doktorem Dolittle – pochwaliła go, a potem pokręciła głową do dziewczyny, zapewniając, że niczego nie zamawia.

– Masz jakieś fajne ujęcia domu Mister Softa? – spytał.

Skinęła głową i rozglądała się, byle tylko na niego nie spojrzeć. Na krzesłach i szerokiej półce nad oknem siedziało więcej kotów. Niektóre spokojnie spały, ale inne patrzyły na nią z tym typowym dla kotów potępieniem; ogony drżały im nerwowo, bo nie pasowało im przybycie nowego dziwnego człowieka.

Ollie musiał wyczuć, że chce jak najszybciej wyjść, bo jednym haustem dopił kawę.

– Idziemy? – Wskazał na drzwi.

Megan spadł kamień z serca. Mieszanka kociego żwirku i ciekawskich spojrzeń dziewczyny, która leciała na Ollego, sprawiła, że czuła się w tym miejscu strasznie. Gdy tylko wyszli na zewnątrz, łąpczywie wciągnęła do płuc lodowate, czyste powietrze.

– Jak mogłeś wytrzymać w tym smrodzie? – spytała, gdy oddalili się na bezpieczną odległość.

– Smrodzie? – Nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Kocięgo żwirku. Myślałam, że zwymiotuję.

Wzruszył ramionami.

– Moi rodzice mieli mnóstwo kotów. Pewnie przestałem czuć ten zapach. Poza tym zawsze mamy zwierzaki w klasie. Zmieniają się, żeby dzieciaki uczyły się odpowiedzialności. Chwilowo opiekuję się trzema świnkami morskimi i koszatniczką.

– Przepraszam czym? – spytała Megan, gdy akurat przechodzili przez jezdnię. Kierowali się w stronę głównej ulicy biegnącej brzegiem Wełtawy. Słońce radośnie tańczyło po powierzchni wody.

Ollie zmarszczył czoło i zastanawiał się, jak to wyjaśnić.

– Coś jak duży myszokoczek – stwierdził w końcu. – Brzmi głupawo, ale to charakterne stworzonko. I uwielbia dzieci.

– Nie mam pojęcia, jak możesz robić to, co robisz – wyznała szczerze.

Wzruszył ramionami.

– I wzajemnie.

– Nie masz takich dni, że dzieci cię po prostu wkurzają? – dociekała, idąc w stronę szerokiego mostu, który miał ich przeprowadzić na drugą stronę rzeki.

Pokręcił głową.

– Raczej nie. Z małymi dziećmi jest tak, że nawet jak są niegrzeczne, to nie ze złej woli. Nie bywają złośliwe. Zwykle wszystko bierze się z chęci zwrócenia na siebie uwagi. A jeśli trwa dłużej, to objaw większego problemu. Kilka lat temu miałem w klasie chłopca, który zmienił się z wzorowego ucznia w potwora, roznosił szkołę na strzępy. Gdy w końcu usiadłem z nim sam na sam, żeby pogadać, okazało się, że jego mama ma raka.

– Boże! – Megan zakryła usta dłonią. – To straszne!

– Wychowywali się bez ojca, więc mały Ryan i jego starszy brat, który miał dopiero trzynaście lat, wzięli na siebie większość prac domowych, robili też zakupy. Pomagała siostra mamy, ale ogólnie ciężko im szło i biedny Ryan po prostu nie ogarniał.

– I co dalej? – spytała Megan. Przeszli już przez rzekę i skręcili w prawo, żeby wrócić do centrum. Zaczynała się przyzwyczajać do stukotu tramwajów i chrupania zamrażanej śniegowej chlapy pod stopami. Stało się to dziwnie kojące, a wręcz odprężające i zatrzymała się na chwilę, żeby się nasycić widokiem. Z prawej strony mieli pobłyskującą, płaską wstęgę Wełtawy, a drzewa niedaleko skrzypiały i zgrzytały pod wpływem wiatru. Przypomniała sobie złoty krzyż na moście Karola i obietnicę spełnionego marzenia. W taki dzień, jak dziś, łatwo było wierzyć w czary.

Ollie wszedł w typowy dla siebie tryb skromności, gdy wyjaśniał, że w imieniu matki Ryana skontaktował się z miejscowym ośrodkiem pomocy społecznej. Jedną z cech, za które lubiła go najbardziej, była właśnie skromność,

ale bywało, że irytowała równie mocno. Ollego nie dało się poklepać z uznaniem po ramieniu, nawet kiedy naprawdę zasługiwał, a na komplementy reagował mniej więcej tak jak kot na tabletkę odrobaczającą: z obrzydzeniem.

– Powinieneś być z siebie dumny – zapewniła, a potem jęknęła w duszy, gdy zgodnie z jej przewidywaniami pokręcił głową.

– To moja praca. – Spojrzał na nią. – Mama Ryana zmarła chyba rok temu. On nie chodzi już do mojej klasy, ale mam go na oku. Chcę mieć pewność, że sobie radzi.

Megan zamilkła, próbowała sobie wyobrazić, co przeżył biedny mały Ryan, kiedy stracił mamę, a nie miał obok taty. Ona była ze swoimi rodzicami związana tak blisko, że taka sytuacja wydawała się absurdalna, wręcz niemożliwa do objęcia rozumem.

– Wszystko u niego w porządku? – spytała i zauważyła, że oczy Ollego zwilgotniały.

Zamyślił się na chwilę i zapatrzył na rzekę, aż pobłyskujące promienie zdołały go uspokoić.

– Dzieciaki są twarde. – Odwrócił się do niej. – Ja jestem nauczycielem, a on dał mi bardzo ważną lekcję.

Megan wydała odgłos wyrażający ciekawość, ale jednocześnie zaniepokoiła się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Trochę się podłamałem... Po rozstaniu z ostatnią dziewczyną. Nie mówiłem ci chyba.

Pokręciła głową, a w głębi duszy pomyślała, że kimkolwiek ta laska jest, ona już jej nienawidzi.

– Wydawało mi się, że jest dobrze, ale ona miała inną wizję – oznajmił, pilnując, żeby mówić obojętnym tonem. Nawet teraz, pomyślała Megan, robi wszystko, żeby mnie nie urazić. – Nie będę cię zanudzał szczegółami – ciągnął. – To nic takiego, co przeżyłaś z tym debilem Andre, ale miałem problemy ze snem i obwiniałem się, myślałem, co mogłem zrobić inaczej.

W oczach Megan, ukrytych za ciemnymi szklami okularów, zebrały się łzy.

– Generalnie użalałem się nad sobą. – Uśmiechnął się wstydliwie. – Ale następnego dnia poszedłem do szkoły i zobaczyłem tego chłopca, który stracił wszystko, a jednak codziennie przychodził na lekcje, zgłaszał się do odpowiedzi, a na przerwach grał z kolegami w nogę. Raz mi powiedział, że mama kazała mu obiecać, że kiedy odejdzie, on się będzie uśmiechał. Obiecał, że będzie dzielny i ona będzie z niego dumna. I tak robił. Starał się ze wszystkich sił.

Megan zaszlochała cicho, Ollie natychmiast przestał mówić. Przez moment myślała, że ją przytuli, ale tego nie zrobił.

– Przepraszam. – Spuścił wzrok na skuty lodem chodnik. – Nie chciałem cię zasmucić, tylko... Wyjaśnić, że pod wpływem Ryana poczułem się jak kompletny

idiota. Nie miałem prawa do choćby ułamka tej rozpacz, którą on odczuwał, a jednak się mazałem. Pokazał mi, że muszę się wziąć w garść.

– Ja też przepraszam – wymamrotała pod nosem.

Nie spytał za co. Nie musiał.

Stali tak przez chwilę obok siebie, patrząc na płynący pod nimi statek wycieczkowy. Z czerwono-złotą markizą wyglądał, jakby po ciemnoszarej rzece płynęło płonące polano. Megan podniosła aparat, dziękując w myślach za pretekst i poczuła, że Ollie się oddala. Bez odwracania się wiedziała, że zaczeka. Była tego pewna. Zawsze czekał.

Hope i Annette zastały Charliego w barze nad filiżanką czarnej kawy. Płaszcz, szalik i czapkę położył na krześle naprzeciwko. Gdy weszły, uśmiechnął się.

– Wszystko dobrze?

Zamiast odpowiadać, Hope podniosła rękę splecioną z dłonią Annette.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała. – Uczyniłeś mnie najszcześniejszą kobietą na świecie.

Znów się uśmiechnął.

– I o to chodziło.

Zapanowała cisza i po chwili Hope poczuła, że Annette się wierci.

– Zostawiłam w pokoju telefon. Dasz mi klucz?

Twarz Charliego przybrała dziwny wyraz i Hope zrozumiała, że jej córka niczego nie zapomniała, po prostu wyczuła, że ona i Charlie potrzebują chwili dla siebie

– W porządku? – Usiadła naprzeciwko, gdy tylko Annette wyszła.

– Nawet lepiej! – zapewnił. – Widok twojej miny, gdy otworzyłaś drzwi... To było niesamowite. Warto się było tajniaczyć.

– Przepraszam, że ci nie zaufałam. – Poklepała go nieśmiało po ręce. – Nie dałeś żadnych powodów, żebym mogła cię o coś podejrzewać, a jednak podejrzewałam. Jestem okropna.

– Trochę – przyznał Charlie. – Ale nie dziwię ci się.

Kamień spadł jej z serca.

– Gdzie dzisiaj zabierzemy Annette? – spytała. – Muszę jej pokazać most. I może Zamek. – Paplała tak jeszcze przez chwilę, zanim dotarło do niej, że Charlie kręci głową. – Co się stało?

– Nie pójdę z wami.

– Jako to nie? Musisz!

Charlie znów zaprzeczył i zaczął się bawić frędzlami szalika.

– Chyba nie, skarbie.

– Chciałabym, żebyście spędzili z Annette trochę czasu razem i poznali się. Mówiła, że bardzo cię polubiła.

Charlie ją powstrzymał.

– O czym chciałaś ze mną rozmawiać wczoraj, gdy wyszłaś z masażu? – spytał i nie odrywał od niej wzroku, gdy zaczęła się wiercić.

– To nic ważnego. – Uśmiechnęła się na siłę. – Może poczekać.

Zmarszczył czoło.

– Nie wydaje mi się.

Zerknęła w stronę drzwi. Już tęskniła za widokiem córki, jej zapachem i dotykiem.

– Musimy o tym rozmawiać teraz? – spytała błagalnie. Nie chciała, żeby jej chwila szczęścia tak szybko dobiegła końca.

– Zabukowałem lot – poinformował i postukał palcami w stół, nie patrząc jej w oczy. – Za pół godziny wychodzę.

– Ale dlaczego?

– Rozmawiałem z Annette, zanim ją tu przywiozłem. Zapewniła, że jej i Patrickowi będzie bardzo miło gościć cię u siebie przez jakiś czas.

Hope aż prychnęła.

– Wyrzucasz mnie?!

W jego oczach dostrzegła najczystszy smutek.

– Nie, Hope. Zwracam ci wolność.

– Ale ja nie chcę się wyprowadzać!

Jednak już kiedy wypowiadała te słowa, wiedziała, że to nie do końca prawda. On wiedział o tym równie dobrze.

Nie klócił się, tylko popatrzył i położył swoją dużą dłoń na jej policzku.

– Nie szkodzi – zapewnił kojąco. – Wiem, że żadne z nas tego nie planowało. Tak się cieszyłem, że mam cię całą dla siebie, że nawet się nie zastanowiłem, jak ty się czułaś, zostawiając dom i całe życie. Byłem egoistą, ale tylko dlatego że...

Zamilkł.

– Bo mnie kochasz?

– Tak. Kocham cię. I nie mogę uwierzyć, że to robię, ale muszę, bo wiem, że ty mnie nie kochasz.

– Kocham! – Hope szybko go poprawiła. – Po prostu... To skomplikowane.

Pokręcił głową.

– Nie musisz tłumaczyć.

– Muszę. Nie chcę cię stracić.

– Wyszłabyś za mnie?

Nie spodziewała się tego i aż ją zatkało.

– Czy wiesz – mówił dalej i patrzył, jak jej policzki różowieją – że pierwszego wieczoru tutaj, w restauracji nad rzeką, prawie ci się oświadczyłem? Miałem w kieszeni pierścioneł i w ogóle.

Hope wytrzeszczyła oczy.

– Tyle brakowało. – Na milimetr rozchylił kciuk i palec wskazujący. – Ale coś mnie powtrzymało.

– Co? – spytała ledwie słyszalnym szeptem.

Wzruszył ramionami i oparł się wygodnie, wreszcie zdejmując z niej intensywne spojrzenie.

– Zobaczyłem coś w twojej twarzy, jakiś przebłysk czegoś. Wiedziałem, że odmówisz.

Hope na próżno usiłowała sobie przypomnieć, co wtedy czuła. Zamartwiała się Annette, ale za wszelką cenę próbowała udawać, że wszystko jest dobrze; na darmo. Może na tym cały czas polegał problem. Na udawaniu, że jest dobrze, chociaż wcale nie było.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. – Podniosła ręce jakby w geście poddania.
– Przepraszam.

Charlie westchnął.

– Masz święte prawo nie wiedzieć – zapewnił. – Właśnie rozstałaś się z mężem. Gdybyś była w świetnej formie, poważnie bym się niepokoił.

– Ale ja nie kocham Dave’a. – Wreszcie mogła mu powiedzieć coś prawdziwego.

– Wiem – stwierdził znów łagodnie. – I nie ma nic złego w mówieniu o tym. Nawet Annette.

– Czuję się, jakbym ją zawiodła – przyznała.

– Skarbie, proszę cię. – Patrzył na nią z bezbrzeżną troską. – Przecież to nieprawda. Robiłaś, co w twojej mocy. Czasem po prostu nie wychodzi. A już na pewno nie zawiodłaś jako matka. Myślisz, że gdybyś zawiodła, Annette byłaby tu teraz?

– Chyba nie.

– Gdy zadzwoniłem pierwszy raz, była oczywiście wściekła. Ale chciała wiedzieć, gdzie jesteś, co o niej mówisz, czy tęsknisz.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jak tylko usłyszałem, wiedziałem, że muszę was pogodzić i nie chciałem czekać. Zaproponowałem, że opłacę jej lot i poprosiłem, żeby się zastanowiła, a potem wydzwaniałem. – Podniósł leżącą na stoliku komórkę, żeby sprawdzić godzinę. – Zaraz podjedzie moja taksówka, a muszę jeszcze iść na górę po rzeczy. – Hope wiedziała, że stara się nie pokazać, co czuje naprawdę. Poczowała nagle uderzenie paniki i obiema rękami złapała go za ramię.

– Co będzie dalej?

Zanim odpowiedział, spojrział w dół. Trzymała go tak mocno, że pobieleły jej kostki palców.

– To nie zależy ode mnie – odparł. – Myślę, że wiesz, czego chcę. Musisz się teraz dowiedzieć, czego chcesz ty.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś postawił ją w takiej sytuacji i spytał, czego chce. W ich rodzinie Dave podejmował decyzje, a zaraz po rozstaniu wpadła na Charliego, który powiedział: „Zamieszkać ze mną”. Więc zamieszkała. Teraz, mając zapewnione miejsce u Annette, po raz pierwszy miała wybór.

Pokręciła głową.

– Naprawdę nie wiem.

Odsunął krzesło.

– Muszę iść.

– Boję się, że już cię nie zobaczę – szepnęła bardziej do siebie niż do niego, ale to wystarczyło, żeby stanął jak wmurowany. Wiedziała, że powinna przebiec przez bar i paść mu w ramiona, ale nie drgnęła. Została tu, na krześle, nie odrywając od niego wzroku, gdy otwierał drzwi. Przez moment myślała, że się nie odwróci, żeby na nią popatrzeć, ale w ostatniej chwili spojrzął.

– Do widzenia. – I już go nie było.

Poranek zakasywał rękawy i szykował się na powitanie swojego kumpla, popołudnia, a słońce dzielnie trwało na niebie. Megan i Ollie powoli posuwali się brzegiem Wełtawy w stronę Kampy. Barokowe budynki, które mijali, były wysokie i kanciaste, a wiele z nich bogato udekorowanych. Megan co chwilę się zatrzymywała, żeby zrobić zdjęcie, ale nie usłyszała choćby pomruku niezadowolenia ze strony Ollego. Wydawał się zatopiony w smutnych myślach i chyba z przyjemnością gapił się na drugi brzeg rzeki, gdy pracowała.

Miasto zaplamione tym dziwnym, przytłumionym blaskiem wydawało się jeszcze piękniejsze i nie tylko architektura prowokowała Megan do podniesienia aparatu. Także chodniki wyłożone zdobnymi białymi i czerwonymi kwadratowymi płytkami, a ktoś zadał sobie trud uprzątnięcia z nich upartych pozostałości roztopionego śniegu.

Mimo że słońce tak dumnie wisiało nad miastem, nadal panowało przesywające zimno i Ollie co parę minut musiał zdejmować okulary, żeby zetrzeć z nich parę. Obnażone palce Megan były różowe i obolałe, ale nie chciała wkładać rękawiczek. Jeśli nie czuła wszystkich wypustek i załamania korpusu aparatu oraz szumu szkielec, kiedy obracała pierścień obiektywu, nie potrafiła się prawdziwie zjednoczyć z tym, co robiła, musiała więc co kilka metrów przerywać pracę, żeby nachuchać w dłonie albo mocno je rozetrzeć. Normalnie Ollie by się z niej nabijał, ale nie dziś.

Dotarli na Kampę chwilę przed lunchem. Kulili się, uciekając przed kroplami topniejącego śniegu, kapiącymi z obnażonych gałęzi. Odbili z głównej drogi na duży, trawiasty plac pełen rozwrzeszczanych dzieci, miniaturowych piesków w wodoodpornych płaszczkach oraz turystów. Przystanęli, żeby zajrzeć do przewodnika.

– Sovovy mlýny. – Wskazał na prawo, na wielki biały budynek górujący nad nimi i przysłaniający słońce. Megan zadarła głowę i zauważyła, że dach jest czarny, rzadki widok wśród głównie czerwonych sąsiadów. – Mieści się tam Muzeum Sztuki Współczesnej – kontynuował, zerkając sponad książki. – Zajrzemy?

Megan nie była wielką fanką sztuki współczesnej, ale pokiwała głową i poszła za nim w stronę otwartej bramy. Dziedziniec wysypany był żwirem i zastawiony rzeźbami, jedna dziwniejsza od drugiej. Megan przystanęła przy wielkim czerwonym koniu. Siedział na nim nagi, czerwony jeździec płci męskiej, którego ramiona sięgały do ziemi.

– Musi być mu zimno – zażartowała, ale Ollie przeszedł już do kubistycznej rzeźby kobiety, leżącej w dziwacznej pozie na brzuchu, z twarzą wykrzywioną ku

górze i powykręcany ciałem. Małe, kwadratowe płyty chodnikowe wokół jej postumentu obrośnięte były kępami rozczochranej trawy i zasypane kleksami śniegu, co dla Megan okazało się znacznie piękniejsze niż sama rzeźba. Ale nie podzieliła się tym z Olliem. Wyczuwała oschłość, której nie było jeszcze kilka godzin wcześniej. Odkąd wyznał, jak go zdołowało ostatnie zerwanie, znalazł nowy powód do złości. Megan знаła go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, kiedy rozpamiętuje krzywdy i teraz właśnie to robił.

Na odległym krańcu dziedzińca odkryli kolejną rzeźbę kobiety, tym razem stojącą prosto, o tak chudym i płaskim ciele, jakby składała się z kartki papieru. Pochylała głowę, a za nią otwierał się wachlarz rozwianych niebieskich włosów. Wyrażała rozpacz, przegraną. Poruszyła Megan na tyle, że po raz pierwszy, odkąd tu weszli, podniosła aparat.

Ollie wrócił do czerwonego mężczyzny na koniu i ukląkł, żeby odczytać napis na tabliczce. Megan tak się przyzwyczaiła do jego wzroku na sobie, że teraz dziwnie się czuła, gdy ją omijał. Lubiła wygrzewać się w ciepłym blasku jego uczucia i teraz, kiedy zniknęło, wydawało jej się, że ktoś otworzył drzwi i wpuścił zimne powietrze. Nigdy nie byli prawdziwą parą, ale zawsze podejrzewała, że on tego chciał. Nie zamierzała przyznać racji przyjacielom, dla których oczywiste było, że Ollemu zależało na niej wciąż tak samo jak tamtego wieczoru, gdy się całowali, ale gdzieś w głębi duszy, gdzie nie dotarło wyparcie, wiedziała, że mają rację. I że nie powinna łaknąć jego miłości, bo to z jej strony egoizm, ale przerażała ją myśl o utracie go. Zajmował w jej życiu ważne miejsce i obawiała się, że gdyby pewnego dnia odszedł na dobre, zostawiłby po sobie pustkę, która całkowicie ją pochłonie.

Żeby uporać się z nieoczekiwanym przyływem żalu i strachu, zrobiła to, co zwykle w takich sytuacjach; podniosła aparat i zasłoniła twarz przed światem, zatapiając się w tym drugim, nad którym miała kontrolę. Odnalazła Ollego, widziała kłębiące się w powietrzu chmury jego oddechu i czerwone policzki, patrzyła, jak za okularami przesuwają się jego oczy, gdy jej wypatrywał i widziała, jak pojawia się w nich cień żalu. Zaczynało mu cieknąć z nosa, a w rowku nad górną wargą zbierał się szklisty płyn; usta miał pełne i kształtne.

Obserwowała, jak podnosi się z kucek i idzie po żwirze do następnego eksponatu, tym razem zbudowanego z metalowych rurek i dziwnych kóleczek. Wyjął telefon, żeby zrobić zdjęcie, a ona przybliżyła obraz, żeby podejrzeć jego kadr. Zdjął jedną rękawiczkę i odsłonił obskubane skórki przy paznokciach, pojedyncze czarne włosy na nadgarstku, wydatne żyły krzyżujące się pod bladą skórą i szybko poruszające się więzadła. Czuła, jak serce jej pęka, a puls przyśpiesza, pojawiło się upragnione natchnienie, tak dotkliwie, że szybko przeniosła palec na spust migawki. Gdyby tylko wiedział, jak bardzo jest w nim zatracona. I gdyby ona znała słowa, żeby to wyjaśnić.

Po jakimś czasie Ollie się do niej odwrócił, a jego twarz była nieprzenikniona jak bryła granitu. Ruszył w kierunku otwartej bramy, a gdy nie podążyła od razu, ponaglił ją gestem. Zastanawiała się, kiedy poruszy temat wydarzeń z ubiegłej nocy. Wcześniej skierował rozmowę na inne tory, ale znała go dobrze: będzie chciał o tym rozmawiać. Jeśli czuł mniej więcej to co ona, także doświadczał nieustannych przeblysków wspomnień, kolorowych obrazów przedstawiających splątane nagie kończyny i otwarte usta. Coraz trudniej przychodziło im ignorowanie wiszącej między nimi iskrzącej energii. Miała w każdym razie wielką nadzieję, że nie każe jej powtarzać, dlaczego nie chce być w związku, przede wszystkim dlatego, że sama zaczynała już wątpić w swoje argumenty.

– Cholera jasna!

Wyszli z terenu muzeum i skierowali się z powrotem do parku. Szli dróżką biegnącą tyłami muzeum. Gdy dotarli do skraju budynku, Ollie, który wyprzedzał ją o kilka metrów, aż odskoczył.

– Co jest? – Megan pośpieszyła wśród rozchłapanego śniegu, a potem głośno westchnęła. Stały tam na czworakach najbardziej makabryczne istoty, jakie w życiu widziała; troje gigantycznych niemowląt z brązu. – Matko jedyna!

Nie była pewna, w czym rzecz, czy tylko w rozmiarach dzieci, w nieoczekiwanym miejscu, jakie zajmowały, a może w tym, że zamiast twarzy miały ciągnące się od czoła do brody kratki, wokół których wywijają się paskudnie spuchnięta skóra. Tak czy inaczej, poczuła natychmiastowy i przesywający wstręt.

– Czemu nie mają twarzy?! – spytała bez tchu.

Ollie zbliżył się o kilka kroków i odczytał napis z tabliczki wiszącej na ścianie budynku.

– David Černý, 1967. *Mamina. Babies*. Czeka, to nie są te same dzieci, które widzieliśmy z daleka na wieży telewizyjnej?

– Fakt! – Megan podniosła aparat i zaczęła szukać tamtych zdjęć. – Są! Tam była ich masa. – Zamilkła, żeby policzyć i przewijała zdjęcia. Zadrzała, kiedy wiatr rozwiał górę opadłych liści. – Na wieżę wspinało się dziesięcioro.

– Są niezłe – orzekł Ollie. Podszedł do najbliższej rzeźby i zdjął rękawiczkę, żeby nagą dłonią dotknąć gładkiego brązu na ramieniu niemowlaka. Ollie był wysoki, ale nawet on nie mógłby spojrzeć tym istotom w oczy. Gdyby je oczywiście miały...

– Nie mogę znieść tych zakratowanych twarzy! – Megan wciąż stała w miejscu, wrosnięta w ziemię z przerażenia.

Ollie roześmiał się, a potem zaszedł rzeźbę od tyłu i przerzucił nogę przez jej plecy.

– Co ty robisz?! – pisnęła. – Nie można jeździć na dzieciach!

– No to patrz! – Podciągnął się i już siedział na grzbiecie metalowego

potwora. Megan podniosła aparat i zaczęła się śmiać, bo Ollie robił głupie miny i łypał na nią znad głowy dziecka. Stojąca nieopodal rodzina turystów obserwowała ich, skuszona wygłupami Ollego, a najmłodsze dzieci zaczęły się domagać wsadzenia na rzeźby.

– Widzisz, co narobiłeś? – zbeształa go dla żartu Megan. – Jakby mało im było, że siedzą tu same na zimnie, zrobiłeś z nich osły!

Ollie wzruszył ramionami.

– Na ich miejscu ucieszyłbym się z odrobiny ludzkiego ciepła.

Megan aż się zarumieniła, gdy w kolejnym powidoku przypomniało jej się ciepło Ollego. Szybko zamrugowała i odwróciła głowę, żeby ukryć zaczerwienione policzki.

– „Niemowlęta są symbolem epoki komunizmu” – odczytał Ollie na głos. Nadal siedział na dziecku, ale teraz miał w rękach otwarty przewodnik. Megan podniosła wzrok i zauważyła, że okulary zjechały mu na czubek nosa, jeszcze chwila a całkiem spadną. – „Nie mogą dorosnąć, bo ich rozwój tłumiony jest przez system totalitarny”.

– Weź na wycieczkę nauczyciela... – zażartowała i z zachwytem odnotowała, że Ollie wywalił do niej język. – W ogóle mnie nie obchodzi, co one oznaczają – poinformowała go i w końcu zebrała się na odwagę, żeby podejść i dotknąć jednego. – Chcę tylko wiedzieć, czemu nie mają twarzy.

– Może są nieśmiałe? – Ollie przerzucił długą nogę przez plecy figury i zaczął się zsuwać na ziemię, ale wylądował na kawałku lodu i nieoczekiwanym ślizgiem pomknął w stronę Megan. – Przepraszam!

Przez ułamek sekundy rozkoszowała się doznaniem jego ciała przy swoim i poczuła przepływające przez nią ciepło. Wczorajsza potrzeba pocałunku i dotyku powracała. Ale nie wolno jej. Nie robi tego.

– Nie wydaje mi się, żeby były nieśmiałe. – Wskazała na wielki, obnażony tyłek sterczący na wysokości jego twarzy. – Sądzę, że są złe.

– Tylko dlatego, że sama nie chcesz mieć dzieci, nie możesz demonizować wszystkich innych.

To oczywiście miał być żart, ale jego niezobowiązująca uwaga sprawiła, że Megan nadeła się niemal tak samo, jak posag obok niej.

– Nigdy nie powiedziałam, że nie chcę mieć dziecka, tylko że nie jestem pewna.

Ollie podniósł rękę.

– Dobrze, dobrze, nie rzucaj się na mnie.

– Nie rzucam się!

Ostatnie, czego chciała, to się z nim pokłócić, ale on najwyraźniej nie zamierzał jej dzisiaj odpuścić nawet na centymetr. Patrzyła, jak kopie kamyki na nierównej ścieżce, idzie ze spuszczoną głową i ze złością skubie wargę. A

najgorsze, że nawet nie miała do niego żalu. Próbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła na jego miejscu, jakie to by było upokorzenie, gdyby dwa razy się przed nim odsoniła, on by spanikował i uciekł, ona obudziłaby się w pustym łóżku, a materac obok byłby już ledwie ciepły. Przecież to koszmar.

Porzucili rzeźby dzieci i skierowali się z powrotem do parku, a Megan obserwowała, jak wiatr targa liście na najwyższych gałęziach. Prezentowały mocną jesienną mieszankę zieleni, pomarańczów i żółci, a niezmordowane słońce wywoływało efekt zadziwiającej przejrzystości. Czuła, że mogłaby dostrzec każde źdźbło trawy i każdą pajęczą nić na liściach rozsypanych u jej stóp. Zastanawiała się, dlaczego piękno świata jest dla niej tak oślepiająco oczywiste, a nie potrafi go dostrzec w tym, co łączy ją z Olliem. Przecież była pewna, że będzie ją dobrze traktował i da jej czas, żeby wszystko sobie poukładała, nie o to chodziło. Nie wierzyła sobie, że go nie zrani.

Jeśli coś mogło pomóc, to możliwość wejrzenia w przeszłość. Gdyby tylko mogła wyciągnąć rękę i pchnąć palcem wskazówkę jednego z licznych zegarów. Zrobić krok w przyszłość i zobaczyć tam siebie i Ollego, szczęśliwych, dałaby się ponieść uczuciom. Cieszyłyby ją, a nie dusiły, byłyby jej skrzydłami, a nie więziennymi kratami.

Ale nikt nie ma wglądu w to, co będzie, a życzenia rzadko się spełniają, są raczej pustymi kieszeniami nadziei, chwilowym przejawem pożądania albo potrzeby. Gdyby Megan wierzyła w legendę otaczającą złoty krzyż na moście Karola, pobiegłaby tam w tej chwili i błagała z całego serca chociaż o odrobinę przekonania. Ale bez absolutnej pewności, że nie będzie odpowiedzialna za złamane serce Ollego, po prostu nie zamierzała ryzykować.

Annette dotknęła ramion złotego krzyża i z zachwytem spojrzała na matkę. Hope właśnie opowiedziała jej historię o świętym Janie Nepomucenie zrzuconym z mostu Karola.

– Naprawdę poprosiłaś o mnie? – spytała po raz drugi.

Hope pokiwała głową.

– Naprawdę. Wiem, że to głupie, ale w tamtej chwili wydawało mi się możliwe.

– Rok i jeden dzień to długo – zastanawiała się Annette. – Nie sądzę, żebym tyle wytrzymała bez ciebie.

– Miło słyszeć. – Hope objęła córkę i przytuliła. Jakie to dziwne, pomyślała. Zaledwie kilka dni temu stała w tym samym miejscu z Charliem i starała się nie rozplakać z powodu Annette, a teraz była tu z Annette i próbowała nie płakać po Charliem.

– Wszystko dobrze, mamó?

Przełknęła ślinę.

– Oczywiście. Po prostu chciałam... – Zamilkła i zaczęła rozmyślać, jakie to ironiczne, że znów wypowiada życzenia w tym miejscu.

– Co byś chciała? – dopytywała Annette.

– Nic. – Hope pokręciła głową i się uśmiechnęła. – A teraz chodź, wydamy trochę pieniędzy u rysowników karykatur. Zawsze chciałam taką mieć, ale Charlie się nie palił. Bał się, że będzie wyglądał jak ugotowane jajo.

– No cóż. – Annette wyszczerzyła zęby. – Wygląda trochę jak Humpty Dumpty. W pozytywnym sensie, ma się rozumieć.

Hope przywołała obraz Charliego, jego uroczo gładką głowę i radosny uśmiech. Potwornie za nim tęskniła, ale odczuwała też ulgę. Ostatnich kilka dni było trudnych dla nich obojga i zakładała, że on czuje to samo.

– Napisał coś po wyjeździe? – spytała ostrożnie Annette, gdy powoli szły brukowanym chodnikiem. Na głowie miała czapkę, na rękach rękawiczki i poowijała się szalikiem, bo na te wszystkie zakupy uparła się Hope. Brązowe włosy spoczywały na jej ramionach jak polerowane drewno.

– Jeszcze nie. – Hope wzięła córkę pod rękę. – I prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy napisze. Myślę, że zostawia to mnie.

– A ty się odezwiesz?

Hope przystanąła, żeby przyjrzeć się gołębiom, które przycupnęły w plamie słońca i wykonywały ten swój dziwny taniec z kiwającymi głowami, przeszukując jednocześnie chodnik.

– Nie wiem – odparła szczerze. – Zależy mi na nim, ale nie chcę go zwodzić.

Nie wiem, co myśleć, odkąd ja i tata... Odkąd to wszystko się stało.

Annette spochmurniała i Hope wiedziała, że córka przypomina sobie wieczór, gdy przyłapała ją w samochodzie.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam – wyznała Annette, zapatrzona w grupkę dziewczyn z zadartymi kijkami do selfie. – Nie powinnam była tak lecieć do taty.

– Proszę cię. – Hope ścisnęła jej ramię. – Nie obwiniaj się. Przecież to ja zdradziłam. – Postanowiła nie mówić Annette o wazektomii Dave’a. Jedyne, co miało teraz znaczenie, to przyszłość i chociaż przerażała ją świadomość wolności i tego, że może szukać swojej drogi, niesamowicie się cieszyła. Praga, z całą swoją magią, barwną historią i wszechobecnymi zegarami, przypomniawszy jej, że trzeba żyć pełnią życia. Chciała zaznaczyć swoją obecność w tym małym zakątku świata, który należał do niej.

Zdobyły karykatury, a potem Hope zabrała Annette na wzgórze, do Zamku, gdzie zaśmiewały się z poważnych strażników w futrzanych czapach i wykrzywiały do gargulców zwisających z dachu katedry. Przypadkiem przeszły przez Złotą Uliczkę, gdzie spędziły kilka godzin, wędrując po małych sklepikach i galeriach. Cieszyły się swoim towarzystwem i korzystały z ciepłego przyjęcia czeskich sklepikarzy.

Gdy wiatr się wzmógł, przeskakiwały z jednej kałuży słońca do drugiej i chłoneły resztki ciepła. Kupiły wino z rumem i z każdym kubeczkem robiły się coraz weselsze. Na późny lunch Hope zabrała córkę do małej kawiarenki na tyłach kościoła i zamówiła dla nich wielkie porcje gorącego gulaszu, a na deser cudowne ciasto miodowe. Kelnerka powitała je jak dawne znajome i Hope podejrzewała, że dodała im do ciasta dodatkowe porcje bitej śmietany.

Tak jak podejrzewała, Annette była oczarowana Pragą i lamentowała, że jutro wracają do domu.

– Zostaniesz u nas na święta, prawda? – spytała, zlizując śmietanę z łyżki.

– A tata? – spytała Hope. Wiedziała, że Annette chętnie udostępni jej miejsce u siebie, ale nie chciała stawać między córką a Dave’em, zwłaszcza jeśli to by oznaczało, że spędzi Boże Narodzenie sam.

– Tata jedzie do babci. – Annette wzruszyła ramionami. – Ona nie może się już doczekać, aż będzie mogła go porozpieszczać.

Hope dobrotliwie przewróciła oczami.

– To bardzo możliwe.

– Mówiłam poważnie – dodała Annette. – Możesz u mnie zostać, jak długo będziesz potrzebowała.

Hope znów poczuła napływające do oczu łzy. Była dzisiaj w kiepskim stanie.

– Przepraszam, jeśli cię zawiodłam – wyszeptała.

– Żałuję tylko, że nic mi nie mówiłaś – odparła równie cicho Annette i zaczęła się bawić brzegiem obrusa.

– Bałam się, że mnie znienawidzisz. – Hope pokręciła głową, bo dotarło do niej, jaka była głupia. – To twój ojciec i kochasz go. Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć.

– Tak czy inaczej to już koniec – oznajmiła Annette i tym samym ogłosiła koniec rozmowy. – Możesz robić, co zechcesz.

– Jasne! – Hope się roześmiała. – Jestem już za stara. Wszystko jest za mną.

– Przestań! – skarciła ją Annette. – Podobno pięćdziesiątka to nowa trzydziestka.

– Jak cię stać na botoks.

Śmiały się chwilę, a potem Annette popatrzyła na nią z namysłem.

– Wiesz, że w przyszłym miesiącu rodzice Patricka przechodzą na emeryturę?

– Tak? – Hope o tym nie słyszała.

– Szukają kogoś zaufanego, kto przejąłby pensjonat. Patrick pomyślał, że może ty byś chciała.

Hope aż się zarumieniała.

– Ja?

– Nie, stadko corgich królowej Elżbiety! Oczywiście, że ty!

– Ale ja nie mam doświadczenia.

Annette łypnęła na nią stanowczo.

– Przez lata prowadziłaś dom. A tata Patricka nauczy się wszystkiego, co trzeba. Zresztą, mam, to nie jest fizyka kwantowa! Mogłabyś to robić z zamkniętymi oczami i jedną ręką unieruchomioną na plecach.

– Nie sędę – zaprotestowała znów Hope, ale obudziły się w niej emocje. Przecież na to właśnie miała nadzieję! Na własne pieniądze i szansę wykonywania pracy, którą pokocha... – Naprawdę myślisz, że bym mogła? – spytała, a potem nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu, gdy córka zaczęła kiwać głową tak żywo, że niemal jej odpadła.

– Oczywiście, że tak! Zaraz zadzwonię do Patricka i dam mu znać.

– Nie wierzę! – Hope trzęsły się ręce, gdy odliczała pieniądze i próbowała włożyć rękawiczki. – Po prostu nie wierzę!

– To nie ty mówiłaś o Pradze, że tu się spełniają marzenia...?

Tak, pomyślała Hope, gdy brała córkę pod rękę i wyszły w jasne popołudnie. Tutaj działały się czary.

Chyba będzie padać śnieg.

Ollie zmrużył oczy i zapatrzył się w kierunku wskazywanym przez Megan. Faktycznie, na wschodzie wisiało olbrzymie kłębowisko ciemnych chmur.

– Chyba masz rację.

– Mam nadzieję, że zacznie padać, zanim zrobi się ciemno – marzyła. – Chciałabym zrobić zdjęcia w padającym śniegu. Założę się, że most Karola wygląda wtedy bajkowo.

– Pewnie tak.

Całe popołudnie odpowiadał jej w ten zdawkowy sposób i Megan zaczynała to wkurzać. Wiedziała, że ma wszelkie prawo, żeby się na nią wściekać, więc przełykała każdą sarkastyczną uwagę, tylko co jakiś czas dławiąc się czystą goryczą.

Przekonała go, że powinni się przespacerować po lunchu, na który zjedli łąpatkę wieprzową, pierogi z boczkiem, tłuczone ziemniaki i górę kiszonej kapusty. Przegoniła ich do parku na wzgórzu Letná, ale sama się zdziwiła, ile stopni musieli pokonać. Wspinaczka była gorsza niż ta do wieży widokowej. Kiedy jednak dotarli na szczyt, widok na miasto wynagrodził im te męczarnie. Megan z zachwytem ujrzała linę rozciągniętą między metronomem a drzewem, na której wisiały setki par trampek – idealny dodatek do albumu z ostatnich dni. Wiele już razy wydawało jej się, że wyczerpała pokłady piękna Pragi, a potem skręcała za róg, otwierała stare skrzypiące drzwi albo wspinała się na śliskie, zaspane śniegiem wzgórze i natrafiała na kolejny klejnot. Praga była naprawdę wyjątkowym miastem.

Powinna się cieszyć na powrót do Londynu i zamknięcie się w świecie zdjęć, przejrzanie tysięcy, które tu zrobiła i wybór tych, które zechce pokazać na wystawie, ale nie cieszyła się ani trochę. Przeciwnie, przepełniał ją trudny do zidentyfikowania strach.

– Co chcesz teraz robić? – spytała Ollego, bo nie mogła dłużej znieść ciszy.

Ledwie się do niej odwrócił, żeby odpowiedzieć.

– Wszystko jedno.

– No proszę cię! – Zmusiła się do nuty entuzjazmu z głosem. – Ja wybrałam to miejsce, teraz twoja kolej.

Ollie zaczerpnął tchu.

– Czyli spróbowałabyś zrobić coś, na co ja mam ochotę?

Słyszała w tych słowach szczyptę złości, ale nie wiedziała, dokąd zmierza, więc postanowiła udawać głupią.

– Pewnie! – Uśmiechnęła się sztywno. – A czemu nie?

– Po prostu wydawało mi się, że moje zdanie nie ma dla ciebie specjalnego

znaczenia – odparł i spojrzał na nią ostro.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła.

– Nie możesz mi tego robić – kontynuował. Zerwał z pobliskiego krzaka liść i pokruszył na kawałki. – Już nie, Megs. Wszystko się zmieniło.

– Nie róbmy tego – błagała. – Nie chcę się z tobą kłócić.

– Ale może ja chcę? – odciął się i o oktawę podwyższył głos. Okruchy liścia opadały na ziemię. – Zastanawiasz się czasem, czego ja chcę?

– Myślałam, że chcesz, żebyśmy się przyjaźnili – wyjąkała i ruszyła za nim po chrząszczącej zmrożonej trawie.

– Też tak myślałem. – Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Ale teraz nie jestem przekonany, czy dam radę.

Jeszcze nigdy tak na nią nie patrzył, z takim niepokojem, i poczuła się, jakby dostała w twarz.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – zaczęła, choć to było kłamstwo. Chciała tego tak samo jak on.

Ollie odrobinę szerzej otworzył oczy.

– Skoro tak bardzo żałujesz – wymamrotał – to po co w ogóle to zrobiłaś?

– Nie chodzi o to, że żałuję! – wykrzyknęła błagalnie. – Przecież wiesz. Po prostu... – Zamilkła, bo myśli zwiodyły ją na ruchome piaski strachu. Nadeszła chwila, w której musiała szczerze powiedzieć o swoich niedostatkach i wyjaśnić, że to sobie nie może ufać, nie jemu. A jednak z jakiegoś powodu nie mogła znaleźć słów.

Ollie szybko mrugał, a jego policzki nabierały koloru. Czekał na ciąg dalszy.

– Nie chcę cię stracić – powiedziała w końcu tak cicho, że musiał się zbliżyć o krok.

– Słucham?

– Powiedziałam, że nie chcę cię stracić – powtórzyła, ale nie udało jej się powstrzymać błagalnego tonu. Nie panowała nad uczuciami do Ollego, ale na pewno chciała go mieć w swoim życiu. O tym była przekonana. Niewiele wiedziała na sto procent, ale to się plasowało wśród tych aksjomatów.

Ollie westchnął i skrzyżował ramiona

– Te ostatnie dni nic dla ciebie nie znaczyły? – spytał, a ona doskonale wiedziała, o co mu chodzi. O te spojrzenia, które wymieniali, chemię iskrzącą się w powietrzu i doznanie dotyku, smaku, kiedy wreszcie się do siebie zbliżyli.

– Pytasz, jakbyś myślał, że nie – wymamrotała. – Nie jestem martwa w środku. Czuję różne rzeczy, tak samo jak ty.

– Więc dlaczego? – Ze złości wykręcał ręce.

Nie umiała odpowiedzieć, więc tylko pokręciła głową.

– Lubilem cię, odkąd się poznaliśmy – poinformował ją spokojnie, choć widziała wypisane na jego twarzy kłębowisko emocji, jakie w nim wrzało. – Kiedy

się na początku wycofałaś, pomyślałem, że potrzebujesz czasu. Że w przeszłości spotkało cię coś strasznego i nie chciałem naciskać. A przyjaźń była cudowna, naprawdę. Ale przez te kilka ostatnich dni zacząłem cię lubić bardziej niż tylko jako przyjaciel.

Megan podniosła wzrok i odnalazła jego oczy. Mówił wszystko, czego ona nie mogła, a oprócz rozkoszy, jaką czuła, słuchając go, pojawił się wstyd.

– Nie chcę być twoim najlepszym przyjacielem – oświadczył i zrobił kolejny krok w jej stronę, aż dzieliło ich tylko kilka centymetrów. – Chcę być twoim chłopakiem. Chodzi o to, że...

– Nie. – Megan podniosła rękę, bo nie mogła znieść wysłuchiwania jego prawdziwych uczuć. Mówienie takich rzeczy po nocy z tequilą to jedno, ale on chciał przyznać, że ją kocha, na trzeźwo. To zupełnie co innego.

Odskoczył i aż otworzył usta.

– Przepraszam – powiedziała i spojrzała w ziemię. Pod drzewami leżała gruba warstwa śniegu i nie widać było nawet trawy pod spodem. – Zasługujesz na kogoś lepszego niż ja.

– Czego ty się tak boisz? – spytał wtedy bardzo łagodnie, bo zobaczył, że po policzkach płyną jej łzy. – Nie wiem, o co chodzi, Megs, ale damy sobie z tym radę. Tylko nie rezygnuj ze strachu.

Zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić, jak by to było być dziewczyną Ollego i budzić się obok niego codziennie, jak tutaj, w Pradze. Całować go, ilekroć miałyby na to ochotę i pławić się w ciepłe jego miłości do niej. Później zamieniła się z nim miejscami i wizualizowała, że jest Olliem, usiłującym być z nią szczęśliwym. Była pochłonięta ambicją, spaczona brakiem zaufania i okaleczona strachem, że go rozczaruje. To nie Ollego kochała za mało, tylko siebie.

– Nie mogę – oznajmiła i skrzyżowała ramiona na znak, że to koniec rozmowy. – Przepraszam cię.

Wydawało jej się, że umiera, kiedy tak stała i patrzyła na jego minę, gdy docierał do niego sens jej słów i fakt, że nie było nadziei. Że to, co czuli do siebie przez te kilka cudownych dni, skończyło się niczym. Megan wiedziała, że nigdy sobie nie wybaczy.

Gdy tym razem zaczął odchodzić, nie poszła za nim, a on, dotarwszy do ścieżki wiodącej w dół, zatrzymał się, a później się odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

– Wracam do hotelu, chcę sprawdzić, co z Sophie – oznajmił. – Muszę trochę pobyć sam, bez ciebie. Ogarnąć się.

Pokiwała głową i mocno zagryzła wargę, żeby nie rozsłochać się na cały głos. Ollie wyglądał przez moment, jakby zamierzał coś dodać, ale tylko się w nią wpatrywał, przez całe wieki, jak jej się wydawało, a wreszcie pokręcił głową i zniknął jej z oczu. Odczekała, aż odgłos jego kroków na zamrzniętym żwirze ucichnie i zaczęła płakać, ale gdy tylko na jej policzkach pojawiły się łzy, wściekle

starła je z policzków. To wszystko była jej wina i nie miała prawa do uzalania się nad sobą.

Nie chciała schodzić ze wzgórza tą samą trasą, co Ollie, więc ruszyła po opustoszałym parku i szukała innej drogi, a jej stopy zmieniały się w bryły lodu, bo śnieg wciskał się w najmniejsze szpary w szwach butów. Chciałaby móc do kogoś zadzwonić i usłyszeć słowa pocieszenia, ale nikt nie przychodził jej go głowy. Przyjaciele mieli serdecznie dość tematu jej i Ollego, a nie sądziła, żeby jej mama wykrzesła z siebie wiele współczucia.

Przelotnie pomyślała o Hope, która była tak kochana, że wysłuchała jej opowieści o Olliem. Zastanawiała się, w której części miasta obecnie przebywają z Charliem i jakie mają plany. Potem wyobraziła sobie Sophie, drobną i niepozorną, a jednak absolutnie pewną swojej miłości do Robina. Ollie chciał do niej zajrzeć, a Megan ze wstydem uświadomiła sobie, że od rana nawet nie pomyślała o młodszej koleżance. Przecież była chora, zemdlała na ich oczach i w ogóle, a jednak Megan tak się skupiała na sobie, że w ogóle się tym nie przejęła. Wylazła z niej straszna suka.

Kiedy to się stało? – Zastanawiała się i kopnęła lekko przekrzywionego bałwana tak, że jego głowa wyleciała w przesycone lodem powietrze. Dlaczego Ollie w ogóle ją lubił, nie mówiąc już o kochaniu? Wykorzystała jego uczucia, nie dało się tego ukryć. Pragnęła go i wiedziała, że nie będzie oponował, ale nie zastanowiła się, jakie poniesie konsekwencje. Zawiodła nie tylko jego, rozczarowała też siebie.

W końcu dotarło do niej, że nie zajdzie daleko, zataczając kolejne kręgi w śniegu, wróciła więc do ścieżki, którą tu doszli i ruszyła w dół, odkrywając przy okazji, że stopni nie ma wcale tak wiele, jak jej się wydawało podczas wspinaczki. Nad Wełtawą zbierało się coraz więcej chmur i słońce ciężko wisiało na niebie. Miasto skąpane było w dziwnym żółtym blasku, jakby ktoś włączył ściemniacz, a w nadchodzącym zmierzchu zielone wieże kościoła św. Mikołaja przybrały odcień mułu.

Zatrzymała się w połowie schodów, żeby nasycić się widokiem i głęboko wciągnęła powietrze. Starła się nie przegapić niczego. Chciała odnaleźć wzrokiem każdą czerwoną dachówkę, każdą smugę dymu, każdą ciemną iglicę i błysk światła na wodzie. Czasem ogrom świata ją przytłaczał – tyle było do zobaczenia, ale za mało czasu, żeby dotrzeć wszędzie. Musiała się pogodzić z faktem, że niektóre zakątki świata pozostaną dla niej niedostępne, wiedziała o tym, ale gdyby miała taką moc, całkowicie zatrzymałaby czas. Może to pobyt tutaj, w Pradze, wśród wszystkich tych zegarów, tak ją uwrażliwił na przemijanie.

Zamiast unieść aparat i uchwycić panoramę, odsunęła go na odległość ramienia i zwróciła obiektywem w swoją stronę, a następnie wpatrzyła się w czarne zwierciadło soczewek. Zrobiła zdjęcie. Po powrocie na poziom miasta weszła do

pierwszego baru, zamówiła grzane wino z miodem i tak długo obejmowała dłońmi kubek, aż poczuła, że wraca jej uczucie w palcach.

Wino było ostre w smaku i bardzo aromatyczne, ale wypełniło jej żołądek żywym ogniem, który poprawił jej nastrój i pozwolił okiełznać kłębowisko sprzecznych emocji splatających jej wnętrzności w ciasny supeł. Alkohol spowolnił bicie jej serca i ukoił zakątki umysłu, a wkrótce Megan zauważyła, że może już oddychać bez bólu.

Wybrała stolik przy oknie i wyjęła aparat, żeby przyjrzeć się ostatniemu zdjęciu i poszukać w swojej twarzy odpowiedzi. Albo czegoś innego, nie wiedziała, ale znalazła tylko oczy pełne smutku. Skórę miała podrażnioną w miejscu, z którego szorstkimi wełnianymi rękawiczkami ścierała łzy, a wargi zaczynały jej pękać od zimna. Dni raczenia się odwadniającym alkoholem pogłębiły zmarszczki wokół oczu i na tej części czoła, której nie zasłaniała czapka. Włosy wyglądały niechlujnie, końcówki się strzępiły, a kąciki ust wykrzywiały do dołu. W tej twarzy nie było śladu miłości ani radości. Dostrzegała za to aż w nadmiarze żal, smutek i potężne zmęczenie, którego nawet nie odczuwała. Ale tak, była wyczerpana, fizycznie i emocjonalnie. I miała to całkiem dosłownie wypisane na twarzy.

Upiła jeszcze grogu i aż się skrzywiła, gdy jego przypominający lekarstwo smak uderzył w tylną ściankę gardła i wypalił ścieżkę do żołądka. Powinna wstać i wrócić do hotelu, znaleźć Ollego i błagać o przebaczenie, przeprosić. Ale ani drgnęła, a kolejne minuty mijały jak rozmazane obrazy. Gdy leżący przed nią na stoliku telefon nagle zaczął dzwonić, prawie wyskoczyła w powietrze.

To Ollie. Wybaczył jej. Na pewno dzwoni, żeby wszystko wyjaśnić. Porwała komórkę i nie pozwalając mu dojść do głosu, zaczęła trajkotać jakieś przeprosiny, a zamilkła dopiero, gdy do niej dotarło, że on coś krzyczy.

– Co? Co się stało? – wystękała.

– Potrzebujemy twojej pomocy – powtórzył przerażonym głosem. – Chodzi o Sophie. Coś się stało. W hotelu. Gdzie jesteś?

Megan poczuła, że serce znów tłucze jej się o żebra.

– Już idę.

Słońce zaczynało już zachodzić, gdy Hope przyprowadziła Annette z powrotem do hotelu. Staraly się obejrzeć jak najwięcej w ciągu tego jednego dnia, ale w końcu perspektywa gorącego prysznicza stała się pokusą nie do odparcia. Zwłaszcza że jak wieszczyła Hope, miał zacząć padać śnieg. Opowiedziała Annette wszystko o Megan, Olliem i Sophie oraz że narzeczony tej ostatniej powinien już być na miejscu. Zapewniła córkę, że jeśli zasiądą w hotelowym barze, wcześniej czy później spotkają wszystkich.

– Co im powiesz o Charliem? – spytała Annette, gdy zdjęły kurtki i szaliki, i rozsiadły się przy stoliku niedaleko drzwi.

Hope poruszyła się niespokojnie.

– Prawdę. Jeśli ostatnie miesiące mnie czegoś nauczyły, to tego, że prawda jest najlepszym rozwiązaniem.

Annette się uśmiechnęła.

– No więc skoro tak, to prawda jest taka, że chętnie napiłabym się drinka. A ty?

Hope uśmiechnęła się szeroko i sięgnęła po menu.

– Nie widzę przeciwwskazań.

Piły już drugą kolejkę kolorowych mikstur na bazie rumu, gdy w drzwiach pojawił się Ollie. Hope wystarczył jeden rzut oka, żeby poderwać się z miejsca.

– Co się stało, skarbie?

Ollie wpatrywał się w nie, ale zajęło mu kilka chwil zorientowanie się, na kogo patrzy.

– Przepraszam, ja... – Zamilkł i przeczesał włosy. – Widziałaś może Sophie?

– Ostatni raz przedwczoraj – odparła Hope. – A co? Coś się stało?

– Źle się czuła. – Zamilkł na moment, a potem nagle zauważył Annette i zmarszczył czoło.

– To moja córka, Annette – pośpieszyła Hope z wyjaśnieniami. – Ona... Charlie... To długa historia.

– Ach. Cześć. – Ollie uniósł rękę, a Annette nieśmiało odmachwała.

– Co mówiłeś o Sophie? – przynagliła Hope. Ollie był zdenerwowany, a ona poczuła, że i w niej narasta panika.

– Wczoraj zemdląca na moście Karola. – Westchnął i spojrzał przez ramię na recepcję. – Przyniosłem ją tu i poleciłem, żeby odpoczęła, ale od tamtej pory jej nie widziałem. Poszedłem teraz sprawdzić, ale w pokoju jej nie ma.

– Zemdląca? – Hope była w szoku. – Czekaliśmy tu na was z Charliem cały wieczór, ale nikt się nie pojawił. Uznałam, że mieliście inne plany.

– Powinienem był sprawdzić wcześniej – przyznał Ollie wyglądający jak

zbity pies. – Ale ja i Megan... My... – Zamilkł, bo mina Hope podpowiedziała, że nie musi nic wyjaśniać. – A jeśli zemdlą pod prysznicem czy coś w tym stylu? – Przeraził się nagle. – Wiedziałem, że źle się czuje. Powinienem zrobić coś więcej. Ale byłem zajęty. – Znow zamilkł i spojrzał na dłoń Hope, którą zacisnęła na jego rękę.

– Nie obwiniaj się – uspokoiła. – Na pewno nic jej nie jest. Dziś miał dojechać jej narzeczony, może po prostu wyszła gdzieś z nim.

Ollie się skrzywił.

– Nie wiem. Coś jest nie tak. Cały dzień mnie to dręczy. Wróciłem, żeby do niej zajrzeć, bo mam przeczucie, że coś jest nie w porządku, a jej nie ma.

– Gdzie jest Megan? – spytała Hope, a Ollie zbladł.

– Robi zdjęcia – wymruczał i nie spojrzał jej w oczy.

– Pokłóciliście się? – zgadła.

– Nie do końca. – Znow westchnął. – Ale to teraz nieważne.

– Chodź i posiedź chwilę – zasugerowała i pociągnęła go w kierunku stolika.

– Stąd możemy obserwować wejście, na wypadek gdyby Sophie wróciła.

Ollie opadł na krzesło. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego, a Hope uniosła brwi, patrząc na Annette. Niebo za oknem miało kolor ciemnego dżinsu, a Hope aż zadrzała, jakby poczuła na skórze mroźne wieczorne powietrze. Nieprzyjemna była myśl o Sophie przebywającej gdzieś tam, o jej drobnym ciele wystawionym na działanie mrozu. Niepokój Olliego udzielił się i jej.

Ciemne czeskie piwo pojawiło się przed Olliem i wypił połowę jednym haustem, a Annette wyjaśniała mu, skąd się wzięła w Pradze.

– Czyli Charlie już pojechał? – chciał się upewnić Ollie i otarł z górnej wargi piwną pianę.

Hope pokiwała głową.

– Mam nadzieję, że jakoś się dogadacie – dodał. – Widać, że bardzo mu na tobie zależy.

– To skomplikowane – poinformowała go Hope i zerknęła na Annette. – Trzeba wziąć tyle kwestii pod uwagę.

Ollie podniósł wzrok.

– Tak? Moim zdaniem to proste. Jeśli dwóm osobom na sobie zależy, muszą być razem. Nie powinno w tym być nic skomplikowanego.

– Nie powinno – zgodziła się, świadoma, że tak naprawdę mówi o swojej sytuacji. – Wiesz co, powinieneś robić to, co cię uszczęśliwia – powiedziała, choć poczuła, jakby zdradzała Megan. – Jeśli Megan nie może tego zrobić, idź dalej, dla swojego dobra.

Pokręcił głową, a jego smutek był wręcz namacalny.

– Wiem, ale myśl o tym, że nie będę jej widywał ani z nią rozmawiał... – Wziął głęboki oddech i odrobinę odsunął szklanę. – Nie wiem, czy potrafię ją

wyeliminować ze swojego życia.

Hope chciałaby móc go zapewnić, że Megan się opamięta, ale jak mogła to zrobić?

– Zaslugujesz na kogoś, kto jest na sto procent pewny, że cię chce – odezwała się Annette i uśmiechnęła się, gdy Ollie popatrzył na nią z zaskoczeniem.

– Nie może mieć nawet cienia wątpliwości, że chce z tobą być. Tu nie ma miejsca na jakąkolwiek niepewność. Nie, kiedy na szali leży twoje serce.

– Odkąd to jesteś taka mądra? – spytała Hope i patrzyła to na córkę, to na Ollego.

– Miałam się od kogo nauczyć – odparła Annette. – Tak mi mówiłaś, gdy wahałam się, czy zamieszkać z Patrickiem. W końcu do mnie dotarło, że po prostu się bałam. Nie chodziło o to, że go nie kocham. Po prostu bałam się, że tak jest. Wiem, że to brzmi absurdalnie, spoko.

Ollie odstawił pusty kufel.

– Nie, nieprawda – zapewnił. – Brzmi bardzo znajomo. Jestem pewien swoich uczuć do Megan, ale nie mogę mieć pewności za nas oboje.

– I nie powinienes – zapewniła Annette, a Hope pokiwała głową. Pamiętała opowieść Sophie, jak ta wiedziała, że Robin jest tym jedynym niemal natychmiast, gdy go poznała i jak z każdym rokiem kochali się coraz bardziej, aż stali się parą, jaką byli obecnie: niepokonaną.

Zerknęła przez otwarte drzwi do recepcji i zaczęła wstawać. Przy kontuarze stał mężczyzna. Jasne włosy schował za kołnierzem, policzki miał zaróżowione od zimna i mógł być tylko Robinem.

– Spójrz! – Złapała Ollego za rękę i wskazała palcem.

Ollie musiał wstać, żeby dojrzeć recepcję, ale jak tylko zrozumiał, o co chodzi, wyszedł z baru, a Hope podążyła za nim.

Gdy się zbliżyli, usłyszała, jak mężczyzna pyta, czy zatrzymała się u nich Sophie Roberts. To musiał być on.

– Robin? – spytała, ale tak cicho, że początkowo wydawało jej się, że nie usłyszał.

– Słucham? – Odwrócił się do nich. Mówił z lekkim akcentem. Spojrzał na nią poważnie, ale niebieskie oczy miał przyjazne.

– Ma pan na imię Robin? – powtórzyła. – Robin Sophie?

– Czy ona tu jest? – spytał z nieoczekiwanymi emocjami. – Znacie ją państwo?

– Nie znamy jej dobrze – wyjaśnił Ollie. – Poznaliśmy się kilka dni temu, ale opowiadała o panu. Dlatego wiedzieliśmy, że pan przyjedzie.

Za nimi pojawiła się Annette, a jasnowłosy mężczyzna przyglądał im się, każdemu z osobna, z coraz większym zdziwieniem.

– Wszystko w porządku? – spytała w końcu Hope i zbliżyła się o krok.

Recepcjonistka podała mu ksero jakiegoś dokumentu, a on się odwrócił, żeby spojrzeć.

– Tak, to ona – potwierdził, a w łamiącym się głosie słyhać było ulgę i niepokój jednocześnie. – To Sophie.

Ollie podszedł do mężczyzny i zerknął na kartkę w jego dłoniach, a następnie skinął głową do Hope.

– Na pewno niedługo przyjdzie – zapewniła. – Od kilku dni mówiła wyłącznie o tym, że się nie może doczekać spotkania z panem.

Ale Ollie kręcił głową.

– Nawet nie był pewien, czy się tu zatrzymała – przypomniał, a Hope usłyszała nerwowy kaszel Annette.

– Czy pan to Robin? – Hope znów zwróciła się do młodego mężczyzny. Nadal trzymał w ręce ksero paszportu Sophie, a jego dłoń drżała. Słyhać było tylko tykanie zegara wiszącego na ścianie, a Hope wstrzymała oddech i przygotowała się na złe wieści, bo miała przeczucie, że takie właśnie usłyszy. Ollie wyglądał na przerażonego, a Annette oparła się o framugę. Mężczyzna podniósł głowę, a ich spojrzenia skierowały się na niego.

– Jestem jego bratem – powiedział powoli, jakby każde słowo sprawiało mu ból. – Robin dziesięć dni temu zmarł.

Gdy lekarz im powiedział, uznali to za żart. Okropny, ale jednak żart. Sophie wybuchnęła nawet głośnym śmiechem, pokręciła głową i powiedziała doktorowi, żeby nie opowiadał głupot. Robin nie miał jeszcze trzydziestu lat, nie zamierzał umierać. Nie mógł.

Jak się okazało, jednak mógł.

Z rakiem nie było dyskusji, kiedy już wziął zakładnika. Ani miłość, ani nadzieja, ani rozpacz, obojętnie w jakich dawkach, nie wystarczały na okup, aby wyrwać kogoś z jego łap. Nic nie można było zrobić, tylko stać z boku i patrzeć, jak ukochany człowiek ulega głębokiej dezintegracji niemal na twoich oczach. Patrzeć, jak rozpaczliwe próby leczenia odbierają mu siłę, energię i te piękne włosy, a skóra pomiędzy ich kępkami robi się zimna i szara. Sophie przebiegała często dłońmi po tym puszkę, tak jakby głaskała ranne pisklę, i cały czas powtarzała mu, że jest przystojny. Żartowała, że dopiero po tylu latach zauważyła, jakie ma duże uszy.

Po początkowym niedowierzaniu, czy lekarze mówią prawdę, płomienna pasja Robina przerodziła się w destrukcyjną falę wściekłości. Sophie pozostawało tylko siedzieć na dywanie w ich sypialni i płakać, wysłuchując jego krzyków, że to wszystko jest niesprawiedliwe. Z oczami oszalałymi ze strachu i gniewu błagał, by ktoś, ktokolwiek, uwolnił go od choroby. Kiedy wstała i próbowała pocieszyć Robina, ze złością zamachnął się ramieniem i cisnął niebieski szklany wazon, który kupili razem w Pradze, na drugi koniec pokoju, rozbijając go o ścianę na tysiące kawałków.

Sophie rozumiała ten gniew, chociaż ją przerażał. Najbardziej ze wszystkiego obawiała się, że choroba w końcu zabije w Robinie tę pasję. Ale nigdy do tego nie doszło. Tym, czego rak nie zdołał mu zabrać, był jego duch – pozostał nietknięty do samego końca, gdy czuła, jak jego ręka słabnie powoli w jej dłoni. Nie wypuściła jej nawet wtedy, gdy była już zimna jak porcelana, nawet wtedy, gdy ją o to prosili, później błagali, gdy kazali jej to zrobić, a w końcu odciągnęli siłą.

Sophie zamknęła oczy przed podmuchem wiatru, odcinając łzy, które wydawały się teraz nieustannie w nich gościć. Wyruszyła z centrum w przeciwnym kierunku niż zwykle i zatrzymała się dopiero przed ogromną, futurystyczną konstrukcją wieży telewizyjnej Žižkov, z rzeźbami dzieci z brązu uwieszonymi przerażająco na jej ścianach.

Szkoda, że nie miała dziecka z Robinem. Rozmawiali nawet o tym na kilka miesięcy przed postawieniem diagnozy. Chciała najpierw wyjść za mąż, przeżyć ich wymarzone wesele w domu rodziców i napisać na piasku swoje nowe

nazwisko. Oczywiście, kiedy później stało się jasne, że rak odebrał im całe lata szczęścia, Robin błagał ją, żeby za niego wyszła, zanim będzie za późno. Sophie odmówiła, mówiąc, że zrobią to, gdy jego stan się poprawi. Ktoś znajdzie lekarstwo i Robin wróci do zdrowia – przynajmniej na tyle, żeby wziąć ją w ramiona i rozhuścić dookoła, tak jak zwykle robił. Nie chciała, by na jej weselu połały się łzy smutku, pragnęła łez radości. Nie była gotowa, żeby się poddać.

Zrobiło się już zupełnie ciemno, Sophie nawet nie zauważyła kiedy, a zerknąwszy na oświetloną tarczę pobliskiego zegara, stwierdziła, że dochodzi ósma wieczorem. Pozostały jej tylko cztery godziny.

To Robin opowiedział jej o złotym krzyżu na moście Karola, o legendzie o świętym Janie Nepomucenie i życzeniach, które może spełnić. W ciągu minionych lat tyle razy byli w Pradze, ale żadne z nich nie wypowiedziało nigdy żadnego życzenia. Byli zgodni co do tego, że mają wszystko, o czym mogliby marzyć, że prośenie o więcej byłoby chciwością i zbytkiem, więc tylko podziwiali krzyż z daleka. Zawsze z nabożną czcią, ale bez pokusy. Aż do ostatniej wizyty w Pradze.

Sophie ubłagała Robina, żeby tam z nią pojechał, gdy tylko lekarz przekazał im okropną wiadomość. Było to kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem, a Robin chciał powiedzieć rodzinie dopiero po świętach. Cały on – zawsze przedkładał dobro innych nad swoje i nie chciał psuć Gwiazdki. Polecieli do Pragi, co robili często, tylko tym razem wszystko wyglądało inaczej. Tym razem uparła się, żeby udać się prosto na most Karola i wypowiedzieć swoje życzenie. Nie mieli nawet sekundy do stracenia, tak powiedziała, ciągnąc go po brukowanych uliczkach, żeby jak najszybciej dotrzeć do magicznego miejsca. Nogi Robina zaczynały już słabnąć, ale z jego ust nie wydobył się nawet pomruk skargi. Patrzył w milczeniu na Sophie, która padła na kolana na zimnej ziemi, przycisnęła mocno dłoń do złotego krzyża, nie przejmując się spojrzeciami przechodniów, i szeptem wypowiedziała kilka razy swoje życzenie.

Gdy przyszła kolej na Robina, zamknął oczy, a Sophie obserwowała ze łzami w oczach, jak w milczeniu porusza ustami. To była szczególna i magiczna chwila. Wiedziała, że duchy miasta ich słuchają. Czula to w powietrzu i w zapachu cegieł. Taki kawał historii, tak wiele dusz. Zanim poznała Robina, nie wierzyła do końca w prawdziwą miłość, a zanim przyjechała do Pragi, nie wierzyła w magię. Teraz była przekonana, że jej silna wiara przywróci jej Robina.

Minął rok i jeden dzień. Rok i jeden dzień, odkąd stała na moście i prosiła każdą cząstką swojej duszy, żeby Robin zawsze był przy niej. To była kotwica, na której oparła swoją nadzieję. Nawet gdy wszystko wydawało się stracone, wciąż wierzyła. Musiała wierzyć. Nie mogła i nie chciała zaakceptować faktu, że go straciła, że nic jej nie czeka oprócz pustki, wolnego miejsca, które zawsze powinien zajmować Robin.

Nienawidziła tego. Samotności w tym mieście, które tak bardzo ukochała.

Jednak nie miała kogo zabrać. Rodziny jej i Robina zmagaly się z własnym bólem, ale wiedziała, że się o nią martwią. Od przyjazdu do Pragi jej telefon prawie nie przestawał dzwonić i zdawała sobie sprawę, że jej rodzice szaleją z coraz większego niepokoju. Żadne z nich nie rozumiało. Żadne ich słowa nie mogły jej wytrącić z absolutnej pewności, że Robin zostanie jej oddany – że stanie się to tutaj, w miejscu, w którym się poznali.

Nad miastem rozciągnęła się ciemność, a z miejsca, w którym teraz była, na ulicy za dworcem centralnym w Pradze, Sophie mogła podziwiać mozaikę kolorowych świateł. Ale interesował ją tylko most Karola. To tam będzie na nią czekał. Słyszała bicie własnego serca, tłukącego się wściekle w piersi, czuła miękkość nóg. Mdłości nie powróciły, ale oddech jej się rwał i Sophie musiała często przystawać dla odpoczynku. Towarzyszyło jej coś jeszcze – uczucie, dla którego nie znajdowała nazwy, skomplikowana mieszanina trwogi i uniesienia. W jednej sekundzie czuła się wolna, jakby mogła unieść się nad ziemią i pofrunąć ponad brukiem, w drugiej miała wrażenie, że te same kamienie rozsuwają się pod stopami jak piasek, grożąc wciągnięciem jej w otchłań podziemnych kanałów.

Musiała tylko dojść do mostu. Musiała tam dotrzeć.

Sophie znała zawiły system ulic miasta na tyle dobrze, by kierować się bardziej instynktem niż obecnym stanem umysłu, więc w końcu bezbłędnie trafiła do torów, przez które przeszła niepewnym krokiem, by znaleźć się pod Staromiejską Wieżą Mostową – majacząca w ciemności budowla dodawała otuchy. Telefon rozładował się już dawno, bo przez kilka ostatnich dni dzwonił nieustannie, a ona w większości wypadków udawała, że odbiera, ale w mieście było tyle zegarów, że panowała nad czasem. Do północy zostało niewiele godzin – a potem wybór będzie prosty.

Gdy szła prawą stroną mostu, szukając wzrokiem w kamiennej ścianie przygaszonego blasku – znaku, że dotarła we właściwe miejsce – zauważyła pierwsze płatki śniegu.

Nadal nie rozumiem. – Megan wpatrywała się w Ollego. Przerazał ją widok jego szarej jak popiół twarzy. Nigdy nie widziała, żeby był taki zmartwiony i wyraźnie wzburzony.

– Biedactwo ma mechanizm wyparcia – wyjaśniła jej Hope niemal ze łzami. – W Pradze się poznali, spędzili tu razem dużo czasu. Podejrzewam, że przyjechała tutaj, żeby poczuć, że jest blisko niego. Toby mówi, że odkąd to się stało, prawie w ogóle się nie odzywała, do nikogo.

– A Toby to? – zapytała Megan, próbując nadażyć.

– Starszy brat Robina. – Hope wskazała w kierunku przeszklonych drzwi hotelu, za którymi chodził w tę i z powrotem jasnowłosa mężczyzna w kożusku, z ponurym wyrazem twarzy przyciskając do ucha telefon.

– Wiedziałem, że coś się święci – powiedział Ollie, kręcąc głową. – Po prostu czułem to w kościach.

Megan przypomniała sobie, co powiedziała kiedyś na temat takich przeczuć, ale tym razem odpuściła. To nie był dobry moment.

– Nie mogę uwierzyć, że Robin nie żyje – wyjąkała. – Te wszystkie telefony, które odbierała Sophie. Raz nawet widziałam, jak na wyświetlaczu pokazała się jego twarz. O co w tym wszystkim chodziło?

– Musiała wtedy kłamać – powiedział po prostu Ollie.

– I pewnie to nie było zdjęcie Robina, tylko Toby’ego – zasugerowała Hope. – Ma takie same jasne włosy i powiedział nam, że od kilku dni non stop próbuje się z nią skontaktować. Dopiero wczoraj wysnęło jej się, gdzie jest, więc przyleciał pierwszym możliwym lotem.

Annette, która siedziała cicho z boku i tylko się przysłuchiwała, w końcu zabrała głos.

– A czego Toby tak się boi? – postawiła pytanie, którego nikt nie chciał zadać.

W tym momencie brat Robina wszedł do środka. Jego włosy były mokre od śniegu, który właśnie zaczął padać. Miał cerę typową dla człowieka spędzającego większość czasu na dworze. Megan przypomniała sobie, jak Sophie opowiadała im, że Robin uwielbia surfować.

– Właśnie rozmawiałem z jej rodzicami – zwrócił się do Ollego. Zdawał się w ogóle nie zauważać Megan, więc zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty – wyszeptała i zacisnęła usta w prostą linię, gdy ujął w odpowiedzi jej dłoń, a jego twarz przeciął uprzejmy uśmiech.

– Obawiam się, że jeśli nie znajdę Sophie, to będziemy mieli kolejną stratę

na sumieniu – odpowiedział niepewnym głosem. – Mama Sophie powiedziała, że znalazła liścik. Było tam napisane, że wróci do domu z Robinem albo nie wróci wcale.

– Ale jak mogłaby...? – Hope przerwała w połowie zdania i zasłoniła usta dłonią. – O nie.

– W ostatnich dniach chyba niewiele jadła – dodał Ollie. Megan opuściła wzrok i zdała sobie sprawę, że Ollie chwycił ją za rękę. Nawet nie zauważyła, kiedy to zrobił. – Powinienem być z nią zostać po tym, jak zemdląca na moście. Tak mi przykro.

Te słowa znowu były skierowane do Toby'ego, ale brat Robina pokręcił głową.

– To nie twoja wina. Skąd miałeś wiedzieć?

– Wiem. – Ollie wbił wzrok w swoje stopy. – Ale i tak czuję się okropnie. Jeśli coś jej się stanie...

Annette wstała.

– Chodźmy – powiedziała, wkładając płaszcz. – Musimy jej poszukać.

Megan, która dopiero co poznała Annette i wciąż nie miała pojęcia, gdzie, u diabła, zniknął Charlie, spojrzała z podziwem na córkę Hope.

– Annette ma rację – oznajmiła, wciągając rękawiczki. – Recepcjonistka zna numer Toby'ego, tak?

Toby i Ollie skinęli głowami.

– W takim razie jeśli Sophie tu wróci, od razu nas zawiadomi. Niewiele o tobie wiem, ale nie podoba mi się myśl, że błąka się tam sama na zimnie.

– Masz rację. – Toby już szedł w stronę drzwi. – Nie mam pojęcia, dokąd iść. Mogę do was dołączyć?

– Oczywiście. – Ollie dotknął lekko jego ramienia. – Poprowadzę. Możemy zacząć od placu Waclawa i stamtąd przejść przez Starówkę.

Na zewnątrz panowała nieziemaska cisza, jak zawsze, kiedy pada śnieg. Megan pomyślała z poczuciem winy, że wcześniej marzyła o tym, żeby zaczął padać. Teraz była w stanie myśleć tylko o Sophie, która wałęsała się skulona po mieście, o bólu zzerającym ją od środka i śniegu osiadającym na jej policzkach i rzęsach. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić tego zamętu, jaki panował w jej umyśle. Drżała na samą myśl.

Toby i Ollie szli przed nią ramię w ramię, tuż za nimi Hope i Annette, które trzymały się za ręce, omiatając wzrokiem drugą stronę niemal opustoszałej ulicy. Kiedy Ollie opisał czapkę w tęczowe paski, którą Sophie cały czas nosiła, Toby otworzył usta z przerażenia.

– To była czapka Robina – powiedział łamiącym się znów głosem. – Zrobiła mu ją na drutach kilka lat temu.

Megan słyszała, że Annette próbuje pocieszyć mamę. Hope zaczęła płakać,

gdy tylko wyszli z hotelu. Starła się to ukryć, przypuszczalnie dlatego, że nie chciała jeszcze bardziej denerwować Toby'ego, ale jej twarz była umazana łzami. Annette bardzo przypominała matkę – miała podobne delikatne rysy twarzy i jasne oczy. Megan chętnie zrobiłaby im wspólne zdjęcie – ale to musiało poczekać.

Niezliczone praskie sklepy z pamiątkami, kafejki, bary i restauracje, które jeszcze kilka godzin temu nęciły swoim urokiem, teraz stały się tylko kolejnymi miejscami do sprawdzenia, następną ślepą uliczką w coraz bardziej szalonym poszukiwaniu. Megan zauważyła, że Toby wciąż zaciska ręce albo przeczesuje nimi włosy. Nie miał ani rękawiczek, ani czapki i wydawało się, że w ogóle nie odczuwa zimna, ale wiedziała, że to niemożliwe. Sama odczuwała je w każdym zakamarku ciała, a mróz szczyptał ją w usta i odsłonięte policzki. Praski wiatr nie miał tego wieczoru litości, przez co poszukiwanie Sophie stawało się jeszcze bardziej nagłą sprawą.

– Ani śladu, żeby tu była – zawołał Ollie, wyłaniając się z irlandzkiego baru po południowej stronie placu. Chodzili tak już od godziny, a Toby zaczął tupać nogami ze złości. Jego telefon dzwonił co dziesięć minut, a ostatnim razem dosłownie nakrzyczał na tego, kto był po drugiej stronie, żeby na litość boską nie blokował linii. Megan wyobraziła sobie, co wyprawialiby jej mama i tata, gdyby siedzieli uwięzieni w domu, wiedząc, że prawdopodobnie postradała zmysły i wałęsa się sama po obcym, zaśnieżonym mieście. Gwałtownie zadrżała.

Muszą odszukać Sophie.

Wskazówki zegarów na Starym Rynku nieuchronnie sunęły w stronę północy, a oni wciąż nie mogli natrafić na ślad Sophie. Sprawdzili wszystkie bary, a dziewczyny nie pominęły żadnej damskiej toalety w tej części miasta. Toby znalazł w komórce zdjęcie Sophie i pokazywał je każdemu mijanemu przechodniowi, począwszy od miejscowych, a skończywszy na dużych grupach turystów, ale nikt jej nie widział.

Megan ciągle myślała o tym, że żadne z nich nie znało miasta tak doskonale jak Sophie. Mogła się ukryć dosłownie wszędzie z dala od centrum, znała miejsca, których nie potrafiliby odszukać.

– Czy wspomniała komuś z was o jakimś szczególnym miejscu? – zapytała Megan, gdy doszli do wieży z zegarem astronomicznym. – Takim, do którego chodziła razem z Robinem?

Pozostali zgodnie pokręcili głowami.

– Cholera! – Megan rozrzuciła ramiona w rozpacz. Już sama była bliska łez. Byli wyczerpani i przemarznięci, a nie sprawdzili nawet jednej trzeciej miasta. Muzyka i śmiechy dobiegające z barów przypominały im jeszcze dobitniej, że ich sytuacja robi się naprawdę nie do pozazdroszczenia. Czas płynął nieubłaganie i każdy o tym myślał w cichości ducha. Sophie powinna była już dawno wrócić.

– Zacznijmy przeszukiwać Małą Stranę – powiedział Ollie, wskazując głową

w kierunku Wełtawy. – Może poszła na wzgórze Petřín.

– Przecież tam są egipskie ciemności. – Megan objęła się ramionami. Śnieg padał teraz mocniej i mrugała od płatków spadających na jej twarz. Ollie, wyczuwając, że Megan wpada w panikę, stanął tuż za nią i objął jej plecy, dając solidne pocieszenie.

– A Zamek? – zaproponowała Annette. – Można się tam schronić w wielu miejscach i o tej porze będzie opustoszały, no nie?

Podsłuchali jednocześnie, gdy zegar nad ich głowami zaczął wybijać godzinę. Megan uniosła głowę i przez syjące płatki śniegu ujrziała postać Śmierci pobrząkującej klepsydrą. Dopadł ją dziki niepokój, gdyż po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że życie Sophie może być zagrożone.

Hope również zapatrzyła się na Śmierć, ale w przeciwieństwie do Megan nie wydawała się przerażona. Wyglądała raczej na zamyśloną i przechylając na bok ładną głowę, patrzyła, jak zastęp drewnianych apostołów kończy swój krótki przemarsz.

– Co było napisane w tym liściku, który zostawiła Sophie? – Hope skierowała pytanie do Toby'ego.

Jego również rozproszyło na chwilę bicie zegara – gęsty śnieg nie był przeszkodą dla podziwiania jego mocy i kunsztownego piękna.

Toby wziął głęboki oddech.

– Wrócę do domu z Robinem albo nie wrócę wcale.

W brzemiennej ciszy wszyscy przetrawiali znaczenie tych słów, po czym znów odezwała się Hope.

– Myśli, że on do niej wróci – powiedziała powoli, jakby odczytywała te słowa z kawałków rozbitego wazonu, które pieczołowicie poskładała. – Dlatego tu jest.

Megan zamrugła oślepiona śniegiem.

– Co masz na myśli?

– Most – oznajmiła Hope z wyrazem nagłego triumfu. – Most Karola, tam ją znajdziemy. Będzie tam czekać na spełnienie swojego życzenia.

Ollie pojął wszystko szybciej niż Megan, umysł nauczyciela prędej poskładał kawałki układanki. Na jego twarzy odmalowała się przez chwilę ulga, ale w mgnieniu oka zastąpiło ją przerażenie, gdy po raz kolejny podniósł wzrok na zegar – właśnie wybiła północ.

– Ale jej życzenie się nie spełni – powiedział, a rysy jego twarzy wykrzywił lęk. – A czas mógł właśnie minąć.

Zapadła przerażająca cisza, a potem Ollie odwrócił się i zaczął pędzić przed siebie.

Pod Sophie drżały nogi, gdy przygotowywała się do wejścia na murek. Nie wiedziała, czy z zimna, czy ze strachu, ale coraz trudniej było jej utrzymać wyprostowaną sylwetkę. Zdawała sobie sprawę, że pada śnieg, czuła go na policzkach, dostrzegała w szczelinach bruku. Gdy spojrzała na lewo, w stronę Małej Strany, zauważyła biały puch na głowach i ramionach posągów stojących licznie na moście.

Śmierć zawitała tutaj już tyle razy, tyle upadłych dusz zastygło na podobieństwo kamieni – jakie znaczenie miałyby jeszcze jedna?

Sophie nie chciała umierać, ale nie chciała też żyć bez Robina. Ta część zawsze była trudna. Uświadomiła sobie teraz, że to właśnie ten strach musiał ją tak gryźć przez kilka minionych dni. To przez niego nie była w stanie jeść i prawie nie mogła spać; to on sprawiał, że budziła się z krzykiem w hotelu w środku nocy i dosłownie zbijął ją z nóg – ale nareszcie była na moście i za kilka chwil wszystko się skończy. Ból, samotność, agonia tęsknoty za nim – jeden krok, jeden skok wymaże całe niemożliwe do zniesienia cierpienie.

Miejskie zegary przestały już bić, a wzdłuż mostu rozciągała się ciemność, otulając ją mrocznymi ramionami. Śnieg padał bezgłośnie, a Sophie zapatrzyła się znowu w widok po drugiej stronie muru – w zapraszającą czerń Wełtawy. Woda unosiła się i piętrzyła, jej cichy szept obiecywał wybawienie płynące z ukrytej głębin.

Nadszedł czas. Rok i jeden dzień wcześniej Sophie i Robin stali tutaj ramię w ramię, prosząc o cud. Ale ich życzenie nie zostało spełnione. Nic ani nikt nie wróci jej Robina, musi więc pójść do niego.

Zrobiła krok do przodu, uniosła nogę, chcąc wspiać się na most, gdy nagle i niespodziewanie rozległ się krzyk.

– Sophie!

Odwróciła się i dostrzegła wśród płatków śniegu zbliżającą się postać mężczyzny, którego jasne włosy błyszcząły w delikatnym świetle księżyca.

To był on, jednak przyszedł.

Sophie postawiła nogę na ziemi, wciąż trzymając kamienną poręcz mostu. Postać zatrzymała się kilka metrów od niej, uniosła rękę do ust, aby powstrzymać szloch, najwyraźniej ulgi.

– Robin? – wydobyła z siebie ledwie słyszalny szept.

Postać milczała i dopiero wtedy Sophie dostrzegła innych ludzi stojących za mężczyzną. Skołowana, omiotła ich wzrokiem, licząc do czterech. Kim byli? Czyżby Robin nie był dzisiaj jedyną osobą, która została oddana?

– Robin, wszystko w porządku – powiedziała, ale jej głos zdawał się

docierać z daleka. Mrużyła na niego oczy przez sypiący śnieg. Dlaczego do niej nie podchodzi? – W porządku – powtórzyła. – Jestem tu. To ja. Sophie. Wróciłam po ciebie.

Postać pokręciła głową i pochyliła się w przód, żeby oprzeć dłonie na kolanach. Sophie usłyszała pełen udręki płacz i znów spojrzała na pozostałych ludzi. Wydawało jej się, że skądś ich zna, ale nie mogła się przedrzeć przez dziki mętlik, jaki miała w głowie. Co się z nią dzieje?

Usłyszała ostry ochrypły dźwięk i zrozumiała z konsternacją i trwogą, że wyszedł z jej ust. Z trudem łąpała powietrze, chwyciła się kurczowo kamiennej poręczy, łamiąc paznokcie na mokrym murze, w który wbiła mocno palce. Wśród płatków padającego nieustannie śniegu zaczęły krążyć czarne plamy, a serce ścisnęło jej się w piersi.

– Sophie, nic ci nie jest?

Tym razem był to inny głos, też męski, który znała.

– Nie mogę... – zaczęła, ale brakło jej powietrza i następne słowa utknęły bezsilnie w gardle.

Miała świadomość ruchu, tego, że zbliżają się do niej ludzie. Runęła do przodu, przechyliła się przez poręcz, a wewnątrz jej ust wypełniły wymioty o smaku żółci.

– Sophie, pozwól sobie pomóc.

Podniosła wzrok, a gdy jasnowłosa postać w końcu zaczęła się do niej zbliżać, poczuła, że zalewa ją fala miłości. Już miała paść w ramiona Robina. Ale nie. Ten człowiek to nie był Robin.

– Nie dotykaj mnie! – Uchyliła się przed nim, pod wpływem szoku odzyskując głos. Zawahał się przez chwilę, po czym ruszył znowu, ale Sophie była szybsza. Trzema sprawnymi ruchami wspięła się na balustradę i stanęła na jej szczycie. Tylko krok dzielił ją od atramentowo czarnej rzeki.

Jakaś kobieta zaczęła płakać. Sophie dostrzegła Hope wyłaniającą się zza zasłony śniegu. Wyciągała do niej rękę, a na jej twarzy malował się strach.

– Proszę, zejź na dół – wyszeptwała. – Nie musisz tego robić, kochanie.

Sophie zamrugała w odpowiedzi i spojrzała na dół, gdzie wciąż stał Toby, nie spuszczać z niej oczu.

– Nie mogę – powiedziała, a jej głos natychmiast przerodził się w szloch. – Nie mogę już dłużej.

Toby płakał, patrząc na Sophie. Był bardzo podobny do młodszego brata, z włosami kręcącymi się przy uszach i kwadratową szczęką. Sophie chciała go za to kochać, ale czuła jedynie nienawiść, że to on żyje, a nie Robin.

– Pomożemy ci – powiedziała Hope błagalnym głosem. – Zejź na dół i pozwól nam się tobą zaopiekować.

Pod Sophie drżały nogi. Czuła się taka zmęczona, tak niewiarygodnie

zmęczona. Chciała, żeby to się już skończyło. Najwyższy czas.

– Tak mi przykro – wyszeptała, nie do grupy zgromadzonej u jej stóp, ale w powietrze, tak jakby jej słowa miały popłynąć do domu i znaleźć rodziców, przyjaciół, tych, którzy będą mieć do niej żal, że ich opuściła.

Wzięła ostatni głęboki oddech i zrobiła krok.

Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund.

W jednej chwili postać Sophie, drobna i drżąca jak pisklę, z wielkimi, przerażonymi oczami, stała na skraju balustrady, a w następnej – zmiotły ją błyskawicznie z powietrza silne ramiona. Ramiona Ollego.

Hope nie zauważyła nawet, że w milczeniu zatoczył krąg na moście, ale na kilka chwil przed tym, jak Sophie przymierzyła się do skoku, zobaczyła, że skrada się bezgłośnie z powrotem w ich stronę, nie spuszczać oczu z postaci na balustradzie.

Toby ryknął w tym samym momencie, kiedy Ollie zerwał się z ziemi i wyskoczył w powietrze, łapiąc upadającą Sophie, po czym zatoczył się w tył na bruk. Megan stojąca obok Hope wydała głośne westchnienie strachu i natychmiast zaczęła płakać.

Hope bez słowa chwyciła za rękę Annette, a drugą dłonią starła z twarzy łzy. Serce tłukło jej się w piersi i gwałtownie drżała. Ollie postawił Sophie na ziemi, ale nadal mocno ją obejmował i cały czas poruszał ustami, wydając uspokajające odgłosy. Hope usłyszała cichy płacz Megan.

Sophie ucichła z szeroko otwartymi oczami, które nawet nie drgnęły. Hope patrzyła, jak przytłoczony nieszczęściem Toby podchodzi do Sophie i wyciąga ramiona, rozpaczliwie chcąc ją pocieszyć. Sophie przez chwilę wpatrywała się w niego w ciszy, po czym zaczęła krzyczeć.

Nie mogąc znieść widoku jej męczarni, Hope podniosła wzrok na smutne twarze spoglądające na nich z góry w ciemności. Niewzruszone posągi, o refleksyjnym wyrazie twarzy na wieki wykutym w kamieniu, wyrażały na swój sposób ogromne współczucie.

Sophie nie przestawała krzyczeć. Długie, przeciągłe zawodzenie wyrażające nieskończoną rozpacz i niewyobrażalny ból. Hope czuła, że pęknie jej serce, była zupełnie bezradna. Wzburzona i niespokojna przywarła do Annette. Stały tak obie, wspierając się nawzajem. Megan zwinęła się w zbitą kulkę i z policzkami mokrymi od śniegu zastygła przy murze, zasłaniając rękoma uszy.

Hope zauważyła, że Ollie też zaczynał walczyć, że jego opanowanie się kruszyło, gdy udręczone ciało Sophie miotało się w jego ramionach, a jej ochryple udręczone krzyki przesywały ciszę.

– Robin! – krzyczała w kółko, aż ślina pryskała jej z ust, a imię zamieniało się w przeciągłe bolesne wycie.

Ollie pozwolił jej krzyczeć, ani na chwilę nie zwalniając uścisku, aż wycie przerodziło się w kwilenie. Okulary, które spadły mu wcześniej z nosa, leżały w śniegu u jego stóp, wełniana czapka się przekrzywiła, a na policzkach wykwitły

rumieńce. Toby klęczał przed nimi z twarzą wykrzywioną z udreki i wciąż wyciągał ręce, gotowy przytulić Sophie.

– Gdzie on jest? – zawołała nagle Sophie. – Dokąd odszedł?

Toby nie był w stanie powstrzymać szlochu, gdy odpowiedział:

– Nie wiem, Soph. Nie wiem, gdzie jest.

Sophie znowu zaczęła wyć, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami.

– Nie – wypowiedziała z trudem to jedno słowo. A potem powtarzała w kółko bez końca: – Nie mogę. Nie dam rady.

– Tak mi przykro – wyjąkał Toby. – Szkoda, że to nie byłem ja. Codziennie żałuję, że nie mogłem się z nim zamienić.

Hope spróbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby Annette zachorowała. Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by zdjąć z niej ból, by przyjąć go na siebie. Śmierć i żal to dwie zupełnie różne rzeczy. O ile ta pierwsza była czymś ostatecznym i nieuniknionym, o tyle ten drugi okazywał się nieubłaganym wrogiem. Czaił się w tle i czekał, żeby uderzyć; łapał człowieka za gardło i nie pozwalał zaczerpnąć tchu. Był wypalającym uczuciem oburzenia, uczuciem, że dzieje się coś tak strasznego, że nie sposób tego pojąć. Śmierć okazywała się zaledwie uprzejmą kuzynką surowego, bezlitosnego i pochłaniającego wszystko uczucia żalu.

– To tak bardzo boli – szlochała Sophie. – Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść tego bólu. Nie mogę.

– Wiem, że to boli – powiedział Toby i wyciągnął rękę, żeby dotknąć Sophie. – Mnie też to boli. Czasami nie mogę oddychać, tak boli.

– Nie chcę żyć bez niego. – Powiedziała to z takim przekonaniem, że Hope aż się wzdrygnęła, jakby ktoś ją uderzył.

Jej wzrok powędrował ku Megan, która wciąż siedziała pod murem i opierając głowę na kolanach, obejmowała je rękoma. Nie odezwała się słowem, odkąd Ollie ruszył biegiem z placu i przyprowadził ich na most. Hope zastanawiała się, co może się dziać w głowie przyjaciółki. Czy odezwało się echo jej własnego, dawno pogrzebanego żalu? Pomyślała o tym, co Ollie powiedział w barze, o tym, jak rzeczowo opowiadał Megan o swoich uczuciach. Miała wrażenie, że było to całe wieki temu.

– Wiem, że nie chcesz – mówił Toby do Sophie, trzymając ją za rękę. – Ale musisz. Musisz. Musisz to zrobić dla Robina. On by nie chciał, żebyś zrezygnowała z życia, wiesz, że by nie chciał.

Sophie otworzyła swoje wielkie oczy jeszcze szerzej. Śnieg nie sypał już tak mocno i Hope dostrzegła jej zaczerwienione białka.

– Wiem – powiedziała w końcu Sophie cichym głosem, stukając głową w pierś Ollego. – Ale ja nie działam bez niego. Brakuje mi jakiejś części. Czuję... – Szukała właściwego słowa. – Czuję się bezradna.

Zaczęła znowu płakać, jakby to spostrzeżenie było zaskakujące dla niej samej. Na tym moście, tego wieczoru żal wcale nie ukrywał przed nimi swojego oblicza – tańczył z radosnym uniesieniem i zacierał ręce, ciesząc się obietnicą tak wszechogarniającej agonii.

Ollie wolnym ruchem podniósł ręce i pozwolił Toby'emu, by zastąpił go na mokrej ziemi. Sophie zawahała się w pierwszej chwili, ale potem otoczyła Toby'ego ramionami, splatając palce. Przywarli do siebie połączeni wspólnym płaczem.

Ollie stał chwilę bez ruchu, po czym spojrzał najpierw na Hope i Annette, a potem na Megan. Wydawał się wyczerpany. Hope widziała, jak Megan podniosła się z ziemi, po czym wpatrywali się w siebie w milczeniu. Megan otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale Ollie pokręcił głową, uciszając ją. Nie było nic do powiedzenia, pomyślała Hope. Mogli tylko tu być, dla Sophie i Toby'ego, i dla siebie nawzajem.

Patrząc na ostatnie płatki śniegu opadające w ciszy, Hope odszukała wzrokiem żółty krąg księżyca. Jacy mali musieli się stamtąd wydawać – jacy drobni i nic nieznaczący na tle kolorowego kalejdoskopu wciąż poruszającego się świata. Ale ten moment nie był ani błahy, ani nieważny. Wszyscy przybyli do Pragi, szukając odpowiedzi, a miasto wynagrodziło ich w jedyny sposób, jaki znało – gromadząc ich tu razem.

Megan nigdy w życiu nie była tak przemarznięta.

Palce pulsowały jej w rękawiczkach, stopy zaś wydawały się tak kruche, jakby przy najmniejszym dotyku miały się rozsypać. Skulona przy balustradzie mostu, cała się trzęsła, a teraz, kiedy byli już w ruchu, w miejsce drżenia przyszło otępienie. Zimno przenikało aż do szpiku kości i wyziębiało ją teraz od środka, tak że kuliła się nawet podczas marszu, unosząc ramiona, aż bolały ją plecy.

Przed nią szedł Ollie, w niewielkiej odległości od Toby'ego, który prowadził Sophie, obejmując ją ramieniem. Tuż za nią podążały Hope i Annette, przytulone do siebie, z twarzami zastygłymi od potworności tego, czego przed chwilą stały się świadkami. Megan wciąż od nowa odtwarzała ten moment w umyśle – widziała Ollego, który złapał Sophie, gdy zrobiła krok w przepaść, przypominała sobie to straszne uczucie, kiedy przez ułamek sekundy bała się, że on również wyleci za balustradę mostu. Na samą myśl, że mogłaby utracić Ollego, kuliła się ze strachu. Nie do wiary, jaka była przedtem głupia i krótkowzroczna.

Skręcało ją w brzuchu, gdy myślała o Sophie, i wciąż miała w uszach jej pełne udręki zawodzenie. Nie była w stanie nawet sobie wyobrazić, przez jakie cierpienie przechodzi ta dziewczyna, ale co dziwniejsze, czuła się wdzięczna, że stała się tego świadkiem. Sophie straciła człowieka, którego kochała jak nikogo na świecie, bardziej niż siebie samą. Jak Megan mogła wyrzucić Ollego ze swojego życia, skoro chciał z nią być i tylko na to czekał? Jak mogła być taką ignorantką, żeby myśleć, że cokolwiek jest ważniejsze niż miłość, którą – teraz wiedziała to bez najmniejszego wahania – do niego czuła?

Niewiele brakowało, żeby wyznała mu to na moście. Już otworzyła usta, żeby powiedzieć: „Kocham cię”. Ale powstrzymał ją, pokręcił głową – i miał rację, to nie był dobry moment. Tylko czy nie jest tak, że każdy moment jest dobry, jeśli chcesz powiedzieć komuś, że go kochasz? Czy nie jest tak, że każdy chce to usłyszeć? Zawsze miło to usłyszeć, nawet jeśli samemu się tej osoby nie kocha, czyż nie?

Wiedziała, że Ollie ją kocha, chociaż nie pozwoliła mu tego wyznać w parku całe godziny temu – a teraz w końcu udało jej się przebrnąć przez te wszystkie rozdziały wypełnione chaosem, lękiem i niepewnością, żeby znaleźć się na tej samej stronie co on. Jeśli sprawa Sophie czegoś ją nauczyła, to tego, że cenna jest każda chwila – Megan chciała od teraz każdą swoją chwilę spędzić z Olliem.

Recepcjonistka w hotelu narobiła dużo szumu, kiedy wrócili. Wezwała jednego z pracowników, żeby przygotował coś ciepłego do picia, wyczarowała koce i przyniosła talerz kanapek. To był miły gest, ale nikt nie był w stanie jeść, a Megan czuła, że żołądek jej się wykręca na widok grubych plastrów szynki między

dwoma kawałkami brązowego chleba. Sophie wciąż tuliła się do Toby'ego, oczy miała zamknięte, a policzki mokre od łez, które nie przestawały płynąć. Megan żałowała, że nie może czegoś zrobić albo powiedzieć, żeby zdjąć z niej chociaż odrobinę cierpienia, ale wiedziała, że w żaden sposób nie jest w stanie się do tego przyczynić.

Hope otoczyła szklaneczkę gorącego wina obu dłońmi. Wydawała się zatopiona w myślach, a Megan złapała spojrzenie Annette, gdy obie na nią patrzyły. Nadal nie wiedziała, gdzie podział się Charlie, ale nie miała siły o to pytać. W pokoju panowała cisza, a niewypowiedziane słowa zapełniały każdy skrawek przestrzeni.

– Może pójdziemy spać?

Annette przerwała milczenie, na co wszyscy oprócz Sophie podskoczyli zdziwieni.

Toby skinął głową.

– Myślę, że ona już śpi – szepnęła, wskazując głową na Sophie.

– Pokażę ci, gdzie jest jej pokój – zaproponował Ollie przyciszonym głosem.

– Na pewno recepcjonistka będzie miała zapasowy klucz.

Odwrócił się przed wyjściem i spojrzał na Megan.

– Spotkamy się na górze – powiedziała do niego.

Hope dopiła wino i wstała.

– Spróbujemy zjeść rano śniadanie? – zapytała. – O której masz samolot?

– Musimy wyjechać przed dziesiątą – odpowiedziała Megan i pomyślała, że dziwnie jest prowadzić znowu normalną rozmowę, jakby wydarzenia ostatnich kilku godzin w ogóle nie miały miejsca i jakby życie każdego z nich nie zostało nieodwracalnie zmienione.

Hope skinęła głową.

– My wyjeżdżamy przed lunchem, ale zejdę na dół około dziewiątej.

Weszli razem po schodach, a kiedy Hope dotarła na pierwsze piętro, uścisnęła Megan.

– Dbaj o siebie – powiedziała i kciukiem pogłaskała Megan po policzku. – I dbaj o Ollego.

Megan skinęła głową.

– Będę.

W pokoju odwiesiła przemoczony płaszcz i zdjęła dzinsy, po czym rzuciła je na górę walizki i sięgnęła po piżamę. Ostatecznie zabrała ze sobą najmniej atrakcyjną, jaką zdołała znaleźć, z grubego materiału w bałwanki. Chciała w ten sposób zniechęcić Ollego, ale teraz wydało jej się to absurdalne. Nie do wiary, że w ogóle pomyślała, że spodnie od piżamy w świąteczny wzór mogłyby w jakikolwiek sposób wpłynąć na uczucia Ollego do niej.

Włosy miała tak pozlepiane i przemoczone, że nawet nie próbowała ich

rozczesywać, tylko związała je w koczek, zmyła ślady tuszu do rzęs z umazanych łzami policzków i wyszczotkowała zęby. Właśnie zdążyła wsunąć się pod kołdrę, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Ollie. Od gorącego powietrza z grzejnika natychmiast zaparowały mu okulary. Zdjął je i potarł wewnętrzne kąciki oczu kciukiem i palcem wskazującym.

– Wszystko dobrze?

Uniósł wzrok, jakby dopiero teraz ją dostrzegł, ale nie uśmiechnął się.

– Niezupełnie.

– To, co zrobiłeś na moście – zaczęła, patrząc, jak zdejmuje kurtkę i rzuca ją na oparcie krzesła. – Zachowałeś się niesamowicie. Jak prawdziwy bohater.

Ollie odpowiedział niezobowiązującym pomrukiem.

– Nie bądź taki skromny – skarciła go. – Uratowałeś Sophie życie, wszyscy to widzieliśmy.

Wzruszył ramionami.

– Po prostu byłem najbliżej. Każdy z nas zrobiłby to samo.

Pokręciła głową.

– Myślę, że się mylisz. Byłeś jedyną osobą, która zachowała rozsądek. Gdybym to była ja, to Sophie wylądowałaby pewnie po drugiej stronie.

– Nie mów tak. – Wydawał się wyczerpany, a Megan zmarszczyła brwi. – Jest już bezpieczna – dodał. – Tylko to się teraz liczy.

– Ale na pewno nie jest z nią dobrze. – Megan nie mogła się powstrzymać od tej uwagi. – I myślę, że minie jeszcze dużo czasu, zanim wróci do siebie.

Ollie znowu potarł oczy, unikając jej wzroku.

– Może masz rację – powiedział. – Ale nadal tu jest, żyje. A póki żyje, jest nadzieja. Tobie na pewno się nią zaopiekuje. Rozmawiałem z nim chwilę na górze. Cała rodzina uwielbia Sophie. Wszystko, co opowiadała nam o sobie i Robinie, to była prawda.

– Nie licząc tego, że nadal żyje.

Wiedziała, że zabrzmiało to chłodno, ale chciała okazać współczucie. Ollie spojrzał na nią z neodgadnionym wyrazem twarzy.

– Tak. Nie licząc tego.

Poszedł do łazienki i zamknął drzwi, a Megan usłyszała dźwięk wody z prysznica, splukiwania toalety i mycia zębów nad umywalką. Gdy się pojawił, włosy miał mokre i przyklejone do głowy, czuła też zapach mięty. Zamiast bokserek, w których zwykle sypiał, włożył czystą parę dżinsów i koszulkę.

– Dlaczego się ubrałeś? – zapytała, czując, że niepokój podchodzi jej do gardła.

– Będę spał na dole w barze – odpowiedział, wciąż unikając jej wzroku.

– Ale po co, u licha?

– Muszę pobyć sam. – Wyjął bluzę z walizki i wciągnął przez głowę. Megan

obserwowała jego ruchy, zauważając, że wrzucił do śmieci kwiaty, które jej rano kupił. – Nie wiem, czy w ogóle będę w stanie zasnąć – dodał. – Po tym wszystkim, co się stało.

– Proszę, nie. – Megan słyszała strach we własnym głosie. Ollie spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Chcesz, żebym tu z tobą został? – domyślił się. – Pocieszył cię? Zaopiekował się tobą?

– Chcę... – przerwała, nagle nie mogąc dokończyć. Wciąż był na nią zły.

– Właśnie o to chodzi, prawda? – powiedział, zakładając ręce. – Zawsze chodzi o to, czego ty chcesz.

Tego się nie spodziewała.

– Przepraszam – zaczęła, ale jej przerwał.

– Ciągłe to powtarzasz – powiedział. – Ale czy w ogóle wiesz, co to znaczy? Czy kiedykolwiek było ci przykro, że mnie tak traktujesz?

– Wiesz, że tak!

– Doprawdy?

Megan podciągnęła kołdrę pod samą brodę jak prowizoryczną tarczę chroniącą przed żalem, który na nią wylewał.

– Nie mogę tak dłużej – dodał już bez złości, ale ze smutkiem. – Wszyscy dziś widzieliśmy, do czego może doprowadzić złamane serce. Nie chcę narażać się więcej na ten ból i te bzdury.

– Ja też nie chcę – krzyknęła. Ale miała na myśli to, że nie chce dłużej bawić się z nim w kotka i myszkę, tylko pragnie naprawdę z nim być. Ollie jednak wzdrygnął się na jej słowa.

– Zanim tu przyjechaliśmy, myślałem, że mogę być twoim przyjacielem – mówił dalej. – Nie zaplanowałem tego, że się w tobie zakocham, ale tak się stało i teraz już tego nie cofnę. Jednak dwa razy mnie odrzuciłaś, Megs. Nie możesz mnie sobie brać, kiedy masz na to ochotę, żeby zadowolić własne ego, nie będę już taką osobą w twoim życiu.

– Nie chcę, żebyś był – powiedziała. – Chcę, żebyś... – Znowu urwała i ze złością walnęła w materac, przeklinając własne tchórzostwo.

– Chcesz, żebym co? – zapytał Ollie. Wciąż stał z założonymi rękoma, wysuwając przekornie podbródek. – Mam się koło ciebie kręcić jak jakaś nastolatka obok ulubionego członka boysbandu? Mam ci codziennie powtarzać, jaka jesteś wspaniała, żebyś mogła chodzić z uniesioną głową? Mam wskakiwać ci do łóżka, gdy tylko pstrykniesz palcami, a potem udawać, że mnie to nie obchodzi, jak uciekniesz następnego ranka?

Megan otworzyła usta, ale zdołała z siebie wydobyć tylko oburzone sapnięcie. Chciała mu powiedzieć, słowa czekały niecierpliwie w jej ustach, czuła jednak, że chowają się coraz głębiej z każdym uszczypliwym komentarzem, który

rzucił pod jej adresem. Kochał ją, ale zrujnowała wszystko swoim niezdecydowaniem, a teraz przekonał się, co może się stać z człowiekiem, który ma złamane serce. Nic dziwnego, że zaczął się bać.

– Przepraszam, że uciekłam – powiedziała zamiast tego, co chciała. Burknął coś w odpowiedzi. – Byłam skołowana. Musiałam pomyśleć.

– Zawsze chodzi o ciebie – stwierdził. – O to, czego ty chcesz, czego potrzebujesz, co ty czujesz. A pomyślałaś, czego ja potrzebuję, czego chcę? Co czuję?

– Jestem idiotką – odparła i próbowała się uśmiechnąć. – Wiem, że jestem samolubną krową i że okropnie cię traktowałam. Przepraszam, naprawdę. Proszę, uwierz mi.

Ollie pokręcił głową.

– Za późno – powiedział. – Nie mogę być twoim emocjonalnym workiem treningowym, Megs. Nie mam na to siły. Wiem, że boisz się zaufać ludziom po tym, co zrobił ci tej łąjdak, Andre, ale ja nie jestem taki jak on. Wiesz, że nie. Nie chcę skończyć jak biedna Sophie, z sercem nie do naprawienia. Muszę spróbować uwolnić się od ciebie, a to jest możliwe tylko wtedy, jeśli przez jakiś czas nie będę cię widywał.

– Nie mówisz poważnie? – wyszeptała, ale widziała po jego twarzy, że nie żartuje. – Nie chcę cię stracić.

Jego twarz na sekundę złagodniała, podszedł do łóżka i położył rękę na jej głowie.

– Wiem, że nie chcesz – dodał. – Ale na razie musi tak być. Tym razem muszę przede wszystkim pomyśleć o sobie. Przykro mi.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Nic oprócz tych dwóch słów, których nie zdołała z siebie wydusić. A teraz było za późno. Nawet gdyby zdobyła się na to, żeby powiedzieć Ollemu, co czuje, to nie miała pewności, czy w tej sytuacji by jej uwierzył. Pozwoliła, żeby odszedł, patrząc w milczeniu, jak podchodzi do drzwi. Zanim je zamknął, przez krótką chwilę patrzył jej prosto w oczy, a potem odwrócił się i zniknął.

Pięć miesięcy później

Wiosna zawitała późno w tym roku, przybywając jako ostatni gość na coroczne pożegnalne przyjęcie zimy, i chociaż był już maj, żonkile dopiero przedzierały się z determinacją przez miękką, wilgotną ziemię, pokrytą opadłym kwieciem drzew.

Sophie oparła głowę o szybę i patrzyła na przesuwany się szybko krajobraz – rozmazany pas zieleni, brązu i żółci. Delikatne kołysanie pociągu wprawiło ją w nastrój sennego spokoju, a słuchawki spoczywały nietknięte na bluzie. Ostatnią podróż do Londynu odbyła wtedy, kiedy miała polecieć do Pragi, więc wyobrażała sobie, że dzisiejsza wyprawa będzie trudna. Ale stało się inaczej i dobrze się czuła, że udało jej się wyrwać z domowego aresztu. Że mogła uwolnić się od zalęknionej troski kochających rodziców, płynącej wprawdzie z głębi serca, ale przytłaczającej swoją intensywnością. Po raz pierwszy od miesiący zgodzili się spuścić ją z oka, po raz pierwszy poczuła, że znów jej zaufali, i już sam ten fakt wprawił ją w dobry nastrój.

Wiosna zawsze była jej ulubioną porą roku, rozświetloną odradzaniem się przyrody, nowym początkiem i możliwościami. W zimie opadały i umierały liście, zwierzęta chowały się w jamach i norach, a ptaki odlatywały w poszukiwaniu cieplejszych zakątków, w których mogły całymi dniami siedzieć na gałęziach i wyśpiewywać trele. Wiosna była natomiast powitaniem, rozpościerała szeroko ramiona, aby otoczyć nimi tych, którzy rozpoczynali nową podróż. Sophie wiedziała, że sama rozpoczyna nowe życie, życie bez Robina przy boku, tylko teraz już nie miała uczucia, że patrzy w ciemną pustkę. Na końcu ścieżki jej cierpienia pojawiło się słabe światło.

Wystawa prac Megan stanowiła doskonałą okazję, żeby przetestować osiągnięty niedawno stan akceptacji. Wiedziała, że czeka ją jeszcze długa i wyboista droga, że prawdopodobnie nigdy nie będzie w stanie całkowicie przezwyciężyć towarzyszącego jej nieustannie uczucia smutku i straty, ale ta wyprawa do Londynu udowodniała, że może osiągnąć spokój i dalej żyć. I choć cieszyła się, że rodzice znów jej zaufali, za znacznie ważniejszy uważała fakt, że sama sobie potrafiła zaufać.

Sophie sięgnęła do torby i wyjęła list. Przeczytała go już tyle razy, że mogła recytować bez zająknięcia słowo po słowie, ale wciąż lubiła patrzeć na niestaranne pismo Robina. Było takie typowe dla niego, wyrażało jego nieuporządkowany charakter, a poza tym, kiedy czytała, słyszała w głowie jego głos.

Ten list dał jej w Pradze Toby, wyjaśniając, że znalazł go między rzeczami,

które szpital przekazał rodzinie po śmierci Robina. W oszołomieniu wywołanym żalem odstawiono torbę na bok i zapomniano o niej. Dopiero kiedy zadzwonili rodzice Sophie i szalejąc z niepokoju, powiedzieli, że zniknęła, Toby pomyślał, żeby zajrzeć do torby.

Ostatecznie to Robin ją ocalił. To jego słowa postawiły ją na nogi.

Sophie wyjęła z koperty kartkę papieru i zaczęła czytać.

Kochany Robaku,

wiem, że nie cierpisz, kiedy tak na Ciebie mówię, ale teraz nic na to nie możesz poradzić, prawda? Przepraszam, to pewnie nie najlepszy moment na żarty, ale znasz mnie – byłem i pozostanę idiotą. A poza tym naprawdę wyglądasz jak robaczek z tymi niesamowicie wielkimi oczami. Bardzo piękny robaczek, ale jednak.

Najgorsze podczas pisania tego listu jest to, że wiem, że będziesz go czytała beze mnie. Myślę, że w końcu oswoiłem się z myślą, że odchodzę, ale wiem, że Ty nie. Gdy czasami budzę się w nocy, wciąż Cię tu widzę, skuloną obok mnie na łóżku, patrzysz na mnie i dostrzegam w Twoich oczach tyle nadziei. Chcę, żebyś wiedziała, że nie chciałem umierać. Chciałem żyć. Chciałem zestarzeć się przy Tobie i patrzeć w te Twoje oczy, które zrobiłyby się jeszcze większe, gdy skurczyłaby Ci się głowa (jeszcze raz przepraszam!).

Muszę Ci coś powiedzieć i musisz obiecać, że nie będziesz przerywać. Obiecujesz? Okej. Kiedy w zeszłym roku pojechaliśmy do Pragi, żeby wypowiedzieć nasze życzenia na moście Karola, okłamałem Cię. Pierwszego dnia w ogóle nie wypowiedziałem życzenia, tylko udawałem.

Poczekalem kilka dni, wymknąłem się, kiedy spałaś, i samotnie poszedłem na most. Ale nawet wtedy nie wypowiedziałem życzenia, żebym znów był zdrowy. Nie prosiłem też o cud. Ale życzyłem sobie z całego serca, żebyś znalazła siłę, by być szczęśliwą, i żebyś dostała konieczną pomoc, by iść dalej beze mnie.

Pamiętasz, jak na początku leżeliśmy razem w ciemności i dzieliliśmy się sekretami? Powiedziałaś wtedy, że życie beze mnie byłoby nic niewarte. To mnie zawsze przerażało, Robaku, bo Ty jesteś taka pełna życia. Masz tyle miłości w sercu i musisz znaleźć ludzi, których będziesz mogła nią obdarzyć. Moja historia dobiega końca, ale Ty masz przed sobą jeszcze tak wiele rozdziałów. Czeka Cię małżeństwo i macierzyństwo, i do diaska, zostaniesz kiedyś babcią. Nie chcę, żeby coś Cię ominęło. Chcę, żebyś żyła tak, jakbym nadal przy Tobie był i zachęcał Cię do pokonywania kolejnych stopni. Uwierz mi, będę.

I właśnie dlatego tamtego ranka na moście – w tym samym miejscu, w którym się poznaliśmy – życzyłem sobie, żeby mój Robak, moja Sophie, była szczęśliwa, kochana i żeby żyła. To moje ostatnie życzenie i mam zamiar samolubnie żądać, żebyś je spełniła. Byłaś moim życiem, a teraz musisz wykorzystać to, co mieliśmy, by iść dalej. Użyj tej miłości, by zrobić coś dobrego

dla siebie i dla innych. Zwiedzaj świat, przeżywaj nowe przygody. Takie jest moje życzenie.

Tak bardzo Cię kocham, mój piękny Robaku.

Teraz i na zawsze

Robin XXXX

Po policzku Sophie spłynęła łza i skapnęła na rękę. Nie była w stanie doczytać do końca listu Robina, żeby nie uronić choć jednej, ale na jej ustach błąkał się cień uśmiechu. Chciał, żeby była silna, życzył jej szczęścia i ufał, że spełni to życzenie – nie mogła go zawieść. Ani teraz, ani nigdy.

Gdy godzinę później Sophie wychodziła ze stacji Waterloo, powitały ją promienie słońca i świeży majowy wiatr. Nie było tak ciepło, żeby zdjąć bluzę, ale przyszedł wreszcie czas na schowanie do szafy zimowych płaszczy aż do jesieni.

Wystawa Megan odbywała się w studiu wychodzącym na Tamizę, niedaleko Tate Modern. Sophie bez pośpiechu szła wzdłuż South Bank, patrząc na deskorolkarzy wykonujących imponujące akrobacje w betonowym parku wciśniętym pod dach, na dzieci ciągnące matki za ręce i domagające się lodów z okolicznych budek. Słońce wyciągnęło ludzi z domów tak jak zawsze, a twarze przechodniów wydawały się wręcz oszołomione jego blaskiem, jakby właśnie przebudzili się z długotrwałej hibernacji.

Brzeg rzeki mienił się kolorami i tętnił hałasami, mieszały się twarze i okrzyki, szczęście z zadowoleniem. A Sophie po prostu przedzierała się przez tę gmatwaninę, sącząc atmosferę jak lemoniadę przez słomkę. Zastanawiała się, dlaczego to miasto zrobiło na niej kiedyś takie złe wrażenie, dlaczego nie potrafiła dostrzec jego piękna. Teraz miała drugą szansę.

Sophie zanurkowała do torby, żeby znaleźć zaproszenie od Megan. Jej wystawa miała tytuł *Otwarta* – słowo to zostało zapisane czarną grubą czcionką, pod nim zaś znajdowała się jasnoczerwona kłódka, podobna do tej, jaką Sophie i Robin zostawili na wzgórzu Petřín. Jednak ta na obrazku nie była szczelnie zamknięta, lecz otwarta, a metalowe kółko wisiało z boku. Na drugiej stronie laminowanej kartki znajdowało się zdjęcie mostu Karola o świcie – na jego widok Sophie poczuła dreszcz. Nie widziała się z Megan od tamtej nocy na moście, kiedy niewiele brakowało, a zakończyłyby życie. Wspominając to teraz, Sophie miała dziwne uczucie, jakby odtwarzała w pamięci scenę z filmu, a nie z własnego życia. Szczegóły wciąż jej się wymykały, ale terapeutka zapewniała, że to zupełnie normalne, gdyż umysł broni ją przed przeżywaniem na nowo traumatycznego zdarzenia. Gdy Toby opowiedział jej w końcu, co się wydarzyło, umierała ze wstydu. Oczywiście, niepotrzebnie. Wszyscy, którzy byli wtedy na moście, odczuwali jedynie ulgę, że nic jej się nie stało. Podobnie jak Robin pragnęli tylko, żeby była szczęśliwa, ale Sophie wciąż miała w pamięci, co dla niej zrobili. I nigdy tego nie zapomni.

– Sophie, czy to ty?

Odwróciła się i zauważyła Hope, która przedzierała się do niej przez tłum, z wielkim uśmiechem na twarzy i bukietem herbacianych róż.

– Cześć! – Sophie podbiegła do niej i kobiety mocno się uściśniły. Hope ułożyła włosy w drobne loczki, co nadawało jej wygląd podekscytowanego kupidyna. Wydawała się świeża i entuzjastyczna, tak pełna wiosennej radości, że Sophie uśmiech nie chciał zejść z twarzy.

– Jak dobrze wyglądasz! – wykrzyknęła Hope i zmierzwiła dłonią jej włosy sięgające za uszy. Musiała nieźle wyglądać w Pradze, w workowatych rzeczach, z ostrzyżonymi włosami i w śmiesznej, sfatygowanej czapce Robina. Kiedy zaproponowała Robinowi, że ogoli głowę na znak solidarności z nim, był pod wrażeniem, ale błagał ją, żeby tego nie robiła. I tak go nie posłuchała. Sophie wiedziała o sobie przynajmniej jedno: że zawsze robi to, co chce – i była to jedna z cech, które Robin najbardziej w niej kochał.

– Ty też! – odpowiedziała zupełnie szczerze. Wydawało się, że przyjaciółka wprost kipi radością.

– Po raz pierwszy od Bożego Narodzenia mam wolny weekend – wyjaśniła Hope. – Pracuję w B&B dzień i noc. Oczywiście nie narzekam, ale ponieważ na dodatek tam mieszkam, to czuję się trochę tak, jakbym nigdy nie wychodziła z tego cholernego miejsca.

– Czuję się tak samo na farmie – przyznała Sophie. – Dziś po raz pierwszy wyszłam z domu od czasu... Pragi.

Wymieniły spojrzenia pełne niewypowiedzianych słów, a Hope pokręciła głową.

– Jak się czujesz? Pisałaś w mejlach, że dobrze, ale ludzie zawsze tak twierdzą. Jak naprawdę się czujesz?

Sophie zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

– Dochodzę do siebie – powiedziała szczerze. – Małymi krokami.

Hope położyła ciepłą dłoń na jej ramieniu.

– To wszystko, co możesz zrobić, kochana. A ja osobiście jestem z ciebie dumna.

Sophie odpowiedziała uśmiechem, znowu przewyciężając łzy.

– Chodźmy – odezwała się Hope. – Trzeba dotrzeć na tę imprezę, zanim wypiją całe darmowe wino. Od świąt nie piłam alkoholu i mam zamiar nadrobić stracony czas.

Droga do galerii zabrała im dziesięć minut, podczas których Hope podzieliła się z Sophie radosną nowiną, że zostanie babcią. Annette podobno chciała przyjechać z matką do Londynu, ale, jak Hope opowiedziała Sophie ze śmiechem, Patrick miał wprost obsesję opiekowania się Annette i z trudem wypuszczał ją spod swoich skrzydeł w weekendy, a co tu mówić o wyprawie w pojedynkę do Londynu.

Powiedziała też Sophie, że ma teraz lepsze układy ze swoim eksmężem Dave'em i że dostanie część pieniędzy ze sprzedaży ich domu.

– Powiedziałaś mu, żeby go sobie zatrzymał, ale najwyraźniej woli coś mniejszego – dodała. – Okazuje się, że sprzątanie domu z trzema sypialniami to znacznie więcej pracy, niż mu się wydawało. Ciekawe czemu?

Ani razu nie wspomniała o Charliem, a Sophie postanowiła nie pytać. Jeśli Hope będzie chciała poruszyć ten temat, zrobi to w swoim czasie.

– Nie wiesz, czy Ollie przyjdzie? – zapytała zamiast tego.

Hope pokręciła głową.

– Megan mówi, że nie rozmawiała z nim, od kiedy wrócili z Pragi. Chyba próbowała kilka razy, ale nie odbierał jej telefonów.

– Jaka szkoda – powiedziała Sophie. Ollie był w jej oczach prawdziwym bohaterem i miała wielką nadzieję, że będzie mogła mu wreszcie podziękować, jak należy. Poza tym gdy widziała go z Megan, to nawet w tym katatonicznym stanie wyparcia, w jakim była w Pradze, dostrzegała głębię uczuć, jakie do siebie żywili. Tamten pocałunek na schodach w hotelu, którego stała się świadkiem, przypominał pocałunki jej i Robina. Taki pocałunek mógł wypływać tylko z miłości.

– Jesteś pewna, że masz na to siłę? – zapytała Hope, kiedy były przy drzwiach. – Zdjęcia Pragi po tym wszystkim, no wiesz...

Sophie wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Ale chcę wejść i zobaczyć, jak będzie.

Hope otoczyła ją ramieniem.

– Dzielna dziewczyna!

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła Sophie po przekroczeniu progu, była ogromna fotografia kłódki jej i Robina. Megan tak opracowała zdjęcie, że wszystko inne miało barwę przytłumionej szarości, a czerwień kłódki wybijała się przez to jeszcze mocniej. Sophie na krótko zamknęła oczy i przywołała ten dzień, kiedy wspólnie z Robinem wypisali na niej swoje inicjały, przechwalając się ze śmiechem, jacy są sprytni, że ukryli kłódkę na wzgórzu, z dala od całej masy innych kłódek. Wydawało się wtedy, że nic ich nie pokona – to wspomnienie za każdym razem budziło uśmiech na jej twarzy.

– Czy to...? – zdziwiła się Hope, patrząc na inicjały na zdjęciu.

Sophie skinęła głową.

– Tak. Nie miałam pojęcia, że Megan ją znalazła.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Odwróciły się jak na skinienie. Stała za nimi Megan, z długimi jasnymi włosami upiętymi w ekstrawagancki koczek i z czerwoną pomadką, dopasowaną do obcisłej szkarłatnej sukienki.

– Megan! – Hope podeszła bliżej, żeby ją uściskać, a Sophie uśmiechała się do niej ponad ramieniem starszej przyjaciółki.

– Oczywiście, że mi nie przeszkadza – odpowiedziała, kiedy Hope uwolniła Megan z objęć i wręczyła jej bukiet herbacianych róż. – A nawet mi pochlebia. I jestem pewna, że Robin też by się tak czuł.

Teraz to Megan się uśmiechnęła.

– Tak dobrze wyglądasz – powiedziała, powtarzając niemal wcześniejsze słowa Hope.

– Ty też! – Sophie mrugnęła. – Po prostu ekstra! Atrakcyjna laska!

– Och. – Megan się zarumieniła i wygładziła obcisłą sukienkę. – W tym starym ciuszku?

– Ollie przyjdzie? – zapytała Hope. Najwyraźniej nie mogła się powstrzymać.

Megan zmarszczyła brwi.

– Zaprosiłam go, ale nie otrzymałam potwierdzenia. Mam nadzieję, że tak. Wysłałam mu wiadomość, że będziecie tu obie, więc na pewno przyjdzie, jeśli będzie mógł.

Starła się mówić blahym tonem, ale Sophie dostrzegła w jej oczach tęsknotę. Było jasne, o czym marzy Megan. Sophie skrzyżowała palce za plecami, żeby jej marzenie się spełniło.

Rozmawiały przez chwilę, a potem podeszła do baru, zostawiając Megan z Hope, która właśnie opowiadała o ciąży Annette. Poprosiła o wodę gazowaną. Zdjęcia z Pragi wisiały na wszystkich ścianach, zajmowały też w nieregularnych odstępach cokoły muru w dużym, przestronnym pomieszczeniu. Dopiero gdy Sophie przyjrzała się bliżej, dostrzegła, że wiele zdjęć ma jeszcze dodatkowy temat. Ten sam, powtarzający się w kółko.

– Ona go kocha – powiedziała na głos, stając przed fotografią w formacie A3, która przedstawiała Ollego, z uśmiechem na ustach i gołębiem na ramieniu, stojącego nad brzegiem Wełtawy. Wydawał się szczęśliwy i beztroski, a gdy Sophie przyjrzała się dokładniej, zauważyła w jego okularach odbicie mostu Karola.

– Kto kocha kogo?

Odwróciła się w stronę mężczyzny, który stanął obok niej. Był wysoki, znacznie wyższy od niej, z ciemnymi, miękko opadającymi włosami i dużym nosem. Zrobił bardzo poważną minę, ale w jego brązowych oczach Sophie dostrzegła wesołe iskierki.

– Megan kocha Ollego – powiedziała do mężczyzny, wskazując na fotografię. – To jest Ollie.

– Ach tak. – Mężczyzna udawał, że dopiero teraz to zauważył. – Tak się sprawy mają. Większość osób w szkole zna go jako pana Morrisa.

– Jest pan nauczycielem? – domyśliła się Sophie.

– Moja wina.

Wymienili uśmiechy, a Sophie natychmiast sama poczuła się winna. Przewiczonym ruchem chwyciła medalion, który nosiła na szyi, i przesunęła łańcuszek między palcami.

– Skąd pani zna Ollego? – zapytał ją, nie wiedząc, że to najtrudniejsze pytanie, jakie mógł zadać.

– Poznaliśmy się w Pradze – wymamrotała, sącząc wodę.

Nastąpiła chwila milczenia. Sophie obserwowała jego twarz, na której najpierw odmalowało się zrozumienie, a potem współczucie.

– Jest pani Sophie? – domyślił się.

Skinęła głową, znowu chowając się za szklanką.

Zacisnął usta.

– Strasznie mi przykro z powodu pani narzeczonego. Ollie i ja jesteśmy dobrymi kumplami. Mam nadzieję, że pani się nie gniewa, że mi opowiedział?

Pokręciła głową.

– Oczywiście że nie. To, co dla mnie zrobił... On po prostu... jest niesamowity.

Mężczyzna znowu spojrzał na fotografię.

– Zdaje się, że nie pani jedna tak myśli – powiedział. – Przy okazji, jestem Adam. Adam Clarke.

Wymienili uścisk dłoni, ale Sophie nie musiała się przedstawiać, a potem podeszli do kolejnego zdjęcia. Poznała, że zostało zrobione na wzgórzu Petřín. Ollie biegł w stronę aparatu, a jego twarz zasłaniał syjący śnieg.

– Jakie wspaniałe zdjęcie – zawołała. Im dłużej na nie patrzyła, tym większe odnosiła wrażenie, że niemal słyszy podekscytowane okrzyki Ollego oraz Megan i czuje na policzkach zimowy praski wiatr. Z fotografii dosłownie tryskały radość życia i miłość. Ollie był na każdej ścianie wystawy – gigantyczny list miłosny w obrazach. – Czy Ollie dziś przyjdzie? – zapytała Adama, który spojrzał na kieliszek z winem i zaczął obracać go w rękach.

– Nie jestem pewien – odparł. – Kiedy o tym wspomniałem, nie miał specjalnej ochoty, ale to było kilka dni temu. Może od tamtej pory zmienił zdanie.

– Mam nadzieję – powiedziała, odchodząc na bok, żeby obejrzyć kolejne zdjęcie, tym razem Ollie na moście Karola robił unik przed mewą, która próbowała porwać jego precel. – Szkoda by było, gdyby tego nie zobaczył.

Oglądali kolejne zdjęcia, gdy dołączyła do nich niesamowicie podekscytowana Hope, która dotrzymała słowa i zrobiła dobry użytek z darmowego baru. Była też śmielsza w rozmowie z Adamem niż Sophie, więc zanim skończyli jedno okrążenie, zdążyły się już dowiedzieć, że Adam ma trzydzieści dwa lata, jest singlem, bardzo lubi grać w tenisa i jest potajemnym fanem Céline Dion.

– Dużo podróżowałaś? – Sophie w końcu zdobyła się na pytanie. Hope

wpadła w ekstazę nad zdjęciem dzieci próbujących złapać bańki mydlane na placu Wacława.

Adam zrobił smutną minę.

– Nie tyle, ile bym chciał, ale to zabawne, że spytałaś. Bo tego lata właśnie wybieram się do Indii.

– Och? – Sophie skierowała na niego uwagę. Ostatnio też myślała o Indiach.

– Jest taka fundacja, która wspiera dzieci z najbiedniejszych rejonów i pomaga im zdobyć przyzwoite wykształcenie. Ciągłe szukają nauczycieli, więc pomyślałem, że zrobię coś dobrego.

– To niesamowite. – Sophie rozpromieniła się. – Naprawdę niesamowite.

Adam zarumienił się i na chwilę zabrakło mu słów.

– Może przynieść ci coś do picia? – zapytał, szybko dopijając wino, które jeszcze miał w kieliszku.

Miała ochotę się roześmiać, ale tylko skinęła głową.

– Chętnie. Z przyjemnością napiję się białego wina.

Odprawiała go wzrokiem, gdy sadził dużymi susami przez salę, o głowę wyższy niż pozostali goście. Dziwnie się czuła, rozmawiając z mężczyzną, którego wcześniej nie знаła, jednak nie miała powodu, żeby nie rozmawiać. Sophie wiedziała, że jeszcze długo nie będzie gotowa do tego, żeby choć pomyśleć o randce, ale miło było się przekonać, że jeśli i kiedy będzie chciała zrobić ten krok, to nie zabraknie doskonałych kandydatów.

– Poznałaś już Adama?

Pytanie zadała Megan, nieco bardziej zarumieniona niż przed godziną i bez czerwonej pomadki, która starła się od całowania policzków przybywających gości.

Sophie skinęła głową.

– Robi wrażenie miłego.

– Bo jest miły. Prawdę mówiąc, to jedyny przyjaciel Ollego, który po naszym powrocie z Pragi przysłał mi wiadomość z pytaniem, co u mnie słychać. Nawet moja matka tego nie zrobiła.

– A jest tutaj? – zapytała Hope, dołączając do nich.

Megan wskazała na drugi koniec sali, gdzie w towarzystwie przystojnego mężczyzny stała szczupła, roześmiana kobieta, której wygląd wskazywał na przynależność do bohemy.

– Jest artystką – powiedziała, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. – Myślę, że jest zakłopotana tym, co robię. Dla niej sztuka to malarstwo albo rzeźba. Sądzę, że w skrytości ducha uważa, że używanie aparatu jest oszustwem, ale nigdy by mi tego nie powiedziała.

– Na pewno jest z ciebie bardzo dumna – zaprotestowała Hope.

Megan uśmiechnęła się szeroko.

– Być może.

– Hej... – Sophie dźgnęła ją lekko łokciem. – Prawie na wszystkich zdjęciach jest Ollie... Czyżbyś nam czegoś nie mówiła?

Megan wzięła głęboki oddech i rozejrzała się. Był tam Ollie z kotem siedzącym na jego ramieniu, z filiżanką kawy w dłoni i zakłopotanym wyrazem twarzy; patrzący w dół z punktu widokowego, na okropnej rzeźbie dziecka z brązu, przy czym śnieg leżący na ziemi dodawał całej scenie niesamowitego blasku; Ollie i Megan w labiryncie luster, z zabawnie wykrzywionymi twarzami, ale nie na tyle, żeby nie odnieść wrażenia, że zza szklanej tafli dobiega ich wspólny śmiech.

– Tak – powiedziała w końcu, opuszczając wzrok. – Kocham Ollego. Cholernie go kocham. Kocham go tak, jak nikogo wcześniej nie kochałam.

Hope pisnęła i klasnęła w dłonie.

– Ale jakie to ma znaczenie? – jęknęła Megan, zataczając ramieniem krąg po zgromadzonych gościach. – Teraz wie o tym cały świat, tylko nie on.

Sophie podniosła rękę, żeby ją uciszyć.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała.

Ollie zatrzymał się w samym wejściu, omiatając wzrokiem pomieszczenie zza okularów, a na jego twarzy pojawił się wyraz szczerego zakłopotania, gdy uświadomił sobie, że niemal na każdej ścianie wiszą jego zdjęcia. Megan zauważyła, że obciął włosy i specjalnie na tę okazję włożył koszulę. Była ciemnoniebieska, a w poprzek rękawów biegły zagniecenia, sugerujące, że całkiem niedawno ją odpakowano. Na widok stojącego w drzwiach mężczyzny, w każdym calu tak wspaniałego jak ten, o którym od miesięcy marzyła, ogromny uśmiech przeciął jej twarz. Jednak przyszedł.

Megan usłyszała, jak Hope, która nadal stała u jej boku, wydała głośne westchnienie radości, gdy zdała sobie sprawę, z kim przyszedł Ollie. Pomyślała, że Charlie wygląda na zdenerwowanego, jak nowa rybka w starym akwarium. Jego oczy przeskakiwały z jednej twarzy na drugą, aż znalazły tę, której szukały. W tym momencie Hope wydała jakiś nieartykułowany dźwięk, zdecydowanie wyrażający radość.

– Przyszli. – Tym razem odezwała się Sophie i to ona podniosła rękę w stronę nowo przybyłych, aby ich przywołać. Megan, która przez cały wieczór obserwowała drzwi jak kot mysia norę, czekając właśnie na tę chwilę, nagle poczuła się przytłoczona nieśmiałością i szybko czmychnęła do baru.

– Poproszę o czerwone wino – powiedziała do barmana, którym był najstarszy syn jej szefa w galerii. Obiecała mu trzydzieści funciaków i świeżą dostawę ładnych gości rodzaju żeńskiego, jeśli poświęci kilka godzin i jej pomoże, na co zgodził się bez wahania. I chociaż próbował teraz bawić ją rozmową, nie była w stanie się skoncentrować. Nie mogła oderwać oczu od Ollego, który podszedł do Sophie i właśnie ją ścisnął, a na widok nieukrywanej radości na jego twarzy, że tak dobrze wygląda, Megan poczuła, jak roztapia się w środku niczym kanapka z piangkami.

Sophie powiedziała coś, z czego roześmiał się swobodnie i z uczuciem, ale natychmiast zamarł, kiedy wskazała za siebie na wiszące na ścianie jego zdjęcie przed karuzelą na Starym Rynku w Pradze, z barwnymi pasami wirującymi za jego plecami. Megan obserwowała, jak poprawia okulary na nosie – co zwykł robić w chwilach zdenerwowania albo skrępowania – i bawi się zaproszeniem, które trzymał w rękach. Zastanawiała się, czy już to rozgryzł – czy domyślił się, co miała na myśli, nadając wystawie tytuł *Otwarta*. Czy będzie zmuszona wyjaśnić mu to, a jeśli to zrobi, czy będzie chciał jej słuchać?

Z zamyślenia wyrwało ją przybycie dziennikarza z „Evening Standard”, który chciał przeprowadzić z nią wywiad na temat wystawy i opublikować wybrane zdjęcia w przygotowywanym artykule o fotografiach z podróży. Zadowolona, że

ma wymówkę, żeby ukryć się na chwilę przed Olliem, pozwoliła się zaprowadzić w odległy kąt pomieszczenia.

Nie sprawdzili się żadne z jej obaw dotyczących frekwencji na otwarciu wystawy, gdyż udzielili jej wsparcia starzy przyjaciele ze środowiska fotografów, którzy stawili się masowo tego wieczoru. Wielką wrzawę wywołało pojawienie się Clary Flynn, modelki, którą Megan poznała na sesji ponad dziesięć lat temu, a która teraz była jedną z najsłynniejszych gwiazd wybiegów na świecie. Gdy tylko przekroczyła próg, ruszyła tanecznym krokiem prosto do Megan, objęła ją długimi, szczupłymi ramionami i powiedziała z uroczym irlandzkim akcentem, jaka jest z niej dumna. Pochwaliła się, że zostanie ciocią, i dodała, że Megan musi koniecznie zrobić następną sesję na Zakynthosie. Mieszkał tam jej brat razem ze swoją dziewczyną, a Clara zapewniła, że potrafią oprowadzić po wyspie jak nikt inny.

Dlaczego nie? – pomyślała Megan. Przecież zwiedzanie świata było następnym punktem na jej liście. I nic nie stało na przeszkodzie, żeby zacząć od Grecji. Przynajmniej będzie ciepło. Wciąż drżała na wspomnienie zimna panującego w Pradze.

Wystawa była zaplanowana do szóstej wieczorem i kiedy Megan opowiedziała dziennikarzowi o dwóch trzecich swoich prac, starannie unikając odpowiedzi na jego coraz bardziej natarczywe pytania o głównego bohatera fotografii, sala powoli pustoszała. Ollie zniknął jej z oczu jakieś pół godziny temu i zaczęła wpadać w panikę, że już wyszedł. Może głupio postąpiła, wystawiając tak wiele jego fotografii – zwłaszcza to nieupozowane ujęcie, które powiększyła tak, że zajmowało niemal całą ścianę i wisiało na honorowym miejscu z tyłu studia. To było jej ulubione zdjęcie. Ukazywało Ollego na szczycie wieży obserwacyjnej w Pradze, jak z pochyloną głową rozmawia ze starszą parą, która opowiedziała im o labiryncie luster.

Usunęła kolory, żeby nadać fotografii głębię, i dzięki temu w scenie było coś hipnotyzującego – śmiech zatrzymany na jego ustach, ręka uniesiona w pół gestu, lekka smużka śniegu na czapce Ollego, pozostałość po ich bitwie na śnieżki na wzgórzu Petřín, a w dole krajobraz Pragi, zamazane sylwetki iglic i wież, mostów i wody. Megan uwielbiała to zdjęcie nie tylko dlatego, że przypominało o miłej chwili, ale również przez to, że stanowiło dla niej samą esencję Pragi, wielu pokoleń, które w niej współistnieją, jej historii i urody, a zwłaszcza magii. Kiedy przyjechała do tego miasta, nie wiedziała, czego ma się po nim spodziewać, ale Praga udowodniła jej w całej rozciągłości, że inspiracją jest dla niej tylko jedno. A konkretnie jedna osoba.

Megan ruszyła w stronę drzwi, dziękując gościom, którzy już wychodzili, obcałowując policzki i ściskając dłonie. Magda i Neil, jej znajomi z pubu, zatrzymali się na krótką pogawędkę, głównie dlatego, że też zauważyli pojawienie się Ollego. Zapewniła ich najlepiej, jak umiała, że tak, zamierza z nim

porozmawiać. Mama i tata obiecali, że zadzwonią rano, żeby jej powiedzieć, jacy są z niej dumni, na co Megan gwałtownie zamrugła oczami, żeby powstrzymać absurdalne łyzy. Mama oparła się pokusie i nie spytała o Ollego, chociaż Megan wiedziała, że musiał ją świerzbić język. Była wdzięczna, że rodzina zna ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co oznacza ta wystawa.

Goście zostawiali kieliszki po winie w każdym możliwym miejscu, więc Megan zaczęła krążyć po sali i je zbierać, wkładając palec do środka każdego, tak że mogła nosić po cztery w jednej ręce. Dostarczyła właśnie do baru drugą partię, kiedy go zobaczyła. Stał plecami do niej, ale i tak widziała, że założył ręce i przechylił głowę na bok, przyglądając się kolekcji zdjęć ściany Johna Lennona. Były to jedne z nielicznych, na których nie uwieczniła Ollego. Wzięła głęboki oddech, podeszła do niego i stanęła za jego plecami.

– Bob kocha Robaka, teraz i na zawsze – przeczytała głośno. – To mnie zawsze rozbawia.

– Robin to napisał – powiedział Ollie, nie spuszczać oczu z kolorowego graffiti. – Sophie właśnie mi to powiedziała. Lubił nazywać ją Robakiem z powodu dużych oczu.

– Naprawdę? – Megan od razu poczuła się zauroczona. – Nie miałam pojęcia.

– Można by powiedzieć, że po prostu masz oko do tych rzeczy – mówił dalej, nadal nie patrząc na nią.

– Te zdjęcia kosztują dwieście funtów za sztukę, jeśli jesteś zainteresowany – powiedziała. – Ale znam artystkę. Na pewno uda mi się uzyskać rabat.

Ollie odwrócił się odrobinę, ale nie spojrzał jej w oczy.

– Mam nadzieję – odparł. – Zwłaszcza że jestem na większości z nich.

– Ale tamto – wskazała na ulubione – nie jest na sprzedaż, niestety.

– Naprawdę?

– Tak, przepraszam. Artystka jest do niego bardzo przywiązana.

Odważyła się zrobić krok, tak że stała teraz obok niego. Czuła dobrze znany zapach jego wody po goleniu i nieco mdły aromat żelu, który wtarł we włosy.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała. W galerii wciąż rozlegał się szum rozmów, ale w pobliżu nikogo nie było. Megan wyobraziła sobie, że otacza ich bańka powietrza – niewidzialne pole siłowe z błagalnym napisem „nie przeszkadzać”.

Ollie zaszurał stopami po płytkach.

– Niewiele brakowało, żebym nie przyszedł.

Serce jej drgnęło jak balonik pociągnięty za sznurek.

– Ale zadzwonił do mnie Charlie. Przyjechał aż z Manchesteru. Był zbyt przerażony, żeby przyjść tu samemu. Myślę, że Hope go zaprosiła, chociaż nie widzieli się od Pragi.

– Naprawdę? – Megan był zaskoczona.

– Wiem. – Ollie spojrział na nią z ukosa. – Dorosły facet, który się boi spotkać z kobietą. Absurdalna sprawa, prawda?

Kiedy to powiedział, uświadomiła sobie, że on też bał się tu dzisiaj przyjść, więc nie skomentowała tego, tylko zakasłała.

– Wcale nie taka absurdalna – stwierdziła. – Nie bardziej niż dorosła kobieta zbyt przerażona, żeby zdecydować się na związek z mężczyzną, który jest najbardziej niesamowitym człowiekiem na świecie.

Ollie wolno skinął głową, nie odrywając oczu od zdjęć na ścianie. Patrzyła, jak błądzi wzrokiem po napisach, rozpoznając dobrze znane, i szuka rzeczy, z których razem się śmiali. Było tam przesłanie stada wilków: „Nie przestawaj wierzyć” i czarno-biała twarz Johna Lennona. I te słowa, które tak uwielbiała: „Niech to, co najlepsze w twojej przeszłości, stanie się tym, co najgorsze w twojej przyszłości”. Czy miała nadzieję na zbyt wiele, pragnąc, żeby się spełniły?

W końcu Ollie odpowiedział:

– Masz rację. To dopiero jest absurdalne.

Megan w milczeniu próbowała wydobyć właściwe słowa z tego szalonego chaosu, jakim w tajemniczy sposób stał się jej umysł.

– Tęskniłem za tobą – powiedział Ollie, wciąż na nią nie patrząc. – Myślałem, że będzie łatwiej, jeśli nie będę cię widywał, ale było naprawdę ciężko. Codziennie dzieje się coś, o czym chciałbym ci opowiedzieć, co na pewno by cię rozśmieszyło. Jesteś ze mną cały czas, Megs.

Zamilkł i wziął głęboki oddech. Megan obserwowała własną rękę, która zbliżała się do jego dłoni, desperacko pragnąc ją dotknąć, ale bała się nawet pomyśleć, czy on też tego chce.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – powiedziała, czując, że się poruszył. – Przez cały czas myślałam, że kiedy jestem z tobą, opuszcza mnie natchnienie. Sądziłam, że wywierasz wpływ na moją zdolność do robienia zdjęć, do kreowania tego wszystkiego. – Pokazała na ściany. – Sądziłam, że jesteś przeszkodą. Chciałam tam pojechać i spełnić swoje marzenia bez mężczyzny stojącego przy moim boku.

– Co się zmieniło? – zapytał Ollie, bardzo cicho.

– Kiedy byliśmy w Pradze, to właśnie ty byłeś moim natchnieniem. Miasto było przepiękne i wiedziałam, że robię coś wyjątkowego, ale najbardziej magiczne okazały się te zdjęcia, na których byłeś ty. Stałeś się moim natchnieniem. – Głos jej się załamał i zamilkła, a Ollie w końcu się do niej odwrócił.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? – zapytał, patrząc z powagą. – To znaczy nas.

– Nigdy w życiu nie byłam niczego taka pewna. – Uśmiechnęła się. – Chciałam ci pokazać, jak dużo dla mnie znaczysz, stąd to wszystko.

– To naprawdę coś. – Uniósł brew. Roześmiała się, czując ulgę, że się

odprężył. – Ale czy nie mogłaś po prostu przysłać mi mejla?

Zrobiła minę, ale wcale nie żartował.

– Chciałam zrobić coś romantycznego – wymamrotała, z trudem wydobywając z siebie słowa przez pancierz upokorzenia.

– Martwię się po prostu, że to wszystko... – Znowu wskazał na zdjęcia. – Że to część jakiegoś wielkiego przedstawienia, które wykreowałaś w swojej głowie. A co, jeśli jutro, jak się obudzisz, uświadomisz sobie, że wcale mnie nie chcesz?

Megan zastanowiła się nad tym pytaniem.

– Wiem tylko tyle – powiedziała, słysząc swój niemal rozpaczliwy ton – że od powrotu z Pragi codziennie, kiedy się budzę, chcę, żebyś był przy mnie. I czuję się żałamana, że cię nie ma. Wiem, że poczułeś się zraniony, kiedy cię odrzuciłam, ale uwierz mi, że nie ma chwili, żebym tego gorzko nie żałowała. Bałam się i byłam skołowana. Myślałam, że wszystko sobie poukładałam, ale oczywiście tak nie było.

– Nie wiem, Meg. – Pokręcił powoli głową. – Nie jestem pewien, czy mam w sobie siłę, żeby znowu dać się zranić.

– Ta kłódka na zaproszeniu – powiedziała nagle. Oboje spojrzeli na kartkę, którą trzymał w rękach. – To miało znaczyć... – znowu przerwała.

– Co miało znaczyć? – Ollie przysunął się do niej o krok i wsuwając palec pod jej podbródek, uniósł głowę Megan, aż w końcu musiała spojrzeć mu w oczy. Tak miło było poczuć jego dotyk.

– Te kłódki, które widzieliśmy w Pradze, te z inicjałami – dodała.

Skinął głową.

– Pamiętam.

– Wszystkie były zamknięte, tak jak ja. Zamknęłam się, żeby nic do ciebie nie czuć. Wmówiłam sobie, że nie chcę się zakochać, że nie mogę, jeśli chcę osiągnąć to, co zawsze próbowałam osiągnąć moją pracą. Myślałam, że nie mogę mieć jednego i drugiego, ale myliłam się i byłam cholernie głupia.

Oczy Ollego zrobiły się duże za szklami, mądre i pełne nadziei. Megan tak bardzo tęskniła za jego oczami; za oczami i za rękoma, za ustami, za zapachem i za tym, że potrafił sprawić, że czuła się jak najcenniejsza osoba na tej planecie. I nawet więcej, tęskniła za taką sobą, jaką była przy nim.

– To dlatego kłódka na zaproszeniu jest otwarta – powiedziała. – Bo moje serce jest otwarte.

Ollie nie potrzebował niczego więcej. Przesuwał już ręce z jej podbródka na kark, a jego usta znalazły się kilka centymetrów od jej ust. Gdy ją pocałował, Megan poczuła, że każda cząstka jej ciała śpiewa, i przyciągnęła go do siebie. W jej wnętrzu było teraz miejsce tylko na ciepło, a w sercu – na miłość. Znalazła się tam, gdzie miała być, gdzie mogła rozkwitnąć – wiedziała to intuicyjnie i ta słodka prostota aż ją przytłoczyła. Przyszłość nie była już ciemną ścieżką, ale otwartym

polem możliwości, wypełnionym miłością, śmiechem, przyjaźnią i może, może pewnego dnia także ich wspólnymi dziećmi. Ona i Ollie należeli do siebie, zawsze tak było.

Ktoś uprzejmie zakasłał. Megan odsunęła się od Ollego i zarumieniła, gdy spostrzegła trzy postacie stojące kilka kroków od nich. Charlie trzymał Hope mocno za rękę i patrzył na nich oboje z niepohamowaną satysfakcją, a stojąca obok Sophie uśmiechała się, przyciskając dłoń do serca, jakby wyczuwała, że niewiele brakuje, by radość rozsadziła Megan.

– To miło, że się dogadaliście – powiedziała uszczypliwie Hope, patrząc błyszczącymi oczami.

– Mogłabym powiedzieć to samo o was – odparła Megan i uśmiechnęła się szeroko, gdy złapała spojrzenie starszej przyjaciółki.

Hope uwolniła dłoń z uścisku Charliego i podeszła bliżej, skinąwszy jednocześnie na Sophie. Megan nadludzkim wysiłkiem wypuściła dłoń Ollego i dała się zaciągnąć w kąt sali.

– Kto by pomyślał, że przyjdą? – powiedziała szeptem Hope, której z radości wykwitły na policzkach jaskrawe rumieńce.

– Wiedziałam, że Ollie przyjdzie – stwierdziła Sophie, zerkając przez ramię na duże, oprawione w ramę zdjęcie wspomnianego mężczyzny, na którym przyglądał się rzeźbie w parku Kampa. – Nie mógł przecież tego przepuścić, prawda?

– Chyba nie. – Megan roześmiała się z ulgą, po czym powiedziała do Hope: – Co się dzieje między tobą a Charliem?

Rumieńce Hope zrobiły się niemal fioletowe.

– Nie sądziłam, że się tu pokaże – przyznała. – Chyba nigdy nie wyjaśniłam mu dokładnie, co się dzieje w mojej głowie, a w Pradze pozwoliłam mu odejść. Nie poradziłam sobie z tą sytuacją.

– Ale jest tu, prawda? – zauważyła Sophie z radością.

Hope rozpromieniła się i spojrzała z uczuciem w stronę baru, gdzie Charlie stał z Olliem i obaj trzymali po butelce piwa.

– Musiałam się nauczyć, jak wprowadzić w życie to, co sama doradzałam – mówiła dalej. – Pamiętasz, Megan, jak powiedziałam ci, że musisz robić to, co cię uszczęśliwia, i stawiać swoje uczucia na pierwszym miejscu?

Megan skinęła głową.

– W końcu sobie uświadomiłam, że muszę najpierw odkryć, kim naprawdę jestem, żebym mogła być szczęśliwa. Zawsze wiedziałam tylko, jak być mamą i żoną, ale pragnęłam czegoś więcej, pragnęłam własnego życia. Kiedy przejęłam B&B, otworzyły mi się oczy, mówię wam. Nigdy w życiu ciężiej nie pracowałam, ale jestem w tym naprawdę dobra.

– Brawo ty! – Megan była zachwycona.

– Ale nawet mając pracę i wnuka w drodze, czułam, że wciąż czegoś mi brakuje – powiedziała Hope. – Bałam się nawet mieć nadzieję, że Charlie zgodzi się ponownie ze mną spotkać, nie mówiąc już o tym, czy mnie jeszcze kocha.

– A kocha? – zapytała Sophie, chociaż wszystkie znały odpowiedź.

– Owszem. – Hope uśmiechnęła się, oczy jej błyszczały. – Naprawdę mnie kocha. A ja jego.

To był taki cudowny moment, że nawet Megan nie opierała się, kiedy Hope mocno je do siebie przytuliła i wycalowała po policzkach, wycierając oczy wierzchem dłoni.

– Co sądzisz o Adamie? – zwróciła się Megan z pytaniem do Sophie, kiedy się rozdzieliły. Pilnowała się, by zabrzmiało to lekko.

– Jest miły. – Sophie zawahała się. – Dał mi swój numer, ale tylko dlatego, że byłam kiedyś w Indiach, a on się tam wybiera. Prawdopodobnie z niego nie skorzystam, ale... – urwała.

– W porządku. – Megan uściśnęła ją za ramiona. – Wszystko w swoim czasie.

Trzy kobiety wymieniły spojrzenia. W tym pięknym momencie wspólnej przyjaźni każda z nich świętowała osobiste zwycięstwo. Hope spojrzała na sufit.

– Gaszą już światło – zauważyła. – Czy to znak, że mamy sobie iść?

– Tak sądzę. – Megan rozejrzała się po coraz ciemniejszej sali. – Nawet nie zauważyłam.

Przeszły przez studio i dołączyły do pozostałych, a kiedy Ollie otoczył Megan ramieniem, poczuła, że znowu topnieje.

– Nie mogę uwierzyć, że przyszedłeś – powiedziała Hope, opierając się radośnie o Charliego. – Naprawdę myślałam, że już cię nie odzyskam.

– Ale musiałem przyprowadzić go za rączkę – rzucił Ollie, a Hope zachichotała.

– Czyżby? – powiedziała. – Pomyślałabym raczej, że to ty byłeś za wielkim tchórzem, żeby tu przyjść samemu.

Ollie otworzył usta, ale Charlie go uprzedził.

– Ta piękna dama zaproponowała mi randkę – oznajmił. – Ale zgodzę się tylko pod warunkiem, że wszyscy pójdziecie z nami. Pomyśleliśmy, że byłoby miło zjeść razem kolację gdzieś nad rzeką. – Zarumienił się i dodał: – Oczywiście jeśli nie macie innych planów.

Megan zaczerwieniła się na myśl o tym, co ona i Ollie będą mieli w planach za kilka godzin. Na razie jednak wystarczało jej pławienie się w blasku ich wzajemnych uczuć – a czy można to robić lepiej niż w towarzystwie przyjaciół?

– Wchodzę w to! – Spojrzała na Ollego.

– Ja też – powiedział i uśmiechnął się do całej grupy, a potem do niej, po czym pochylił się, żeby ją znowu pocałować. Hope klasnęła w dłonie.

– No to chodźmy. – Ruszyła z miejsca i chwyciła Megan pod ramię. – Chyba już dostatecznie długo kazałyśmy tym chłopcom na siebie czekać, prawda?

Słońce zaczynało już zachodzić, kiedy ruszyli nabrzeżem Tamizy. Każdy po kolei zachwycił się, jak pięknie wygląda Londyn skąpany w tak korzystnym świetle. Przed nimi rysował się most Waterloo, którego kremowe łuki poszarzały, co zwiastowało nadejście ciemności. Za mostem stał wysoki i dumny Big Ben na tle budynku parlamentu, a okrągła tarcza jego zegara przywodziła na myśl miasto, w którym wszyscy się spotkali.

London Eye rozbłysło feerią różowych i niebieskich świateł. Megan wiedziała, że gdyby miała teraz aparat, byłaby w stanie uchwycić podekscytowanie i nabożny zachwyt na twarzach przyciśniętych do szyb w wagonikach, w których ludzie w różnym wieku i różnej narodowości gromadzili w umyśle własne obrazy Londynu, bez świadomości, że każdy z nich dodaje swoją chwilę do przebogatej historii tego miejsca.

Ale tego wieczoru nie czuła takiej potrzeby i tym razem wcale jej to nie martwiło. Wystarczającym natchnieniem była dla niej sama miłość – potrzebowała tylko trochę czasu, żeby się o tym przekonać.

Tymczasem w innym miejscu nad rzeką, za zamkniętymi na klucz drzwiami studia, rozbłysło samotne światełko. Umieszczone wysoko ponad miejską panoramą wielu zdjęć, wyglądało niemal jak księżyc – ładny żółty kamyk, w ciemności tak jasny jak prawdziwy. Przechodząca obok para zatrzymała się, by zerknąć przez szybę, a ich oczy pobiegły za błyskiem światła aż do obrazu, z którego bił blask – obrazu złotego krzyża osadzonego w kamieniu, z gwiazdą na każdym z pięciu ramion.

Stali bez ruchu i patrzyli na niego jak zaczarowani, czując głęboko w sercach nieznaną pokusę, aż światełko zamigotało i zgasło. W pomieszczeniu było teraz ciemno, ale wciąż widzieli ten krzyż. Świecił jasnym, złocistym blaskiem, jakby wydobywającym się ze środka, tak jak przed wiekami.

Podziękowania

Napisałam kolejną książkę! I przede wszystkim dziękuję Tobie, najdroższy czytelniku, za wzięcie jej do ręki i wyruszenie wraz ze mną w tę podróż. Mam wielką nadzieję, że dobrze się bawiłeś i zapraszam Cię serdecznie do rozmowy na moim Twitterze: Isabelle_Broom. Bardzo chciałabym poznać Twoje wrażenia.

Hannah Ferguson – zwana też agentką nadzwyczajną – co ja bym bez Ciebie zrobiła? Dzień w dzień zachwyca mnie Twoje niesłabnące wsparcie oraz rady, entuzjazm, błyskotliwość i ciężka praca. Nie ma słowa przesady w stwierdzeniu, że dzięki Tobie spełniły się moje marzenia, wszystkie, a nawet więcej. Ekipy z Hardman & Swainson oraz z Marsh Agency zasługują na miano legend. Camillo i Fay, w końcu nam się udało! Wielkie dziękuję i mnóstwo miłości dla każdego z Was.

Ach, panno Kimberley Atkins z Penguin Michael Joseph, od czego by tu zacząć? Już wiem! Od powiedzenia Ci, że jesteś niekwestionowaną cesarzową wszystkich wydawców świata. Dziękuję za niespożytą energię, niekończące się wsparcie, prawdziwie mistrzowskie umiejętności redaktorskie i absolutny profesjonalizm, zawsze i wszędzie. Pewnie nigdy się nie dowiesz, jak bardzo Cię kocham i podziwiam. Bez Ciebie nic by mi się nie udało, naprawdę, zatem dziękuję. A także Maxine Hitchcock, Claire Bush, Jenny Platt, Sarah Bance, Emmie Brown i wszystkim w Penguinie, którzy pracowali przy sprowadzeniu tego książkowego dziecka na świat. Jesteście niesamowici! Jess Hart, dziewczyno, znów mnie zachwyciłaś okładką! Padam na kolana przed Twoim talentem.

Pisanie książek jest niewątpliwie najlepszą pracą świata, głównie dlatego, że poznaje się przy okazji najwspanialszych ludzi. Chciałabym podziękować za miłość, wsparcie i rady moim koleżankom autorkom: Katie Marsh, Stelli Newman, Paige Toon, Ali Harris, Giovannie Fletcher, Rosie Walsh, Kirsty Greenwood, Cesce Major, Cressidzie McLaughlin, Lisie Dickenson, Jo Thomas, Mirandzie Dickinson, Milly Johnson, Louise Candlish, Penny Parkes, Hannah Beckerman, Dani Atkins, Kate Eberlen, Fanny Blake, Katie Fforde, Adele Parks, Tasminie Perry, Victorii Fox, Jennifer Barclay, Dorothy Koomson, Rosannie Ley, Julie Cohen, Rowan Coleman, Lindsey Kelk oraz Victorii Walters. Jesteście cudowne, obłędne i zjawiskowe. Ogromne podziękowania także dla Claire „Frosty” Frost, Franceski Brown, Franceski Russell, Georginy Moore, Bena Willisa, Sophie Ransom, Jenny Stallard, Niny Pottell, Sary-Jade Virtue, Fran Gough, Anne Cater, Sharon Wilden, Vicki Bowles, Lindy Hill i Effrosyni Moschoudi oraz wszystkich blogerów książkowych, wielbicieli książek i czytelników, którzy poświęcają czas na pisanie recenzji. To dzięki Wam książki trafiają prosto pod nos nowych czytelników, a przecież o to w tym wszystkim chodzi.

Och, żebym nie zapomniała o moim Książkowym Aniele, Annette Hannah, która po pierwsze pozwoliła mi podkraść swoje imię i ofiarować je jednej z bohaterek, a co jeszcze ważniejsze, przy każdym spotkaniu sprawia, że chichram się jak pijany Muttley.

Dziękuję mojej rodzinie z Heat, obecnej i minionej, jesteście wszyscy nadzwyczajni. Dziękuję za wsparcie, jakie od Was dostałam oraz za fantastyczną codzienność. Cokolwiek by się działo, zawsze mamy siebie.

Spotkało mnie ogromne szczęście, że mam tak fantastycznych przyjaciół i gdybym mogła wymienić każde z Was, zrobiłabym to, ale wygląda na to, że papier jest bardzo drogi. Więc wicie. Ale muszę imiennie podziękować mojej pięknej, mądrej, inteligentnej i nieskończenie genialnej przyjaciółce Sadie Davies, bez której moje życie byłoby uboższe o dobrą zabawę i przygody. Dziękuję także Ianowi Lawtonowi za największe serce i najlepszy śmiech, jaki słyszałam oraz Tomowi Hardingowi, Dominicowi Morganowi, Ewanowi Bishopowi, Sarah Holmes, Corrie Heale, Jamie Green, Mattowi Hurrellowi, Lisie Howells, Danielowi Tangowi, Alexowi Holbrookowi, Charlotte McKeggie, Vicky Zimmerman, Molly Haynes, Markowi Tamsettowi, Lindsey Perkins, Richardowi Perry'emu, Jonathanowi Paulowi Gunsonowi, KMC Massive – czyli Tamsin Carroll i Gemmie Courage – oraz mojej ekipie ze studiów: Ranjitowi Dhillonowi, Colette Berry, Sarah Beddingfield, Chadowi Higginsowi, Jimowi Morrisowi, Carrie Wallder i Sue Pigott. Jesteście mistrzami!

Chciałabym też podziękować mojej rodzinie, ale zaczyna mi brakować słów. Bo cóż mogę powiedzieć, poza tym, że dziękuję, że zawsze byliście ze mną i wierzyliście we mnie jak nikt. Mamie za wszystko, od dużego niebieskiego zeszytu, który mi kupiła, gdy miałam sześć lat, żebym pisała opowiadania, po każdą dzisiejszą zarwaną noc, kiedy czyta pierwsze wersje moich powieści. Zawsze byłaś dla mnie opoką, najlepszą przyjaciółką i inspiracją. Wszystko, co robię, robię dla Ciebie, do ostatniego słowa.

